

# DANIELLE STEEL

A close-up photograph of a necklace featuring large, square-cut emeralds set in a halo of smaller diamonds. The necklace is displayed against a dark background, highlighting the vibrant green of the emeralds and the sparkle of the diamonds.

między  
słowami

NOWOŚĆ

Klejnoty  
arystokratki

DANIELLE  
STEEL

*Klejnoty  
arystokratki*



tłumaczenie  
Agnieszka Mysliwy

między  
słowami

*Co przynosi szczęście jednemu z nas,  
jest szczęściem dla wszystkich*

Mary Baker Eddy

*Dla moich ukochanych dzieci,  
Beatrix, Trevora, Todda, Nicka,  
Samanthy, Victorii, Vanessy,  
Maxxa i Zary*

*Obyście byli obdarowywani miłością w każdym wieku,  
odważni w swoim życiu,  
szczerzy i wyrozumiali wobec innych,  
a także wobec siebie.*

*Oby wasze życie przepelniały radość i nadzieja  
i obyście cieszyli się wszelkimi błogosławieństwami losu.  
Zawsze pamiętajcie,  
jak bardzo was kocham.*

*mamusia/d.s.*

## Rozdział 1

Był to jeden z tych styczniowych dni w Nowym Jorku, kiedy człowiek ma wrażenie, że zima nigdy się nie skończy. Od listopada notowano rekordowe opady śniegu. Poranna śnieżycą, już druga w tym tygodniu, przeszła w opady deszczu ze śniegiem, którym towarzyszył ostry wiatr. Ludzie potykali się, ślizgali na lodzie i krzywili, gdy gwałtowne podmuchy chłostały ich twarze. W taki właśnie dzień, gdy po prostu lepiej nie wychodzić z domu, Hal Baker siedział za swoim biurkiem w oddziale Metropolitan Banku na końcu Park Avenue.

Trzy lata temu w tej właśnie okolicy przechodziła linia oddzielająca tę część Nowego Jorku, która straciła zasilanie podczas potężnego huraganu, który pustoszył miasto. Kilka przecznic na północ zostało pozbawionych prądu i zalanych, lecz bank działał normalnie, obsługiwał klientów, a nawet oferował kanapki i kawę ofiarom powodzi w geście obywatelskiej solidarności.

Hal nadzorował skrytki depozytowe – inni uważali tę funkcję za nużącą, ale on zawsze lubił tę pracę. Lubił kontakt ze starszymi klientami, którzy przychodzili przeglądać swoje rzeczy, sprawdzać wartość świadectw udziałowych i deponować nowe testamenty w skrytkach, które wynajmowali. Gawędził z nimi, jeśli tylko chcieli, a często wyrażali taką chęć, lub zostawiał ich samych, jeśli tak woleli. Znał z widzenia większość swoich klientów, a dużą część pamiętał także z nazwiska. Był bardzo wyczulony na ich potrzeby. Lubił też spotkania z młodszymi klientami, zwłaszcza z tymi, którzy nigdy wcześniej nie posiadali skrytki depozytowej – wyjaśniał im wtedy, jak istotne jest posiadanie bezpiecznego miejsca na dokumenty i cenne przedmioty, jeśli mieszka się w nie zawsze właściwie monitorowanej okolicy.

Poważnie traktował swoją pracę. Jako sześćdziesięciolatka dzieliło go jeszcze pięć lat od emerytury i nie dręczyły go żadne niespełnione ambicje. Miał żonę, dwoje dorosłych dzieci i zarządzał oddziałem skrytek depozytowych, co odpowiadało jego osobowości. Był towarzyski. W tym oddziale Metropolitan pracował od dwudziestu ośmiu lat, a w samym banku dziesięć lat dłużej. Miał nadzieję, że tutaj zakończy karierę zawodową. Nadzór nad skrytkami depozytowymi

zawsze uważał za ważną i odpowiedzialną funkcję. Klienci powierzali mu swoje najcenniejsze skarby, a czasami też najmroczniejsze sekrety, bo tutaj nikt inny nie mógł wejść, wściubić nosa, dotknąć ich ani zobaczyć – poza samymi klientami.

Bank znajdował się w okolicy East Thirties na Park Avenue, w dawniej eleganckiej, mieszkalnej dzielnicy nazywanej Murray Hill, do której już jakiś czas temu wkroczyły budynki biurowe. Klientami banku byli głównie ludzie pracujący w okolicy oraz nobliwi starsi mieszkańcy pobliskich kamienic. Ta druga grupa nie wychodziła jednak tego dnia z domu. Ulice były śliskie od opadów, a pogoda nie nastrajała do spacerów, dlatego też Hal mógł nadgonić papierkową robotę, która zbierała się na jego biurku od świąt.

Nieco inaczej przedstawiała się sytuacja trzeciej skrytki, którą zamierzał dzisiaj otworzyć. Jej właścicielkę widywał kilkakrotnie przez lata i dobrze ją pamiętał. Była to bardzo szacowna starsza kobieta, uprzejma, lecz nieskora do rozmowy z nim. Nie widział jej od prawie pięciu lat. Opłaty za skrytkę przestały wpływać trzy lata i miesiąc temu. Przesłał standardowy list polecony rok po ustaniu opłat i odczekał wymagany prawem miesiąc, po czym rozwierteł skrytkę w obecności notariusza. Była to jedna z pięciu największych skrytek dostępnych w banku. W obecności notariusza dokonał skrupulatnej inwentaryzacji jej zawartości. Znalazł kilka teczek opisanych starannym charakterem pisma właścicielki – jedna z nich zawierała fotografie, inne dokumenty i papiery, w tym także kilka nieważnych paszportów, amerykańskich i włoskich – wydanych w Rzymie. Były tam też dwie grube paczki listów – jedna opisana po włosku staromodnym europejskim charakterem pisma i przewiązana wyblakłą błękitną wstążką, i druga opasana różową wstążką, z napisami po angielsku i adresami skreślonymi kobiecą ręką. W skrytce znajdowały się też dwadzieścia dwa skórzane pudełka na biżuterię z pojedynczymi sztukami biżuterii, które opisał, nie przyglądając się im zbyt dokładnie. Jednak nawet niewprawne oko dostrzegłoby ich wysoką wartość. Opisał je po prostu jako brylantowy pierścionek, bransoletkę, naszyjnik, broszkę, nie wdając się w szczegóły, co wykraczałoby poza jego kompetencje i czego od niego nie wymagano. Szukał w środku również testamentu, na wypadek

gdyby właścicielka skrytki zmarła, lecz niczego takiego nie znalazł. Klientka wynajmowała skrytkę przez dwadzieścia dwa lata, a on nie miał pojęcia, co się z nią stało. Zgodnie z prawem odczekał jeszcze dwa lata po rozwierceniu skrytki, lecz nie nadeszła żadna odpowiedź od starszej pani. Dlatego też musiał powiadomić teraz nowojorski sąd do spraw spadkowych o istnieniu porzuconej skrytki oraz braku testamentu i przekazać im jej zawartość.

To na sądzie spoczywał obowiązek sprawdzenia, czy najemca skrytki zmarł, a w wypadku braku testamentu – powiadomienia najbliższych krewnych. Zazwyczaj zamieszczano wtedy ogłoszenie w prasie wzywające krewnych bądź spadkobierców do zgłoszenia się po zdeponowane przedmioty. Jeśli w ciągu miesiąca nikt się nie zjawiał, sąd przeprowadzał aukcję, a pozyskane środki przelewał na konto stanu Nowy Jork. Wszelkie dokumenty przechowywano jeszcze siedem lat, na wypadek gdyby zgłosili się krewni. W przypadkach śmierci osób, które nie pozostawiły po sobie testamentu, obowiązywały bardzo surowe reguły. Hal zawsze wypełniał je wszystkie skrupulatnie.

Tego dnia zamierzał przejść do drugiej fazy, czyli powiadomić sąd do spraw spadkowych o porzuconej skrytce. Jako że kobieta, która wynajmowała skrytkę, miała już prawie dziewięćdziesiąt dwa lata, istniało duże prawdopodobieństwo, że nie żyje i że sąd będzie musiał to stwierdzić, zanim podejmie inne kroki. Kobieta nazywała się Marguerite Wallace Pearson di San Pignelli. Hala już od dwóch lat dręczyło podejrzenie, że zinwentaryzowana przez niego biżuteria może się okazać bardzo cenna. Sąd musiałby więc znaleźć też kogoś, kto by ją wycenił, gdyby okazało się, że właścicielka rzeczywiście zmarła, nie pozostawiwszy testamentu, a spadkobiercy by się nie zgłosili. Sąd musiałby ocenić wartość przedmiotów przed ogłoszeniem aukcji, której beneficjentem okazałby się stan.

W ramach obowiązujących procedur Hal najpierw wezwał ślusarza do dwóch mniejszych skrytek, a następnie zadzwonił do sądu z prośbą o oddelegowanie kogoś, kto otworzy z nim po raz kolejny większą skrytkę. Wiedział, że nieprędko ktoś się zjawi – w sądzie brakowało pracowników, wszyscy byli tam wiecznie zajęci i mieli ogromne zaległości, próbując załatwiać sprawy ludzi, którzy zmarli, nie

pozostawiwszy testamentu.

Gdy Hal o jedenastej zadzwonił do sądu, telefon odebrała Jane Willoughby. Jane była studentką prawa odbywającą staż w sądzie w ramach studiów, które miała ukończyć w czerwcu. Studiowała w Columbia Law School i latem zamierzała podejść do egzaminów adwokackich. Nie planowała odbywać stażu w sądzie do spraw spadkowych, lecz tylko tam znalazło się dla niej miejsce. Wolałaby sąd rodzinny, zamierzała bowiem specjalizować się w sprawach dotyczących dzieci. Jej drugim wyborem był sąd karny, który wydawał się interesujący, lecz w obu placówkach nie było wolnych miejsc. Otrzymała tylko propozycję stażu w sądzie do spraw spadkowych i sądzie do spraw opiekuńczych. Obie instytucje uważała za przygnębiające, ponieważ specjalizowały się w sprawach zmarłych, co wiązało się z niekończącą się robotą papierkową przy bardzo ograniczonym kontakcie z ludźmi. Ostatecznie wybrała sąd do spraw spadkowych, w którym utknęła z nielubianą szefową. Harriet Fine była zmęczoną życiem, bladą kobietą, która ewidentnie nie lubiła swojej pracy, lecz potrzebowała pieniędzy i nie miała odwagi, by odejść. Jej bezustanne krytyczne komentarze i ponure nastawienie dodatkowo utrudniały pracę Jane, która nie mogła się już doczekać końca stażu. Na studiach pozostały jej jeszcze dwa miesiące zajęć i praca zaliczeniowa, której dotąd nie złożyła. Staż stanowił ostatni krok do dyplomu, potrzebowała też pozytywnej opinii Harriet, by móc ją dołączyć do CV. Od dwóch miesięcy wysyłała je do nowojorskich kancelarii.

Gdy Jane odebrała telefon po drugim dzwonku, Hal wyjaśnił jej sytuację uprzejmym, rzeczowym tonem. Zapisała informacje o skrytce depozytowej pani di San Pignelli ze świadomością, że jej pierwszym zadaniem będzie określenie, czy właścicielka skrytki żyje. Gdyby to się udało, sąd wysłałby do Hala swojego pracownika, by ten przejrzał zinventaryzowane rzeczy i oficjalnie je przejął, jednocześnie czekając na reakcje na ogłoszenia w gazetach skierowane do potencjalnych spadkobierców. Czekanie na odpowiedzi było akurat ciekawe. Sąd niedawno zajmował się sprawą, która zakończyła się aukcją w Christie's. Jej owocem była niezła sumka dla stanu, lecz Jane nie zajmowała się tym przypadkiem. Harriet, jej szefowa, zachowywała się, jakby odniosła



osobiste zwycięstwo, gdy spadkobiercy się nie pojawiali, a dobytek zmarłego można było oddać na aukcję na rzecz stanu. Jane wolała ten bardziej ludzki aspekt, gdy zjawiały się osoby, które nie spodziewały się spadku po ledwie znanym krewnym, ponieważ go nie pamiętały lub też nigdy nie spotkały. Dla nich te pieniądze spadały z nieba i zawsze stanowiły miłą niespodziankę.

– Jak szybko może się tu pani zjawić? – zapytał Hal uprzejmie.

Jane zerknęła na kalendarz ze świadomością, że nie może sama podjąć takiej decyzji. Czuła, że Harriet przekaze sprawę komuś innemu, ponieważ Jane była tylko tymczasowo zatrudnioną urzędniczką. Hal napomknął dyskretnie, że jego zdaniem niektóre przedmioty w skrytce mają znaczną wartość i że powinny zostać odpowiednio wycenione, najlepiej przez eksperta od klejnotów.

– Nie wiem, kiedy ktoś będzie mógł przyjechać – odparła szczerze. – Zbadam sprawę pani Pignelli i spróbuję określić, czy jeszcze żyje, a następnie przekażę informację mojej szefowej. To od niej zależy, kto przyjedzie i kiedy.

Hal wyjrzał przez okno. Padało coraz mocniej, lód na chodnikach pokryła cienka biała pierzynka. Ulice z każdą chwilą stawały się coraz bardziej zdradliwe, co często się zdarzało o tej porze roku.

– Rozumiem – powiedział rzeczowo.

Wiedział, że sąd jest przeciążony. Uczynił, co trzeba, jak zwykle starannie zastosował się do regulaminu. Teraz wszystko było w ich rękach.

– Zawiadomimy pana o naszej wizycie – zapewniła go Jane, wspominając jego słowa o domniemanej wartości pozostawionego majątku. Gdy tylko się rozłączyła, usiadła w fotelu, by obserwować padający za oknem lodowaty deszcz. Nienawidziła takich dni, nie mogła się już doczekać powrotu na studia i końca roku. Święta też upłynęły jej w przygnębiającej atmosferze.

Nie mogła pojechać do swojej rodziny w Michigan na Boże Narodzenie. Ona i John, mężczyzna, z którym mieszkała, utknęli w swoim mieszkaniu, skupieni na nauce. John studiował w Columbia Business School i również zdawał w czerwcu egzaminy. Presja wyników okazała się stresująca dla obojga. Mieszkali razem od trzech lat i nieźle

się dogadywali, dopóki pół roku temu nie zaczęło się kumulować napięcie. Oboje zaczęli też szukać pracy, co wprowadziło dodatkowy stres.

John pochodził z L.A., poznali się w szkole. Mieszkali razem w małym, brzydkim mieszkaniu w pobliżu uniwersytetu, w budynku z narzuconymi czynszami w Upper West Side, a ich wojna z karaluchami czyniła ich lokum jeszcze mniej przyjemnym do życia. Mieli nadzieję wynająć coś ładniejszego, gdy już znajdą pracę po studiach i będzie ich na to stać. Jej rodzice wciąż jednak marzyli, by wróciła do Grosse Pointe, ale nie miała tego w planach. Zamierzała zostać w Nowym Jorku i tu praktykować jako prawnik. Jej ojciec był prezesem firmy ubezpieczeniowej, a matka psychologiem, choć przestała przyjmować pacjentów po urodzeniu córki. Nie podobało im się, że Jane nie chce wrócić do domu, ponieważ była ich jedynym dzieckiem. Nie lubiła ich rozczarowywać, lecz cieszyła ją perspektywa kariery w Nowym Jorku, o czym od początku ich uprzedzała.

Jane wiedziała, że niezależnie od tego, komu przypadnie sprawa Pignelli, Harriet najpierw będzie chciała sprawdzić rejestr zgonów, aby ustalić, czy pani di San Pignelli żyje, dlatego też szybko wpisała jej nazwisko i datę urodzenia do wyszukiwarki. Odpowiedź uzyskała niemal od razu. Marguerite Wallace Pearson di San Pignelli zmarła sześć miesięcy temu. Ostatnio mieszkała w Queens i tam właśnie odeszła. Hal Baker w swoich papierach miał zapisane, że mieszka na Manhattanie, w pobliżu banku. Biorąc pod uwagę jej wiek, pani di San Pignelli mogła po prostu zapomnieć o skrytce lub też była zbyt chora, by odebrać swoje rzeczy przed śmiercią i osobiście je rozdysponować. W każdym razie teraz już nie żyła, więc to na pracownika sądu spadał obowiązek przejrzenia zawartości skrytki. Pozostawała nadzieja, że w dokumentach znajdzie się testament.

Jane wypełniła szczegółowy formularz i udała się z nim do biura Harriet, która właśnie wychodziła na lunch w długim płaszczu, wełnianej czapce i ciepłych kozakach. Często podczas przerwy chodziła do domu, by zajrzeć do chorej matki. Wyglądała, jakby wybierała się na biegun północny, gdy do jej gabinetu weszła Jane. Harriet cieszyła się reputacją osoby wyjątkowo surowej dla młodych urzędników i studentów prawa,

a wobec Jane była szczególnie ostra. Jane była śliczną młodą kobietą o długich blond włosach, niebieskich oczach i wspaniałej figurze. Widać było, że przyszła na świat w zamożnej rodzinie, choć się z tym nie afiszowała, i że czerpała z tego takie korzyści, jakie nigdy nie stały się udziałem Harriet. Jane miała dwadzieścia dziewięć lat, całe życie przed sobą i widoki na interesującą karierę.

W przeciwieństwie do niej pięćdziesięcioparoletnia Harriet mieszkała z chorą matką, którą musiała się opiekować, od wielu lat nie była w żadnym związku, nigdy nie wyszła za mąż ani nie miała dzieci. Swoje życie i pracę uważała za ślepy zaułek.

– Zostaw to na moim biurku – poleciła, gdy zobaczyła formularz w dłoni Jane.

– Ktoś będzie musiał jechać do banku – powiedziała Jane cicho, by nie irytować szefowej. – Kobieta zmarła sześć miesięcy temu. Skrytkę utrzymywano przez trzy lata, zgodnie z procedurą, i bank chce ją już opróżnić.

– Zajmę się tym po lunchu – zadeklarowała Harriet, po czym wyszła w pośpiechu.

Jane wróciła do swojego biurka i zamówiła kanapkę z pobliskich delikatesów. Woląла to niż wychodzić w tę okropną pogodę. Czekaając na lunch, uporała się z papierkową robotą.

Nadrobiła sporo zaległości w rutynowych sprawach, które jej zlecono, zanim Harriet wróciła z lunchu ze zmartwioną miną. Jej matka nie czuła się najlepiej. Jane zostawiła dwie zakończone sprawy na jej biurku. Była to żmudna praca, lecz Jane była skrupulatna. Popełniła tylko kilka drobnych błędów podczas swojego stażu i nigdy ich nie powtórzyła. Zanim rozpoczęła studia, pracowała jako asystentka prawnika, a Harriet podziwiała jej etykę pracy oraz staranność. Powiedziała nawet kilku osobom w sądzie, że nie mieli jeszcze tak dobrej stażystki jak Jane, lecz samej zainteresowanej skąpiła pochwał. Wezwała ją do biura godzinę po swoim powrocie z lunchu.

– Może pojedziesz do banku, przejrzysz zawartość skrytki i zweryfikujesz spis inwentaryzacyjny – zaproponowała, mając na myśli sprawę Pignelli. – Nie mam tam kogo posłać.

Oddała Jane akta, a dziewczyna skinęła potakująco głową.

Uczestniczyła w podobnej inwentaryzacji tylko raz podczas stażu, lecz nie wydało się jej to skomplikowane. Musiała tylko potwierdzić spis wykonany przez bank, po czym przywieźć do sądu zawartość skrytki, aby przechować ją w sejfie, dopóki przedmioty nie zostaną sprzedane, a dokumenty zarchiwizowane na siedem kolejnych lat.

Jeszcze tego samego popołudnia Jane zadzwoniła do Hala Bakera, by się z nim umówić. Nie spodziewał się tego i wyjaśnił jej przepaszająco, że wybiera się na dwutygodniowy urlop, a po nim na tygodniowe szkolenie. Umówili się więc za cztery tygodnie, dzień po walentynkach, co Jane nie przeszkadzało. Nie było pośpiechu, a dzięki temu miała czas, by zamieścić regulaminowe ogłoszenia w gazetach. Zapisała termin spotkania, a gdy się rozłączyli, sięgnęła po standardowy formularz. Proces poszukiwania spadkobierców Marguerite di San Pignelli właśnie się rozpoczął. Kolejny zwyczajny dzień w sądzie spadkowym, gdzie tropiono spadkobierców i licytowano ruchomości, które do nikogo nie należały.

## Rozdział 2

Cztery tygodnie po swojej pierwszej rozmowie z Halem Bakerem Jane wysiadła z metra na stacji najbliższej Metropolitan Banku. Wczorajsze walentynki i dzisiejszy poranek upłynęły jej pod znakiem problemów. Pokłóciła się z Johnem, gdy robiła grzanki, wsypywała płatki kukurydziane do swojej miski i parzyła kawę dla obojga. Przypaliła pieczywo, które włożyła do tosterka, ponieważ nie sprawdziła ustawień, i rozlała mleko, gdy John wszedł do kuchni w bokserkach i podkoszulku ze zdziwioną miną. Poprzedniego dnia uczył się ze znajomymi u kogoś w mieszkaniu. Słyszała, jak wrócił do domu o trzeciej w nocy, lecz zasnęła, zanim dotarł do łóżka. Całkiem zapomniał o walentynkach, choć ona kupiła mu pudełko czekoladek i kartkę, które zostawiła na blacie w kuchni. Wziął czekoladki ze sobą, by podzielić się ze swoją grupą, lecz nie zostawił nic dla niej – ani prezentu, ani kwiatów, ani nawet kartki. Wyglądało na to, że według niego walentynki w tym roku zostały chyba odwołane.

– Gdzie się tak spieszysz? – zapytał, częstując się zaparzoną przez nią kawą, gdy zbierała rozsypane płatki i smarowała przypaloną grzankę masłem.

Wydawał się wyczerpany i wyraźnie nie był w dobrym nastroju, gdy usiadł przy kuchennym stole, pijąc kawę. Nie złożył jej walentynkowych życzeń nawet dzisiaj. Nigdy nie pamiętał o świętach ani ważnych datach, a mając na głowie dwie duże prace zaliczeniowe, zupełnie wyrzucił z myśli walentynki. Był całkowicie skoncentrowany na nauce. Do tej pory, do ostatnich miesięcy przed dyplomem, był miłym, zabawnym kompanem. Zazwyczaj niezależny i życzliwy, teraz myślał tylko o sobie i o tym, co musi zrobić, by uzyskać dobry stopień. W takie dni miała wrażenie, że w jego świecie nie ma dla niej miejsca.

– Muszę dzisiaj sporządzić spis inwentarzowy porzuconej skrytki depozytowej – wyjaśniła z zadowoleniem. Nareszcie czekało ją coś bardziej interesującego niż zatonięcie w papierach na biurku.

– To jakaś duża sprawa? – Nie zrobiło to na nim wrażenia. Jego zdaniem brzmiało nudno.

– Raczej nie, ale dzięki niej wyrwę się z biura i pobawię

w detektywa. Zamieściliśmy ogłoszenia w gazecie, by powiadomić ewentualnych spadkobierców, ale nie mieliśmy żadnego odzewu.

– Co się stanie, jeśli nikt się nie pojawi?

– Sprzedamy wszystko, co ma jakąś wartość, gdy upłyną trzy lata i miesiąc, a dokumenty zachowamy jeszcze przez siedem lat. Pieniądze wpłyną na konto stanowe.

– Jest w tej skrytce coś ważnego?

– Podobno biżuteria może się okazać cenna, tak twierdzi bank.

Dzisiaj to sprawdzę. To trochę smutne, ale też ciekawe. Trudno sobie wyobrazić, że ludzie po prostu zapominają o swoich rzeczach, ale ta kobieta była już staruszką. Może zmarła nagle albo cierpiała na demencję w ostatnich latach życia. Zjemy dziś razem kolację? – zapytała od niechcienia, starając się nie wywierać na niego nacisku.

Gdy tylko padły te słowa, jęknął.

– O cholera! Są walentynki, prawda? Czy były wczoraj? Dzięki za czekoladki. – Zerknął na datę w leżącej na stole gazecie. – Przepraszam, Jane. Zapomniałem. Mam dwie prace zaliczeniowe... nie ma mowy, żebym się wyrwał na kolację. Zgodzisz się przełożyć to na za kilka tygodni? – Wydawał się autentycznie skruszony.

– Pewnie – odparła swobodnie. Tak właśnie podejrzewała... Miał obsesję na punkcie szkoły, a ona to rozumiała. Jej plan dnia i obowiązki również ją przytłaczały, lecz zawsze miała lepsze stopnie od niego. – Tak myślałam. Uznałam jednak, że warto zapytać.

Pochylił się ku niej i pocałował ją, po czym uśmiechnął się na widok jej czerwonego swetra. Święta wiele dla niej znaczyły, z czego zawsze sobie żartował. Tę jej ckliwą cechę uważał za uroczą i wiązał z dorastaniem na Środkowym Zachodzie. Jego rodzice pracowali w przemyśle filmowym w L.A. i mieli większe obycie niż jej rodzina.

Wychodząc na spotkanie w banku, wyglądała ślicznie w krótkiej czarnej spódnicy i butach na obcasie, z długimi jasnymi włosami zaczesanymi do tyłu. Ogromnie mu się podobała i lubił spędzać z nią czas, gdy nie miał na głowie dwóch prac zaliczeniowych i końcowego projektu. Nie snuli planów na przyszłość, żyli z dnia na dzień, co obojgu odpowiadało. Koncentrowali się na swoich pragnieniach. Nie miała czasu ani chęci na małżeństwo, chciała najpierw wyrobić sobie markę.

W tej kwestii się zgadzali.

– Przez całą noc będę się uczył z moją grupą – poinformował ją, gdy wstała i włożyła płaszcz. Wybrała czerwony – z okazji święta, co uznał za nieco niedorzeczne, choć nieźle w nim wyglądała. Szpilki podkreślały jej nogi, które jego zdaniem należały do jej największych zalet. – Spotykamy się u Cary – dodał od niechcena, zerkając na gazetę, którą zostawiła na kuchennym stole.

Wiedział, że Jane jej nie lubi. Cara wyglądała jak modelka z reklamy bielizny, a nie kandydatka do stopnia MBA. John uważał, że jest bystra, i podziwiał jej przedsiębiorczość. Prowadziła i sprzedała za niezłą sumkę biznes, zanim wróciła do szkoły, aby zdobyć tytuł; była dwa lata starsza od Jane. Należała też do najatrakcyjniejszych kobiet w grupie, była singielką, a fakt, że razem się uczyli, zawsze budził w Jane niepokój. Wiedziała, że jest jej wierny, tak zakładała, lecz uważała Carę za zagrożenie. Obfity biust Cary zawsze był nieco za bardzo wyeksponowany, wyglądała zbyt seksownie w dżinsach i obcisłych podkoszulkach z dużym dekoltem.

– Będą z wami inni ludzie? – zapytała nerwowo.

John automatycznie wpadł w złość.

– Oczywiście. A co to za różnica? To nie jest seksterapia.

Pracujemy nad naszymi esejami, żeby zdążyć przed końcem semestru, a Cara wie o prowadzeniu firmy znacznie więcej ode mnie. – Zawsze posługiwał się tą wymówką. Mieli za sobą już kilka różnych wspólnych projektów.

– Tak tylko pytam – mruknęła Jane cicho.

– Jane, daj mi teraz spokój. Jeśli dzięki niej uzyskam lepsze stopnie, z cholerną radością będę z nią pracował. – Nie był w nastroju na sceny zazdrości, lecz jakimś cudem rozmowa potoczyła się w tym kierunku, a pięć minut później na całego kłócili się o Carę.

Już im się to zdarzało. Jane wciąż powtarzała, że Cara z nim flirtuje, a gdy żarliwie zaprzeczał, zarzucała mu naiwność. Rozmowa do niczego nie doprowadziła. John z irytacją uciekł do sypialni, a Jane wyszła do pracy, czując lekkie mdłości.

Od jakiegoś czasu bezustannie się kłócili, o wszystko i nic. Ich związek przechodził poważny kryzys, lecz Jane wiedziała, że jedynym

powodem jest presja, którą czują w związku z zakończeniem studiów, dlatego też starała się tolerować jego huśtawki nastrojów, ciągłe zmęczenie, brak snu i nie martwić się jego bliskimi relacjami z Carą. Ufała Johnowi, lecz wiedziała, że spędza z koleżanką długie godziny na nauce. Jej zdaniem Cara ewidentnie miała do niego słabość; Jane ani trochę jej nie ufała. Nie cierpiała go tym zadreczać, lecz również miała nerwy w strzępach.

John był pod prysznicem, gdy wychodziła z mieszkania pełna niepokoju, jaki często towarzyszy ludziom po kłótni, której nikt nie wygrał. Czowała się głupio w czerwonym swetrze i płaszczu, które włożyła z okazji walentynek o dzień za późno. Dla niej był to tylko kolejny dzień pracy, chciała wyglądać poważnie na spotkaniu, ponieważ dopiero drugi raz uczestniczyła w inwentaryzacji, i miała zamiar podejść do niej profesjonalnie.

Hal Baker czekał na nią w banku, gdy dotarła na miejsce. Uścisnął jej dłoń z przyjaznym uśmiechem, z podziwem przyglądając się jej ślicznej twarzy i uroczej figurze. Nie tego się spodziewał. Urzędniczki sądowe były zazwyczaj o wiele starsze i bardzo skwaszone. Jane okazała się piękną, młodą kobietą z interesującym, energicznym wyrazem oczu. Poprowadził ją na dół, do pomieszczenia ze skrytkami. Towarzyszyła im młoda notariuszka. Hal podszedł do sekcji z największymi skrytkami, za pomocą dwóch kluczy wyjął jedną i zaniósł ją do małej sali obok, w której z trudem się we troje pomieścili. Notariuszka przyniosła trzecie krzesło, aby móc na siedząco obserwować procedurę. Hal trzymał w dłoni akta pani di San Pignelli, a w nich spis, który sporządził dwa lata temu. Wręczył kopię Jane, gdy tylko weszli do pomieszczenia, a ona zdjęła czerwony płaszcz. Odczytała spis zawartości skrytki, a gdy Hal ją otworzył, zajrzała do środka.

Zobaczyła pojedyncze kasetki na biżuterię i teczki. Hal wyjął teczki i położył je na biurku, po czym zaczął je po kolei otwierać. Jane w pierwszej kolejności sięgnęła po tę ze zdjęciami. Jedno z nich przedstawiało piękną kobietę o głębokich, zamyślonych oczach i czarującym uśmiechu. Musiała to być pani di San Pignelli, ponieważ występowała na większości odbitek. Wiele z nich przedstawiało ją jako młodą kobietę, na wielu towarzyszył jej znacznie starszy, bardzo



przystojny mężczyzna. Jane odwróciła jedną z fotografii i zauważyła datę oraz imię „Umberto” zapisane eleganckim charakterem pisma. Niektóre zdjęcia zrobiono na przyjęciach, inne na wakacjach, kilka na jachtach. Jane rozpoznała na nich Wenecję i Rzym. Byli też w Paryżu, jeździli na nartach w Alpach, w Cortinie d’Ampezzo, mieli kilka zdjęć w siodle i jedno w samochodzie wyścigowym, na którym Umberto nosił kask i gogle. Mężczyzna bardzo opiekuńczo odnosił się do pięknej młodej kobiety, a ona wydawała się szczęśliwa u jego boku i w jego ramionach. Kilka ujęć zrobiono im w *castello* i otaczających je pięknych ogrodach. Wyblakłe wycinki z rzymskich i neapolitańskich gazet pokazywały ich na przyjęciach i tytułowały hrabią i hrabiną di San Pignelli. Pomiedzy wycinkami Jane znalazła nekrolog hrabiego z 1965 roku z informacją, że w dniu śmierci miał siedemdziesiąt dziewięć lat. Nietrudno było policzyć, że był o trzydzieści osiem lat starszy od Marguerite, która została wdową w wieku czterdziestu jeden lat. Ich małżeństwo przetrwało dwadzieścia trzy lata.

Na pierwszy rzut oka wiedli wystawne, luksusowe życie. Jane uderzyła ich elegancja i styl. Marguerite nosiła na zdjęciach biżuterię do wieczorowych sukien. Na tych, na których była sama, Jane dostrzegła w jej oczach głęboki smutek, jakby spotkało ją coś strasznego. Na zdjęciach ze starszym mężczyzną zawsze jednak wyglądała na szczęśliwą. Stanowili razem piękną parę i wydawali się bardzo zakochani.

Na dnie teczki znaleźli liczne fotografie małej dziewczynki przewiązane wyblakłą różową wstążką. Te nie były podpisane, miały tylko daty naniesione znacznie mniej wyrafinowanym charakterem pisma. Dziewczynka była śliczna, urocza, miała psotną minę i roześmiane oczy. Przypominała nieco hrabinę, lecz nie na tyle, by mieć pewność co do stopnia pokrewieństwa. Jane uderzyła gwałtowna fala smutku, gdy przeglądała pamiątki kobiety, której już nie było pomiędzy żywymi i która musiała umierać w samotności, jeśli nie sporządziła testamentu i nie miała żadnych znanych spadkobierców.

Zastanawiała się, co się stało z tą małą dziewczynką, która według dat na rewersach zdjęć także byłaby teraz starszą kobietą. Miała przed oczami fragment historii z odległej przeszłości, istniało więc niewielkie

prawdopodobieństwo, że ludzie ze zdjęć jeszcze żyją.

Ostrożnie zamknęła teczkę ze zdjęciami, a Hal wręczył jej kolejną, dowodzącą, że Marguerite była obywatelką amerykańską, urodzoną w Nowym Jorku w roku 1924. Pieczętki w jej paszporcie wskazywały, że opuściła Stany i w 1942 roku jako osiemnastolatka przyплыnęła statkiem do Lizbony. Portugalia była wtedy krajem neutralnym, a kolejne stemple w paszporcie wyjaśniły im, że kontynuowała podróż do Anglii. Do Stanów wróciła na kilka tygodni w 1949, siedem lat później. Sześć tygodni po przybyciu do Anglii w 1942 roku udała się do Rzymu z „wizą specjalną”. Jane uznała, że hrabia musiał wykorzystać jakieś bardzo wysoko postawione osoby lub też wręczyć pokaźną łapówkę, aby sprowadzić swoją narzeczoną do Włoch w czasie wojny. W teczce były też włoskie paszporty. Pierwszy wystawiono w grudniu 1942 roku na nazwisko di San Pignelli, musieli więc być już wtedy po ślubie, a ona zapewne przez małżeństwo uzyskała włoskie obywatelstwo.

Wróciła do Stanów w 1960 roku z amerykańskim paszportem, który wydała amerykańska ambasada w Rzymie. Była to jej pierwsza wizyta w Stanach od czasu trzytygodniowej podróży w 1949 roku i trwała tylko kilka dni. W paszporcie nie było dowodów na kolejne podróże do Stanów aż do jej przeprowadzki do Nowego Jorku w 1994 roku. Miała wtedy siedemdziesiąt lat. Wszystkie jej amerykańskie paszporty wydawała ambasada w Rzymie. Podróżując po Europie, używała paszportu włoskiego. Najwyraźniej miała podwójne obywatelstwo, może zachowała to amerykańskie z sentymentu, bo przecież mieszkała we Włoszech przez pięćdziesiąt dwa lata – większą część życia. Nie była w Stanach przez trzydzieści cztery lata, zanim przeprowadziła się tu na dobre w 1994.

Jane przejrzała też wyciągi bankowe, zaświadczenie o nadaniu numeru ubezpieczenia, umowę najmu skrytki depozytowej oraz pokwitowania za dwa pierścionki sprzedane w 1995 roku za czterysta tysięcy dolarów. Nigdzie jednak nie znalazła testamentu ani też żadnej wzmianki o spadkobiercach czy jakichkolwiek krewnych. W teczkach mało było informacji. Tylko dwa grube pliki listów przewiązanych wyblakłymi wstążkami – niebieską i różową. Pierwszy schludny plik był zapisany po włosku na grubej poźółkłej papeterii brązowym atramentem

eleganckim pismem odręcznym, które wyglądało na męskie. Jane założyła, że to listy napisane przez jej męża. Drugi plik, po angielsku, musiała napisać kobieta. Jane zerknęła na kilka z nich, nie rozwiązując wstążki – wiele z nich rozpoczynało się słowami „Mój kochany aniołku”. Były to proste i bezpośrednie wyznania miłości podpisane inicjałem M. Tu też nie znaleźli testamentu. Notariuszka posłusznie odnotowała obecność listów w swoim wykazie, tak jak Jane.

Następnie Jane sięgnęła ostrożnie po dwadzieścia dwie skórzane kasetki na biżuterię. Gdy otwierała je po kolei, jej oczy robiły się coraz większe na widok zawartości.

W pierwszym pudełku spoczywał pierścionek z dużym szmaragdem o szmaragdowym szlifie. Nie знаła się na biżuterii na tyle, by ocenić jego wartość, lecz kamień był naprawdę spory, a skórzane pudełko miało w środku wygrawerowane złotą czcionką logo „Cartier”. Ogarnęła ją pokusa, by przymierzyć pierścionek, lecz nie chciała, by Hal pomyślał, że brak jej profesjonalizmu. Opisała więc klejnot, zamknęła pudełko i przesunęła je na krawędź biurka, by nie pomylić go z innymi.

W kolejnej kasetce znajdował się pierścionek z dużym owalnym rubinem i trójkątnym białym brylantem, również od Cartiera. Rubin miał odcień niemal tak głęboki jak krew. Wspaniały klejnot. W trzecim pudełku znaleźli pierścionek z ogromnym brylantem o szmaragdowym szlifie. Ten okazał się tak oszałamiający, że Jane aż cicho pisnęła. Nigdy nie widziała kamienia tych rozmiarów. Podniosła głowę, by spojrzeć na Hala Bakera ze zdumieniem.

– Nie wiedziałam, że zdarzają się diamenty tej wielkości – szepnęła z zachwytem.

Uśmiechnął się.

– Ja również, dopóki nie zobaczyłem tego. – Zawahał się, po czym uśmiechnął się szerzej. – Nikomu nie powiem, jeśli pani go przymierzy. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

Czując się jak nieposłuszne dziecko, postąpiła zgodnie z jego sugestią i wsunęła pierścionek na palec. Kamień zakrył go aż po staw, był naprawdę zjawiskowy. Jane wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana; wręcz zmusiła się, by go zdjąć.

– Ojej – mruknęła bezceremonialnie, aż w końcu wszyscy troje

wybuchnęli śmiechem, aby nieco rozładować napięcie.

Czuli się nieco dziwnie, przeglądając rzeczy obcej kobiety. Niezwykle, że osoba dysponująca takimi skarbami nie miała komu ich zostawić i nigdy nie upomniała się o nie dla siebie, aby je mieć, nosić lub sprzedać. Jane nie mogła znieść myśli, że wszystkie te piękne klejnoty zostaną zlicytowane, a korzyści z tego odniesie państwo, że nie trafią do kogoś, kto je doceni i dla kogo ich właścicielka była ważna. Wszystko to było takie smutne.

W następnym pudełku leżała finezyjna broszka ze szmaragdów i brylantów zaprojektowana przez włoskiego jubilera. W kolejnych kasetkach znaleźli misternie wykonany szafirowy naszyjnik od Van Cleefa i Arpelsa, a także kolczyki do kompletu oraz niewiarygodnie piękną brylantową bransoletkę filigranowej roboty. Jane otwierała pudełko po pudełku, a jej oczom ukazywały się coraz piękniejsze kosztowności – niektóre z nich, zwłaszcza pierścionki, ozdabiały wyjątkowo duże kamienie. W ostatniej kasetce znajdował się duży okrągły żółty diament osadzony w pierścionku z logo Cartiera. Wyglądał jak reflektor. Jane z zachwytem przyglądała się otwartym kasetkom. Hal Baker powiedział, że Marguerite miała ładną biżuterię o dość dużej, jak się domyślał, wartości, lecz Jane nie spodziewała się aż tyle. Nie widziała takiej kolekcji, odkąd jako szesnastolatka pojechała z rodzicami do Londynu, gdzie udali się do Tower na wystawę królewskich klejnotów. Niektóre z okazów były według niej ładniejsze i bardziej imponujące niż precjoza królowej. Hrabina Marguerite di San Pignelli miała naprawdę zjawiskową biżuterię i nie trzeba było się na tym znać, by się domyślić, że w eleganckich skórzanych kasetkach pochodzących od najwybitniejszych europejskich jubilerów znajdowały się skarby warte fortunę. Jane nie była pewna, co powinna z tym zrobić.

– Może je sfotografujemy – zasugerowała. Hal pokiwał głową. – Będę mogła pokazać mojej szefowej, co tu znaleźliśmy.

Wyjęła komórkę i zrobiła po kilka zdjęć każdemu z klejnotów. Uznała, że to lepiej odzwierciedli wartość i wagę kolekcji niż szczegółowy opis. Pomiędzy kosztownościami znajdowała się też perłowo-brylantowa obroża od Cartiera, a także długi sznur ogromnych, nieskazitelnych, kremowych pereł. Po otwarciu kolejnego pudełka

zobaczyli prosty złoty pierścionek z krzyżykiem, odpowiedni dla młodej dziewczyny, złoty łańcuszek z medalionem w kształcie serca ze zdjęciem noworodka w środku oraz zwykłą złotą obrączkę. Przedmioty te miały niewielką wartość i wydawały się całkowicie niezwiązane z kosztownościami w pozostałych kasetkach. Najwyraźniej miały ogromne sentymentalne znaczenie dla ich właścicielki.

Na podstawie miejsc oraz strojów uwiecznionych na zdjęciach Jane mogła sobie wyobrazić, jakie wspaniałe życie wiodła hrabina dawno temu. Nosiła piękne suknie, ekstrawaganckie futra i eleganckie kapelusze. Jane zaintrygowało, kim była Marguerite di San Pignelli. Dzięki zawartości skrytki wiedziała, że jej właścicielka była młodą Amerykanką, która wyjechała do Włoch w wieku osiemnastu lat, po kilku miesiącach wyszła za starszego mężczyznę ze zdjęć i była z nim związana przez dwadzieścia trzy lata. Wiele lat później przeprowadziła się z powrotem do Stanów i nie opuściła ich aż do swojej śmierci w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Wszystkie paszporty w skrytce dawno straciły ważność – ostatni z nich dwa lata po jej przeprowadzce do Nowego Jorku. Nigdy więcej nie odwiedziła Włoch. Fotografie, wycinki z gazet i dokumenty stanowiły elementy układanki, lecz wielu brakowało. Umierając, Marguerite zabrała wszystkie odpowiedzi ze sobą.

Gdy Jane skończyła fotografować przedmioty, zamknęła kasetki, a Hal odłożył je z powrotem do skrytki.

– Myślę, że powinniśmy je tu na razie zostawić – oświadczyła nerwowo. Nie zamierzała wracać z tym wszystkim metrem do pracy. Fotografie musiały wystarczyć, aby Harriet przekonała się, z jakim skarbem mają do czynienia. Wiedziała, że będzie trzeba zadzwonić do domu aukcyjnego z prośbą o współpracę, i zastanawiała się, który z nich wybierze Harriet. Oczywistym wyborem były Sotheby's i Christie's, poza nimi Jane nie знаła żadnych innych miejsc, które sprzedawałyby takie klejnoty. Nie miała doświadczenia z przedmiotami o takiej wartości i jakości, tak jak uprzejmy bankier. Hal wyszedł z sali i na oczach Jane oraz notariuszki odłożył skrytkę depozytową na miejsce, po czym zamknął ją na dwa zamki.

– Odezwę się do pana, gdy tylko się dowiem, co dalej. To piękna

kolekcja – dodała Jane z rozmarzeniem. Wszyscy troje jeszcze nie otrząsnęli się ze zdumienia po tym, co właśnie zobaczyli. Żadne z nich nie widziało dotąd takiej biżuterii. Jane podejrzewała, że Harriet również będzie zdziwiona, lecz bez wątpienia będzie wiedziała, co należy zrobić.

Podziękowała Halowi Bakerowi oraz notariuszce, po czym metrem wróciła do biura. Budynek sądu stanowił piękny przykład architektury modernistycznej. Wzniesiono go w 1907 roku i miał status zabytku. Piękne miejsce do pracy, choć sama praca nieszczególnie ciekawa. Jane znalazła Harriet za biurkiem – przeglądała jakieś dokumenty przesłane przez sąd opiekuńczy. Podniosła wzrok, gdy zauważyła Jane na progu. Dziewczyna z wahaniem zastanawiała się, czy może jej przerwać.

– Ładny płaszcz – powiedziała Harriet z chłodnym uśmiechem. – O co chodzi?

– Właśnie wróciłam z inwentaryzacji w sprawie di San Pignelli.

– Zapomniałam, że miałaś się tym zająć dziś rano – odparła Harriet z roztargnieniem, zakładając, że sprawa była rutynowa. – Jak poszło?

– Chyba dobrze. – Przez chwilę Jane zastanawiała się z obawą, czy dopełniła wszystkich procedur. – To przepiękne przedmioty – dodała cicho, wspominając zawartość kasetek.

– Był testament?

– Nie, tylko fotografie i listy, wycinki z gazet i nekrolog jej męża, stare paszporty, dokumenty bankowe bez większego znaczenia oraz biżuteria.

– Będziemy mogli ją sprzedać? – zapytała Harriet oficjalnie i rzeczowo. Nie widziała jeszcze zdjęć pięknej młodej kobiety o oszłamiającym uśmiechu i smutnych oczach.

– Chyba tak. – Jane nacisnęła klawisz i bez zbędnego komentarza pokazała szefowej zdjęcia biżuterii Marguerite di San Pignelli.

Harriet obejrzała wszystkie, milczała przez chwilę, po czym spojrzała na Jane ze zdumieniem.

– Widziałaś to wszystko dzisiaj? – zapytała z niedowierzaniem.

Jane pokiwała głową.

– Musimy natychmiast zadzwonić do Christie's i zaplanować aukcję. – Zapisała na skrawku papieru numer telefonu, po czym wręczyła go Jane. Dziewczyna wzięła kartkę z zaniepokojoną miną.

– Ja mam zadzwonić?

Harriet z irytacją pokiwała głową.

– Ja nie mam czasu. – Problemy z personelem w ostatnim czasie się pogłębiły. – Zadzwoń do Christie's i powiedz, by przysłali kogoś z działu biżuterii do sporządzenia wyceny w twojej obecności. Będzie nam potrzebna, na wypadek gdyby pojawili się spadkobiercy. A potem dla sądu.

W odpowiedzi na jej pytanie Jane potwierdziła, że kasetki zawierają głównie biżuterię. Żadnej gotówki, świadectw udziałowych ani obligacji. Hal poinformował ją, że w dniu śmierci starszej pani środki na jej rachunku skurczyły się do nieco poniżej dwóch tysięcy dolarów. Od wielu lat nie wypisała żadnego czeku. Jedyne wypłaty z rachunku stanowiły comiesięczne automatyczne przelewy na konto domu opieki w Queens, które Marguerite ustanowiła, gdy się tam przeprowadziła. Biżuteria niewątpliwie była jednak warta fortunę.

Jane wróciła do swojego biurka, zdjęła walentynkowy płaszcz i wpisała do wyszukiwarki numer do Christie's. Gdy na ekranie wyświetliła się strona, przeczytała, że główna siedziba domu aukcyjnego znajduje się w Rockefeller Center. Zbliżała się pora lunchu, lecz wybrała numer i poprosiła o połączenie z działem biżuterii. Telefon dzwonił długo. Już miała się rozłączyć, gdy w końcu słuchawkę podniosła kobieta. Gdy Jane poprosiła o rozmowę z kimś, kto mógłby wycenić biżuterię na aukcję, kobieta zawiesiła połączenie, każąc jej czekać. Przez parę minut w słuchawce rozbrzmiewała muzyka. Jane odniosła wrażenie, że w tym dziale nikt nie pracuje, gdy nagle jakiś męski głos rzucił krótko „Lawton”.

Jane wyjaśniła, że dzwoni z sądu do spraw spadkowych i potrzebuje wyceny kilkunastu elementów biżuterii, które zostaną wystawione na aukcję, jeśli nie zgłoszą się po nie spadkobiercy. Zapadła cisza, podczas której Phillip Lawton utkwiał wzrok w szybie. Został oddelegowany do działu biżuterii w szacownym domu aukcyjnym dwa lata temu i czuł się tu jak w pułapce. Zrobił magisterium na studiach kuratorskich ze specjalizacją w sztuce egipskiej i impresjonizmie, a potem całą wieczność czekał na etat w Metropolitan Museum. W końcu zrezygnował z czekania i przyjął posadę w dziale sztuki

Christie's, co okazało się całkiem interesującym zajęciem. Przepracował w nim trzy lata. Do działu biżuterii Phillipa przeniesiono, gdy zwolniły się nagle trzy osoby: szef działu przeprowadził się do londyńskiego biura, a dwoje jego podwładnych zrezygnowało. Phillip nie interesował się biżuterią, ale obiecali mu, że wróci w końcu do działu sztuki, lecz do tej pory się to nie wydarzyło. Kształcił się i szkolił jako znawca sztuki. Jego ojciec był profesorem historii sztuki na NYU aż do swojej śmierci kilka lat temu, a matka była artystką. Phillip odbył staż w Galerii Uffizi we Florencji w trakcie studiów, myślał o przeprowadzce do Paryża lub Rzymu, lecz ostatecznie wrócił do kraju i tu zdobył tytuł naukowy. Pracował przez jakiś czas w znanej nowojorskiej galerii, a w wieku dwudziestu dziewięciu lat rozpoczął współpracę z Christie's. Tkwiał tu od pięciu lat, z czego ostatnie dwa jako zakładnik w dziale biżuterii. Niedawno obiecał sobie, że jeśli w ciągu następnych sześciu miesięcy nic się nie zmieni, zrezygnuje.

Phillip Lawton pogardzał biżuterią z zasady. Noszących ją ludzi uważał za frywolnych i próżnych, nie dostrzegał w niej też żadnego piękna. Obrazy czy rzeźby poruszały go do głębi i napełniały radością. Biżuteria nie. Według Phillipa tylko sztuka nieużytkowa była piękna – biżuterię traktował z dystansem.

Znudzony, odebrał telefon od Jane. Uznał jej prośbę za kolejną rutynową wycenę dla sądu.

– Czy może pani przynieść do nas tę biżuterię? – zapytał obojętnie. Wyceniał już biżuterię dla sądu do spraw spadkowych i nigdy jeszcze nie trafił na nic, co mogłoby się znaleźć na aukcji w Christie's, z wyjątkiem jednego drobnego przedmiotu, który zakwalifikował na ich mniej istotną zbiorczą aukcję. Wydało mu się wysoce nieprawdopodobne, aby tym razem mogło być inaczej. Zazwyczaj Christie's nie interesowało to, co lądowało w sądzie do spraw spadkowych.

– Wolalabym nie – odparła Jane szczerze. Słyszała w głosie swego rozmówcy, że uważa jej prośbę za stratę czasu. Poczowała irytację. Dzwoniła do niego w sprawie służbowej, nie prosiła o przysługę. Próbowwała wykonać swoją pracę. – Mówimy o dwudziestu dwóch elementach kolekcji, wśród których są okazy zbyt cenne, abym nosiła je



po mieście.

– Gdzie są teraz? – zapytał Phillip, wpatrując się w drapacze chmur po drugiej stronie ulicy. W swoim biurze czuł się jak w więzieniu, a praca wydawała mu się dożywotnim wyrokiem, którego końca nie było widać. Nienawidził tu przychodzić.

– W skrytce depozytowej oddziału Metropolitan Banku w Murray Hill. Czy moglibyśmy się tam spotkać, aby obejrzyć biżuterię?

To możliwe, przyznał w duchu, choć nieszczególnie pociągające. Wyceny były jednak częścią jego pracy. Szacował przede wszystkim wartość majątków na wniosek spadkobierców, którzy nie chcieli odziedziczonej staromodnej biżuterii, lub chciwych kobiet spragnionych po rozwodzie gotówki za to, co otrzymały kiedyś w prezencie. Do jego klientów należeli też jubilerzy pragnący pozbyć się niesprzedanych eksponatów, ponieważ ceny aukcyjne sytuowały się zazwyczaj gdzieś pomiędzy cenami hurtowymi a detalicznymi, co było korzystne zarówno dla sprzedających, jak i kupujących.

– Będzie nam potrzebna wycena – kontynuowała Jane, zmuszając się do uprzejmego tonu – a jeśli nie odnajdą się w najbliższym czasie żadni spadkobiercy, wystawimy biżuterię na aukcję.

– Wiem, jak to działa – mruknął Phillip obcesowo.

Jane w duchu pożałowała, że telefonu nie odebrał ktoś inny. Ten człowiek nie wydawał się łatwy we współpracy ani nawet zainteresowany obejrzeniem biżuterii. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jaka czeka go niespodzianka.

– Cóż, może pan to zrobić? – Uważała, że potrzebowałaby uzbrojonego ochroniarza, aby dostarczyć mu biżuterię pani di San Pignelli, a sąd na pewno nie pozwoliłby jej nikogo wynająć. Nie chciała też ponosić odpowiedzialności za transport tych wszystkich klejnotów. Mężczyzna będzie więc musiał obejrzyć je w banku, a jeśli się nie zgodzi, pomimo osobistych preferencji Harriet Jane po prostu zadzwoni do Sotheby's, placówki, która cieszyła się taką samą estymą jak Christie's.

– Tak, mogę – odparł Phillip znudzonym głosem. – Może w przyszły wtorek? O dziesiątej? Do południa muszę wrócić na aukcję. – Przeszedł już szkolenie na licytatora i czasami pozwalano mu

prorowadzić mniejsze aukcje. Nie podejrzewał, aby wycena w banku zajęła mu wiele czasu, ponieważ chodziło zapewne o drobiazgi. Tak było we wszystkich przypadkach porzuconych skrytek depozytowych, które dotychczas prowadził.

– Możemy się tak umówić – powiedziała Jane uprzejmie, gdy uzgodnili, że spotkają się w banku w przyszłym tygodniu. Podziękowała i się rozłączyła. Poczowała ulgę, gdy mężczyzna zgodził się z nią spotkać. Po chwili namysłu wybrała numer raz jeszcze.

– Przepraszam, że znów panu przeszkadzam – oznajmiła, ponieważ mężczyzna wydawał się czymś zajęty, gdy odebrał. – Sfotografowałam kolekcję telefonem. Może chce pan obejrzeć zdjęcia przed spotkaniem? – To dałoby mu ogólne pojęcie o wadze wyceny, mogłoby też wzbudzić jego zainteresowanie.

– Świetny pomysł – odparł nieco weselej. Jeśli klejnoty okażą się tak nieznaczące, jak podejrzewał, poleci jej jakiś mniejszy dom aukcyjny i oszczędzi sobie kłopotu wyceny. – Proszę mi je przesłać.

Podał jej swój adres mailowy. Przesłała mu zdjęcia, gdy tylko się rozłączyli, po czym sięgnęła po akta innych spraw, które przydzieliła jej Harriet. Żadna z nich nie była równie interesująca i tajemnicza jak sprawa Marguerite. Gdy dziesięć minut później zadzwonił jej telefon, zdumiała się, słysząc głos Phillipa Lawtona z Christie's. Jego ton całkowicie się zmienił, wydawał się podekscytowany i natychmiast zasypał Jane pytaniami.

– Jak się nazywała tak kobieta? Była sławna?

– Nie sądzę. Hrabina Marguerite di San Pignelli. Młoda Amerykanka, która jako osiemnastolatka, podczas wojny, przeprowadziła się do Włoch, tak wydedukowałam z jej paszportów. Poślubiła włoskiego hrabiego i mieszkała w Europie aż do lat dziewięćdziesiątych. Musiał być zamożny, biorąc pod uwagę to, co znaleźliśmy w skrytce. O ile wiemy, to był cały jej majątek. Zmarła, mając dziewięćdziesiąt jeden lat i ostatnie dwa tysiące dolarów na koncie. – Podała mu wszystkie istotne szczegóły.

– Jeśli biżuteria jest prawdziwa, to doprawdy niezwykła kolekcja.

W końcu coś zrobiło na nim wrażenie. Jedyne okazami, jakie wzbudziły jego zainteresowanie podczas dwuletniej pracy w tym dziale,

były nefryty, które widział na aukcjach w Hongkongu. Jego zdaniem miały w sobie wiele romantyzmu i tajemniczości, wymagały jednak eksperckiego oka, aby się na nich poznać. Typowa zachodnia biżuteria nigdy go nie pociągała. Chociaż nie był ekspertem, nawet on musiał przyznać, że klejnoty Marguerite di San Pignelli są wyjątkowe.

– Nie mam żadnego powodu, by nie wierzyć, że biżuteria jest prawdziwa. Wszystko ma oryginalne opakowania – wyjaśniła Jane.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy ją zobaczę – wyznał Phillip z zachwytem. Jeszcze pięć dni dzieliło ich od spotkania. Uznał, że weźmie ze sobą aparat, by wykonać lepsze zdjęcia niż te z komórki. – Do zobaczenia we wtorek – zakończył przyjaźniejszym tonem.

Jane z uśmiechem odwiesiła słuchawkę. Siedziała przy swoim biurku, rozmyślając ze smutkiem o pięknej, młodej kobiecie, która przeprowadziła się do Włoch i poślubiła hrabiego niczym w bajce, a wszystkie tajemnice jej życia umarły wraz z nią.

Gdy tego wieczoru wróciła do domu, Johna nie było, tak jak zapowiedział. Rozmyślała o nim i o Carze, o ich wspólnej nauce i poczuła ten sam niepokój co zwykle, gdy wiedziała, że jest z nią. Nic jednak nie mogła w tej kwestii zrobić, John uprzedził ją, że przez całą noc będą pracować nad zespołowym projektem. Z chęcią opowiedziałaby mu o biżuterii, którą widziała rano, i o swojej rozmowie z pracownikiem Christie's. To musiało jednak poczekać, aż znajdzie czas i będzie mniej rozkojarzony. Wzięła kąpiel i położyła się do łóżka, wciąż myśląc o Marguerite di San Pignelli, o jej zdjęciach z hrabią i biżuterii, którą jej podarował. Nie znała szczegółów, lecz przeczuwała, że była to wspaniała miłość pomimo smutku na twarzy młodej kobiety ze zdjęć. Nie mogła przestać myśleć o tej dziewczynie, skąd wziął się hrabia w jej życiu, ani o wspaniałej egzystencji, jaką musieli wieść w tamtych niezwykłych latach. Osiemnastoletnie dziewczyny rzadko otrzymywały takie prezenty jak te, które widziała Jane. Nie przestawała się też zastanawiać, czy piękna, młoda kobieta naprawdę była szczęśliwa.

### Rozdział 3

Następnego ranka Jane wyszła do pracy, zanim John wrócił do domu – uprzedził ją o tym, więc jego nieobecność jej nie zdziwiła. Wiedziała, że zobaczy go wieczorem, i miała nadzieję, że spędzą trochę czasu razem podczas weekendu – by porozmawiać, odpocząć, opowiedzieć sobie, co ostatnio robili. Brakowało jej dawnej swobody w ich związku, lecz była pewna, że wszystko wróci do normy po zakończeniu roku akademickiego, choć John nie traktował jej dobrze w ostatnich miesiącach. Starła się jednak być cierpliwa, nie chciała pogarszać sytuacji swoim narzekaniem.

W pracy postanowiła, że zrobi, co w jej mocy, aby odnaleźć spadkobierców Marguerite di San Pignelli. Biorąc pod uwagę, jaki okazał się spadek w postaci biżuterii, postanowiła w tym celu poruszyć niebo i ziemię i pojechać pod ostatni znany adres Marguerite, aby odszukać osoby, które ją znały i mogłyby wiedzieć, czy miała krewnych lub dzieci. Może rodzina, która ją odwiedzała, po prostu nie miała pojęcia o pozostawionym przez nią bogactwie.

Spojrzała na mapę Queens i pojechała tam metrem. Adres na świadectwie zgonu należał do małego domu opieki – czystego, lecz przygnębiającego. W dziale księgowości dowiedziała się, że miesięczne opłaty pani Pignelli były pokrywane przelewem z jej konta bankowego. Dom opieki nie wiedział, jaki był stan jej rachunku i że wkrótce zabrakłoby jej środków. Skierowali Jane do dyżurki pielęgniarek – z akt dowiedziała się, że nikt nie odwiedzał Marguerite podczas trzyletniego pobytu w ośrodku, aż do jej śmierci siedem miesięcy temu.

– Była bardzo czarującą, miłą kobietą – powiedziała koordynatorka opieki nad pacjentami. – W jej aktach jest zapis o demencji, z którą ją tu przyjęto. Czy chciałaby pani porozmawiać z pielęgniarkami?

– Tak, bardzo – potwierdziła Jane cicho. W aktach nie było wzmianki o żadnych krewnych. Marguerite była na świecie całkiem sama, bez rodziny ani znajomych, co według personelu nie było wcale niecodzienne. Wielu pacjentów nie miało żadnych gości ani krewnych, zwłaszcza jeśli byli bardzo starzy i nie mieli dzieci.

Kilka minut później do sali weszła Filipinka w średnim wieku

w białym mundurku pielęgniarki. Z uśmiechem spojrzała na Jane. Koordynatorka przedstawiła ją jako Almę i dodała, że to ona była główną opiekunką Marguerite przez ostatnie dwa lata. Alma potwierdziła, że Marguerite była uroczą kobietą.

– Pod koniec często wspominała o mężu, chciała się z nim zobaczyć – opowiadała z łagodnym uśmiechem. – Kilka razy napomknęła, że są jakieś rzeczy, które chciałyby mi podarować. Chyba pierścionek lub bransoletkę, nie pamiętam. Wielu naszych pacjentów z demencją obiecuje pieniądze i podarunki, których nie mają. W taki sposób pragną nam podziękować.

Śliczna Filipinka nie wydawała się zaskoczona ani rozczarowana, a Jane próbowała sobie wyobrazić, co by zrobiła, gdyby Marguerite podarowała jej pierścionek z ogromnym brylantem, rubinem albo jedną ze swoich broszek. Nie potrafiła tego przewidzieć.

Alma dodała, że w swoich ostatnich dniach, w rzadkich chwilach przytomności, Marguerite chciała udać się do banku po jakieś rzeczy i sporządzić testament. Stan jej zdrowia na to nie pozwalał, zaproponowali więc, że wezwą notariusza, lecz Marguerite szybko o tym zapomniała i zmarła pod koniec tego samego tygodnia, nie spisawszy testamentu. Pielęgniarka wyjaśniła Jane, że przyczyną śmierci było zapalenie płuc, komplikacja po grypie. Marguerite była już wtedy przykuta do łóżka od dwóch lat i rzadko mówiła logicznie, co nie było zaskakujące, biorąc pod uwagę jej wiek. Jane nie mogła przestać się zastanawiać, komu hrabina zapisałaby swoją biżuterię, gdyby była na tyle przytomna, by sporządzić testament. Almie, a może domowi opieki? Dalekiej krewnej, której od lat nie widziała? Nie sposób było się tego dowiedzieć. Alma zastrzegła, że starsza pani nie wymieniła żadnego nazwiska.

Pacjenci wydawali się tu objęci troskliwą opieką, lecz Jane przygnębił obraz starszych ludzi na wózkach inwalidzkich, którzy siedzieli na korytarzach, patrzyli przed siebie i nie rozmawiali. Uznała to za niezwykle smutny koniec ich dni na ziemi i miała nadzieję, że demencja ułatwiła odejście Marguerite – ustrzegła ją przed pełną świadomością tego, gdzie była i że nie miała przy sobie nikogo kochanego, kto dodałby jej otuchy. Wizja ostatnich lat Marguerite i jej

losu przygnębiła ją jeszcze bardziej.

Wracała do miasta w melancholijnym nastroju, rozmyślając na ten temat. Postanowiła zajrzeć jeszcze pod poprzedni adres Marguerite podany przez bank, kilka przecznic od jego siedziby. Gdy tam dotarła, poprosiła o spotkanie z zarządcą budynku. Nie musiała podejmować takich kroków, lecz chciała. Głęboko poruszyły ją zdjęcia ze skrytki i uwieczniona na nich kobieta. Każdy strzępek informacji wywoływał jej wzruszenie. Zarządca dobrze pamiętał Marguerite, powiedział, że pracownicy budynku, którzy ją znali, wciąż za nią tęsknią. Według niego była uroczą kobietą – to samo Jane usłyszała w domu opieki.

Wprowadziła się do małego jednopokojowego mieszkania w 1994 roku i mieszkała w nim przez prawie dwadzieścia lat. Przeniosła się mniej więcej trzy i pół roku temu do domu opieki, co potwierdzało informacje uzyskane przez Jane wcześniej. Zapytała, czy zarządca pamięta jakieś dzieci, rodzinę, gości, a on odpowiedział, że przez dwadzieścia lat pracy nigdy nie widział, aby ktoś ją odwiedził, i że jest pewien, iż nie miała dzieci.

– Mówiła, że jej psy są dla niej jak dzieci. Zawsze miała miniaturowego pudła. Ostatni zmarł rok lub dwa przed jej wyprowadzką, lecz wtedy uznała, że jest za stara na nowego. Chyba jej ich brakowało – mruknął smutno, wspominając dni, kiedy Marguerite mieszkała w jego budynku.

Jane wszędzie słyszała tę samą opowieść – Marguerite nie miała przyjaciół, gości, krewnych ani dzieci. Mieszkała sama, była skryta, wiodła spokojne życie pomimo fascynującej przeszłości. Wprowadziła się do tego budynku jako siedemdziesięciolatka, co wcale nie oznaczało starości według dzisiejszych standardów. Niezaprzeczalnie jednak najlepszy okres życia miała już za sobą, gdy wprowadzała się do małego mieszkania w Nowym Jorku dwadzieścia dziewięć lat po śmierci męża. Po powrocie do Stanów nie mieszkała w przepychu, jaki przedstawiały zdjęcia.

Jane podziękowała zarządcy budynku i wyszła, by wrócić metrem do własnego obskurnego mieszkania. Nie mogła się już doczekać przeprowadzki, gdy skończą z Johnem naukę i znajdą przyzwoitą pracę. Miała już dość ponurego budynku i ciemnego mieszkania. Meble były

zniszczone i brzydkie.

Odłożyła torebkę, zdjęła płaszcz i usiadła na zapadającej się kanapie ze sztucznej skóry, po czym położyła stopy na stoliku do kawy. Miała za sobą długi, interesujący tydzień, który nie przyniósł żadnych rezultatów, jeśli chodzi o poszukiwania spadkobierców Marguerite. Nikt nie odpowiedział na ogłoszenie. Wyglądało na to, że nikt nie upomni się o spadek, biżuteria zostanie sprzedana przez Christie's, a pieniądze otrzyma państwo. Taka szkoda i strata. Zastanawiała się, co mężczyzna z Christie's powie o klejnotach, gdy zobaczy je na własne oczy we wtorek.

Zaparzyła sobie herbaty. Odpoczywała, czytając gazetę, gdy godzinę później wszedł John. Był w znacznie lepszym humorze niż w minionych dniach; oświadczył, że skończył jedną ze swoich prac poprzedniej nocy dzięki Carze, która podała mu wszystkie dane statystyczne i przeprowadziła analizy, jakich potrzebował.

– Jest darem niebios – powiedział z ulgą, gdy Jane na niego spojrzała. Zawsze irytowały ją wzmianki o Carze, lecz tym razem ich nie skomentowała. Wszystko, co dotyczyło Cary, wywoływało w Jane złość. – A jak tobie minął dzień?

– Pracowicie. Lecz bez rezultatów. Szukam spadkobierców i zbieram informacje dotyczące majątku tej kobiety, o której ci mówiłam. Okazuje się, że naprawdę nikogo nie miała. To takie smutne, zakończyć życie w ten sposób, gdy nikt się o ciebie nie troszczy.

– Mówiłaś, że miała dziewięćdziesiąt jeden lat, kiedy zmarła, więc nie przejmuj się aż tak. Teraz chodzi już tylko o jej majątek i o to, kto go dostanie. Przecież jej nie znałaś.

Najwyraźniej John uważał jej współczucie dla Marguerite za głupotę.

– Państwo przejmie majątek – odparła ponuro. – W przyszłym tygodniu spotykam się z kimś z Christie's w sprawie wyceny. – Uświadomiła sobie, że nie widziała się z Johnem, odkąd sama przeprowadzała inwentaryzację. – Miała wspaniałe rzeczy, bardzo cenną biżuterię, ogromne brylanty, bransoletki, broszki, a nawet diadem. – Jej oczy zapłonęły, gdy wspominała ich piękno.

– Należała do rodziny królewskiej? – zapytał John, biorąc sobie

piwo z lodówki.

– Była Amerykanką, lecz poślubiła włoskiego hrabiego, gdy miała osiemnaście lat, i wiodła potem całkiem wystawne życie we Włoszech, sądząc po fotografiach. Bardzo wystawne życie – poprawiła się na wspomnienie samochodów wyścigowych i *castello*. – A skończyła w domu opieki w Queens, sama. – Ze skrytką pełną wspaniałej biżuterii, której nie miała komu przekazać. Jane uważała to za takie dziwne, że wręcz absurdalne. Dla Johna była to tylko kolejna historia, która go nie poruszyła, lecz on nie widział zdjęć ani nie poznał bezpośrednio historii Marguerite. Jane uznała, że brak mu wrażliwości, ostatnio interesowały go tylko jego sprawy. – Znajdziesz czas na kolację i kino w weekend? – zapytała z nadzieją.

W odpowiedzi ponuro pokręcił głową.

– Muszę skończyć tę drugą pracę i właśnie dostałem trzecią. Myślę, że tak już będzie do maja. Muszę się skupić.

– Niech zgadnę, znów pracujesz z Carą. – Próbowwała zagłuszyć ostrą nutę w swoim głosie, lecz nie udało się. Bolało ją, że tak rzadko go widuje, zwłaszcza że ta druga zawsze była z nim, nie wiadomo z jakiego powodu.

– Odczep się. To się nie zmieni, a ty mnie tylko wkurzasz.

W jego oczach rozbłysło ostrzeżenie. Okres dzielący ich od zdobycia dyplomów okazał się prawdziwym sprawdzianem dla ich związku. Wiedział, że nie otrzyma z niego najlepszych ocen, lecz jego zdaniem ona również. Jej zazdrość o Carę uważał za niedorzeczną.

– Okej, przepraszam – powiedziała z westchnieniem. – Ja też będę się uczyć przez weekend. – Próbowwała się nie denerwować. Umówiła się na lunch z koleżanką i musiała usiąść nad własnymi pracami. Wiedziała, że kolejny weekend spędzi sama. I przyznawała mu rację: nerwy z powodu Cary nie przyniosą im niczego dobrego.

Tego wieczoru John poszedł na siłownię, by poćwiczyć przed kolejną sesją z przyjaciółmi, a Jane zrobiła pranie i popłaciła rachunki. Nadrobiła zaległości, choć zamieniła z Johnem ledwie pięć zdań, a zanim wrócił, już spała. Wyszedł wczesnym rankiem, zanim się obudziła. Zostawił jej wiadomość na kuchennym stole, że cały dzień spędzi w bibliotece. Przynajmniej nie poszedł do Cary, pomyślała. Coś



w tej dziewczynie zawsze budziło jej zazdrość, może jej seksowny wygląd i to, że była bystra – zabójcza kombinacja. Należała do tych kobiet, do których faceci lgną. I w pełni to wykorzystywała. Wszyscy jej znajomi byli płci męskiej. Kobiety nigdy jej nie lubiły.

Jane zadzwoniła do swojej przyjaciółki Alex – umówiły się na lunch w Muzeum Sztuki Współczesnej. Alex skończyła studia prawnicze rok temu i znalazła pracę w firmie na Wall Street. Utrzymywała, że wykorzystują ją niczym niewolnicę, lecz przynajmniej przyzwoicie zarabiała i lubiła swoje zajęcie. Specjalizowała się w prawie własności intelektualnej, co było bardzo interesujące. Miała nadzieję, że za kilka lat awansuje na stanowisko młodszego partnera.

– Jak się miewa nasz książę z bajki? – zapytała z szerokim uśmiechem. Była drobna, miała ciemne włosy, zielone oczy i nie wyglądała na swoje trzydzieści dwa lata. W dzinsach, obszernym swetrze i balerinach, z włosami splecionymi w warkocz przypominała nastolatkę. Przyjaciółki tworzyły ciekawy kontrast: Jane była wysoka, szczupła i jasnowłosa, natomiast Alex wyglądała jak ciemnowłosa chochlik, co odzwierciedlało jej osobowość. Dobrze się razem bawiły i dużo śmiały.

– Bajka się skończyła – odparła Jane z westchnieniem, gdy zjadły lunch w muzealnej kawiarni. Obie chciały obejrzeć wystawę Caldera, którą właśnie otwarto. Był to ulubiony artysta Jane. – Jest w gównianym nastroju, ponieważ pisze prace semestralne i projekty zaliczeniowe. Tylko o tym teraz myśli. Od miesiąca nie jedliśmy razem kolacji.

– Nie wiem, co jest nie tak z facetami. Nie mają pojęcia, co to jest wielozadaniowość. Koncentrują się na jednej rzeczy i nie pozostawiają miejsca na nic innego.

Alex rok temu zerwała ze swoim ostatnim chłopakiem, a niedawno zaczęła się spotykać z młodszym partnerem ze swojej firmy. Rodzice od dwóch lat dopytywali, kiedy ślub, ponieważ skończyła trzydzieści lat. Rodzice Jane wykazywali się na razie większym spokojem. Matka zaczęła niedawno komentować zachowanie Johna i dopytywać o ich plany na przyszłość, lecz małżeństwo jeszcze nie znalazło się na jej radarze. Alex przejmowała się tym wszystkim nieco bardziej, niedawno odezwał się w niej instynkt macierzyński.

– Jest jeszcze pomiędzy wami ta dawna magia? – zapytała.

Jane przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek była pomiędzy nami „magia”. Lubimy się, lubimy robić te same rzeczy. Było łatwo, dogadywaliśmy się. Przynajmniej kiedyś. Gdybyś przyłożyła nam pistolet do głowy, chyba wyznalibyśmy, że się kochamy, ale wydaje mi się, że po prostu nie należymy do namiętnych osób. Za bardzo interesujemy się swoją karierą. – Jane zastanawiała się nad tym czasami, lecz nigdy nie miała żadnych poważnych zarzutów wobec Johna. Dopiero niedawno zaczęły ją niepokoić te długie godziny poświęcone nauce, brak czasu dla niej i obawy w związku z Carą i kobietami podobnymi do niej. Jane była naturalna i bezpośrednia, nie zachowywała się jak seksowny kociak ani *femme fatale*, w przeciwieństwie do Cary. John lubił „gorące laski”. Cara ewidentnie do nich należała. Ich życie intymne także ucierpiało, co dodatkowo powiększało dystans. John nie był ostatnio w nastroju, był zbyt zmęczony albo mijali się w drzwiach.

– Może to nie jest facet dla ciebie – mruknęła Alex. Nigdy go nie lubiła i uważała za egocentryka. Nie przeszkadzało to Jane, lecz Alex irytowało. – Może większą namiętność odczułabyś wobec kogoś innego – dodała ostrożnie, nie chcąc urazić przyjaciółki.

– Nie sądzę. Miałam namiętny romans w college’u. To było straszne. Ciągle płakałam i schudłam sześć kilo.

– To chyba dobrze. – Alex się uśmiechnęła. – Oczywiście nie mówię o tym płaczu. Czasami John przypomina mi faceta, z którym się umawiałam, zanim zaczęłam studia. Lubiałam go, dogadywaliśmy się, lecz nigdy nie czułam się naprawdę w porządku. A gdy zaczęliśmy się o wszystko kłócić, już nic nie było w porządku. Chyba po prostu skończyło nam się paliwo, a potem wszystko się popsuło. Gdybym z nim została, tylko byśmy się ranili. Rozstaliśmy się, zanim do tego doszło. Niektórym związkom wieczność nie jest pisana. Może twój do nich należy.

Jane nie chciała tego przyznać, lecz również się nad tym zastanawiała. Przygrybiały ją te bezustanne kłótnie. Nie chciała z nim walczyć. Wciąż miała jednak nadzieję, że wszystko się ułoży. Ostatnio

rzucali się sobie do gardeł, gdy tylko się widzieli.

– Moim zdaniem niczego nie ustalimy ani nie podejmiemy żadnych decyzji przed zakończeniem roku w czerwcu – odparła spokojnie. – Nigdy nie mieliśmy takich problemów, aż do teraz. John jest po prostu w gównianym nastroju, bardzo się stresuje wszystkimi zaliczeniami przed sesją. Oboje mamy trudny okres, ja też na niego warczę. – Z powodu Cary.

– Faktycznie nie brzmi to jak zabawa – zgodziła się Alex. Udały się na spacer na zielony dziedziniec, gdzie Jane opowiedziała o Marguerite i swoich poszukiwaniach jej spadkobierców. Opisała też jej biżuterię i to, jak przymierzyła pierścionek z ogromnym brylantem. – Wow! Trudno sobie choćby wyobrazić takie romanse i takich ludzi. Stanowią część innego stulecia. Wyobrażasz sobie, że znasz faceta, który daje komuś taką biżuterię, ściga się samochodami i mieszka w *castello*? To brzmi jak bajka albo stary film.

– To prawda – zgodziła się Jane. – Smutny jest koniec tej historii. Kobieta zmarła w samotności, cierpiąc na demencję, w domu opieki w Queens. Moim zdaniem koszmar.

– Tak, moim też – szepnęła Alex.

Wróciły na wystawę i spędziły miłe popołudnie, rozmawiając o wszystkim i ciesząc się swoim towarzystwem. O czwartej się pożegnały – Jane wróciła metrem do centrum, a Alex pojechała do West Village, gdzie mieszkała w Meatpacking District. Wynajęła mieszkanie w porządnym budynku w modnej dzielnicy, gdy tylko zaczęła nową pracę, i bardzo jej się tam podobało. Tego wieczoru szła ze swoim nowym facetem na randkę do teatru.

Jane poczuła zazdrość, gdy wróciła do pustego mieszkania, by się pouczyć. John zadzwonił około dziewiątej. Cały dzień spędził w bibliotece. Ich drogi często się ostatnio rozchodziły. Starła się nie myśleć o tym, co powiedziała Alex podczas lunchu – że John może być niewłaściwym facetem. Nie była jeszcze gotowa w to uwierzyć. Myślała też o swoich słowach – że niektóre związki rozpadają się same i kończą. Miała nadzieję, że jeszcze do tego nie doszło, lecz stres odcisnął swoje piętno zarówno na nim, jak i na niej.

W niedzielny poranek obudziła się obok Johna, co uznała niemal za

cud. Kochali się po raz pierwszy od miesiąca. Lepiej się po tym poczuła, zwłaszcza że udało im się zjeść razem brunch w pobliskich delikatesach, zanim wrócił do biblioteki na resztę dnia i noc. Przynajmniej dzień dobrze się dla nich zaczął, a ona znów poczuła z nim więź.

Wieczorem poszła sama do kina na francuski film, który od dawna chciała zobaczyć, ale nie okazał się tak interesujący, jak oczekiwała. Gdy się położyła, przyśniła się jej Marguerite. Próbowała jej coś powiedzieć, wyjaśnić, lecz przez całą niespokojną noc Jane nie zdołała jej zrozumieć. John nie wrócił, napisał jej, że prześpi się u kogoś na kanapie. W poniedziałek wstała wyczerpana i sfrustrowana. Musiała się przygotować na kolejny tydzień w sądzie do spraw spadkowych. Przynajmniej miała w perspektywie wycenę Christie's następnego dnia. Była to miła odmiana. Biorąc pod uwagę wyjątkową biżuterię, wiele można było powiedzieć o majątku Marguerite, lecz nie to, że nie był zachwycający. Sprawa Marguerite była ostatnio jej jedyną pociechą i jasnym punktem życia.

## Rozdział 4

Phillip Lawton opuścił swoje mieszkanie w Chelsea w sobotę o świcie, jak co tydzień, by udać się na schadzkę z miłością swojego życia. Nazywała się *Słodka Sallie* i była starą drewnianą łodzią żaglową; należała do niego od ośmiu lat. Stała w małym porcie na Long Island. Spędzał na niej każdy weekend niezależnie od pogody, a gdy nie padało, szlifował, czyścił i malował. Łódź była w idealnym stanie. Żadna kobieta, którą znał, nie dała mu tyle radości. Był z niej szalenie dumny i zazwyczaj spędzał na niej wszystkie noce z soboty na niedzielę, a czasami też z piątku na sobotę. Od kobiet, z którymi się umawiał, żądał miłości dla *Słódkiej Sallie*. Niektóre kochały łódź bardziej niż inne. Większość szybko nudziła się nią, a także pasją Phillipa. Był to jego najcenniejszy skarb. Od dzieciństwa kochał żeglować, bardziej nawet niż sztukę. Był dobrym żeglarzem i często wypływał na wzburzone morze lub podczas letnich sztormów. Wtedy jednak wyprawiał się sam i nie oczekiwał towarzystwa.

Jako trzydziestoczterolatek miał za sobą liczne związki, lecz żaden nie okazał się poważny ani długotrwały. Kilka trwało rok, lecz większość umierała po paru miesiącach – wtedy on, jego kobieta lub oboje naraz dochodzili do wniosku, że to do niczego nie zmierza i nie ma przyszłości. Phillip miał wysokie wymagania co do długotrwałego związku, a zwłaszcza żony, ponieważ wzorem było dla niego małżeństwo jego rodziców, które uznawał za idealne. Porównywał z nim wszystkie związki i nie zamierzał zadowolić się niczym gorszym. Jego rodzice szaleli za sobą aż do śmierci jego ojca trzy lata temu. Doskonale się uzupełniali i idealnie do siebie pasowali. Ich małżeństwo było pełne poczucia humoru, uprzejmości, empatii, czułości, głębokiej wzajemnej miłości oraz szacunku. Phillip nie miał pojęcia, jakie to rzadkie w dzisiejszym świecie. Uważał to za normę. Jego ojciec był o dziesięć lat starszy od matki. Poznali się, gdy uczęszczała na jego zajęcia z historii sztuki na Uniwersytecie Nowojorskim. Jego matka była prawdziwą artystką, której prace ojciec wysoko cenił.

Przez pierwszych piętnaście lat małżeństwa nie udało im się mieć dzieci – pomimo wielu prób i kilku poronień – w końcu więc się poddali

i uznali, że ich związek jest na tyle silny i ważny dla nich obojga, że może szczęśliwsi będą bez dzieci. Pogodzili się z niemożnością ich posiadania. Sześć miesięcy później, gdy jego matka skończyła czterdzieści lat, a ojciec pięćdziesiąt, poczęli Phillipa i tym razem ciąża przebiegła bez żadnych problemów. Nazywali go swoim cudem, obdarzyli miłością i włączyli w magiczny krąg swojej silnej więzi. Dorastał skąpany w ciepłe ich miłości i aprobaty, i teraz każdy jego związek wydawał mu się nie dość hojny w porównaniu z duchem i czystą radością, które zauważał u swoich rodziców, a nie chciał zaakceptować niczego innego. Nie zamierzał się ustatkować, dopóki nie znajdzie takiej relacji, i żył sam względnie wygodnie. Może nawet zbyt wygodnie.

Matka martwiła się już od kilku lat, że jego wymagania są za duże, a idealistyczna wizja tak silna, że nikogo sobie nie znajdzie, ponieważ nikt nie zdoła dorównać jego wzorcom. Phillipa nie martwił status kawalera, często powtarzał, że wolałby być sam niż z kobietą, która reprezentowałaby sobą mniej, niżby oczekiwał. Matka sugerowała mu, że szuka kobiety z aureolą i skrzydłami, a sama na pewno taka nie jest. Tak jednak postrzegał ją Phillip i uparcie odmawiał tolerowania kobiecych wad. Teraz miał już też własne nawyki. Dostosowywanie się do oczekiwań innych nie było jego mocną stroną. W rezultacie wiele czasu spędzał sam na swojej łodzi, pracując nad nią skrupulatnie podczas weekendów. Twierdził, że *Słodka Sallie* mu wystarcza. Samotność go nie przerażała. Lubił ją.

W niedzielne popołudnie, po dwóch dniach żeglowania w słońcu i przy silnym wietrze, pojechał do miasta zjeść kolację z matką w jej mieszkaniu, jak to mieli w zwyczaju, gdy żadne z nich nie miało innych planów. Jego matka nie lubiła nudy. Bez ogródek przyznawała, że jest okropną kucharką, i regularnie przypominała mu, że to jedna z jej wielu wad, których wolał nie zauważać. Gdy przyjeżdżał do niej na kolację, szła do pobliskich delikatesów i kupowała jego ulubione przysmaki, a potem siadali przy kuchennym stole i rozmawiali o jej pracy, następnej wystawie, jego frustracjach w Christie's i wszystkich innych rzeczach, które go interesowały. Teraz była dla niego bardziej przyjaciółką niż matką, rzadko go krytykowała, dawała mu mądre rady i w wieku

siedemdziesięciu czterech lat wciąż była najbardziej młodzieńczą osobą, jaką znał – z otwartym umysłem, dogłębną znajomością sztuki, którą się zawsze z nim dzieliła, i fascynującymi kreatywnymi pomysłami. Nie bała się mierzyć z trudnymi lub kontrowersyjnymi tematami, a czasami nawet je wołała. Valerie zawsze zachęcała syna, by myślał niesztampowo i ciągle poszukiwał nowych pomysłów. Miała nadzieję, że syn spotka kobietę, która będzie stanowić dla niego wyzwanie na tyle, aby pokonał własny strach przed relacją z nieodpowiednią osobą. Uważała, że Phillip żywi wobec partnerek nierealne oczekiwania, lecz nie traciła nadziei. Liczyła na to, że ta właściwa stanie na jego drodze i nieco nim wstrząśnie. Był jeszcze na tyle młody, że nie wywierała nacisku. Miała też jednak świadomość, że staje się coraz bardziej uparty i że za bardzo lubi własne towarzystwo. Ostatnio nawet nie umawiał się tak często jak kiedyś. A jego obsesja na punkcie tej łodzi odstraszała kobiety, co nie raz mu wytknęła.

– Może pojedziesz na narty albo zaczniesz uprawiać sport, który umożliwiłby ci zawieranie znajomości? – naciskała czasami, a on się śmiał. Nie lubiła wtrącać się w jego życie, lecz niepokoiła ją jego samotność. Nie chciała, by tak już zostało.

– Ja nie muszę szukać sposobów na zawieranie znajomości, mam. Spotykam kobiety codziennie. – Kobiety, które sprzedają prezenty od swoich mężczyzn, gdy małżeństwo lub romans dobiegły końca, i mają niewiele szacunku ani sentymentów wobec uczucia, które kryło się za tymi podarunkami. Interesują je tylko pieniądze, które otrzymają dzięki aukcji. Kobiety z innych działów Christie's wydawały mu się zbyt poważne. Umawiał się z koleżanką, która miała ogromną wiedzę na temat sztuki średniowiecznej, zwłaszcza gotyckiej. Jego matka uznała, że dziewczyna wygląda jak członek rodziny Addamsów, lecz nie powiedziała tego na głos. Niemniej Phillip szybko doszedł do tego samego wniosku i niedługo później się z nią rozstał. Nie miał nikogo już od roku. Większość jego znajomych była już po ślubie i miała jedno lub dwoje dzieci. Wolał kobiety w swoim wieku niż te młodsze, a wiele z nich było już zajętych.

Tymczasem chodził na niedzielne obiady z matką, gdy tylko nie była zbyt zajęta, by się z nim spotkać. Lubił jej towarzystwo, często

śmiali się z tych samych rzeczy. Odpoczywał w wygodnym chaosie jej mieszkania. Przez całe życie umiała przeistoczyć swoje otoczenie w magiczny świat. Nie byli z ojcem Phillipa bardzo zamożni, lecz nigdy nie brakowało niczego ani im, ani ich synowi. Cieszyło ich to, co mają. Jej stan majątkowy znacząco się zmienił trzy lata temu, gdy otrzymała polisę ubezpieczeniową po mężu, o której wcześniej nie wiedziała. Znacząco zmienił się stan jej konta, lecz nie jej życie. Nadal lubiła te same rzeczy i nigdy nie czuła się niczego pozbawiona przez brak większego majątku. Pieniądze z ubezpieczenia zamierzała zapisać Phillipowi. Obchodziła się z nimi ostrożnie i odpowiedzialnie, z nadzieją, że kiedyś się mu przydadzą, może by założył firmę konsultacyjną lub własną galerię. Wspomniała mu o tym kilkakrotnie, lecz on wolał, aby najpierw ona czerpała z nich korzyści. Uważał, że powinna podróżować, cieszyć się życiem, zwiedzić świat. Matka była jednak zbyt zajęta malowaniem i pogłębianiem swojej wiedzy, aby oddalić się od domu.

– Za bardzo cieszę się życiem tutaj, aby wyjeżdżać! – powtarzała ze śmiechem, który rozjaśniał jej ogromne niebieskie oczy i twarz niemal pozbawioną zmarszczek.

Wciąż była pełna energii, życia i piękna jak na swój wiek. Los obdarował ją młodzieńczym wyglądem i duchem. Nietrudno było sobie wyobrazić, dlaczego mąż był w niej zakochany aż do samego końca. Była czarującą kobietą, pełną figlarnego uroku, z grzywą teraz śnieżnobiałych, a kiedyś bladozłotych włosów, które często nosiła rozpuszczone.

Jej starsza o cztery lata siostra Winnie różniła się od niej pod każdym względem. Stanowiły życiowe *yin* i *yang*, lecz pozostawały najlepszymi przyjaciółkami. Valerie nigdy nie tęskniła za luksusowym życiem, podczas gdy Edwina, Winnie, nie myślała o niczym innym i tak jak ich rodzice martwiła się o pieniądze i ich ewentualny brak od dzieciństwa. Urodzona w rok po ataku na Pearl Harbor Valerie dorastała w świecie zmierzającym ku rozkwitowi. Winnie przyszła na świat w 1938, dziewięć lat po tym, jak ich rodzina utraciła wszystko podczas załamania na giełdzie, i była dzieckiem kryzysu. Pamiętała bezustanne dyskusje rodziców o pieniądzach. Rodzina dysponowała znaczną



fortuną, oboje ich rodzice wywodzili się z arystokracji, lecz wtedy stracili niemal wszystko. W reakcji na finansową niepewność Winnie w młodym wieku wyszła za mężczyznę pochodzącego z zamożnej rodziny, dzięki czemu całe swoje dorosłe życie przeżyła wygodnie. Gdy jej mąż zmarł dziesięć lat temu, zostawił jej znaczną fortunę, lecz ona wciąż się martwiła. Valerie nigdy nie zaprzętała sobie głowy pieniędzmi i zawsze zadowalała się tym, co miała.

Obie zapamiętały ojca jako dobrego, choć poważnego i nieco chłodnego, a nawet surowego człowieka. Był bankierem o bardzo konserwatywnym podejściu do pieniędzy. Utrata fortuny miała na niego ogromny wpływ, we wspomnieniach Valerie większość swego czasu spędzał w biurze. Matkę wspominała jako zimną kobietę, która nigdy jej nie chwaliła, niezależnie od tego, co robiła. Miały też starszą siostrę, która zmarła w Europie z powodu grypy w wieku dziewiętnastu lat – Valerie jej nie poznała, ponieważ przyszła na świat rok później. Winnie utrzymywała, że ma jakieś blade wspomnienia, i tłumaczyła chłód matki tym, że ta nigdy nie doszła do siebie po śmierci ich siostry. Nigdy nie rozmawiała o swojej pierworodnej, gdy młodsze córki dorastały, a one szybko pojęły, że to temat tabu zbyt bolesny dla rodzicielki.

Winnie przyszła na świat, gdy najstarsza z sióstr miała czternaście lat, a jej narodziny okazały się niezręczną niespodzianką dla jej rodziców, z którą jej matka niechętnie się pogodziła. Narodziny Valerie cztery lata później okazały się ciężarem nie do zniesienia. Ich matka miała czterdzieści pięć lat i była bardziej zawstydzona powiciem dziecka w tym wieku niż z tego zadowolona. Valerie źle się czuła w swojej rodzinie, aż w końcu poślubiła Lawrence'a i uciekła od krewnych, z którymi nic jej nie łączyło. Winnie była taka jak oni – poważna, surowa, nerwowa, pozbawiona poczucia humoru, krytyczna i przez większość czasu oschła. Była bardzo dumna i przywiązywała wielką wagę do manier, lecz brakowało jej ciepła. Była pozbawiona spontaniczności i gdy dorosła, okazała się podobna do matki. Niemniej Valerie kochała siostrę i były ze sobą silnie związane. Rozmawiała z nią niemal codziennie i wysłuchiwała narzekań, głównie na jej córkę Penny, która bardziej przypominała ciotkę niż matkę.

Penny była prawniczką, miała troje dzieci. Winnie uważała, że są niegrzeczne, źle wychowane i brak im dyscypliny. Zięcia również nie darzyła sympatią. Winnie potrzebowała uporządkowanego, spokojnego życia, w przeciwieństwie do młodszej siostry, która zawsze była otwarta na nowości i wiodła życie bohemy, jak często mawiała ich matka. Winnie wykazywała jednak wobec siostry większą tolerancję. Valerie nigdy nie zdołała zburzyć muru, który wzniosła wokół siebie ich rodzicielka, i zrezygnowała z prób na długo przed jej śmiercią. Matka nigdy nie aprobowała najmłodszej pociechy i jasno dawała jej to do zrozumienia. Valerie miała na szczęście męża i dziecko, których uwielbiała, i w związku z tym ostatecznie przestała się przejmować dezaprobatą matki. Nie tęskniła za nią po jej śmierci, choć Winnie oplakiwała ją przez długie lata i zawsze wyrażała się o matce jak o świętej. Gdy Valerie urodziła syna, postawa matki wydała się jej jeszcze mniej zrozumiała – jak mogła postrzegać narodziny dziecka jako przekleństwo, a nie niespodziewane błogosławieństwo?

Przez całe życie nie mogła się dogadać z rodziną – nawet z Winnie, której wiele wybaczała. Często żartowała, że przy porodzie musiała zostać podmieniona w szpitalu. Największa różnica polegała na tym, że Valerie była ciepłą, kochającą kobietą, a jej rodzice i siostra byli zimni jak lód. Uważała, że to ich przekleństwo, i cieszyła się, że jej syn nie odziedziczył takich cech. Ani też jej siostrzenica Penny, czarująca dziewczyna i ceniony prawnik. Penny była o dziesięć lat starsza od swojego kuzyna Phillipa. Bardzo się przyjaźnili, traktowali się jak rodzeństwo, bo byli jedynakami. Penny często dzwoniła do ciotki Valerie po radę, zamiast zwierzać się Winnie, z którą nie potrafiła się porozumieć ze względu na głęboką dezaprobatę matki wobec wszystkiego, co robiła. Winnie skrytykowała nawet jej tytuł prawniczy uzyskany na Harvardzie, ponieważ uważała to osiągnięcie za niestosownie ambitne dla kobiety. Penny była też o wiele lepszą matką, niż twierdziła Winnie. Jej poglądy na wychowanie przypominały poglądy ciotki. Winnie była beznadziejnie staroświecka, podczas gdy Valerie cieszyła się życiem i z radością witała wszystko, co nowe.

Gdy Phillip zjawił się na kolację w niedzielny wieczór, Valerie właśnie skończyła malować i czyściła pędzle. Pracowała nad portretem

kobiety, który miał w sobie coś tajemniczego. Phillip przez długi czas wpatrywał się w obraz. Valerie była utalentowaną malarką, jej wystawy zawsze zbierały pozytywne recenzje, a prace szybko się sprzedawały. Reprezentowała ją szanowana galeria znajdująca się niedaleko jej mieszkania w SoHo. Mieszkała tam, odkąd Phillip pamiętał, nawet gdy dzielnica jeszcze nie była modna. Uwielbiała jej nową energię – okolica ożywiła się w ostatnich latach dzięki napływowi młodych ludzi. Często porównywała SoHo do lewobrzeżnego Paryża.

– Podoba mi się twój nowy obraz, mamó – powiedział Phillip z podziwem. Dostrzegał subtelny zmianę w porównaniu z jej poprzednimi pracami. Nie przestawała się rozwijać jako artystka, bezustannie studiowała nowe techniki.

– Nie jestem pewna, do czego zmierzam. Miałam poprzedniej nocy sen. Ta kobieta mnie w nim nawiedziła. Doprowadza mnie to do szaleństwa – odparła z szerokim uśmiechem. Na jej twarzy malowała się radość, a nie niepokój. W mieszkaniu unosił się ciężki zapach farb, znajoma część otaczającej ją artystycznej atmosfery, tak jak jaskrawe materiały i interesujące drobiazgi, które zbierała z mężem przez lata. Dzieła prekolumbijskie, europejskie antyki, przedmioty z Indii, liczne obrazy i rzeźby autorstwa jej znajomych artystów. Ojciec Phillipa przebywał w eklektycznym towarzystwie, które do siebie przyciągała, bardzo lubił jej znajomych. Nazywał ich dom współczesnym „salonem”, na kształt tych tworzonych w Paryżu w latach dwudziestych i trzydziestych, w których gościli Picasso, Matisse, Cocteau, Hemingway i Sartre. Otaczała się też dramaturgami i pisarzami, otwierała się na każdego, kto był przesiąknięty sztuką lub w jakiś sposób twórczy.

– Jestem pewien, że w końcu rozwiążesz zagadkę – powiedział Phillip, mając na myśli obraz. Zawsze tak robiła. Wkładała wiele namysłu w swoją pracę.

Gawędzili swobodnie, gdy rozkładała jego ulubione przysmaki na kuchennym stole. Rozpieszczanie go należało do jej największych radości, robiła to w każdy możliwy sposób, nawet prostą kolacją w swojej kuchni. Jej wysiłki go wzruszały.

Zaczął narzekać na dział biżuterii w Christie's, jak zwykle, a ona przypomniała mu, że to od niego zależy, kiedy sytuacja się zmieni, i że

nie powinien pograżać się w stagnacji, czekając na ślepy los.

Opowiedział jej też o kolekcji biżuterii, którą planował obejrzeć w tym tygodniu – imponującej, sądząc na podstawie przesłanych mu fotografii.

– Do kogo należała? – zapytała z zainteresowaniem.

– Do jakiejś hrabiny, która zmarła bez grosza przy duszy, choć jej klejnoty były warte fortunę. Nie miała spadkobierców – odparł, podsumowując to, co sam wiedział.

– To takie smutne. – Valerie wypełniło współczucie dla kobiety, której nie znała. Wdzięcznym ruchem odgarnęła z twarzy grzywę białych włosów, gdy zasiedli razem do stołu. W końcu zapytała go, czy z kimś się teraz spotyka.

Pokręcił głową.

– Nie umawiałem się z nikim, odkąd zerwałem z tamtą kobietą prawie rok temu. Tylko kilka niezobowiązujących randek. Ona nienawidziła mojej łodzi. Chyba była o nią zazdrosna.

Valerie się uśmiechnęła.

– To możliwe. Spędzasz na tej łodzi więcej czasu niż z jakąkolwiek kobietą, z którą się spotykałeś. Kobiety osobliwie podchodzą do takich rzeczy... spodziewają się, że poświęcisz czas również im.

– Ach tak. – Phillip się roześmiał. – Poświęcę czas tej właściwej, gdy już ją spotkam. – Gdy matka posłała mu cyniczne spojrzenie, zrobił skruszoną minę. – Co jest złego w spędzaniu weekendów na łodzi w zatoce Long Island?

– Bardzo dużo, jeśli to lodowata zima. Musisz robić też inne rzeczy albo skończysz samotnie na tej łodzi. A właśnie, rozmawiałam z Winnie o podróży do Europy w przyszłe wakacje – poinformowała, podając mu talerz z pomidorami i mozzarellą oprószoną świeżą bazylią. – Nie jest łatwym towarzyszem podróży – dodała, mając na myśli starszą siostrę.

– Pojedziesz? – zapytał zaintrygowany Phillip.

– Nie wiem. Kocham Winnie, lecz ona stale się martwi i wiecznie narzeka. Wszystko musi być zaplanowane do ostatniej sekundy. Ja lubię bardziej spontaniczne podróże i podejmowanie decyzji z marszu. To doprowadza Winnie do szału i wywołuje u niej zdenerwowanie. Musimy się trzymać jej planu, choćby nie wiem co. To trochę jak zaciąg do armii. Chyba jestem już na to za stara – skwitowała z uśmiechem.

– Albo za młoda. Mnie też by się nie spodobało. Nie wiem, jak to możliwe, że ona nie doprowadza cię do szału. – Phillip od wielu lat trzymał się z dala od ponurej starej ciotki.

– Kocham ją. To pomaga mi ją tolerować. Ale wspólne podróżowanie po Europie to chyba jednak za dużo. – Miała już za sobą takie przeżycia i przysięgała sobie, że więcej ich nie powtórzy, a potem i tak ulegała. Szkoda jej było Winnie, której nie miałby kto towarzyszyć. Obie owdowiały, lecz Valerie miała wielu znajomych, artystów w różnym wieku. Niektórzy jej przyjaciele byli rówieśnikami Phillipa, inni byli starsi od niej. Valerie nie zwracała uwagi na wiek, dopóki jej towarzysze byli interesujący, inteligentni i zabawni.

Phillip postanowił wyjść zaraz po kolacji, zamierzał jeszcze trochę popracować. Gdy matka uścisnęła go czule, odniósł wrażenie, że wróci do pracy nad portretem tajemniczej kobiety po jego wyjściu, i nie mylił się. Dobrze się znali.

– Powodzenia przy wycenie tajemniczego majątku – życzyła mu, kiedy się żegnali. – Wygląda na to, że te klejnoty staną się przedmiotem ważnej aukcji, zwłaszcza jeśli opowiesz część historii jej właścicielki w katalogu.

Miała rację. Powinni też wykorzystać fotografie hrabiny w biżuterii, jeśli takowe istniały. To przyciągnęłoby więcej osób niż informacja, że biżuterię licytuje nowojorski sąd do spraw spadkowych, mimo iż tego również nie można było pominąć.

– Klejnoty arystokratki – powiedział, cytując typowy opis z katalogu.

Valerie się uśmiechnęła.

– Już mi się podoba. Powodzenia. – Pocałowała go na pożegnanie.

– Dzięki, mamó. Zadzwoń do ciebie. Dziękuję za kolację.

– Zawsze do usług – odparła i znów go uścisnęła.

Chwilę później wyszedł. Tak jak podejrzewał, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, wróciła do pracy. Zamierzała lepiej zrozumieć kobietę, którą malowała. Może bohaterka jej płótna również była arystokratką, rozmyślała z uśmiechem. Jej obrazy zawsze miały w sobie jakąś tajemnicę, opowiadały historię. Czasami musiało upłynąć trochę czasu, zanim sama mogła ją odkryć.



## Rozdział 5

We wtorkowy poranek Jane zjawiała się w banku przed Phillipem. Lało jak z cebra, jej parasol wygiął się w drugą stronę, gdy tylko wyszła z metra, była przemoczona do suchej nitki. Czuła się jak podtopiony szczur. Phillip wcale nie wyglądał lepiej, gdy wszedł do holu. Swój parasol zostawił w taksówce, którą przyjechał z Christie's. Spóźnił się dziesięć minut z powodu korków.

Zauważyła go, gdy rozglądał się po lobby banku, próbując odgadnąć, kim ona jest. Rozmawiała z Halem Bakerem i dostrzegła Phillipa niemal od razu – miał na sobie ciemny garnitur i płaszcz od Burberry. Był wysoki i wyglądał bardzo profesjonalnie. Bardziej jak bankier niż licytator. Zapomniała, że zaraz po spotkaniu będzie prowadził aukcję. Sama miała na sobie kozaki i puchowy płaszcz, który nasiąkł wodą jak gąbka, a także czarne dżinsy i gruby sweter. Na zewnątrz było nie tylko deszczowo, lecz także wietrznie i zimno. Od wiosny dzieliła ich cała wieczność – Nowy Jork był lodowaty, mokry i szary.

– Pani Willoughby? – zapytał Phillip z niepewną miną.

Uśmiechnęła się, pokiwała głową, uściśnęła jego dłoń i przedstawiła go Halowi Bakerowi. Phillip wydał się jej ujmujący i uprzejmy, gdy witał się z bankierem.

– Przykro mi, że ściągnęliśmy tu pana w taką pogodę – powiedziała przepraszająco. – Myślę jednak, że pan nie pożałuje. Klejnoty są naprawdę piękne – mówiła, gdy schodzili za Halem schodami do sekcji ze skrytkami depozytowymi.

Tym razem nie potrzebowali notariusza, ponieważ oficjalne procedury zostały zakończone, a spis inwentaryzacyjny był poświadczony i kompletny. Musieli tylko podjąć decyzję, w jaki sposób rozdysponować majątek. Ogłoszenia przestali publikować w tym tygodniu, a żaden spadkobierca się nie pojawił. Jane bardzo tego żałowała.

Hal otworzył skrytkę tak jak poprzednim razem i poprowadził ich do tego samego pomieszczenia, w którym Jane po raz pierwszy widziała zawartość skrytki. Położył skrzynkę na stole i zostawił ich samych. Jane

wyjęła po kolei kasetki z biżuterią i ułożyła je obok siebie. Phillip zaczął je otwierać. W pierwszej znajdowała się diamentowo-szafirowa broszka od Van Cleefa, która zrobiła na nim widoczne wrażenie. Następnie zobaczył pierścionek z rubinem. Wyjął z kieszeni lupę jubilerską i przytknął ją do oka.

– To birmański rubin „gołębia krew” – wyjaśnił Jane, gdy go oglądał. – Najlepsza możliwa jakość i barwa. – Odjął lupę od oka i zmierzył Jane poważnym spojrzeniem. – Moim zdaniem ma około dwudziestu pięciu, trzydziestu karatów. Rubiny o takiej jakości i rozmiarze zdarzają się niezwykle rzadko. To prawdziwy unikat, który będzie kosztował fortunę. – Następnie przyjrzał się pierścionkowi ze szmaragdem. Kamień był podobnej wielkości albo nawet większy i również doskonały. Odłożył go do pudełka z wielką troską i sięgnął po kasetkę z brylantowym pierścionkiem o jeszcze większej liczbie karatów. Tym razem się uśmiechnął. – Wow! – zawołał jak dziecko.

Jane wybuchnęła śmiechem.

– To samo powiedziałam, gdy go zobaczyłam – wyznała, po czym zrobiła skruszoną minę. – Przymierzyłam go – dodała, a on się uśmiechnął.

– I jak wyglądał? – zażartował. Nagle humor mu się poprawił. Klejnoty okazały się wspaniałe i gdyby sąd do spraw spadkowych zgodził się przekazać je Christie's na aukcję, zrobiliby z niej wyjątkowe wydarzenie.

– Całkiem nieźle. Możliwe, że już nigdy nie będę miała okazji dotknąć kamienia tych rozmiarów – odpowiedziała mu z uśmiechem. – Ile waży?

– Ma zapewne około czterdziestu karatów, to zależy, co kryje się pod oprawą. To tylko przypuszczenie. – Miał jednak wprawę w ocenianiu rozmiarów i jakości kamieni dzięki dwuletniej pracy w dziale biżuterii. W ramach samokształcenia przeszedł również podstawowy kurs gemmologiczny. Nigdy wcześniej nie widział tak doskonałych klejnotów.

Obejrzał szafirowy naszyjnik i kolczyki od Van Cleefa, perły, które uznał za naturalne, co podnosiło ich wartość, diadem, zabytkową obrożę z pereł i brylantów od Cartiera oraz biżuterię od Bulgari z Rzymu.



Wszystko to zajęło mu prawie godzinę, a gdy skończył, spojrzał na Jane, będąc wyraźnie pod wrażeniem.

– Dopóki nie zobaczyłem fotografii, myślałem, że to wszystko tombak. Gdy już zobaczyłem zdjęcia, wiedziałem, że to niezła kolekcja, lecz nie spodziewałem się tak cennych przedmiotów. I nie zgłosili się żadni spadkobiercy?

– Niestety – odparła ze smutkiem. – Może chciałby pan obejrzeć fotografie hrabiny? Była za młodu piękną kobietą. – Wyjęła je i razem wszystko przejrzeli. Wskazał kilka, na których nosiła biżuterię. Jane znów uderzyło to, jaka była szczęśliwa u boku przystojnego hrabiego i jak wielkim uczuciem on wydawał się ją darzyć, gdy spoglądał na nią z miłością.

– Ten mężczyzna mógłby być jej ojcem – skomentował Phillip.

– Był od niej o trzydzieści osiem lat starszy – wyjaśniła Jane.

Wysnuła taki wniosek na podstawie jego nekrologu i jej paszportów.

– Jak się nazywali?

– Hrabia Umberto Vincenzo Alessandro di San Pignelli. Jej panięskie nazwisko brzmiało Marguerite Wallace Pearson. Di San Pignelli po ślubie. W dniu ślubu miała osiemnaście lat, a on pięćdziesiąt sześć. – Jane wpatrywała się ze smutkiem w fotografię.

Phillip obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– To dość popularne nazwisko, lecz moja matka również była z domu Pearson. Może były spokrewnione, mogły być kuzynkami, choć to zapewne tylko zbieg okoliczności. Ja nie słyszałem o żadnej Marguerite. Porozmawiam z mamą. Nie sugeruję, że jest spadkobierczynią – wyjaśnił z zawstydzoną miną – tylko zaintrygowała mnie ta zbieżność nazwisk. Mama nigdy nie wspominała o krewnej, która poślubiła włoskiego hrabiego, ale hrabina jest od niej o pokolenie starsza. Może była daleką kuzynką jej ojca, choć pewnie nie łączą ich żadne więzy. – Nazwisko wzbudziło jednak jego zainteresowanie, choć nie takie jak klejnoty i przyszła wspaniała aukcja oraz zamieszanie, które mogłyby wywołać. Nigdy jeszcze nie widział takich skarbów, a sprzedali w Christie's wiele pięknych rzeczy w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy tam pracował. – Z kim mam się skontaktować w sprawie aukcji? – zapytał Jane bez ogródek.

– Z moją szefową Harriet Fine. Ja jestem w sądzie tymczasowo. W czerwcu kończę szkołę prawniczą.

– Uniwersytet Nowojorski? – zapytał z zainteresowaniem.

– Columbia. Aby skończyć studia, muszę zaliczyć staż w sądzie.

Do tej pory sąd do spraw spadkowych nie dostarczył mi wielu rozrywek – wyznała, gdy Hal Baker wrócił, by odłożyć skrytkę depozytową. Wyszli za nim z sali. – Wszystkie staże, o których marzyłam, były już zajęte, i sąd rodzinny, i karny, dlatego wzięłam to. Miałam do wyboru jeszcze sąd opiekuńczy, który byłby chyba jeszcze gorszy. – Uśmiechnęła się smutno.

Odpowiedział tym samym.

– W dziale biżuterii w Christie's jest niewiele lepiej. Przenieśli mnie tam z działu malarstwa i sztuki nieużytkowej dwa lata temu. Od tamtej pory czuję się jak w więzieniu, choć muszę przyznać, że ta aukcja będzie wyjątkowa. Czy rozmawialiście z innymi domami aukcyjnymi? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nie. Tylko z wami. Christie's był pierwszym wyborem mojej szefowej. Poleciała mi do was zadzwonić, a ja to zrobiłam. Cieszę się, że podobają się panu klejnoty hrabiny di San Pignelli. Ja też uważam, że są piękne.

– Są bardziej niż piękne. Są doskonałe. Rzadko widuje się klejnoty z takimi dużymi kamieniami. Hrabia i hrabina musieli wieść wystawne życie.

– Na to wskazywałyby fotografie – przyznała Jane cicho.

– Zastanawiam się, co się wydarzyło potem – mruknął Phillip z ciekawością. Ta myśl zaprzętała mu głowę.

– Ja też chciałabym się dowiedzieć. Wyglądali razem na takich szczęśliwych, mimo iż ona miała smutne oczy.

– Doprawdy? – zapytał zaskoczony. – Nie zauważyłem. Chyba za bardzo skupiałem się na kamieniach. – Uśmiechnął się, myśląc, że Jane to interesująca kobieta. Spodziewał się nudnej, monotematycznej urzędniczki. Ona stanowiła miłe zaskoczenie.

– I co teraz? – zapytała Jane, gdy znów stanęli w lobby, a Hal pożegnał się z nimi, by wrócić do swego biurka.

– Mój szef porozmawia z pani szefową – wyjaśnił Phillip. – Napiszemy ofertę, wynegocjujemy prowizję i omówimy katalog. Jeśli spodoba się wam to, co zaoferujemy, przekażecie nam klejnoty, a my wystawimy je na naszej następnej aukcji „Wspaniały klejnot”, zapewne w maju, wrześniu lub grudniu, tuż przed świętami. Poświęcimy hrabinie całą sekcję, zamieścimy jej zdjęcia, opiszemy wszystko tak, by brzmiało romantycznie i kusząco, a potem wszystko sprzedamy, weźmiemy naszą część od wylicytowanej ceny od sprzedającego i kupującego, a resztę przekażemy na rzecz stanu. To bardzo proste, chyba że pojawi się spadkobierca, lecz do tego raczej nie dojdzie, sądząc z pani słów.

Opowiedziała mu o swojej wizycie w domu opieki i w dawnym mieszkaniu hrabiny w centrum, gdy fotografował biżuterię do swojej dokumentacji, aby móc pokazać szefowi jej historię, którą mogliby zamieścić w katalogu. Hrabina nie była znaną postacią, lecz już jej tytuł miał w sobie magię, a klejnoty robiły ogromne wrażenie. Nie będzie trzeba nikogo namawiać do licytowania.

– To wszystko zapewne wydarzy się już po moim powrocie do szkoły – odparła cicho, rozmyślając o tym. – Będę musiała pamiętać o szukaniu aktualnych informacji na temat aukcji, chyba że ktoś dałby mi znać.

Widział, że jest tą sprawą osobiście zainteresowana.

– Powinna pani przyjść na aukcję. Na pewno będzie niesamowita.

– Czy to pan ją poprowadzi? – Mężczyzna ją zaintrygował.

– Wątpię. Aukcja będzie zbyt ważna. Będzie częścią większego pakietu, lecz na pewno jednym z najważniejszych jego punktów. Przez telefon będą licytować najwięksi jubilerzy i kolekcjonerzy z całego świata, a niektórzy z nich usiądą na sali. To byłoby dla pani niezapomniane doświadczenie. – A taka okazja może się już nie powtórzyć.

Zamyśliła się na chwilę nad odpowiedzią.

– To by mnie chyba za bardzo zasmuciło.

Jej słowa go wzruszyły. Naprawdę zależało jej na tej kobiecie, choć nigdy jej nie spotkała.

– To taka tragedia, że zmarła samotnie, nie mając rodziny.

Phillip pokiwał głową, nie wiedząc, co powiedzieć, gdy razem wyszli z banku. W końcu przestało padać.

– Podwieźć panią? – zapytał, gdy wezwał taksówkę.

– Nie, dziękuję. Wrócę metrem do biura. Przekażę szefowej, że Christie's jest zainteresowany sprzedażą biżuterii na aukcji. Jestem przekonana, że do was zadzwoni.

– Jeśli tego nie zrobi, ja zadzwonię. Albo nie będę czekał. Nie chcielibyśmy, aby taka okazja nas ominęła – wyjaśnił, otwierając drzwi taksówki.

– Dziękuję, że pan przyjechał – pożegnała go uprzejmie.

Uśmiechnął się, zamykając za sobą drzwi, i pomachał jej, gdy odjeżdżał. Był zachwycony wszystkim, co zobaczył tego ranka – biżuterią i dziewczyną.

## Rozdział 6

Gdy Phillip wrócił do biura, zostało mu tylko pół godziny, by przygotować się do południowej aukcji. Nie była to ważna licytacja. Ekspozyty zakwalifikowano do kategorii „Piękne klejnoty”, nie dorastały więc do pięt „Wspaniałym klejnotom”, które właśnie oglądał – były to dwie zupełnie różne kategorie. Uświadomił sobie, że będzie musiał poruszyć ten temat ze swoimi zwierzchnikami zaraz po południowej aukcji. Teraz nie miał czasu, aby je właściwie opisać, a poza tym chciał pokazać im zrobione przez siebie zdjęcia.

Aukcja przebiegła bez niespodzianek, lecz zajęła więcej czasu, niż przewidywano. Była czwarta trzydzieści, gdy wkroczył do biura kierownika działu biżuterii. Ed Barlowe przeglądał listę wylicytowanych tego popołudnia cen; wydawał się zadowolony. Zerknął na Phillipa.

– Niezła aukcja – powiedział, odkładając listę na biurko. – Co nowego? – dodał, wskazując krzesło i gestem zapraszając Phillipa, by usiadł.

– Oglądałem dzisiaj majątek zajęty przez sąd do spraw spadkowych. To kolekcja niezwykłych eksponatów wykonanych przez największych mistrzów jubilerskich – odparł Phillip cicho, podając Edowi zdjęcia, które właśnie wydrukował. Przyglądał się szefowi, gdy ten przekładał odbitki, uważnie je studiując, aż w końcu podniósł wzrok ze zdumieniem.

– To wszystko jest takie dobre, na jakie wygląda?

– Lepsze. Zdjęcia nie oddają urody tych klejnotów – oświadczył Phillip spokojnie. Po raz pierwszy od dwóch lat czuł zadowolenie z pracy w tym dziale. To było jak znalezienie ropy lub żyły złota. Nawet jeśli skarby nie należały do niego, upajała go myśl o uczestniczeniu w tym procesie i o odegraniu pewnej roli podczas aukcji.

– Znamy ich pochodzenie? – zapytał go szef.

– Mamy nazwisko i zdjęcia. Młoda Amerykanka, była żoną włoskiego hrabiego w latach 1942–1965. Zapewne dziedziczka. Zmarła bez pieniędzy i nie miała spadkobierców. Zostały tylko te klejnoty, które odnaleziono w banku po rozwierceniu jej skrytki.

– Wszystko w porządku? – zapytał Ed z troską. – Dopilnowano

wszystkich terminów?

– Bardzo skrupulatnie. Skrytka została porzucona trzy lata temu, a bank rozwiercił ją dopiero po trzynastu miesiącach i wysłał list polecony we właściwym czasie. Potem odczekali dwa lata, zawiadomili sąd do spraw spadkowych, a sąd zamieścił ogłoszenia w prasie, aby odnaleźć spadkobierców. Nikt się nie zgłosił. Wszystkie dokumenty widziałem na własne oczy.

– Świetnie. – Ed wydawał się zadowolony, gdy siedział za swoim biurkiem, ogromnym zabytkowym meblem, który Christie's zakupił wiele lat temu. – Nie chcę żadnych potknięć z biżuterią takiego kalibru. Może zadzwonisz do sądu i omówisz z nimi nasze prowizje, żeby wszystko było jasne? Chciałbym zaplanować aukcję na maj. Będziemy mieć czas, by wszystko sfotografować. Może nawet uda nam się umieścić zdjęcia w katalogu. Zadzwoń od razu.

– Zajmę się tym jutro z samego rana – zapewnił go Phillip, po czym opuścił biuro szefa z teczką Pignelli w dłoni. Tego dnia było już za późno na telefon, minęła piąta i urzędy już nie pracowały.

Odczuł pokusę, by zadzwonić do Jane i wszystko jej powiedzieć, lecz wiedział, że byłoby to niestosowne – musiał najpierw dojść do porozumienia z Harriet. Telefon do Jane musiał więc poczekać, choć miał nadzieję, że ich drogi jeszcze się skrzyżują.

Następnego dnia, tak jak obiecał Edowi, zgodnie z sugestią Jane zadzwonił do Harriet, odbył z nią szczerą rozmowę, zadeklarował, że Christie's jest zainteresowany sprzedażą biżuterii, wyjaśnił, że ich prowizja wynosi dziesięć procent wylicytowanej ceny i że reszta zostanie przekazana na rachunek stanu. Koszt fotografii do katalogu musiał pokryć sąd do spraw spadkowych, co nie zaskoczyło Harriet. Wiedziała o tym, ponieważ często brali udział w aukcjach. Dodał, że pragną wykorzystać w katalogu zdjęcia hrabiny, by podbić zainteresowanie aukcją, jeśli Harriet wyrazi zgodę. Nieszczególnie ją to obchodziło, łatwo się więc zgodziła. Obiecała też, że oddzwoni z decyzją do końca tygodnia. Phillip wtrącił, że czas ich nieco goni, ponieważ chcieliby zdążyć z katalogiem na majową aukcję. Zapewniła go, że zrobi, co w jej mocy, a Phillip zaczął się zastanawiać, czy rozpuści wici i poprosi o ofertę Sotheby's. Jane wyjaśniła mu już wcześniej, że to mało

prawdopodobne, ponieważ to Harriet od początku sugerowała Christie's. Teraz mógł więc już tylko czekać na jej odpowiedź z nadzieją, że sąd powierzy klejnoty Christie's. Byłyby wspaniałą oprawą każdej licytacji.

Sąd nie odezwał się aż do piątku, lecz Phillip nie chciał naciskać. Postanowił zaczekać do poniedziałku z telefonem do Harriet, choć w piątkowe popołudnie Ed zaczął dopytywać o tę sprawę.

Phillip jak zwykle spędził weekend na swojej łodzi, a w niedzielne popołudnie po drodze do domu wpadł do mieszkania matki. Nie zamierzał zostać na kolację, ponieważ Valerie umówiła się ze znajomymi. Ktoś inny zaprosił ją na balet, lecz odmówiła.

Nalała im herbaty, by mogli spędzić razem kilka minut przed jej wyjściem. Była już ubrana, wyglądała bardzo ładnie w dżinsach, grubym czarnym swetrze i szpilkach. Miała makijaż.

– Jak ci minął tydzień? – zapytała go z zaciekawieniem.

Opowiedział jej o biżuterii i o tym, że Christie's pragnie włączyć ją do swojej oferty. Dodał, że urzędniczka z sądu jeszcze nie dała mu swojej odpowiedzi i dlatego postanowił ponaglić ją następnego dnia.

– Biżuteria musi być doprawdy imponująca, jeśli Christie's chce wystawić ją na swojej aukcji – powiedziała Valerie, dopijając herbatę.

Wtedy przypomniał sobie o zbieżności nazwisk.

– Panięskie nazwisko tej kobiety brzmi tak samo jak twoje – wyznał z rozbawieniem – choć wątpię, byśmy byli z nią spokrewnieni.

Pokiwała głową.

– To popularne nazwisko. Obawiam się, że nie mamy żadnych krewnych z taką biżuterią, choć byłoby miło takich mieć. – Uśmiechnęła się do niego.

Oboje wiedzieli, że ta wizja nie olśniła jej w najmniejszym stopniu. Pieniądze nigdy nie były dla niej motywacją, zwłaszcza pieniądze innych ludzi. Nigdy nie była chciwa i zawsze zadowolala się tym, co miała.

– Myślę, że ceny na tej aukcji poszybują do nieba. Klejnoty są wyjątkowo piękne, a kamienie duże i doskonałej jakości. To będzie ekscytująca licytacja, jeśli tylko sąd pozwoli nam ją przeprowadzić.

– Jestem tego pewna. Dlaczego mielibyśmy postanowić inaczej? – Valerie dodała mu otuchy. Ws tała. – Muszę zaraz wychodzić.

– Nigdy nic nie wiadomo. Może inny dom aukcyjny zaproponuje im lepszy układ.

– Mam nadzieję, że nie – oświadczyła lojalnie.

Zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć jej o spotkaniu z Jane, lecz uznał to za głupotę. Zapewne nigdy więcej nie zobaczy już tej dziewczyny. Ws tał więc, uściskał matkę, pocałował ją na do widzenia i obiecał, że wkrótce zadzwoni.

– Baw się dobrze – powiedział, gdy zamykała za nim drzwi, i wsiadł do windy.

Następnego ranka znów zadzwonił do Harriet Fine. Przeprosiła, że nie skontaktowała się z nim wcześniej. Czekala na zgodę od swoich przełożonych na zorganizowanie aukcji i uzyskała ją dopiero godzinę temu.

– Mamy zielone światło – powiedziała cicho. – Zaakceptowali wasze warunki.

– To fantastycznie! – zawołał Phillip. – Chciałbym odebrać klejnoty za kilka dni, żebyśmy mogli je sfotografować do katalogu. Czy mogę uzyskać pełnomocnictwo, żeby móc przedstawić je w banku?

– Zaraz się tym zajmę – zapewniła go Harriet. – Powiadomię bank. Odbierze je pan osobiście?

– Tak, zapewne zabiorę ze sobą pracownika ochrony i służbowy samochód. Czy potem mam je zatrzymać w naszym sejfie w Christie's, by tu czekały na sprzedaż, czy może mam je odwieźć do sądu?

Wyglądało na to, że cała sprawa to kłopot, którego Harriet nie chciała ani nie potrzebowała. Nie miała jeszcze do czynienia z aukcją na taką skalę. A Christie's był zdecydowanie instytucją na tyle solidną i godną zaufania, by przechować klejnoty w swoim skarbcu do czasu aukcji.

– Wolałabym, abyście je przechowali. Przyślę urzędnika, który dopilnuje, żeby wszystko poszło gładko podczas transportu klejnotów w dniu, kiedy zdecyduje się pan je przenieść. Proszę mnie tylko poinformować o dacie.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym zerknął do swojego kalendarza. Następny poranek miał wolny.

– Czy jutro to za wcześnie? – zapytał z wahaniem. – Mógłbym być



na miejscu o dziewiątej, o tej godzinie otwierają bank. – Przy odrobinie szczęścia o dziesiątej umówiłby się z fotografem, aby zacząć przygotowania.

– Może być jutro. Urzędnik przywiezie wszystkie dokumenty i fotografie do nas, ale biżuterię możecie zabrać.

Wiedział, że Ed Barlowe będzie zadowolony.

– Chciałbym skopiować niektóre z tych zdjęć – przypomniał jej.

– Dobrze – odparła krótko. Nie znaleźli żadnych członków rodziny, którzy mogliby protestować, a ona była gotowa się zgodzić, jeśli miałyby to pomóc w sprzedaży. Teraz był to już tylko interes dla państwa. Zawsze skrupulatnie broniła stanowych interesów. – Urzędnik będzie na miejscu o dziewiątej – potwierdziła, a chwilę później weszła do biura Jane i przekazała jej, że musi być w banku następnego ranka, aby zabrać dokumenty ze skrytki depozytowej i nadzorować przejęcie klejnotów przez pracownika Christie's.

Jane zastanawiała się, czy znów będzie to Phillip – nie była tego pewna, lecz nie chciała pytać. Polubiła rozmowy z nim i wspólne oglądanie biżuterii Marguerite oraz zdjęć, ucieszyła się, że może go znów zobaczyć, gdyby tak się ułożyło. Jeśli nie, trudno. Ze słów Harriet wywnioskowała też, że Christie's zajmie się przeprowadzeniem aukcji.

Wieczorem wspomniała o tym Johnowi. Skończył kolejną pracę i umówił się z nią na hamburgera w pobliskim barze przed powrotem do biblioteki, by jeszcze trochę popracować. Miała wrażenie, że od tygodni nie jedli razem ani nie rozmawiali. Gdy wymieniali się informacjami przy posiłku, poczuła, że się od siebie oddalili. Nie była z tego powodu szczęśliwa, lecz mogła tylko mieć nadzieję, że w czerwcu w ich związku znowu wszystko wróci do normy. To było jej światło na końcu tunelu, a do tego czasu zamierzała wykazać się cierpliwością i wspierać go. Był dla niej teraz niczym współlokator widmo.

Wiedziała jednak, że za trzy i pół miesiąca się to skończy. Nie mogła się już doczekać, aby zacząć życie w miejscu, w którym je przerwali. John zaczynał wydawać się jej obcy. Nie okazał zainteresowania, gdy opowiadała mu o klejnotach, które miały zostać wystawione na aukcji w Christie's. Mało go one obchodziły, właściwie w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Po kolacji wrócił do biblioteki, a ona

pojechała do domu, żałując, że ich związek nie wygląda tak jak sześć miesięcy temu. Z każdym dniem John coraz bardziej się od niej oddalał.

Spał mocno, gdy następnego ranka opuściła mieszkanie i metrem pojechała do centrum. Dotarła do banku w tej samej chwili, w której Phillip Lawton wysiadł ze służbowego samochodu z kierowcą. Zauważyła, że z przodu siedzi ochroniarz. Phillip miał na sobie garnitur, nieskazitelnie czystą niebieską koszulę i bardzo ładny granatowy krawat od Hermès'a pod dobrze skrojonym granatowym płaszczem. Chyba ucieszył się na jej widok. Przez chwilę stali przed bankiem i rozmawiali, czekając na otwarcie. Oboje zjawili się pięć minut przed czasem.

– Wygląda na to, że organizacja aukcji na dobre się rozpoczęła – zauważyła Jane, uśmiechając się do niego. Miała na sobie krótką szarą spódnicę i zielony płaszcz, wyglądała świeżo i wesoło w porannym słońcu. Na jej ramiona spływały schludnie uczesane włosy. W uszy wpięła małe złote kolczyki.

Gdy drzwi banku się otworzyły, Phillip wezwał gestem ochroniarza, aby do nich dołączył. Przywiózł dwie duże skórzane kasetki do transportu biżuterii. Ochroniarz wszedł za nimi i udali się na dół do sekcji ze skrytkami.

Jane musiała podpisać kilka dokumentów, biorąc na siebie odpowiedzialność za opróżnienie skrytki w imieniu sądu do spraw spadkowych. Następnie Phillip podpisał podobny zestaw papierów, potwierdzając przejęcie dwudziestu dwóch sztuk biżuterii, które miały być przechowywane w Christie's. Kilka minut zajęło im uporządkowanie dokumentów, po czym Jane wyjęła kasetki z biżuterią i przekazała je Phillipowi. Podpisał również kopię spisu inwentaryzacyjnego. Jane przełożyła wszystkie dokumenty do dużej szarej koperty z pieczęcią sądu, którą w tym celu przyniosła. Wzięła listy, paszporty i wyciągi bankowe. Następnie razem z Phillipem przejrzała fotografie. Wybrał pół tuzina tych najlepiej nadających się do reprodukcji. Jedna przedstawiała hrabiego i hrabinę przed *castello*. Kolejna – tę samą parę w wieczorowych strojach; ona miała na sobie szafirowy naszyjnik i kolczyki. Inna – samą Marguerite w wieczorowej sukni. Były także ujęcia na końskim grzbiecie i na stoku. Na jednym miała we włosach diadem i wyglądała bardzo młodo. Fotografie

dowodziły, że byli wspaniałą parą, i odzwierciedlały elegancję i przepych minionej epoki. Jane wpadły w ręce również zdjęcia małej dziewczynki.

– Zastanawiam się kto to – napomknęła cicho.

– Może młodsza siostra – zasugerował Phillip.

– Albo dziecko, które zmarło młodo. Może to dlatego Marguerite jest taka smutna – zgadywała Jane, sfrustrowana faktem, że nigdy się tego nie dowiedzą. Tak niewiele wiedzieli o właścicielce klejnotów. Dlaczego opuściła Stany podczas wojny i udała się do Włoch? Jak tam dotarła, skoro pierwszymi jej przystankami w Europie były Lizbona i Anglia, co potwierdzały pieczętki w jej paszporcie? Jak poznała hrabiego, kiedy się w sobie zakochali i co działo się pomiędzy 1965, kiedy to hrabia zmarł, a 1994 rokiem, kiedy wróciła do Nowego Jorku? Dlaczego wróciła? Po 1974 roku mieszkała w Rzymie, co się więc stało z *castello*? Żałowała, że nie zna kogoś, kto mógłby im to wszystko wyjaśnić. Marguerite nie pozostawiła żadnego śladu swojej przeszłości poza fotografiami, dwoma kompletami listów, różnymi adresami i biżuterią.

– Na pewne pytania nigdy nie znajdziemy odpowiedzi, tak jak nigdy nie rozwiążemy pewnych zagadek – odparł Phillip z namysłem, obserwując Jane, która wkładała właśnie do koperty zdjęcie małej dziewczynki i inne fotografie, których nie wypożyczał.

Zapieczętowała kopertę ostrożnie, aby nic nie wypadło, i napisała na niej pełne nazwisko Marguerite. Po powrocie do pracy zamierzała przekazać to wszystko Harriet, ponieważ dokumenty były przechowywane przez siedem lat w sądzie, na wypadek gdyby pojawili się jednak krewni. Jane nie wiedziała, co stanie się z nimi potem – czy zostaną zarchiwizowane, czy może zniszczone. Ogarniał ją smutek na samą myśl o tym. Zebrała też wszystkie formularze podpisane przez Phillipa. Gdy znaleźli się w znajomej już sali, ochroniarz Christie's sięgnął po jedną ze skórzanych toreb. Phillip podniósł drugą, a Jane wyszła za nimi. Pustą skrytkę zostawili na biurku. Hal przyszedł się z nimi pożegnać, gdy wychodzili. Uważali go niemal za przyjaciela po tej dziwnej przygodzie związanej z klejnotami pani Pignelli.

Phillip zaproponował Jane, że ją podwiezie, a ona odmówiła.

Obiecał, że zadzwoni, gdy skopiują fotografie, i zwróci je do sądu. Odjechał chwilę później, a Jane poszła do metra z grubą kopertą pod pachą. Zamyśliła się nad dokumentami i biżuterią, którą właśnie zabrał Phillip. Ostatnie pamiątki po życiu Marguerite di San Pignelli miały zostać sprzedane. Ta ponura myśl towarzyszyła jej, gdy zbiegała po schodach do stacji, w drodze powrotnej do sądu.

## Rozdział 7

W czwartek matka zadzwoniła do Phillipa z pytaniem, czy zechce pójść z nią tego wieczoru na galę do Metropolitan Museum. Była to elegancka kolacja, którą Instytut Kostiumów wydawał co roku; Valerie należała do rady Instytutu. Miała jej towarzyszyć siostra, lecz odwołała spotkanie w ostatniej chwili, tłumacząc się przeziębieniem. Winnie była hipochondryczką, zawsze jej coś dolegało i nie lubiła wychodzić, gdy źle się czuła.

– Przepraszam, że pytam cię tak późno – powiedziała matka – ale mam już bilety, a nie chcę iść sama.

Namyślał się przez minutę, po czym wyraził zgodę. Miło było móc coś dla niej zrobić. Valerie była bardzo niezależna, wiodła bujne życie towarzyskie i rzadko prosiła o coś syna. Dodała, że jemu też na pewno się spodoba. Był na podobnej kolacji wraz z nią kilka lat temu, niedługo po śmierci ojca. Skala wydarzenia była imponująca, a wiedział, że bilety kosztują fortunę. Między innymi na takie cele przeznaczala teraz pieniądze z polisy męża. Chodziła tam co roku i kupowała bilet siostrze. Ciotka Winnie nigdy nie wydałaby na to pieniędzy, choć było ją na to stać – o wiele bardziej niż jego matkę.

Przyjechał po nią wieczorem. Miała na sobie prostą czarną wieczorową suknię, która podkreślała jej szczupłą figurę, i kurtkę ze srebrnych lisów kupioną wiele lat temu, w której wciąż wyglądała doskonale. Na jej widok nagle przypomniał sobie zdjęcia hrabiny, które odebrał od fotografa tego popołudnia. Jego matka nie była do niej podobna, lecz cechowała je ta sama arystokratyczna elegancja z innej epoki. Poczuł dumę, że może jej towarzyszyć, gdy ujęła go pod ramię i poprowadził ją do samochodu z kierowcą, który wynajął na ten wieczór.

– Kochanie, rozpieszczasz mnie! – powiedziała, uśmiechając się jak zachwycone dziecko. – Myślałam, że wezwiemy taksówkę.

– Nie ma mowy – odparł, siadając obok niej. Miał na sobie doskonale skrojony smoking, który uszył na zamówienie na Savile Row w Londynie, gdy ostatnio był tam na aukcji.

– Wyglądasz bardzo przystojnie – pochwaliła go, gdy jechali do

centrum.

Po przybyciu na miejsce otoczyła ich nowojorska śmietanka towarzyska w wieczorowych strojach. Pojawili się nawet gubernator i burmistrz, co podkreślało rangę wydarzenia.

Valerie i Phillipa posadzono przy stoliku z jednym z kuratorów Instytutu, sławnym projektantem mody i popularnym artystą. Prowadzili ożywioną dyskusję. Phillip zajął miejsce obok młodej kobiety, która wyprodukowała z sukcesem przedstawienie na Broadwayu, i przez cały wieczór rozmawiali o teatrze i sztuce. Wzbudziła jego zainteresowanie, okazała się bardzo atrakcyjna, lecz z rozczarowaniem odkrył, że na galę przyszła z mężem pisarzem, który właśnie opublikował swoją pierwszą książkę. To przypomniało mu, jaka aktywna jest jego matka i jej znajomi. Była bardzo bezpretensjonalną osobą, lecz cechował ją ponadczasowy naturalny wdzięk, a on zauważył, że mężczyźni zerkają na nią tego wieczoru z podziwem. Wyszli jako jedni z ostatnich gości i przez całą drogę do domu z ożywieniem rozmawiali o przyjęciu.

– Świetnie się bawiłem – oświadczył szczerze. – Kobieta, obok której siedziałem, była wspaniała, a ten mężczyzna, który siedział obok ciebie, okazał się bardzo miły.

– Ja zawsze dobrze się tam bawię – odparła, wciąż pełna energii i radosna. – Nie miałam okazji zapytać, co u ciebie słychać? Jak sprawa aukcji biżuterii żony włoskiego hrabiego? – zapytała z ciepłym uśmiechem.

– Sąd do spraw spadkowych przekazał nam biżuterię w czwartek. Fotografowaliśmy ją cały tydzień. Nie wiem dlaczego, lecz ta kobieta ma w sobie coś przejmującego. Może dlatego, że tak mało o niej wiemy. To pobudza wyobraźnię. Jesteś pewna, że nie była naszą krewną? To dziwne, że obie nosicie to samo nazwisko panieńskie.

– Tak jak dziesięć milionów innych osób o pochodzeniu anglosaskim. Jestem przekonana, że w nowojorskiej książce telefonicznej jest dziesięć stron Pearsonów, że o Bostonie nie wspomnę. Ale skoro twierdzisz, że jest naszą krewną, może dostanę coś z jej biżuterii? – Uśmiechnęła się figlarnie do syna.

– Dostaniesz wszystko – odparł wesoło.

– Jak miała na imię? – zapytała Valerie od niechcena. Nie

wierzyła, by były spokrewnione. Tak jak powiedziała, nazwisko było pospolite, a ona nie miała żadnych krewnych, które wyjechałyby do Włoch i poślubiły hrabiego w tamtym czasie. Wiedziałyby o tym. Nikt z jej rodziny nigdy nie mieszkał w Europie. Wszyscy zakorzenili się mocno w Nowym Jorku i trwało to już od pokoleń.

– Marguerite – odparł Phillip.

Valerie zmierzyła go zdumionym spojrzeniem.

– Cóż, to ciekawy zbieg okoliczności – zauważyła wesoło, choć wciąż bez szczególnej refleksji. – Mamy w rodzinie tuziny Marguerite. Tak miała na imię moja najstarsza siostra, moja babka i prababka. Dawniej, na początku dwudziestego wieku, imię było bardzo popularne. A nazwisko Pearson jest niemal tak powszechne jak Smith. Co za szkoda. – Roześmiała się i spojrzała na Phillipa, który również miał zaskoczoną minę. Słyszał tylko o prababce Maggie, lecz nigdy nie poznał imienia swojej praprababki. – Będziesz musiał pokazać mi katalog, gdy już go wydacie. Bardzo chciałabym obejrzeć jej biżuterię – dodała Valerie tęsknie.

– Dam ci katalog, gdy tylko go otrzymam. Była piękną kobietą, a hrabia był czarujący. Żałuję, że nie wiemy o nich więcej. Teraz zajmę się badaniem biżuterii. U Cartiera mają dokumentację każdego dzieła, które wykonali. Poproszę, aby sprawdzili, czy są w ich archiwach informacje, które mogłyby nam pomóc w promocji. W przyszłym miesiącu muszę lecieć do Paryża, uznałem więc, że sam do nich zajrzę, aby poszukać szkiców roboczych.

– To brzmi ekscytująco – wtrąciła jego matka, gdy samochód zatrzymał się przed jej budynkiem. Gdy portier otworzył drzwi, ucałowała Phillipa, podziękowała mu za towarzystwo i zniknęła w środku.

Gdy samochód ruszył, Phillip znów zaczął rozmyślać o Marguerite oraz o mailu, który zamierzał wysłać do Cartiera, a potem jego myśli poszybowały ku Jane. Następnego dnia zamierzał zwrócić jej oryginały fotografii. Zastanawiał się, czy to odpowiednia wymówka, aby zaprosić ją na lunch. Pragnął znów się z nią zobaczyć. Nie wspomniał o tym matce, ponieważ na razie nie było o czym – wiedział tylko, że Jane jest stażystką w sądzie do spraw spadkowych i że niedługo kończy studia

prawnicze. Wydała mu się jednak inteligentna, miło mu się z nią rozmawiało i chciał dowiedzieć się o niej więcej.

Następnego dnia siedział przy biurku i myślał o Jane. Fotografie Marguerite leżały przed nim. Postanowił zadzwonić i wykorzystać to jako wymówkę. Nie miał nic do stracenia, a mógł wiele zyskać, gdyby zgodziła się na lunch.

Zadzwonił pod numer, który mu podała. Jane odebrała po pierwszym dzwonku.

– Jane Willoughby – przedstawiła się miękkim, pewnym głosem.

Na ułamek sekundy zabrakło mu słów, lecz w końcu powiedział jej, że dzwoni, by powiedzieć, że może już oddać fotografie.

– Mógłbym je przesłać dzisiaj kurierem. Albo jeśli pani zechce – zaproponował, siląc się na spokój – mógłbym je pani przekazać podczas lunchu. – Nagle poczuł się głupio, był pewien, że mu odmówi. – Czy to zabrzmiało nedorzecznie? – zapytał. Ogarnęło go wrażenie, że znów ma czternaście lat. Nie był na randce od trzech miesięcy i czuł się niezręcznie. Czy ona się zgodzi?

– Będzie mi miło – odparła zaskoczona Jane. – Mogę odebrać fotografie osobiście – dodała, również czując się dziwnie. Była jednak przekonana, że to niewinne, ściśle służbowe zaproszenie. Phillip po prostu był serdeczny, ponieważ połączyło ich zainteresowanie Marguerite.

– Przekażę je pani podczas lunchu – powtórzył, ponieważ nie zbyła go, nie rozłączyła się ani nie roześmiała, czego w zasadzie się spodziewał. Żałował, że nie jest wolny dzisiaj. Niestety o trzynastej miał zebranie działu w celu omówienia zbliżającej się aukcji. – Może w poniedziałek? Pasuje pani?

– Tak – odparła uprzejmie, powtarzając sobie, że to nic nie znaczy. To tylko lunch.

– Jeśli przyjedzie pani do mnie do biura, tu niedaleko znajduje się przyjemna mała restauracja. Do tego czasu przechowam fotografie w sejfie.

– Dobrze – potwierdziła melodyjnym głosem, a gdy zaproponował, by zjawiła się w Christie's w południe, dodała: – Miłego weekendu.

– Dziękuję... Nawzajem.



Chwilę później się rozłączyli, a Phillip usiadł przy oknie i pograżył się w rozmyślaniach o niej, zastanawiając się, co będzie robić do poniedziałku i czy ma chłopaka.

Następnego ranka Jane ogarnęły wyrzuty sumienia w związku z poniedziałkowym lunchem, dlatego też napomknęła o nim Alex, gdy spotkały się w restauracji Balthazar, by po obiedzie udać się do kina. John wyjechał ze swoją grupą na weekend do Hamptons, by tam się uczyć. Nie podobało się jej to, lecz nie narzekała – wiedziała, że to tylko wzmogłoby napięcie pomiędzy nimi. Wynajmowali dom całą grupą, lecz nigdy jej tam nie zaprosił. Powiedział, że tylko oni mogą z niego korzystać.

– Chyba zrobiłam wczoraj coś głupiego – zwierzyła się Alex, gdy dojadły szalenie smaczne hamburgery.

– To znaczy? Przespałaś się ze swoim szefem? – Alex zrobiła rozbawioną minę.

– Moim przełożonym jest kobieta, prawdziwa jędza. Czasami myślę, że mnie nienawidzi – wyjaśniła Jane, myśląc o Harriet. Chodziło jej o zaproszenie na lunch. – Nie, poznałam faceta podczas tej sprawy z biżuterią. Pracuje w Christie's, w dziale biżuterii. Przekazaliśmy mu klejnoty na aukcję na rzecz stanu. Spotkaliśmy się tylko dwa razy, a on zaprosił mnie na lunch.

– Odmówiłaś? – zapytała rozczarowana Alex.

– Nie, zgodziłam się. Jem z nim lunch w poniedziałek. Ale to nie jest staroświecki dziadek z domu aukcyjnego. Mam nadzieję, że nie myśli, że to będzie randka.

– Żartujesz? Jest młody, samotny i atrakcyjny?

Jane z uśmiechem pokiwała głową.

– Jest młody i atrakcyjny. Nie wiem, czy samotny, ale tak zakładam. Tak się zachowuje.

– To dlaczego miałybyś nie iść z nim na lunch? Dlaczego? Przecież to tylko lunch. – Na twarzy Alex widać było determinację. – Przecież nie będziecie uprawiać seksu w restauracji. Potrzebujesz jakiejś miłej odmiany i męskiej uwagi. Jaki on jest? – Była ciekawa i zadowolona ze względu na przyjaciółkę. Jej związek z Johnem przypominał pustynię. Alex uważała, że taka szansa powinna była zdarzyć się już dawno temu.

Jej zdaniem Jane musiała poznawać innych mężczyzn, a John traktował ją okropnie od wielu miesięcy.

– Jest przystojny, inteligentny, dobrze się ubiera. Zna się na sztuce, lecz wylądował w dziale biżuterii Christie's, co wcale mu się nie podoba, choć wiele na ten temat wie. To miły facet. – Ogarnął ją niepokój, gdy to powiedziała, martwiła się, że źle zrobiła, godząc się na lunch. Przecież mieszkała z Johnem. Phillip nie zaprosił jej jednak na kolację, tylko na lunch.

– Ja też mogę iść? – zażartowała Alex. – Jeśli ten facet się tobą interesuje, nie mów o tym Johnowi, gdy wróci w niedzielę do domu, tylko dlatego że czujesz się winna. Nie masz ku temu powodów. Z tego, co wiesz, to tylko biznesowy lunch.

Czymkolwiek było to spotkanie, Jane nie mogła się go doczekać, chociaż się denerwowała.

– Może powinnam odwołać – powiedziała, gdy wychodziły z restauracji. – Może moja szefowa nie chciałaby, żebym jadła lunch z facetem z Christie's.

– Zabiję cię, jeśli odwołasz. Idź. To chyba miły facet. I to na pewno nie sprawa twojej szefowej, z kim jadasz lunch. To dobrze zrobi twojemu ego. – John zdecydowanie mu jej zdaniem szkodził, lecz nie powiedziała tego na głos. Ignorował Jane od miesięcy i uważał ją za pewnik w swoim życiu, o który nie trzeba się starać. Alex nie podobało się to, jak wyrażał się o Jane, choć ta zdawała się tego nigdy nie zauważać. Alex uważała go za zadufanego w sobie i lekceważącego innych aroganta. Ale dla Jane był w porządku. – Nie robisz nic złego – powtórzyła. – Dla odmiany zabaw się trochę.

– Tak, może powinnam. – Jane nie była do końca przekonana, lecz uznała, że pójdzie. Polubiła Phillipa, a jego zaproszenie jej pochlebiło, niezależnie od jego motywacji. – Pewnie chce tylko porozmawiać o aukcji – dodała, by umocnić się w tym przekonaniu.

– Racja – potwierdziła Alex, próbując dodać przyjaciółce otuchy, aby nie zżerały jej wyrzuty sumienia. – Pamiętaj po prostu, że to biznesowy lunch. Wtedy nie będzie taki przerażający.

– Inaczej by mnie nie zaprosił – oświadczyła Jane z przekonaniem. Zapewne chciał po prostu omówić jakiś aspekt aukcji.

– Oczywiście, że nie. Jesteś brzydka, głupia i nudna. Zapewne ci współczuje – odparła kpiąco Alex.

Obie wybuchnęły śmiechem, po czym poszły do kina. Kupiły bilety, popcorn i colę. Był to miły sposób na spędzenie popołudnia, a po rozmowie z Alex Jane poczuła się lepiej. Alex nie powiedziała jej, że podejrzewa, iż John sypia z Carą. Spędzał zdecydowanie za dużo czasu z nią i swoją grupą w bibliotece, wracał do domu o czwartej nad ranem lub później i znikał w Hamptons na całe weekendy, nie zapraszając Jane. Nie chciała, by Jane zaczęła panikować, lecz cieszyła się, że przyjaciółka idzie na lunch z Phillipem. Tego właśnie potrzebowała. Odrobiny męskiej uwagi ze strony kogoś nowego, nawet jeśli chodziło tylko o sprawy służbowe. Obie zapomniały o tym, gdy oglądały film. Alex nie mogła się już doczekać, aby usłyszeć, jak potoczył się poniedziałkowy lunch, i wymogła na Jane obietnicę, że ta zadzwoni jeszcze tego samego popołudnia.

Gdy Alex i Jane oglądały film, Valerie pojechała odwiedzić siostrę. Przeziębienie Winnie ewoluowało w infekcję zatok i zapalenie oskrzeli, bardzo źle się czuła. Valerie obiecała, że zrobi jej zakupy, i zjawiała się z rosółem z pobliskich delikatesów oraz torbą pełną świeżych owoców i pomarańczy, które przeznaczyła na sok.

Winnie mieszkała na skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Park Avenue, czyli daleko od wygodnego mieszkania Valerie w SoHo. Zajmowała ten sam apartament od trzydziestu lat. Wystrój był ponury, złożony z ciemnych angielskich antyków. Valerie zawsze czuła w nim chęć, by rozsunać zasłony i wpuścić do środka słońce, lecz grobowa atmosfera pasowała do jej siostry. Winnie czuła się okropnie. Valerie poszła do kuchni, aby wycisnąć sok z pomarańczy, a kilka minut później wróciła ze szklanką. W tygodniu do Winnie przychodziła pomoc domowa, lecz w weekendy nie miała nikogo, a kompletnie nie umiała o siebie zadbać. Valerie włożyła zakupy do lodówki i poleciła siostrze odgrzać później zupę w mikrofalówce, na co Winnie odpowiedziała ponurym spojrzeniem. Lekarz zapisał jej antybiotyki, które jej zdaniem nie działały.

– Może to zapalenie płuc. Powinam zrobić w przyszłym tygodniu prześwietlenie – oświadczyła nerwowo.

– Myślę, że wyzdrowiejesz – zapewniła Valerie spokojnie, podając jej gazety, które przyniosła dla rozrywki.

– Szczepiłam się na gripę przed świętami i na zapalenie płuc też. Chyba nie zadziałało – kontynuowała Winnie z wyrazem paniki na twarzy. W tym roku kończyła siedemdziesiąt dziewięć lat, czyli miała już prawie osiemdziesiąt, jak często powtarzała. To ją przerażało. Bała się śmierci i wiecznie przesiadywała u lekarza.

Wypiła sok pomarańczowy i sięgnęła po maalox, aby ustrzec się przed zgagą. Codziennie zażywała tuzin różnych witamin, a mimo to chorowała. Valerie próbowała nie żartować na ten temat. Winnie traktowała swoje zdrowie bardzo poważnie, choć jej córka Penny powtarzała, że jest silna jak koń i że przeżyje ich wszystkich.

– Co robiłaś w tym tygodniu? – zapytała Valerie, aby oderwać jej myśli od choroby.

– Nic. Chorowałam – odparła Winnie, gdy usiadły w małym salonie, w którym samotnie oglądała wieczorami telewizję. Nie wychodziła z domu równie często jak siostra, przyjaciół miała nielicznych i brakowało jej zainteresowań, poza tym, że dwa razy w tygodniu grała w brydża. Była w tym niezła. Valerie brydż okropnie nudził, lecz nigdy tego nie mówiła. Przynajmniej dzięki niemu Winnie miała zajęcie i spotykała się z ludźmi.

– Brakowało nam cię na gali w muzeum w czwartek. Mieliśmy dobry stolik. Zaprosiłam Phillipa. – Valerie wiedziała, że gdyby poszła z Winnie, siostra nalegałaby na wyjście zaraz po kolacji. Nienawidziła czuwać do późna, potrzebowała snu. – Rozmawiałaś ostatnio z Penny?

– Nigdy do mnie nie dzwoni – oświadczyła Winnie kwaśno.

Jej relacja z córką od lat była napięta, narzekała, że wnuki nigdy jej nie odwiedzają. Dzieci uwielbiały przychodzić do Valerie i przesiadywać w jej pracowni, lecz Valerie nigdy nie mówiła o tym starszej siostrze ani też nie przyznawała się, że czasami je z Penny lunch, aby dziewczyna mogła ponarzekać na matkę. Penny skarżyła się na to samo, co dawniej Valerie. Winnie, tak jak jej matka, była zimną kobietą, która zawsze uważała, że szklanka jest do połowy pusta.

– Phillip zajmuje się teraz ciekawą sprawą – oświadczyła Valerie, aby rozerwać siostrę.

Trudno było znaleźć temat, na który Winnie nie wygłaszałyby niemiłych uwag. Wiecznie coś ją irytowało: podatki, opłaty bankowe, wahania na giełdzie, niegrzeczne wnuki, sąsiad, z którym się kłóciła. Zawsze coś jej dokuczało. Majątek odnaleziony przez Phillipa wydawał się jednak tematem neutralnym.

– Sąd do spraw spadkowych zwrócił się do niego z prośbą o wycenę zawartości porzuconej skrytki depozytowej. Znaleźli tam biżuterię wartą miliony. Jej właścicielka zmarła, nie zostawiając testamentu, nie zgłosili się żadni spadkobiercy, więc wszystko trafi na aukcję, którą Christie's zorganizuje na rzecz państwa.

– Biorąc pod uwagę wysokość podatków, to państwo naprawdę nie potrzebuje dodatkowych milionów ze sprzedaży biżuterii – mruknęła Winnie ponuro. – Jeśli ta kobieta miała tylko tę biżuterię, dlaczego nie zostawiła testamentu? – Uznała to za niedorzeczność.

– Kto wie? Może nie miała jej komu zapisać. A może była chora lub zdezorientowana. To podobno Amerykanka, która wyszła za włoskiego hrabiego podczas wojny. To romantyczna historia i ciekawy zbieg okoliczności: miała na nazwisko Pearson, tak jak my. Co więcej, na imię miała Marguerite. Phillip pytał, czy możemy być z nią spokrewnieni, czy może była naszą kuzynką, lecz ja nie znam nikogo w naszej rodzinie, kto mieszkałby we Włoszech i poślubił włoskiego hrabiego. Zmarła siedem miesięcy temu, miała dziewięćdziesiąt jeden lat. W sumie – Valerie zrobiła zamyśloną minę – tyle samo lat miałyby nasza siostra, gdyby żyła. To jeszcze dziwniejsze. – Gdy tylko to powiedziała, poczuła się tak, jakby elementy układanki zaczęły do siebie pasować lub obróciły się kółka zębate jakiejś maszyny. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, lecz co jeśli Marguerite nie umarła, gdy byłyśmy małe, tylko przeniosła się do Włoch i poślubiła hrabiego? Nasi rodzice na pewno by tego nie pochwalili i udawaliby, że umarła. Czy to nie byłoby wspaniałe? – mówiła z namysłem, rozważając tę wizję.

Siostra spojrzała na nią, przerażona jej słowami.

– Czyś ty oszalała? Matka nigdy nie przeboleła jej śmierci. Opłakiwała Marguerite, naszą Marguerite, naszą siostrę, która zmarła, przez resztę swojego życia. Nie mogła znieść nawet widoku jej fotografii, taka była załamana, a tatuś zabronił nam o niej mówić.

Valerie miała takie same wspomnienia.

– Może była załamana, ponieważ Marguerite poślubiła włoskiego hrabiego. Uważasz, że nasi rodzice pogodziliby się z czymś takim? – Zawsze dziwiło ją, że po śmierci matki nie znalazły ani jednego zdjęcia najstarszej siostry pośród jej rzeczy. Założyła, że fotografie schowano, lecz jeśli tak, nigdy ich nie odnalazły. Nie miały żadnych zdjęć najstarszej siostry, nawet jako dziecka, choć Winnie twierdziła, że ją pamiętała, w co Valerie bardzo wątpiła. Pomysł, który przyszedł jej do głowy, wydał się jej fascynujący, lecz Winnie patrzyła na nią z nieskrywaną dezaprobatą.

– Próbujesz przekonać mnie lub siebie, że jesteś spadkobierczynią biżuterii wartej miliony, którą Christie's wystawia na aukcji? Aż tak brakuje ci pieniędzy? Myślałam, że masz jeszcze polisę Lawrence'a. – Na pewno jednak nie aż tyle, ile są warte te klejnoty.

Valerie spojrzała na nią, jakby jej słowa były nie tylko niegrzeczne, ale też całkiem niedorzeczne.

– Oczywiście, że nie. Nie interesują mnie pieniądze. Ale ta historia jest intrygująca. Jak brzmiało drugie imię Marguerite?

– Nie jestem pewna – odparła wzburzona Winnie. – Matka i tatuś nigdy o tym nie mówili.

– Może Wallace? Takie imię wymienił Phillip, gdy mnie o nią pytał.

– Nigdy nie słyszałam tego imienia, a z twoim umysłem chyba coraz gorzej – mruknęła Winnie gniewnie.

Zdaniem Valerie w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek przypominała ich matkę. W ich domu zawsze istniały tematy, na które nie wolno było rozmawiać, i należała do nich ich najstarsza siostra. Przez wiele lat, gdy dorastały, powtarzano im, że śmierć ich siostry w tak młodym wieku była tragedią dla matki, po której nigdy się nie podniosła. Nie wolno im było wspominać o tym ani o niczym, co miałoby związek z Marguerite. Jakby nigdy nie istniała. Była od nich o tyle starsza, że nigdy jej nie poznały. Jakby to Marguerite była ich prawdziwym dzieckiem, a Winnie i Valerie – tylko intruzami, niemile widzianymi gośćmi w domu rodziców. Valerie nawet bardziej niż Winnie, ponieważ przez całe życie bardzo się od nich różniła, tak jak

teraz od Winnie.

– Jak śmiesz wymyślać takie teorie i kłaść pamięć naszej siostry, hańbić naszych rodziców? Byli miłymi, dobrymi, kochającymi ludźmi, niezależnie od tego, co teraz o nich mówisz.

– Nie wiem, jacy byli twoi rodzice – odparła Valerie chłodno, patrząc Winnie prosto w oczy. – Moi mieli lód w żyłach i kamienne serca, ojciec, a przede wszystkim matka, o czym dobrze wiesz. Lubiła cię bardziej, ponieważ byłaś do niej podobna. Nawet wyglądasz jak ona. Mnie nie znosiła, i to też wiesz. Tata przeprosił mnie nawet za to przed śmiercią, powiedział, że miała trudności z „zaakceptowaniem” mnie, ponieważ była już w poważnym wieku, gdy mnie urodziła, co jest marną wymówką dla tego, jak mnie traktowała. Miałam czterdzieści lat, gdy na świat przyszedł Phillip, i był to najszczęśliwszy dzień mojego życia, wciąż jest.

– Matka była starsza i przeszła trudny okres. Zapewne cierpiała na depresję – oświadczyła Winnie.

Zawsze żarliwie broniła matki, co Valerie przestała robić wiele lat temu. Ich matka była okrutną kobietą i złą matką, zwłaszcza wobec Valerie. Drugą córkę traktowała niewiele lepiej, lecz Winnie się z tym pogodziła, w przeciwieństwie do Valerie. Wobec Winnie matka była zimna, lecz Valerie traktowała czasami wręcz okrutnie, czego nigdy nie okazała Winnie.

– Chorowała na depresję przez całe moje życie? – mruknęła Valerie ironicznie – Nie sądzę, choć to niezła historyjka. Myślę, że roi się tu od osobliwych zbiegów okoliczności. Wiek tej kobiety, która zostawiła biżuterię, fakt, że nasza siostra była tematem tabu, i ta dziewczyna, która wyjechała do Włoch i została hrabiną mniej więcej w tym czasie, kiedy nasza siostra wyjechała i zmarła rok później. Co miałyby niby robić we Włoszech podczas wojny? Nigdy o tym nie mówili, a nam nie wolno było pytać. Nie chcesz dowiedzieć się więcej? A jeśli przez wszystkie te lata żyła, a zmarła niedawno? Ile może być na świecie Marguerite Pearson w tym wieku? A jeśli była z nami spokrewniona, Winnie? Nie chcesz się dowiedzieć? – Valerie nie mogła przestać myśleć o wszystkich tych możliwościach. Pragnęła odpowiedzi, lecz mogła tylko zgadywać.

– Chcesz biżuterii i pieniędzy – oskarżyła ją Winnie.

Valerie wstała, niezadowolona.

– Jeśli naprawdę tak uważasz, w ogóle mnie nie znasz. Przecież wiesz lepiej. Po prostu boisz się dowiedzieć, co mogli przed nami ukrywać. Dlaczego? Na co nam teraz te wszystkie tematy tabu? Kogo chronisz? Ich czy siebie? Aż tak się boisz, że nie chcesz poznać prawdy?

– Znamy prawdę. Nasza siostra zmarła na gripę podczas podróży do Włoch. Miała dziewiętnaście lat, to złamało serce naszej matce. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Trwała wojna, Winnie. Co ona tam robiła? Odwiedzała Mussoliniego? – Gdy Valerie dorosła, zaczęła dziwić się temu, że ich siostra wyjechała do Włoch podczas wojny bez żadnego powodu. Nie miała jednak kogo o to zapytać.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Nie żyje od siedemdziesięciu trzech lat. Po co to wszystko teraz odgrzebywać? Kalać pamięć naszych rodziców? Jedyne powód, jaki przychodzi mi do głowy, jest taki, że chcesz udowodnić swoje prawo do spadku w postaci biżuterii licytowanej przez Christie's. Phillip cię na to namówił? On też maczał w tym palce? – zapytała Winnie oskarżycielsko.

– Oczywiście, że nie. Powiedziałam mu, że nie byliśmy z nią spokrewnieni. Teraz jednak zaczęłam się nad tym zastanawiać. Może jesteśmy. Może nie była naszą kuzynką. Może to nasza siostra poślubiła włoskiego hrabiego. Może nigdy nie dowiemy się prawdy, lecz w naszym wieku wolno nam przynajmniej zapytać.

– A kto powie ci prawdę? Matka i ojciec nie żyją. Nie mam żadnych zdjęć. Nikt więcej nie wie. Ja nie chcę wiedzieć. Miałyśmy siostrę, która, co nam powiedzieli z całkowitym przekonaniem nasi rodzice, zmarła w 1943 roku. To mi wystarczy. Jeśli nie chcesz pieniędzy ani biżuterii, która do nas nie należy, zostaw tę sprawę.

– Nie chodzi o pieniądze ani biżuterię. Chodzi o prawdę. Mamy do niej prawo. Zawsze miałyśmy. Nasi rodzice pozbawili nas miłości, uczuć i dobroci, gdy dorastałyśmy. Może pozbawili nas też siostry. Gdyby żyła, mogłybyśmy ją odszukać i spotkać się z nią jako dorosłe osoby. Może przez cały ten czas żyła. Jeśli tak, chcę to teraz wiedzieć.

– Zawsze demonizowałaś naszych rodziców, a oni na to nie



zasłużyli. Pozwól im spoczywać w pokoju. Co oni ci takiego zrobili, że ich nie szanujesz? Teraz nie mogą się bronić – zaprotestowała rozwścieczona Winnie.

– Nie kochali mnie, Winnie, dobrze o tym wiesz. Nie jestem nawet pewna, czy kochali ciebie, czy byli do tego zdolni. Wiem tylko, że mnie nie kochali. Czułam to każdego dnia mojego życia, zanim wyprowadziłam się z domu i wyszłam za Lawrence’a. – Powiedziała to cicho i z ogromną siłą. Taka była prawda o jej życiu.

– Kłamiesz – powiedziała Winnie. Wstała, trzęsąc się z gniewu. – Wynoś się z mojego domu! – krzyknęła do młodszej siostry.

Valerie dostrzegła w jej oczach strach, prawdziwe przerażenie, lęk przed przeszłością, z którą nie mogła się zmierzyć, i przed wszystkim, czego nie chciała wiedzieć. Pokiwała głową i wyszła bez słowa. Głosu prawdy, której szukała, nikt już jednak nie zdołałby uciszyć.

## Rozdział 8

Phillip spędził weekend na łodzi jak zwykle. Valerie miała plany na niedzielny wieczór. Powiedziała mu, że je kolację ze znajomymi. Wiedział, że interesują się nią mężczyźni w jej wieku, darzący ją podziwem, zazwyczaj wdowcy. Nigdy jednak nie przejawiała żadnego zainteresowania nimi i traktowała ich jak przyjaciół. Jasno dała synowi do zrozumienia przy kilku różnych okazjach, że jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała i kiedykolwiek pokocha, był jego ojciec, w co nietrudno mu było uwierzyć, ponieważ pamiętał, jacy byli razem szczęśliwi. Valerie umawiała się ze znajomymi, choć nie na randki.

Phillip zamierzał trochę popracować w domu, lecz zajrzał do niej po drodze do swojego mieszkania. Najpierw zadzwonił, by się upewnić, że już wróciła. Zrobiła herbatę, po tym jak odmówił drinka. Wydała mu się przygaszona, dlatego zapytał, co się stało.

– Nic, nic. Nic mi nie jest – odparła szybko, czym go nie przekonała.

– Co robiłaś w weekend? – Martwił się o nią, a tego wieczoru miała wyjątkowo smutne oczy.

– Wczoraj widziałam się z Winnie.

– I jak było? – Wiedział, jaka trudna i irytująca potrafi być ciotka. Kuzynka Penny często mu się zwierzała.

Matka uśmiechnęła się chłodno.

– Winnie zachowywała się jak typowa Winnie. Jest chora, co znacznie popsło jej nastrój. – Zwłaszcza gdy Valerie zasugerowała, że matka nigdy ich nie kochała i mogła je okłamać w sprawie Marguerite.

– Jesteś święta – oświadczył Phillip z naciskiem. Sam unikał ciotki jak ognia. Wiele lat temu zrezygnował z prób nawiązania z nią jakiegokolwiek relacji.

Zaczęli rozmawiać o wystawie południowoamerykańskich artystów, którą Valerie zwiedziła w weekend – bardzo się jej podobała – i o kolejnej wystawie, na którą zamierzała wybrać się do Metropolitan Museum. Potem wróciła do tematu swoich rozmyślań. Nie chciała zdradzić synowi zbyt wiele, dlatego też przyjęła swobodny ton, poruszając tę kwestię.

– Znów myślałam o twojej dużej aukcji, tej dotyczącej zawartości porzuconej skrytki depozytowej. Może ci się to wydać niedorzeczne, lecz bardzo chciałabym zobaczyć fotografie Marguerite... a w zasadzie wszystkie, jakie masz. Mówiłeś, że umieścisz kilka w katalogu, lecz chciałabym je wcześniej zobaczyć. Nigdy nie wiadomo, gdzie znajdę inspirację... Może dzięki nim coś namaluję. Ta historia nie daje mi spokoju, tak jak to, że umierała sama, mimo iż wiodła bardzo wystawne życie, gdy była młoda, i poślubiła hrabiego. – Próbowwała mówić jak artystka i amatorka historii, aby nie zdradzić osobistych powiązań z tą sprawą.

Phillip się zamyślił.

– Sam mam tylko kilka zdjęć, zamierzałem je zwrócić urzędnicze sądowej jutro podczas lunchu. Jestem przekonany, że nie może ich tak po prostu rozdawać, sąd do spraw spadkowych jest za nie odpowiedzialny, tak jak za wszystkie papiery, czy to korespondencję, czy dokumenty. Urzędniczka, która zajmuje się tą sprawą, jest jednak bardzo miła, to studentka prawa. Może zgodzi się wykonać dla ciebie kopie, jeśli ją poproszę. Zapytam ją, gdy będę jej jutro oddawał te, które pożyczyłem.

Sposób, w jaki to powiedział, od razu przykuł uwagę Valerie, mimo iż Phillip zachował neutralny ton. Za dobrze go znała.

– Czyżbym wyczuwała jakieś inne motywy niż samo przekazanie zdjęć do sądu?

Jej słowa go zdumiały. Zawsze miał wrażenie, że matka potrafi zajrzeć w głąb jego duszy. Gdy był mały, wydawało mu się to niemal nienaturalne. Zawsze wiedziała, co knuje, jakby czytała mu w myślach.

– Oczywiście, że nie. Była bardzo pomocna. Widziałem się z nią tylko dwa razy w banku – odparł, zbywając ją.

Miała jednak szczególne przeczucie, że coś jest na rzeczy.

– Czasami to wystarczy. – Uśmiechnęła się do niego, nie chcąc mówić o swoich podejrzeniach co do tego, że rodzice okłamali ją w sprawie Marguerite. – Tak czy inaczej, zapytaj, czy byłaby gotowa je skopiować. Chciałabym obejrzeć wszystkie fotografie, jeśli to tylko możliwe.

Jej stanowczość wzbudziła w nim ciekawość. On również dobrze ją

znał.

– Istnieje jakiś szczególny powód? – zapytał otwarcie.

– Nie. Po prostu żywię silne uczucia wobec tej kobiety.

Współczuję jej. Musiała być taka samotna. I to zdumiewające, że przez cały ten czas miała tę biżuterię. Kryje się za tym chyba jakaś potężna historia miłosna.

– Nie pomyślałem o tym w ten sposób. Klejnoty są bardzo piękne i wiele warte – odparł szczerze.

– Założę się, że to nie dlatego je zatrzymała, w przeciwnym razie sprzedalaby je dawno temu, zwłaszcza jeśli potrzebowała pieniędzy. – Fakty z życia tej kobiety zabrzmiały bardzo smutno, gdy Phillip je relacjonował. Teraz tak jak Jane, Valerie nie mogła przestać o niej myśleć.

To akurat rozumiał.

– Nie ciekawi cię ta zbieżność waszych panieńskich nazwisk? – Nie było to pytanie z podtekstem, po prostu chciał wiedzieć.

– Nieszczególnie, choć podejrzewam, że może nas coś łączyć.

Nie rozwinęła myśli, wstała i zaniósła filiżanki do kuchni, po czym zmieniła temat. Miała nadzieję, że jej prośba wyda owoce i że młoda urzędniczka sądowa, o której wspomniał Phillip, przekaże mu kopie zdjęć. Nie ośmieliłaby się znów o tym napomknąć ani też powiedzieć synowi wprost, czego chciałyby się dowiedzieć. W zasadzie sama nie była pewna, czego szuka, zwłaszcza że nigdy nawet nie widziała fotografii najstarszej siostry. Miała jednak nadzieję, że natknie się na jakąś wskazówkę co do ich pokrewieństwa. Nigdy nic nie wiadomo. Musiała o to zapytać. Przez cały poprzedni dzień nie myślała o niczym innym. Gorączkowe zaprzeczenia Winnie tylko wzmożyły jej ciekawość. Teraz naprawdę pragnęła poznać Marguerite di San Pignelli, nawet jeśli istniał tylko jeden sposób – przejrzanie zawartości depozytowej skrytki.

Następnego ranka przed spotkaniem z Jane Phillip wysłał maila do Cartiera z pytaniem o archiwa. Wiedział, że przechowują szkice wszystkich wykonanych projektów, zwłaszcza jeśli zamawiali je ważni ludzie lub biżuteria wyróżniała się urodą. Cartier szczyił się swoimi archiwami. W mailu wyjaśnił, że Christie's będzie sprzedawał kilka ich wyrobów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku,

które należały do hrabiny di San Pignelli. Podał im również dane Umberta oraz dodał, że małżeństwo mieszkało w Neapolu i Rzymie w latach 1942–1965, czyli w okresie od przybycia Marguerite do Europy aż do śmierci jej męża. Wątpił, aby biżuteria została zamówiona później. Wyjaśnił, że chciałby wiedzieć o klejnotach wszystko – kto je zamówił, kiedy i z jakiego powodu. Ciekaw był również oryginalnych cen, choć nie miały one związku z obecną wartością przedmiotów. Pomogłoby mu również pochodzenie kamieni. Każda informacja od Cartiera wzbogaciłaby katalog i mogłaby pobudzić zainteresowanie aukcją. Poprosił, aby przesłali mu mailem wszystko, co tylko możliwe, i dodał, że będzie w Paryżu pod koniec marca na aukcji biżuterii organizowanej przez paryski oddział Christie's. Zapytał, czy mógłby się w tym czasie spotkać z dyrektorem archiwów.

Podobnego maila wysłał do Van Cleefa i Arpelsa. Miał jeszcze czas, by odbyć kilka rozmów telefonicznych, zanim zjawiała się Jane. Właśnie kończył ostatnią rozmowę – umawiał się na wycenę – gdy Jane weszła do imponującego, wysokiego na trzy poziomy, ozdobionego ogromnym murałem holu, po czym wsiadła do windy, która dowiozła ją do działu biżuterii na szóstym piętrze. Niemal oniemiała z zachwytu, gdy weszła do środka. Spodziewała się typowego budynku biurowego, lecz Rockefeller Center nie miał w sobie nic typowego. Siedziba Christie's mieściła się tu od osiemnastu lat. Młoda kobieta w prostym czarnym kostiumie i ze sznurem pereł na szyi zadzwoniła do biura Phillipa i uprzedziła go, że panna Willoughby czeka na niego w recepcji. Phillip uśmiechnął się i od razu wstał od biurka.

Wyszedł jej na spotkanie, wyraźnie się ciesząc, po czym zaprowadził ją do swojego ładnego gabinetu, w którym stało ogromne biurko.

– To tutaj organizujecie te wszystkie ważne aukcje – powiedziała Jane z uśmiechem. Gdy nagle znalazła się w środku, wszystko wydało się jej bardzo realne.

– Tylko niektóre. Ja nie podejmuję decyzji, lecz je realizuję. A oddziały mamy rozsiane po całym świecie.

Opowiedział jej o zbliżającej się aukcji w Paryżu. Rodzina Marii Antoniny zamierzała sprzedać część biżuterii królowej, którą posiadali

od czasów rewolucji. Zaproponowali, że sprzedadzą ją muzeum, lecz to nie było w stanie zapłacić żądanej ceny, dlatego też ostatecznie klejnoty trafiły na otwartą aukcję wraz z innymi ważnymi historycznymi pamiątkami. Za odpowiednie miejsce do przeprowadzenia takiej aukcji uznali Paryż. Istotne licytacje często odbywały się także w Londynie i Genewie, lecz zazwyczaj to Nowy Jork był ich główną siedzibą. Wyjaśnił też Jane, że niezależnie od lokalizacji ludzie licytują przez telefon albo zjeżdżają się do miasta z całego świata.

– To bardzo ekscytujące – ciągnął – zwłaszcza jeśli licytacja staje się zacięta, a kilkoro aktywnych zainteresowanych postanawia nabyć ten sam przedmiot. Wtedy cena szybuje do nieba. Wszystko zależy od determinacji zainteresowanych. Biżuteria wywołuje emocje, ale naprawdę wysokie ceny osiąga sztuka. Tam nie chodzi tylko o emocje, lecz głównie o interes i inwestycję. Sztuka jest postrzegana jako lepsza inwestycja niż klejnoty. W trakcie aukcji biżuterii jednak także bywa gorąco. Podczas aukcji Elizabeth Taylor w 2011 roku ceny przebiły sufit. Żadna inna kolekcja nie osiągnęła dotąd takiej ceny. Kobieta i jej biżuterię często otacza tajemnica. Tylko garstka osób może wywołać takie emocje i popyt jak księżna Windsoru. Nawet jej chusteczki do nosa kosztowały fortunę. – Uśmiechnął się do Jane i dodał tytułem wyjaśnienia: – Dopiero zacząłem tu pracę, jeszcze w dziale sztuki, a aukcja przedmiotów należących do Elizabeth Taylor była moją pierwszą w tym domu aukcyjnym. Sprzedaliśmy też część jej obrazów. Miała wspaniałą kolekcję, głównie prezenty od Richarda Burtona. Łączył ich burzliwy związek, lecz on był wobec niej bardzo hojny. Była kobietą, która prowokowała do takich zachowań. Aukcja jej ubrań również przyniosła fortunę, jakby kobietom wydawało się, że jeśli włożą element jej garderoby, staną się nią lub przyciągną podobną miłość i namiętność jak ona. To wszystko jest częścią aukcyjnej magii i właśnie dlatego powinniśmy przybliżyć postać Marguerite di San Pignelli potencjalnym kupcom. Pochodzenie klejnotów, ich poprzedni właściciel są bardzo ważne dla wielu inwestorów.

Te słowa porwały Jane. Jego opowieści o aukcjach były magiczne. Nigdy nie czuła podobnych emocji.

– Bardzo chciałabym przyjść na aukcję – wyznała cicho, gdy

wyszli z jego biura.

– Mówiłem już, jeśli tylko chcesz, możesz usiąść na sali albo ze mną przy telefonach i słuchać, co się dzieje. Atmosferę mogą podkreślać zwłaszcza wysokie ceny.

Wciąż jeszcze szacowali wartość klejnotów, a ostateczne rezultaty zawsze trudno było przewidzieć – wszystko zależało od determinacji kupca, albo nawet lepiej kilku kupców, którzy prowadzili prawdziwą bitwę. Sprzedawca i dom aukcyjny zawsze na to liczyli – na nabywcę, który pragnął zwycięstwa niezależnie od kosztów. Phillip marzył o tym, by klejnoty Marguerite wywołały takie zainteresowanie, i wiedział, że im więcej w katalogu informacji, emocji, tajemniczości i szumu, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. W tym wypadku akurat beneficjentem miał być stan Nowy Jork, niemniej etos pracy kazał mu działać na rzecz jak najlepszych rezultatów. Klejnoty, które sprzedawali, zasługiwały na to.

Wyjaśnił to wszystko Jane, gdy szli przez lobby. Opuścili budynek i pokonali dwie przecznice. Restauracja była malutka, lecz przytulna; urocza i sympatyczna knajpka. Poprosił o stolik w spokojnym miejscu. Jane usiadła naprzeciwko i uśmiechnęła się do niego. Okazał się interesującym rozmówcą, dzięki czemu opanowała nerwy. To wyraźnie nie była randka, a Alex miała rację – nie istniały żadne powody, by dręczyły ją wyrzuty sumienia. Chodziło tylko o nadchodzącą aukcję i ich zaangażowanie w nią. Teraz czuła się głupio, że się tym martwiła.

– Jak spędziłaś weekend? – zapytał.

– Byłam w kinie z przyjaciółką – odparła łagodnie. – Potem uczyłam się do egzaminu adwokackiego i pisałam pracę końcową.

– Nie brzmi to szczególnie zabawnie – uznał, robiąc pełną współczucia minę. Wydała mu się poważną osobą, podziwiał ją też za to, co zrobiła w sprawie Pignelli. – Jakie prawo chcesz praktykować? – zapytał z zainteresowaniem.

– Prawo rodzinne. Chcę reprezentować dzieci. Gdy rodzice się rozwodzą, często zapominają o tym, co jest najlepsze dla dziecka. Wszystkie te przepychanki, opieka naprzemienna, gdy dziecko zmienia dom co kilka dni, by oboje rodzice mieli poczucie wygranej, w ostatecznym rozrachunku niszczą dziecko. Tu chcę zacząć, w firmie

zajmującej się prawem rodzinnym, i zobaczę, do czego to doprowadzi. Rodziny zastępcze, praca z ubogimi dziećmi. Możliwości jest mnóstwo.

– Nie interesuje cię więc ani prawo majątkowe, ani prawo podatkowe? – zapytał z uśmiechem.

– O nie! – Roześmiała się. – Nie przychodzi mi do głowy nic gorszego. Ta sprawa okazała się naprawdę interesująca, lecz wszystko inne, czym zajmowałam się w sądzie do spraw spadkowych, było nużące i przygnębiające. – Gdy zamówiła suflet serowy, a John *confit* z kaczki, zapytała: – A ty? Co robiłeś w weekend?

– Spędziłem weekend z kochanką – odparł rzeczowym tonem. Jane zdębiała.

– To miło – powiedziała, próbując zachować otwarty umysł. To tylko potwierdzało, że zdecydowanie nie byli na randce. I to tyle, jeśli chodzi o Alex i jej rojenia.

Phillip zrobił niewinną minę i uśmiechnął się do niej.

– To dziewięciometrowa klasyczna czterdziestoletnia łódź żaglowa, którą trzymam na Long Island. Pożera wszystkie moje pieniądze, całą energię i uwagę. W każdy weekend się nią zajmuję. Myślę, że to definicja kochanki. Tyle że bycie z nią to czysta radość. Nie umiem się od niej uwolnić ku niezadowoleniu każdej kobiety, z którą się dotąd umawiałem. Nazywa się *Sallie*. Może chciałabyś ją poznać, gdy nieco się ociepli? Teraz na zatoce Long Island jest naprawdę zimno. – Wprawdzie jemu to nie przeszkadzało. Wypływał niezależnie od pogody, zimą i latem.

Jane dostrzegła miłość w jego oczach i wybuchnęła śmiechem.

– Łódź to trudna rywalka dla większości kobiet, chyba nawet trudniejsza niż kochanka. Mój ojciec ma łódź na jeziorze Michigan. Moja matka utrzymuje, że to jedyna rywalka, jaką kiedykolwiek miała. Pływałam z nim w każdy weekend, gdy byłam mała. – Nie dodała, że łódź jej ojca jest trzy razy większa. – Ta łódź jest miłością jego życia.

– A *Słodka Sallie* jest moją – oświadczył Phillip dumnie, bez skruchy czy wstydu. Uważał, że szczerłość od samego początku to najlepsza taktyka.

– Chciałabym ją kiedyś zobaczyć – przyznała Jane swobodnie. – Jako dziecko przez trzy lata z rzędu jeździłam na obozy



żeglarskie do Maine. Byłam chłopczycą i nie miałam rodzeństwa, więc ojciec nauczył mnie żeglować. Potem w liceum odkryłam wysokie obcasy i makijaż i straciłam serce do żeglowania. Nadal jednak z nim wypływam, gdy jadę do domu. Moja matka tego nienawidzi, więc ojciec zawsze nalega, abym to ja z nim pływała.

– *Sallie* odpowiada za porażki większości moich związków – odparł ze skrucą Phillip. – Jakim cudem przetrwało małżeństwo twoich rodziców? A może się rozwiedli? – Dowiadywał się o niej nowych rzeczy i podobało mu się to, co słyszy.

– Nie, wciąż są razem. Myślę, że wiele lat temu osiągnęli kompromis. Ojciec nie prosi już, aby mama z nim wypływała, za to ona nie oczekuje, że będzie z nią jeździł na nartach. Moja mama w college’u była mistrzynią narciarstwa i zdobyła brązowy medal na olimpiadzie w narciarstwie zjazdowym. Nadal to kocha, a ojciec nienawidzi nart, więc każde z nich robi to, co lubi. Ode mnie oczekiwali zainteresowania obiema dziedzinami, lecz na stoku nie dorównuję mamie. Ona jeździ w Alpach francuskich i uprawia heliskiing w Kanadzie.

– Moja matka jest artystką i jest w tym całkiem niezła, w zasadzie świetna. Ja nie potrafię narysować prostej linii. Mój ojciec był profesorem historii sztuki, więc zainteresowania odziedziczyłem po nim. Zawsze kochałem sztukę i łodzie. – Uśmiechnął się.

– Ja mam taki stosunek do prawa – wyznała, gdy jedli – i do przegranych spraw. Mam też emocjonalny stosunek do ochrony praw dzieci. Pracowałam w poradni prawnej dla dzieci w Detroit w czasie wakacji w college’u, a potem, zanim zaczęłam studia – jako asystentka prawna w ACLU\*. W końcu postanowiłam przestać się obijać i zrobić licencjat. To były trudne trzy lata. Sąd do spraw spadkowych okazał się w porównaniu z tym wszystkim wyjątkowo spokojny, aż do teraz. Praca tam polega na pozbywaniu się majątków ludzi, którzy nie mieli komu ich zostawić, nigdy o tym nie pomyśleli albo im nie zależało, i na mediowaniu pomiędzy chciwymi krewnymi, którzy nie interesowali się właścicielem majątku, gdy ten jeszcze żył. To nie jest wesołe zadanie. Nie mogłabym tego robić do końca życia. Z trudem przetrwałam te trzy miesiące. Mam też wyjątkowo nieprzyjazną szefową. To chyba

nieuniknione, że człowiek staje się cyniczny i kwaśny, mając z tym wszystkim codziennie do czynienia. Myślę, że ona też wie o nieszczęśliwym życiu. Nigdy nie wyszła za mąż, mieszka z chorą matką. Jest bardzo samotną kobietą. Ostatnio stała się dla mnie miłsza, ale początki miałyśmy trudne. – Harriet obdarzyła ją większym zaufaniem po sprawie Pignelli, lecz Jane nie wyobrażała sobie, by mogły się zaprzyjaźnić lub chociaż zjeść razem lunch w pracy. Harriet utrzymywała służbowy dystans, była wyjątkowo powściągliwa. Jane miała wrażenie, że jej szefowa nie ma żadnego życia poza pracą i że wieczory i weekendy poświęca opiece nad matką.

– Jak już wspominałem, ja też nie byłem zadowolony z przeniesienia do działu biżuterii – wyznał Phillip. – Za wszelką cenę chciałem wrócić do sztuki. Ta aukcja wzbudziła jednak moje zainteresowanie. Coś mnie w niej poruszyło. – Tak jak spotkanie z Jane, czego jednak nie powiedział. Nie chciał zabrzmieć głupio ani miękko, nie chciał też jej wystraszyć. Jane była bardzo szczerą i prawdziwą, co mu się podobało, niemal tak jak klejnoty i ich tajemnicza właścicielka. Coraz bardziej lubił z nią rozmawiać.

Gawędzili swobodnie podczas lunchu, wymieniając się doświadczeniami w swoich dziedzinach i poglądami na różne tematy, takie jak związki, podróże czy sport. Opowiedział jej, jak bardzo podobały mu się służbowe wyjazdy do Hongkongu i że choć biżuteria wydawała mu się na początku mało wyszukana, tak jak ludzie, którzy nią handlowali, nefryty go zafascynowały. Jego zdaniem są nieskończoną zagadką – niewiele osób się na nich zna. W końcu przypomniał sobie prośbę matki.

– To może zabrzmieć głupio, lecz moja matka całkiem straciła głowę, gdy opowiedziałem jej o Marguerite i aukcji. Chyba czuje z nią jakąś więź, ponieważ noszą to samo nazwisko panieńskie, choć nie są spokrewnione. Jako artystka ma bardzo bujną wyobraźnię i zawsze interesują ją ukryte aspekty różnych spraw. Jest bardzo twórcza, przy tym ma dobre serce. Zapytała, czy mogłaby zobaczyć wszystkie zdjęcia ze skrytki depozytowej, by mogła nieco lepiej poznać Marguerite. Uznała, że to może ją zainspirować do namalowania obrazu, niekoniecznie samej Marguerite, lecz kogoś podobnego do niej. Czasami

trudno zrozumieć, jak myślą artyści. Chciałaby zobaczyć zdjęcia nie tylko hrabiny, ale też Umberta, nawet te z przyjęć, wszystkie, które widzieliśmy.

Jane wcale nie wydało się to głupie, a jego matkę uznała za interesującą kobietę.

– Myślisz, że będzie też chciała zobaczyć zdjęcie tej małej dziewczynki?

Wciąż nie dowiedzieli się, kim była ani jaka więź łączyła ją z Marguerite, jeśli w ogóle jakaś. Nie znali nawet jej nazwiska.

– Czemu nie? To część otaczającej ją tajemnicy – odparł wprost, a Jane pokiwała głową, zastanawiając się nad tym, jak spełnić jego prośbę. – Czy chcesz, abym oddał ci teraz te zdjęcia, które pożyczyłem, i wolisz mi przesłać kompletny plik, czy może mam je skopiować i oddać ci je innym razem?

– Może jednak wezmę je teraz? Muszę zapytać szefową, czy mogę przekazać ci odbitki. – Namyslała się przez chwilę. – Czy mogłabym jej powiedzieć, że chcesz obejrzeć je wszystkie jeszcze raz przed aukcją, aby mieć pełen obraz? Wydaje mi się, że jeśli powiem, że to dla twojej matki, nie zgodzi się, ale jeśli przekażę je tobie w związku z aukcją czy do katalogu, nie będzie się wahać. Wtedy mogłabym ci przesłać kompletny plik, a ty zrobisz odbitki dla swojej mamy. Nie widzę w tym nic złego.

Pokiwał głową zadowolony, zgadzając się z nią.

– Zapytam szefową, gdy tylko wrócę do biura. Mam wszystko w komputerze, muszę tylko uzyskać jej pozwolenie, żebym potem nie miała kłopotów. Szefowa dawała mi dotychczas wolną rękę w tej sprawie, ale wszystko robiłam zgodnie z zasadami.

– Jeśli prześlesz mi pliki mailem, wydrukuję kopie dla matki. Nie jest wielbicielek komputerów. Pewnie upłynąłby rok, zanim sama otworzyłaby pliki.

Uśmiechnęli się do siebie. Jane wyznała, że jej matka również nie ma ręki do komputerów, po czym Phillip przekazał jej pożyczone fotografie. Pokolenie ich rodziców nie posiadało biegłości w posługiwaniu się komputerem, zwłaszcza jego matka, która była znacznie starsza od jej rodziców i w zasadzie mogłaby być babcią ich

obojga, biorąc pod uwagę wiek, w którym go urodziła. Powiedział jednak, że jest młoda duchem i ma więcej energii niż jego rówieśnicy.

– Ma też siostrę, która jest od niej o cztery lata starsza, a zachowuje się jak stulatka. Trudno uwierzyć, że jest w niemal tym samym wieku co moja matka... wydaje się, że dzielą je pokolenia. Chyba wszystko polega na tym, jakie masz podejście do życia i na ile odczuwasz więź ze światem zewnętrznym. Ciocia Winnie chyba nigdy jej nie nawiązała. Moja matka mówi, że ich rodzice byli tacy sami, nadęci, staromodni i uparcie trzymający się swoich nawyków i przestarzałych poglądów. Matka jest na szczęście całkiem inna. Nie poznałem dziadków, lecz wierzę jej na słowo, jeśli byli tacy jak ciotka. Moja babka ze strony matki zmarła przed moim urodzeniem, a dziadek, gdy miałem rok. – Następnie zaskoczył Jane, mówiąc, że chciałby znów się z nią zobaczyć, i zaprosił ją na kolację. Dodał, że świetnie się bawił podczas lunchu.

– Kolacja to chyba nie jest dobry pomysł – odparła z żalem, choć również dobrze się bawiła. Spojrzała na niego. – Mieszkam z kimś już od kilku lat. Ostatnio mamy trudny okres. W czerwcu dostanie dyplom MBA. Tylko o tym teraz myśli. Rzadko go widuję, a każda nasza wspólna chwila kończy się katastrofą. – Nie dodała, że to w zasadzie definicja całego ich związku, ponieważ uznała to za nielojalność wobec Johna. Nie chciała, by Phillip odniósł wrażenie, że jest wolna. Wciąż przecież mieszkała z Johnem. – Mam mnóstwo wolnego czasu, ponieważ on wiecznie przesiaduje w bibliotece albo uczy się ze swoją grupą, lecz myślę, że wszystko wróci do normy po egzaminach. Postąpiłabym nieuczciwie wobec niego, gdybym zgodziła się na kolację.

Phillip odczuł podziw dla jej szczerości i tego, że nie chciała ukrywać niczego przed Johnem, co ewidentnie nie było w jej stylu. Okazała się bystra, atrakcyjna i bezpośrednia. Była idealna, a on uznał za swego osobistego pecha, że była związana z kimś innym. Tak jak wszystkie porządne kobiety.

– Może w takim razie pójdziemy kiedyś do kina – zaproponował, nie tracąc nadziei – tylko jako przyjaciele. Albo mogłabyś w któryś weekend wypłynąć ze mną na łodzi, jak już się nieco ociepli, gdy on będzie się uczył.

– Bardzo bym chciała. – Jej oczy rozbłysły. Była mu wdzięczna za zrozumienie i również nieco rozczarowana tym, że nie może się z nim umówić, lecz cieszyła się, że przedstawiła sprawę jasno. Teraz wiedział. I nie zniechęciło go to do dalszych spotkań z nią na gruncie prywatnym. Może faktycznie się zaprzyjaźnią. Doskonale się z nim bawiła podczas lunchu.

Gdy wyszli z restauracji, odprowadził ją do metra. Obiecała mu, że zapyta Harriet, czy może przesłać mu kopie wszystkich zdjęć, a on był pewien, że to zrobi. Dotrzymywała słowa, co już nie raz udowodniła.

– Jeszcze raz dziękuję za lunch – powiedziała ciepło.

Uśmiechnął się do niej, gdy stanęli przed zejściem do metra.

– Umówmy się wkrótce do kina. I chcę cię przedstawić *Sallie*, jak tylko doprowadzę ją do porządku. Za kilka tygodni będę malował kadłub.

Zapewne ciągle majstrował przy swojej łodzi, tak jak jej ojciec. Wiele weekendów spędziła, skrobiąc, szlifując, szpachlując i malując w ramach pomocy, gdy była młodsza. Wiedziała wszystko o mężczyznach i łodziach. Uśmiechnęła się, gdy podzielił się z nią swoimi planami.

Zeszła do metra i zniknęła mu z oczu, a on wrócił do pracy, myśląc o niej i nie mogąc się już doczekać kolejnego spotkania. Rozczarowała go wiadomość, że ma chłopaka, lecz zawsze przecież istniała możliwość, choćby i nikła, że nie ułoży im się nawet po czerwcowych egzaminach. Zamierzał zaczekać i się przekonać.

Alex zadzwoniła do Jane, gdy tylko ta opuściła stację metra i szła do biura.

– Jak się bawiłaś podczas lunchu? – Telefon kusił ją już od dwóch godzin, nie mogła się doczekać wiadomości do Jane.

– Doskonale. To bardzo miły facet. Zrozumiał, gdy powiedziałam mu o Johnie.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Alex wpadła w irytację. Jane wyraźnie nie miała zadatków na *femme fatale*.

– Musiałam. Zaprosił mnie na kolację, a ja wytłumaczyłam mu, dlaczego to niemożliwe. Zasugerował więc, żebyśmy kiedyś poszli do kina. Ma łódź. Zaprosił mnie na nią na wiosnę. – Cieszyła ją ta

perspektywa.

Alex uznała, że jest jeszcze nadzieja. Podobała się jej radość w głosie przyjaciółki.

– To świetnie. Nie spisuj go jeszcze na straty. Nigdy nie wiadomo, co się stanie z Johnem, a Phillip wydaje się porządnym człowiekiem.

– Taki właśnie jest. Jego matka to artystka, a ojciec był profesorem, bardzo wiele wie o sztuce. Chyba pójdę z nim na aukcję Christie's.

– To dobrze, że chce znów się z tobą zobaczyć. Wykonałaś dzisiaj idealny pierwszy ruch.

Alex traktowała to jak rozgrywkę szachową lub plan bitwy mający na celu złapać go na haczyk, lecz to również nie było w stylu Jane. Nigdy nie zrobiła nic zamierzonego ani podstępnego, aby zdobyć mężczyznę. Sprawy się układały lub nie, a Phillip chyba podzielał jej opinię w tej kwestii. Alex lubiła natomiast pomóc losowi, aby dostać to, na czym jej zależało, co z kolei nie zawsze działało na jej korzyść. Niektórzy mężczyźni dostrzegali tę grę i uciekali gdzie pieprz rośnie, a ci, którzy wpadali w pułapkę, okazywali się głupi lub nudni.

Gdy Jane wróciła do pracy, na jej biurku leżał już stos wiadomości od ludzi, do których musiała oddzwonić, oraz nowe akta dwóch spraw oddanych do sądu – w obu wypadkach chodziło o niewielkie majątki. Z Harriet zobaczyła się dopiero o czwartej, gdy zaniósła jej jedną z zakończonych spraw po tym, jak potwierdziła, że dysponent majątku faktycznie zmarł – tak samo postąpiła wcześniej w przypadku Marguerite. Wręczyła teczkę Harriet, a ta jej podziękowała. Wyglądała na tak zmęczoną i zniechęconą, że Jane ogarnęło współczucie.

– Wszystko w porządku? – zapytała z wahaniem. Harriet wyglądała, jakby płakała, co nie było do niej podobne. Miała w sobie kruchość, której Jane dotąd nie zauważyła ani nawet nie podejrzewała.

– Mniej więcej. Dziękuję, że zapytałaś – odparła Harriet ze łzami w oczach. – Wczoraj w nocy musiałam odwiedzić mamę do szpitala. Ma zaawansowane SM i jest z nią coraz gorzej. Pojawiły się kłopoty z połykaniem i oddychaniem. Będę ją chyba musiała oddać do domu opieki, a wiem, że bardzo źle to zniesie. – Nie było sposobu, by wyleczyć chorobę, a Harriet opiekowała się matką w domu już od

siedmiu lat z pomocą dochodzących pielęgniarek. – Wiedziałyśmy, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Ona nie jest jednak jeszcze gotowa, by się z tym zmierzyć, i ja chyba też nie. To trudne, lecz wolałabym dalej opiekować się nią w domu.

– Przykro mi – szepnęła Jane łagodnie. Od początku podejrzewała, że Harriet wie o smutnym życiu, słyszała, że jej matka choruje, lecz nie wiedziała, na ile poważny jest jej stan. Szczery ból i smutek widoczny w oczach starszej koleżanki rozdarły jej serce. Niektórzy ludzie mieli ciężkie życie, jak Harriet Fine i jej matka. Harriet zrezygnowała z własnego życia, by zająć się schorowaną matką, i teraz miała już tylko ją. Zrobiło się za późno, by mogła wyjść za mąż i urodzić dzieci. Gdyby jej matka umarła, zostałaby całkiem sama. Jane niemal się rozplakała, zanim zapytała: – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie, ale dziękuję za propozycję. – Harriet nie zdradziła Jane, jaka była o nią zazdrosna na początku. Jane była młoda, wolna i pełna radości, miała przed sobą całe życie i karierę. Harriet pół życia miała już za sobą, czuła się jak w pułapce. Dokonała jednak własnych wyborów. Człowiek zapomina, że niezależnie od tego, jakie motywy nim kierują, nie zdoła cofnąć czasu. Aż pewnego dnia wszystko się kończy. Młodość Jane i otwierające się przed nią możliwości budziły zawiść Harriet, choć przecież dziewczyna nie była niczemu winna. Harriet ją jednak polubiła. Wiedziała, że pewnego dnia Jane zostanie dobrym prawnikiem. Nie mogła powiedzieć o niej złego słowa i obdarzyła ją sympatią, nie potrafiąc dłużej ignorować jej łagodności i wesołego usposobienia.

– A tak przy okazji. – Jane przypomniała sobie o matce Phillipa. – Przedstawiciel Christie's pytał, czy mogłabym przesłać mu kopie cyfrowe wszystkich zdjęć, które mamy w sprawie Pignelli, tych ze skrytki depozytowej. Chyba chce je jeszcze raz obejrzeć do katalogu. Czy mogę mu je przesłać? – Była to całkiem niewinna prośba, a Harriet nie musiała wiedzieć, że zdjęcia są przeznaczone dla jego matki.

– Oczywiście – zgodziła się Harriet, nie zadając dodatkowych pytań.

Jane wróciła do biura i napisała do Phillipa krótki mail, w którym podziękowała mu za lunch, a także potwierdziła, że otrzymała zgodę na przesłanie mu zdjęć. Chwilę później dołączyła je do oddzielnej

wiadomości wraz z tym przedstawiającym jakieś dziecko, aby jego matka mogła dowiedzieć się wszystkiego.

Phillip uśmiechnął się, przeczytawszy krótką wiadomość, po czym wydrukował zdjęcia w dwóch egzemplarzach – dla matki i dla siebie, tylko po to, aby móc ewentualnie do nich zajrzeć w razie potrzeby. Oba zestawy włożył do kopert, a jedną z nich przesłał matce kurierem. Dzięki Jane mógł spełnić prośbę Valerie, od razu więc wrócił do pracy. Przez całe popołudnie był w dobrym nastroju dzięki lunchowi z Jane. Odczuł tym większy żal, że dziewczyna ma chłopaka, lecz nie osłabiło to jego determinacji, by znów się z nią zobaczyć, choćby pod pozorem przyjaźni.

Jane również myślała o Phillipie, gdy tego wieczoru wracała metrem do domu. Miała nadzieję, że zobaczy się z Johnem, ponieważ otrzymała od niego wiadomość, że wyjdzie wcześniej z biblioteki. Nie czuła się winna z powodu Phillipa, zwłaszcza że była z nim szczerą, postanowiła więc pójść za radą Alex i nie wspominać chłopakowi o lunchu. Obecnie panowało pomiędzy nimi napięcie i nie potrzebowali dolewać oliwy do ognia.

Odczuła radość na widok Johna, gdy weszła do mieszkania. Leżał na kanapie w otoczeniu papierów, z laptopem na stole, i czytał coś. Również ucieszył się na jej widok, gdy pochyliła się, by go pocałować.

– Jaka to radość widzieć cię w domu dla odmiany – powiedziała szczerze.

– O co ci chodzi? – zapytał ze złością. Od miesięcy miał ciemne sińce pod oczami. Nauka, jak zostać dobrym przedsiębiorcą, nie była łatwa, a jemu wydawała się o wiele trudniejsza niż szkoła prawnicza.

– Po prostu cieszę się, że jesteś w domu – odparła pogodnie. Od jakiegoś czasu łatwo wpadał w złość, zapewne z braku snu, i ewidentnie odczuwał wyrzuty sumienia, że tak mało czasu z nią spędzał. – Ugotować coś na kolację? – zaproponowała. – Jadłeś coś?

– Nie mam czasu. Za godzinę spotykam się z Carą. Muszę się zbierać.

Wstał z kanapy, a Jane poczuła zawód. Nie uszło jej uwadze, że Cara coraz częściej gościła grupę u siebie.

– Jedziesz w ten weekend do Hamptons? – zapytała, siadając na



kanapie, na której John przed chwilą leżał. Zrobiła zmartwioną minę, zastanawiając się, czy znów spędzi weekend samotnie.

Zimą w Hamptons nie było nikogo. Gdy robili sobie przerwę, spacerowali po plaży, nawet jeśli spadł śnieg. Przechadzki były zdrowe i dodawały im energii, a John utrzymywał, że świeże powietrze rozjaśnia im w głowach. Gotowali na zmianę i nikt z nich nie zapraszał swoich drugich połówek, dlatego też Jane nigdy nie odwiedziła wynajmowanego przez nich domu.

– Muszę – odparł, próbując się usprawiedliwić. – Chyba spędzę tam każdy weekend aż do czerwca.

Zrobił gniewną minę, próbując ukryć poczucie winy. Przygotował się na kłótnię, lecz ona nie zamierzała dać się wywoływać. Siliła się na wyrozumiałość i starała się nie prowokować konfliktów. W ostatnim czasie stąpali po kruchym lodzie.

– Jakim cudem kończą te studia ludzie, których nie stać na dom w Hamptons? – zapytała nieco kwaśniejszym tonem niż zazwyczaj, gdy o tym rozmawiali. Nie ucieszyła się jednak, słysząc, że przez następne cztery miesiące każdy weekend zamierzał spędzać z Carą i swoimi znajomymi. Nie chodziło już nawet o zazdrość, choć może po części też; chodziło o szacunek dla ich związku i próbę podtrzymania go w tym trudnym okresie. Miała wrażenie, że on nawet nie próbuje. Robił, co chciał, a o niej zapominał. Trudno się jej z tym żyło.

– Nie zachowuj się jak jędra, Jane.

Jego komentarz był tym bardziej niesprawiedliwy, że wcale się tak nie zachowywała i naprawdę starała się nie naciskać ani nie narzekać.

– Nie zachowuj się jak jędra. Ciebie wiecznie nie ma. Ile nocy przespałeś w domu w ostatnim miesiącu? Dziesięć? Pięć? Teraz mówisz, że nie będzie cię też w weekend. Co ja mam o nas myśleć?

– Że tak wygląda życie z facetem, który za cztery miesiące robi dyplom MBA – odparł paskudnym tonem.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że wszyscy kandydaci do tytułu MBA sypiają ze swoimi grupami i spędzają każdy weekend w Hamptons. Niektórzy potrafią utrzymać związek, a nawet małżeństwo. – Zamilkła na chwilę i nagle postanowiła zapytać wprost. – Sypiasz z Carą, John? Może po prostu porozmawiamy szczerze. Między nami koniec? Jeśli tak,

wyprowadzę się.

– Tego właśnie chcesz? Wyprowadzić się? – zapytał, nachylając ku niej twarz.

Nie przestraszyło jej to ani nie onieśmieliło... raczej złamało jej serce. Wręcz słyszała plusk wody, gdy patrzyła, jak ich związek ląduje w rynsztoku. John nie był już miłym, zabawnym, zrelaksowanym mężczyzną, w którym zakochała się trzy lata temu i z którym uwielbiała przebywać. Teraz był dla niej obcy, z tytułem MBA czy bez.

– Nie chcę się wyprowadzić, ale chcę ciebie w tym związku obok mnie, jeśli ty również jeszcze tego chcesz. Jestem tu całkiem sama. – Poza tym nie odpowiedział na jej pytanie. A może postanowiła go przycisnąć, ponieważ spędziła tego dnia czas z innym mężczyzną, który dobrze ją traktował i z którym dobrze się bawiła. – Co z Carą? – Nie spuszczała z niego wzroku, nawet gdy odwrócił głowę i cofnął się.

– Co z nią? – mruknął gniewnie.

– Masz z nią romans?

– Oczywiście, że nie – oświadczył, choć bez przekonania. – Nie mam czasu na sypianie ani z nią, ani z nikim innym.

– Masz okazję. Spędzasz więcej czasu z nią niż ze mną.

– Więcej czasu spędzam z Jakiem, Bobem i Tomem, a z nimi nie sypiam, chyba że o to też mnie oskarżasz?

Próbował wyśmiać jej obawy o Carę, lecz to tylko sprawiało, że wydawał się bardziej winny. A Jane miała poważne obawy co do ich związku i co do ilości czasu, jaki spędzał z Carą, a nie z nią.

– Posłuchaj, wygląda to teraz, jak wygląda. Wiesz, jak ciężko pracowałem. – Próbował mówić spokojniej, lecz ledwie mu się to udawało. – Jeśli wytrzymasz do czerwca, nie szalejąc i nie doprowadzając mnie do szału tymi głupimi wybuchami zazdrości, damy sobie radę. Jeśli zamierzasz mnie o to męczyć, uprzedzam cię, że nie wytrzymam. Zastanów się, czego chcesz. Musisz się czymś zająć, dopóki nie skończę. Na razie nie mam dla ciebie czasu i nie chcę tego wysłuchiwać za każdym razem, gdy się widzimy.

Słuchając go, zastanawiała się, czy powinna się wyprowadzić. Jej potrzeby i uczucia w ogóle go nie interesowały, dbał tylko o własne.

Dlatego właśnie Alex nigdy go nie lubiła. Nawet w najlepszych czasach uważała go za egoistę, a on dowodził teraz, że miała rację.

Nie dodała już ani słowa, gdy kręcił się po mieszkaniu, zbierając swoje rzeczy i pakując je do plecaka oraz torby na laptop. Zauważyła, że wziął czystą bluzę, skarpety i bieliznę, co oznaczało, że nie wróci do domu.

– Rozumiem, że dzisiaj też cię nie będzie? – zapytała ostro.

– Nie jesteś moją matką, Jane. Wrócę do domu, kiedy zechcę i kiedy będę mógł.

Nie wiedziała, kiedy dokładnie się to wydarzyło, lecz ewidentnie stracił dla niej szacunek. Całkowicie. Nie odpowiedziała. Nie zamierzała zaszczycać swoją reakcją jego obelg ani też stracić panowania nad sobą. Doszła do własnych wniosków i teraz zaczynała je sobie uświadamiać. W głębi serca wiedziała, że nigdy nie połączy ich już zdrowa relacja.

Nawet się z nią nie pożegnał, gdy wychodził z mieszkania, ona też nic nie powiedziała. Odczuwała zbyt duży wstyd, by zadzwonić do Alex i zrelacjonować jej, co się wydarzyło, co powiedział jej John. Siedziała na kanapie, myśląc o tym. Serce ją bolało, po jej policzkach płynęły łzy. Nieważne, ile czasu zajęło jej uporanie się z tym, to był koniec i teraz o tym wiedziała. Była to już tylko kwestia szacunku do samej siebie. Cokolwiek łączyło ich na początku, wypaliło się. Swoją przyszłość John najwyraźniej widział z Carą, nie z nią. Nadszedł czas, by ruszyć dalej.

\* American Civil Liberties Union – amerykańska organizacja non profit, której celem jest ochrona praw obywatelskich gwarantowanych przez konstytucję (przyp. tłum.).

## Rozdział 9

Gdy Valerie otrzymała kopie zdjęć, które wydrukował dla niej Phillip, rozłożyła je skrupulatnie na stole w jadalni i zaczęła się w nie uważnie wpatrywać. Dostrzegła w wyrazie oczu Marguerite jakiś rys podobieństwa do kogoś z rodziny, lecz nie była pewna do kogo. Może do jej matki, a może do niej samej, lecz cech wspólnych było tak mało, że uznała je za wytwór swojej wyobraźni lub coś, co chciała zobaczyć, mimo iż wcale nie było powodu. Uderzył ją też smutny wyraz oczu Marguerite na niektórych zdjęciach – pomimo jej szerokiego uśmiechu. Na fotografiach przedstawiających małżeństwo miłość pomiędzy Marguerite a Umbertem była niemal wyczuwalna. Umberto patrzył na żonę z wyrazem uwielbienia, a ona wydawała się z nim szczęśliwa. Młodość Marguerite na najwcześniejszych zdjęciach poruszyła serce Valerie.

Nie potrafiła jednak stwierdzić z przekonaniem, że na pewno są spokrewnione. Marguerite różniła się od niej wyglądem i stylem, była po prostu sobą. Miała bardzo wyraziste rysy i była wielkiej urody. Valerie nie przypominała Winnie ani swoich rodziców, nie dostrzegła też w sobie silnego podobieństwa do Marguerite. Nie istniał więc żaden powód, by myśleć, że łączyło je coś więcej niż popularne nazwisko. Valerie sama nie potrafiła określić, dlaczego z takim uporem próbuje udowodnić łączącą je więź. Nie chodziło przecież o biżuterię, lecz o coś więcej. O historię i krew, jeśli tak by się okazało. Po dwóch dniach wpatrywania się w fotografie, na których była ta kobieta, czuła, że jest jej bliska. W końcu późną nocą na drugi dzień wyjęła z koperty fotografie dziecka. Przedstawiały uroczą małą dziewczynkę uwiecznianą na kliszy dwa, trzy razy do roku – najpierw jako noworodek, niemowlę, potem mała dama.

Na widok fotografii przedstawiającej dziecko w wieku około pięciu lat serce Valerie stanęło. Podniosła ją i intensywnie się jej przypatrywała, obejrzała fotografię w lepszym świetle i spojrzała dziewczynce prosto w oczy. Tak samo była ubierana jako dziecko i nosiła tę samą fryzurę. Tak jak połowa dzieci, które w tamtym czasie znała. Twarz małej wydała jej się jednak znajoma, zwłaszcza oczy. Była

pewna. Przez kilka godzin wpatrywała się w fotografię, odchodziła od niej, a potem znowu się wpatrywała. Jeszcze raz uważniej przejrzała wszystkie zdjęcia i na podstawie dwóch lub trzech zyskała pewność. Może nie całkowitą, ponieważ większość ujęć zrobiono z dystansu i czasami rozmazywała się ostrość. Z każdą godziną nabierała pewności. Następnego ranka obejrzała zdjęcia w świetle dziennym, zebrała je, włożyła do torebki, po czym zadzwoniła do Winnie, która w końcu doszła do siebie po przeziębieniu.

– Czy mogę cię odwiedzić?

– Jeśli chcesz, to teraz – odparła Winnie zimno. – W południe gram w brydża.

– Nie zostanę długo.

Valerie wezwała taksówkę i zjawiła się w mieszkaniu Winnie dwadzieścia minut później, czyli w rekordowym czasie jak na ruch w centrum. Winnie jadła jeszcze śniadanie, obok talerza leżały wszystkie jej pigułki. Niemal jęknęła na widok wyrazu twarzy siostry. Valerie najwyraźniej znalazła sobie kolejną misję.

– Co znowu? – zapytała, pijąc kawę.

Pokojówka zapytała Valerie, czy ma ochotę na herbatę. Valerie odmówiła z uśmiechem, po czym skoncentrowała się na Winnie. Wyjęła fotografię z torebki i podała je siostrze. Czowała niemal namacalną więź z dziewczynką uwiecznioną na papierze.

– Nie wiem, czy Marguerite di San Pignelli była z nami spokrewniona, zapewne nie była. I nie mam pojęcia, kim było dla niej to dziecko... jestem jednak absolutnie pewna – mówiła, wręczając zdjęcia siostrze – że to dziecko to ja. Nie mam pojęcia, dlaczego przechowywała moje zdjęcia w skrytce depozytowej, lecz popatrz tylko, Winnie. To ja.

Wyglądała jak rażona gromem, gdy to mówiła, nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć, odkąd to odkryła. Na jej siostrze nie zrobiło to wrażenia. Zerknęła na zdjęcia i wzruszyła ramionami.

– Wszystkie dzieci są do siebie podobne – oświadczyła, nie zamierzając się z niczym zgadzać.

– Wygadujesz bzdury. Nie mamy żadnych zdjęć naszej siostry przez rodziców, którzy je wszystkie wyrzucili, Bóg jeden wie dlaczego.

– Ponieważ zasmucały matkę – z żarem odpowiedziała Winnie,

znów stając w obronie rodziców.

– Nie mamy żadnych jej zdjęć w żadnym wieku, więc nie wiemy nawet, jak wyglądała. Mamy jednak kilka moich zdjęć. Temu nie zdołasz zaprzeczyć. To dziecko wygląda dokładnie tak jak ja, gdy byłam mała. Miałam nawet taką sukienkę.

– Jak wszystkie dzieci, które ja znałam. W tamtych czasach wszyscy ubierali swoje dzieci podobnie. Wszyscy nosiliśmy takie same fryzury, na pazia albo warkocze. Wszystkie dziewczynki miały takie same sukienki z marszczeniami. Na większości naszych zdjęć nie widać nawet, czy to ty, czy może ja, a w ogóle nie jesteśmy do siebie podobne.

– Nie, nie jesteśmy – zgodziła się Valerie – lecz ja wyglądałam dokładnie jak to dziecko – powtórzyła z uporem.

– Uważasz więc, że powinnaś odziedziczyć pieniądze i biżuterię, ponieważ wydaje ci się, że przypominasz to dziecko? Dziecko, które zapewne nie było nawet spokrewnione z Marguerite, właścicielką klejnotów, a nie Marguerite, naszą siostrą.

– Dlaczego więc przechowywała te fotografie w skrytce depozytowej i dlaczego ich nie wyrzuciła przez ponad siedemdziesiąt lat?

– Dlaczego się tym zadręczasz? Wszystko już ustalone. Chodzi ci o pieniądze, prawda? Zachowujesz się jak obłąkana – mruknęła Winnie, znów czując gniew. Valerie burzyła spokój jej umysłu. Winnie lubiła uporządkowane życie bez żadnych niepotrzebnych wątków. Takie życie zawsze wiodła jej rodzina. A teraz Valerie próbowała to wszystko popsuć, zarówno teraźniejszość, jak i przeszłość.

– To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi – oświadczyła Valerie. Wzięła głęboki oddech, chcąc wytłumaczyć siostrze swoje stanowisko. – Winnie, przez całe życie czułam się jak wyrzutek we własnej rodzinie, jak obcy pomiędzy wami. Ty i matka byłyście do siebie podobne, dogadywałyście się. Ojciec chronił was obie. Ja byłam brzydkim kaczątkiem, osobliwością, tą, która zawsze była inna, która nigdy nie wyglądała ani nie myślała jak wy. Nigdy nie potrafiłam się dopasować, a oni mnie za to nienawidzili. Chcę się tylko dowiedzieć, kim jestem, kim byłam i dlaczego odstawałam od was. Myślę, że tu znajdę odpowiedź, pomiędzy tymi zdjęciami, i nie wiem czemu, ale

wydaje mi się, że ta kobieta wiedziała. Może nie była naszą starszą siostrą, a może była. Może również stała się wyrzutkiem. Wymazali Marguerite z naszego życia, jakby nigdy nie istniała. Zniknęła z naszej rodzinnej historii, a oni ze mną zrobiliby to samo, gdyby tylko mogli. Teraz chcę się dowiedzieć dlaczego. Jeśli była naszą siostrą, co takiego zrobiła? Co się z nią stało? Czy byłam do niej zbyt podobna? Czy w naszej rodzinie tolerowano tylko wierne kopie? Czy odmienność była aż taką zbrodnią? Karaną śmiercią lub wygnaniem? Nie opłakiwali jej, całkowicie ją wymazali. Dlaczego?

– Nie zabili przecież naszej siostry! – zawołała z wściekłością Winnie. – Ani jej nie wygnali. Ona zmarła. A tobie nigdy nic nie zrobili.

– Nic poza tym, że mnie nienawidzili, ignorowali i traktowali tak, jakbym do nich nie należała i nigdy nie powinna się urodzić. Czy ją potraktowali tak samo?

– Pozwól jej spoczywać w pokoju – poprosiła Winnie z desperacją. Ona również nie знаła odpowiedzi na te pytania, lecz nie chciała ich poznać.

Valerie chciała. Łaknęła ich jak powietrza, całe życie czekała, by je usłyszeć, i nie zamierzała pozwolić znów się uciszyć.

– Nie mogę zostawić tej sprawy – oświadczyła ze smutkiem. – I nie wiem dlaczego, lecz odpowiedzi wiążą się z tym dzieckiem. Wiem, że tak. Czuję to w kościach. Też chcę je poznać, chcę wiedzieć, dlaczego nigdy mnie nie kochali i dlaczego nigdy do nich nie pasowałam. Spójrz, jak się różnimy. Jesteśmy siostrami, a wyglądamy jak noc i dzień. Jeśli kobieta na zdjęciach była naszą siostrą, może to z nią łączyło mnie podobieństwo.

– Próbujesz wskrzesić sobie sojusznika – wtrąciła Winnie gniewnie – który nie żyje od siedemdziesięciu trzech lat. Musisz sama pogodzić się z tym, kim jesteś i dlaczego nigdy do nas nie pasowałaś.

– Nie mogę. Nie wiem czemu, ale po prostu nie mogę – odparła Valerie.

Po jej policzkach płynęły łzy. Po latach, jako osoba dorosła, pogodziła się z faktem, że rodzice jej nie kochali, i ułożyła sobie życie mimo to. Miała wspaniałe małżeństwo, kochała męża i syna, lecz teraz w jej życiu rozbrzmiała fałszywa nuta, a ona musiała poznać powód.

Wróciły do niej wszystkie nieszczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa, wzgarda ze strony rodziców oraz ich niemożność lub niezgoda pokochania jej. Musiała poznać powód i przekonać się, czy odpowiedzi są jakoś powiązane z tymi zdjęciami przedstawiającymi ją jako dziecko. Czuła, że ma prawo to wiedzieć.

– Tutaj nie znajdziesz odpowiedzi – oświadczyła Winnie chłodno – tak jak nie znajdziesz ich, oczerniając naszych rodziców i przemieniając naszą siostrę w kogoś, kim nigdy nie była. Kobieta, która poślubiła włoskiego hrabiego, nie była z nami w żaden sposób spokrewniona, niezależnie od tego, jak bardzo chcesz jej pieniędzy. Valerie, tu chodzi tylko o twoją chciwość. A dziecko na zdjęciach wygląda jak każde inne dziecko w tamtych czasach, nie tylko ty.

– Nie! – Oczy Valerie zapłonęły. – To ja! Wiem to, niezależnie od tego, jak bardzo chcesz temu zaprzeczyć. Winnie, to dziecko to ja i chcę wiedzieć dlaczego.

– Martwa kobieta ci tego nie powie, choćby nie wiem jak była bogata. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, choć ja w to nie wierzę, zabrała ze sobą tajemnicę do grobu. I nie była naszą siostrą – podkreśliła Winnie z furią w głosie. – Nasza siostra zmarła siedemdziesiąt trzy lata temu – powtórzyła. – Daj jej spokój. – Wstała, po czym zmierzyła Valerie gniewnym spojrzeniem. – Mam lepsze rzeczy do roboty niż wysłuchiwanie tych bzdur. Moim zdaniem tracisz rozum. Na twoim miejscu tym bym się raczej martwiła.

Jej słowa Valerie odczuła jak policzek. Wyszła kilka minut później, chłodno żegnając się z siostrą. Ręce Winnie drżały, gdy ubierała się przed wyjściem na brydża.

Gdy tylko Valerie wróciła do mieszkania, usiadła i rozplakała się, znów wpatrując się w zdjęcia małej dziewczynki. Niezależnie od tego, jak kategorycznie zaprzeczała Winnie, Valerie wiedziała, że ma rację i że to ona. Nagle przypomniała sobie coś, co dostała w zeszłym roku i niemal o tym zapomniała. Przeszukała swoje papiery, lecz nic nie znalazła. Przejrzała całą szafkę z dokumentami, w której trzymała korespondencję, lecz tam też nic nie było. Wiedziała, że zatrzymała to z sentymentu, lecz nie miała pojęcia, gdzie to odłożyła. Najwyraźniej w jakieś nietypowe miejsce. Była to bożonarodzeniowa kartka



z życzeniami od jej dawnej niani, która rozpoczęła pracę u Pearsonów, gdy Winnie miała dwa lata, dwa lata przed narodzinami Valerie, i została z nimi aż do ukończenia przez Valerie dziesiątego roku życia, czyli przez dwanaście lat. Fiona była wtedy osiemnastoletnią irlandzką dziewczyną, teraz musiała więc mieć dziewięćdziesiąt cztery lata. Wyszła za mąż i przeniosła się do New Hampshire, gdzie mieszkała obecnie w domu opieki. Jej charakter pisma na kartce był nieco rozdygotany, lecz zachowała przytomność myśli pomimo zaawansowanego wieku. Valerie nie odwiedzała jej od ponad dwudziestu lat, odkąd Phillip skończył piętnaście lat, lecz panie pozostały w kontakcie, a Valerie często do niani pisała. Bardzo ją kochała, jej odejście ją przygnębiło. Fiona co roku przysyłała jej bożonarodzeniowe życzenia. Valerie miała nadzieję, że niania wciąż żyje – jej dzieci poinformowałyby ją o jej śmierci. Była druga w nocy, gdy w końcu znalazła kartkę wraz z innymi, które przechowywała w szufladzie biurka. Dopiero na końcu tam zajrzała. Zachowała też kopertę z adresem domu opieki, który znajdował się w południowym New Hampshire. Fiona mieszkała tam od ponad sześćdziesięciu lat. Sześć godzin drogi samochodem z Nowego Jorku.

Valerie nie spała przez całą noc po tym, jak znalazła kartkę, a o ósmej rano zadzwoniła do domu opieki. Powiedziano jej, że Fiona McCarthy żyje i doskonale się miewa. Artretyzm przykuł ją do łóżka, lecz nadal jest w dobrej formie umysłowej i nie straciła swej „zadziorności”, co wyznała pielęgniarka ze śmiechem.

– Nie pozwala nam się nudzić.

Godzinę później Valerie udała się na parking, na którym trzymała swój rzadko używany samochód. Zachowała go na wszelki wypadek, choć czasami rozważała sprzedaż. Przed dziewięcią piętnaście była już w drodze. Pokonała Connecticut i Massachusetts, po czym wjechała do New Hampshire. Na ziemi leżał śnieg i choć nastał marzec, nigdzie nie było jeszcze widać śladów wiosny.

Dochodziła prawie trzecia, gdy dojechała do małego miasteczka, które przez wiele lat było domem Fiony. Ośrodek opieki wyglądał przytulnie i zapraszająco. Miał białą fasadę i świeżo pomalowany płot naokoło, ogród od frontu i fotele na biegunach na werandzie, w których rezydenci przesiadywali, gdy dopisywała pogoda. O tej porze roku było

na to jeszcze za zimno.

Valerie weszła na frontowe schody z wahaniem, zastanawiając się, czy Fiona jeszcze ją pamięta, czy w ogóle ją rozpozna i co powie na temat zdjęć. Valerie była już stara i wyglądała zupełnie inaczej niż we wspomnieniach niani sprzed dwudziestu lat.

Zwróciła się do asystentki pielęgniarskiej, która siedziała w recepcji. Kobieta uśmiechnęła się i poprosiła ją o wpisanie się do książki gości. Dodała, że Fiona właśnie obudziła się z drzemki, jest to więc idealna pora na wizytę. Dzieci odwiedziły ją dziś rano, lecz poza tym była sama i z radością przyjąłaby gościa. Valerie podziękowała i weszła do pokoju. Zobaczyła pomarszczoną staruszkę na łóżku przykrytym kolorowym, ręcznie dzierganym pledem. Staruszka miała rzadkie, siwe włosy, lecz jej oczy wyglądały tak samo – miały barwę jasnego błękitu i rozpromieniły się na widok Valerie. Fiona uśmiechnęła się, gdy jej dawna podopieczna stanęła w progu.

– Będiesz tam tak stała jak posąg czy wejdiesz do środka? – zapytała. Od razu rozpoznała Valerie.

– Witaj, Fiono. Pamiętasz mnie jeszcze? – Zaczęła wyjaśniać, kim jest, a Fiona wybuchnęła śmiechem.

– Jak mogłabym nie pamiętać? Nic się nie zmieniłaś, tylko włosy masz już siwe, a nie blond. Jak się miewa twój chłopiec?

Pamiętała Phillipa – rzeczywiście zachowała przytomność umysłu. Phillip uwielbiał ją odwiedzać, ponieważ opowiadała mu o jego matce. Rozśmieszała go, a u Valerie wywoływała łzy tymi wspomnieniami.

– Jest już dorosły – odparła Valerie. – To dobry człowiek.

– Był dobrym chłopcem, gdy go poznałam.

Wskazała dłonią krzesło, a Valerie usiadła, zastanawiając się, od czego zacząć po tylu latach. Fiona ją wyręczyła.

– Nie spieszyłaś się tutaj. Wiele lat na ciebie czekałam – oświadczyła zagadkowo. – Myślałam, że może po swojej ostatniej wizycie wrócisz z pytaniami, lecz tak się nie stało. Dlaczego teraz? – Wyglądała na zainteresowaną tym, co ma do powiedzenia Valerie. Była w pełni przytomna i ożywiona.

– Przytrafiły mi się dziwne rzeczy. Może to nic nie znaczy, lecz doprowadza mnie do szaleństwa. Trafiły do mnie pewne fotografie

będące częścią porzuconego majątku, nad którym pracuje mój syn. Istnieje zbieżność nazwisk. Kobieta, która pozostawiła majątek, miała na panieńskie nazwisko Pearson. Nosiła też to samo imię co moja siostra, która zmarła, Marguerite. Prawdopodobnie nie jesteśmy spokrewnione, lecz znalazłam też fotografie dziecka... – Umilkła, gdy Fiona przyglądała się jej z napięciem. – Winnie mówi, że postradałam rozum, może to prawda, ale uznałam, że ty mogłabyś coś wiedzieć. – Sięgnęła do torebki i wyjęła fotografie Marguerite, a także zdjęcia dziecka bez nazwiska. – W ostatnich dniach opracowałam kilka bardzo osobliwych teorii. Może nic mnie nie łączy z tą kobietą, lecz nie mam żadnych zdjęć mojej siostry. Matka zniszczyła je wszystkie. Nie wiemy nawet z Winnie, jak wyglądała.

Wręczyła fotografie Fionie, która przejrzała je jedna po drugiej przez dwuogniskowe okulary. Pokiwała głową, a Valerie wstrzymała oddech. Całe jej ciało drżało, jakby miało się zaraz wydarzyć coś strasznego. A może coś bardzo dobrego, dzięki czemu mogłaby uwolnić się od rodziny, która nigdy jej nie rozumiała ani nie chciała. Przez całe życie czuła się wobec nich jakoś zobowiązana, darzyła ich szacunkiem, podczas gdy oni nie odwzajemniali żadnego z tych uczuć.

Fiona przejrzała zdjęcia, po czym spojrzała na Valerie z uroczystą miną.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wiem, że to brzmi niedorzecznie – odparła Valerie niemal niesłyszalnie – lecz czy ta kobieta jest moją siostrą Marguerite, która zmarła w Europie w wieku dziewiętnastu lat?

Fiona nie zawahała się z odpowiedzią, a gdy jej udzielała, jej twarzy wyrażała pewność.

– Nie, nie jest.

Valerie poczuła smutek. Miała nadzieję, że będzie inaczej. Fiona wyciągnęła sękatą dłoń i poklepała rękę Valerie z czułą miną.

– Kobieta na zdjęciach nie jest twoją siostrą. To twoja matka – kontynuowała łagodnie. – Marguerite była twoją matką, dziecko.

Valerie poczuła się jak dziecko, gdy w osłupieniu słuchała słów niani.

– Nie umarła w Europie. Wyszła za mąż.

– Kiedy przyszłam na świat? – Nagle to wszystko wydało się jej takie zagmatwane. Okazało się, że żyła w kłamstwie, tak jak podejrzewała, choć Winnie zaprzeczała. Tyle że wszystko było jeszcze bardziej skomplikowane, niż mogłaby sobie wyobrazić.

– Urodziłaś się, zanim wyjechała. Miała osiemnaście lat. Zawsze myślałam, że pewnego dnia ci powiedzą, lecz nigdy tego nie zrobili. Była młodą dziewczyną, zakochała się szaleńczo w chłopcu o nazwisku Tommy Babcock i stało się najgorsze. Zaszła w ciążę. Chcieli się pobrać, lecz ich rodzice na to nie pozwolili. Biedactwa byli jak Romeo i Julia. Twoja matka – Fiona sama się poprawiła – jej matka powiedziała, że nigdy jej nie wybaczy tej hańby. Gdy dowiedzieli się o ciąży, odesłali ją do domu dla zbłąkanych dziewcząt w Maine. Tuż przed Świętem Dziękczynienia 1941 roku. Miała zaledwie siedemnaście lat, Tommy tylko kilka miesięcy więcej. Nie sądzę, by ktoś wiedział, co się wydarzyło. W tamtych czasach tak wczesna i nieślubna ciąża naprawdę była hańbą. Twoją matkę odesłali niemal od razu, a wszystkim powiedzieli, że wyjechała do Europy, aby tam skończyć szkołę, chyba w Szwajcarii. W Europie trwała wojna, lecz w Szwajcarii było bezpiecznie. W szysklich okłamali. Była w Maine i pisała do mnie listy o tym, jaka jest nieszczęśliwa. Winnie miała tylko cztery lata, nie wiedziała, co się dzieje, lecz płakała z tęsknoty za siostrą. Marguerite była taka wesoła, wszyscy ją kochali. Po jej wyjeździe dom zamienił się w grobowiec. Jej matka była wściekła. Zamierzała oddać dziecko do adopcji. Zmusili Marguerite, żeby zrzekła się dziecka.

– Była tam około dwóch tygodni, gdy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor i wszyscy wpadli w panikę. Zaraz potem Tommy się zaciągnął, pojechał na obóz dla rekrutów do New Jersey. Tuż przed świętami przenieśli go do Kalifornii. Marguerite chyba nigdy więcej go nie zobaczyła, nie wiem na pewno, lecz wątpię w to. Może pojechał do Maine, by się z nią pożegnać, a jeśli tak zrobił, obiecał jej zapewne, że po nią wróci. Mieszkał w Kalifornii najwyżej miesiąc, gdy zginął podczas szkolenia. Twoja matka powiadomiła mnie o jego śmierci pod koniec stycznia. Miała mocny charakter, silny umysł, a po jego śmierci oświadczyła rodzicom, że nie odda jego dziecka. Chwilę później twoja

matka, to znaczy babka, powiedziała wszystkim, że spodziewa się dziecka i że wyjeżdża na wieś, by móc odpoczywać. Wynajęli posiadłość w Bangor w Maine, a ja odwiedzałam twoją matkę w tym domu dla dziewcząt. Śmierć Tommy'ego złamała jej serce. Twoi dziadkowie zgodzili się nie oddawać dziecka do adopcji i uznać je za swoje. Przyszedł na świat w czerwcu, duże, piękne dziecko. Twoja matka miała trudny poród, była taka młoda. Lato spędziliśmy w Maine, a we wrześniu wróciliśmy do Nowego Jorku: twoi dziadkowie, którymi faktycznie byli, ze „swoim” nowym dzieckiem. Dwa tygodnie po naszym powrocie do Nowego Jorku odesłali Marguerite. Ciebie uznali za swoją. Nigdy w życiu nie widziałam, by ktoś płakał tak, jak twoja matka w noc przed wypłynięciem do Europy. Zarezerwowali jej bilet na szwedzkim promie *Gripsholm*. Płynął do Lizbony z innymi cywilami, ponieważ Portugalia nie brała udziału w wojnie. Potem Marguerite zamierzała przedostać się do Anglii. Odesłali ją do Europy, choć trwała tam wojna. Statek mógł zostać zbombardowany, lecz oni o to nie dbali.

Łzy płynęły po policzkach Fiony, gdy opowiadała tę historię.

– Poszłam ją odprowadzić. Nie dali jej wyboru, chcieli, by wyjechała. Trzymała cię w ramionach przez całą noc i przysięgała, że pewnego dnia po ciebie wróci. Rankiem wyjechała. Obiecałam przesyłać jej twoje zdjęcia, kiedy tylko będę mogła, i robiłam to, dopóki z wami mieszkalam. Twoi rodzice nigdy nie chcieli, by wróciła. Zdradziła mi, że postanowili zmusić ją do pozostania w Europie nawet mimo trwającej tam wojny.

– Hrabiego poznała tuż po przyjeździe do Anglii. Nie pamiętam, może nawet podczas rejsu. Napisała mi, że to dobry człowiek, wspaniale ją traktował, ale zawsze tęskniła za tobą i powtarzała, że jej życie nie jest pełne bez ciebie. Miała zostać w Anglii, lecz wyjechała z nim do Włoch. Pobrali się w Londynie, dzięki czemu wyrobił jej włoski paszport. Wiem, że w pewnym momencie próbowała cię odzyskać, miałaś chyba siedem lat. Przyjechała na dwa tygodnie ze swoim mężem, by spotkać się z prawnikami i zabrać cię do Włoch. Wojna się skończyła. Spotkała się z twoimi dziadkami, którzy nie chcieli cię oddać. Nie jestem pewna, czym ją przekonali, lecz wyjechała bez ciebie. Nigdy więcej jej nie widziałam. Twoja babka była wściekła, groziła, że zdemaskuje

Marguerite, skompromituje ją i wywoła skandal. Marguerite próbowała chyba z pomocą męża odzyskać cię na drodze sądowej, lecz gdy się nie udało, ostatecznie się poddała. Jej rodzice zbyt zaciekle walczyli. Twoja babka nigdy nie żywiła wobec ciebie matczynych uczuć, kazała mnie się tobą zajmować, lecz uwikłali się w kłamstwo, które wymyślili, i postanowili nie zwracać cię twojej prawdziwej matce. Zmusili ją, by pozwoliła im cię adoptować. Marguerite nigdy nie miała innych dzieci, nie chciała. Chciała tylko ciebie, a oni jej na to nie pozwolili. Potraktowali ją okrutnie, lecz przynajmniej miała dobrego męża, który kochał ją i opiekował się nią. Była jeszcze młoda, gdy zmarł, lecz została we Włoszech po jego śmierci. Tutaj nic na nią nie czekało. Twoi dziadkowie już o to zadbali.

Ich postępek nawet dzisiaj budził w Fionie gniew.

– Nie chciała ich już nigdy więcej widzieć, a oni podzielali jej uczucie. Rok po jej wyjeździe zaczęli opowiadać, że zmarła w Europie na gripę. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Przepasali drzwi domu żałobnym kirem. Serce by mi pękło, gdybym w to uwierzyła, ale ona do mnie napisała. Żyła i nie miała pojęcia o tym, co zrobili, dopóki jej nie poinformowałam. Chcieli mieć pewność, że nigdy nie wróci. Twoja babka nakazała dziadkowi zniszczyć wszystkie jej zdjęcia. To nie było normalne. Przyzwoici ludzie nie robią takich rzeczy. Ukradli cię jej i pogrzebali własną córkę dla innych. Nigdy nie myślałam o nich jako o twoich rodzicach, a oni nigdy nie zachowywali się jak rodzice wobec ciebie. Traktowali cię jak obcą osobę, którą ktoś podrzucił pod ich drzwi. Miałam nadzieję, że pewnego dnia powiedzą ci o twojej matce i o tym, co zrobili, lecz nie odważyli się. Nikt inny nie wiedział, poza lekarzami w Maine oraz ich prawnikami. Miałas prawdziwy akt urodzenia, w którym zostali wymienieni jako twoi rodzice. Widziałam go kiedyś. Wszystko to było kłamstwo, którym złamali serce własnej córce. Bardzo się ucieszyłam, gdy poznałam hrabiego, ogromnie ją kochał, a ja nie chciałam, by była na świecie sama. Kochała cię, Valerie, bardzo mocno, i nigdy by cię nie zostawiła, gdyby miała wybór. Nie żyje już, prawda? – zapytała Fiona.

Gdy Valerie pokręciła głową, po jej policzkach popłynęły nowe łzy. Teraz miała pewność.

– Zmarła siedem miesięcy temu. Mieszkała w Nowym Jorku od dwudziestu dwóch lat. Mogłabym się z nią spotkać, gdybym wiedziała. – Zszokowała ją myśl, że Fiona była tylko dwa lata starsza od jej matki i nadal żyła. Marguerite nie miała tyle szczęścia, lecz życie mocniej ją doświadczyło, nie otaczały jej też kochające dzieci, które mogłyby jej zapewnić opiekę, tak jak Fionie.

– Jestem przekonana, że odszukałaby cię, gdyby tylko się odważyła.

Valerie nie przestawała się zastanawiać, dlaczego tego nie zrobiła. Może konieczność wyjaśniania swego powrotu ze świata zmarłych byłaby dla niej zbyt bolesna.

– Byłaś dorosłą kobietą. Zapewne uznała, że już za późno.

Valerie ucieszyłaby się ze spotkania ze swą prawdziwą matką, niezależnie od wieku. Nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia, ponieważ okazało się, że od początku miała rację – jej dziadkowie, którzy udawali jej rodziców, nienawidzili jej i pogardzali nią zapewne przez to, że bezustannie przypominała im o hańbie córki. Udało im się nie dopuścić do ich spotkania nie tylko za życia, lecz także wiele lat po swojej śmierci. Jediną opiekunką, która obdarzyła ją macierzyńską miłością, była Fiona. Teraz spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Dziękuję, że powiedziałaś mi prawdę – powiedziała ściszym tonem.

– Zawsze chciałam to zrobić. Myślałam, że zaczniesz coś podejrzewać albo dowiesz się w inny sposób. Nie spodziewałam się, że aż tyle to potrwa.

Upłynęły siedemdziesiąt cztery lata, zanim poznała prawdę. Nagle poczuła się jak sierota, którą przez całe życie była, lecz przynajmniej wiedziała teraz, że matka ją kochała. Wstrząsnęła nią też myśl, że czysty przypadek sprawił, iż Phillip został poproszony o wycenę zawartości porzuconej skrytki depozytowej. W przeciwnym razie nigdy by się nie dowiedziała. Teraz była za to wszystko wdzięczna losowi.

– Rodzice Tommy’ego nazywali się Muriel i Fred Babcockowie, gdybyś chciała ich odnaleźć. Podobno teraz można to zrobić przez Internet. Syn chciał mi kupić komputer, lecz jestem już na to za stara. Ale oni też są twoją rodziną.

Wcześniej nie przyszło to Valerie do głowy, musiała się nad tym zastanowić. Tak wiele musiała najpierw i zrozumieć. W jeden dzień odzyskała matkę, która ją kochała, i na powrót ją utraciła.

Długa opowieść zmęczyła Fionę – mówiła przez bite dwie godziny.

– Chyba się teraz zdrzemnę – powiedziała, zamykając oczy.

Valerie pochyliła się nad nią i delikatnie pocałowała ją w policzek. Fiona otworzyła powieki i uśmiechnęła się.

– Dziękuję ci, Fiono. Kocham cię – szepnęła Valerie jak za czasów, gdy była dzieckiem.

– Ja ciebie też. – Fiona poklepała jej dłoń. – Pamiętaj, że cię kochała i że teraz jest twoim aniołem stróżem.

Była to piękna myśl. Valerie po cichu wyszła z pokoju, gdy jej niania zasnęła. Miała za sobą najbardziej emocjonujący dzień swojego życia.

Wsiadła do samochodu i myśląc o tym, co powiedziała jej Fiona, wróciła do Nowego Jorku. Po drodze zatrzymała się na kawę – popijała ją, wpatrując się w przestrzeń i myśląc o matce i wszystkim, co ją spotkało, a także o jej okropnych rodzicach. Uczynili, co tylko mogli, by zrujnować życie swojej najstarszej córce w ramach kary za młodzieńczy błąd i nieślubne dziecko. Ogarniała ją wściekłość na samą myśl o tym, a gdy jej gniew osłabł, poczuła obezwładniający smutek i współczucie dla matki, której nigdy nie poznała, a która chciała do niej wrócić, lecz nie było jej to dane.

Dotarła do Nowego Jorku o północy, położyła się, lecz nie zdołała zasnąć. W jej głowie trwała gonitwa myśli. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Nie była jeszcze gotowa, by powiedzieć Phillipowi. Zamierzała to zrobić, najpierw jednak musiała sama pogodzić się z tym wszystkim, z wszelkimi konsekwencjami. Nie była tym, kim przez całe życie myślała, że jest. Chciała tylko podzielić się tą informacją z Winnie, by dowieść swej słuszności. Wcale nie zwariowała. Nigdy nie czuła się zdrowsza na umyśle ani spokojniejsza w całym swoim życiu. Postawiła na szafce nocnej zdjęcie Marguerite, gdy kładła się spać. W końcu odnalazła matkę, której nigdy nie miała.

– Dobranoc, mamó – powiedziała cicho, po czym pogрузzyła się w głębokim śnie.



## Rozdział 10

Gdy Valerie obudziła się następnego ranka, zrozumiała, że musi oswajać się z tym, czego się dowiedziała, krok po kroku. Dzień wcześniej w jej życiu wybuchła bomba, a ona chciała w możliwie największym stopniu kontrolować zniszczenia, których dokonała. Zamierzała poruszać się powoli i każdy krok uważnie przemyśleć. Pewna była tylko jednego – Fiona przekazała jej niezwykły dar: prawdę o niej samej. Teraz rozumiała, dlaczego zawsze czuła się w swojej rodzinie jak obca. Nie była dzieckiem, lecz wnuczką swoich rodziców. Teraz dostrzegała różnicę. Jediną osobą, której chciała o tym teraz powiedzieć, była jej siostra Winnie. Wszystko i wszyscy inni mogli poczekać, nawet jej syn. Nie chciała jeszcze dzielić się z nim tą historią. Najpierw musiała sama ją zrozumieć.

Zadzwoiła do Winnie i zapowiedziała się z krótką wizytą. Tym razem nie poprosiła o pozwolenie, nie dbała o to, czy to dla siostry wygodne, czy też nie. To, co zamierzała powiedzieć, czekało siedemdziesiąt cztery lata i nie mogło już czekać ani chwili dłużej.

Winnie przyjęła ją w granatowej garsonce od Chanel i w nowej fryzurze. W każdym calu wyglądała jak zamożna, wywodząca się z wyższych sfer matrona z Park Avenue, którą była. Valerie miała na sobie dzinsy, sweter i baleriny; śnieżnobiałe włosy zaplotła w warkocz, który spływał jej na plecy. Jej oczy błyszczały, wyglądała na wypoczętą. Od lat się tak dobrze nie czuła, nagle uwolniła się od obciążeń i rozczarowań przeszłości.

– To nie potrwa długo – zapowiedziała spokojnie, gdy usiadła.

Winnie ogarnęły obawy. Miała przecucie, że nie spodoba się jej to, co powie Valerie. Była zbyt spokojna, niemal w transie.

– Czy coś się stało?

– Tak. Wczoraj odwiedziłam Fionę, naszą starą nianię.

– To ona jeszcze żyje? – Winnie wyglądała na zaskoczoną. Nie korespondowała z nią ani nie utrzymywała kontaktów, w przeciwieństwie do Valerie, która co roku otrzymywała od Fiony życzenia na święta.

– Tak.

– Ma chyba już ze sto lat – mruknęła Winnie lekceważąco.

– Dziewięćdziesiąt cztery i jest w świetnej formie. Pojechałam do New Hampshire, by się z nią zobaczyć. Doszłam do wniosku, że może znać odpowiedzi, których my nie znamy. Byłyśmy małe, gdy Marguerite wyjechała. Miałam rację. Nie otrzymałam odpowiedzi, których się spodziewałam. Pokazałam jej zdjęcia z myślą, że powie mi, iż Marguerite Pearson di San Pignelli była naszą siostrą. Czułam pewność, lecz się pomyliłam.

Winnie nastroszyła piórka z satysfakcją. Zmierzyła Valerie triumfalnym spojrzeniem, gdy ta przyznała się do błędu.

– Przecież ci mówiłam. Próbowalaś tylko zaszkodzić matce i ojcu.

– Chciałam tylko poznać prawdę – odparła Valerie cicho – jakakolwiek by ona była. I poznałam. Kobieta, która zostawiła po sobie skrytkę depozytową pełną klejnotów i poślubiła włoskiego hrabiego, była twoją siostrą, ale nie moją. Była moją matką – dodała ze łzami w oczach. – Zaszła w ciążę, mając siedemnaście lat, z chłopcem, którego kochała. Chcieli się pobrać, lecz ich rodzice nie wyrazili zgody. Natychmiast ich rozdzielili, a twoi rodzice, moi dziadkowie, odesłali Marguerite do domu dla zbłąkanych dziewcząt w Maine i nakazali jej oddać dziecko do adopcji. Nie pozostawili jej wyboru, ponieważ nieślubne dziecko w tamtym czasie mogło być przyczyną skandalu.

Oczy Winnie zrobiły się wielkie, wydawała się zszokowana nowinami Valerie, lecz nie powiedziała ani słowa. Valerie zaczęła się zastanawiać, czy może coś podejrzewała, bo przecież nie mogła wiedzieć.

– Był listopad 1941 roku. Dwa tygodnie później Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, a chłopiec, który był moim ojcem, zaciągnął się do armii i wyjechał na obóz dla rekrutów. Dalsze szkolenie miał odbyć w Kalifornii. Zginął w wypadku kilka tygodni później. Moja matka nie zgodziła się mnie oddać, gdy się o tym dowiedziała. Dlatego też twoi rodzice, nie moi – podkreśliła znów – przeprowadzili się do Maine i udawali, że twoja matka jest w ciąży. Wrócili do Nowego Jorku we wrześniu, utrzymując, że jestem ich dzieckiem. Zmusili Marguerite, by pozwoliła im mnie adoptować. Jakiś czas później wsadzili ją na statek do Europy, gdzie trwała wojna, wygnali ją z domu i zaryzykowali jej

życie, by wysłać ją do Lizbony, a stamtąd do Anglii. Zasadniczo zmusili ją, aby się mnie zrzekła, choć nie lubili mnie nawet, nie chcieli ani nie akceptowali. Rok po jej wyjeździe powiedzieli wszystkim, że Marguerite umarła, pozbawiając mnie matki, a ją jedyne dziecko. Zatrzymali mnie, by uniknąć skandalu, i złamali jej serce, a potem udawali, że umarła. Ona natomiast tuż po przyjeździe do Londynu wyszła za mąż za człowieka, który ją gorąco kochał, dzięki Bogu. Fiona mówi, że próbowała mnie odzyskać, lecz walczyli z nią ze wszystkich sił, zagrozili jej skandalem i w końcu się poddała. Nie miała więcej dzieci, a ja nie miałam matki, która by mnie kochała, przez nich. Możesz myśleć, że byli dobrymi ludźmi, lecz ja jestem innego zdania. Rozpowszechniali potworne kłamstwo przez całe swoje życie. Wszystkie dowody wskazują na to, że moja matka, a twoja starsza siostra, wiodła samotne życie, odkąd owdowiała w wieku czterdziestu jeden lat. Miałabym pół wieku, aby ją poznać i pokochać, gdybym tylko wiedziała, że żyje. Twój rodzice, a moi dziadkowie, ukradli tobie siostrę, mnie matkę, a jej jedyne dziecko. Nie przetrwałam jeszcze tego wszystkiego i nie wiem, co z tym pocznę. Nic nie mogę zrobić. Nikt nie może cofnąć tego, co się już stało i co zrobili. Chciałam jednak, byś dowiedziała się pierwsza. Nie postradałam rozumu, nie dziecinnieję ani nie mam urojeń, jak sugerowałaś. Miałam rację, i to w większym stopniu, niż mogłabym podejrzewać. Myślałam, że Marguerite di San Pignelli była naszą siostrą. Nie spodziewałam się natomiast, że była moją matką. Cokolwiek się stanie, uważam, że powinnaś wiedzieć. Nie wyobrażam sobie, bym mogła im wybaczyć to, co zrobili. Obie, ty i ja, byłyśmy niewinnymi ofiarami, okłamywano nas przez całe nasze życie.

Valerie umilkła i spojrzała na Winnie, która chyba jej uwierzyła. Z jej ust nie padło żadne słowo, po jej policzkach płynęły łzy. Wydawało się jej to niemożliwe, lecz opowieść Valerie była jasna i na tyle spójna, że choć Winnie nie chciała tego przyznać, brzmiała prawdziwie. Wszystkie iluzje, które żywiła wobec swojej rodziny, zostały zdemaskowane. Tak jak mówiła Valerie. Winnie była zszokowana, jej bezpieczny, uporządkowany, mały świat rozpadał się. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak czuła się z tym Valerie, która nigdy nie poznała własnej matki.

– Mimo wszystko myślę, że cię kochali – oświadczyła ochryplym, drżącym głosem, gdy Valerie patrzyła na nią z niewzruszoną miną. – Zapewne uznali, że to dla wszystkich najlepsze wyjście. – Zawsze była wobec nich lojalna, nawet teraz.

– Zrujnowali życie mojej matce, a twojej siostrze. Uczynili moje dzieciństwo piekłem. Fiona jako jedyna dorosła osoba w moim życiu darzyła mnie miłością, a Bóg jeden wie, jak musiała się czuć moja matka, gdy pozbawiono ją jedyne dziecko. Nie mogę nawet o tym myśleć. Umarła w samotności, podczas gdy ty i ja żyliśmy tuż obok.

Była to przerażająca myśl. Winnie nie mogła przestać płakać. Obie kobiety wpatrywały się w siebie przez długi czas, aż w końcu Valerie wstała.

– Przepraszam, jeśli moje słowa były zbyt ostre. Chciałam tylko, żebyś wiedziała.

Winnie pokiwała głową, lecz nie podeszła do niej. Nie była pewna, czy Valerie nie gniewa się również na nią. Bała się tego.

Valerie uścisnęła ją przed wyjściem, a stojąc w drzwiach, odwróciła jeszcze głowę z kpiącym uśmiechem.

– A właśnie – omiotła elegancką starszą siostrę spojrzeniem – nie jesteś już moją siostrą, jesteś moją ciotką. – Roześmiała się i cicho zamknęła za sobą drzwi, po czym wróciła do swojego mieszkania w SoHo, aby zastanowić się nad następnym krokiem. Cała konfiguracja jej życia zmieniła się w minionej dobie. Wiedziała, że mapa jej świata nigdy już nie będzie wyglądać tak samo.

## Rozdział 11

Jane przez cały tydzień myślała o wyprowadzce. Zdawała sobie sprawę, że jej związek w ostatnich miesiącach zmienił się na gorsze i teraz wydawał się nie do uratowania. John znów wyjechał na weekend do Hamptons, a ona zamierzała poinformować go o swojej decyzji tego wieczoru. Przez cały dzień się pakowała, a na poniedziałek zamówiła ciężarówkę, by przewieźć swoje rzeczy do magazynu na przechowanie. Przeprowadzała się na kilka tygodni do Alex i rozpoczęła poszukiwania czegoś dla siebie. Jeszcze nie powiedziała rodzicom – wstydziła się przyznać, że zrywa z Johnem. Skończyła chować do kartonów książki, papiery, pamiątki i sprzęt sportowy i właśnie zaczynała pakować ubrania, gdy John wrócił do domu.

Pogoda dopisywała przez cały weekend, a on złapał trochę słońca, leżąc na plaży nawet pomimo zimna. Wyglądał na wypoczętego. Wciąż oburzało ją, że wolał zostawiać ją samą i wszystkie weekendy spędzać ze znajomymi. Nawet jeśli się uczyli, znajdowali też czas na zabawę. Poprzedniego wieczoru urządzili grilla. Było to dla niej jak policzek. W końcu uświadomiła sobie, że nie ma sensu walczyć z nieuniknionym. To koniec. Nie mogła dłużej temu zaprzeczać.

Zrobił zdumioną minę na widok kartonów w holu.

– Co to jest?

– Moje rzeczy. Wyprowadzam się – odparła, unikając jego wzroku.

– Tak po prostu? Nie porozmawiamy o tym? – Nie był smutny ani zdenerwowany, tylko poirytowany.

– Ty nie rozmawiałeś ze mną, zanim postanowiłeś wynająć dom w Hamptons z kumplami. Nawet mnie tam nie zaprosiłeś. – Na jej twarzy odmalował się żal.

– Przez cały weekend się uczymy. Nikt nie zaprasza tam swoich partnerek. Jesteśmy tylko my, faceci – wyjaśnił z niewinną miną.

– Cara i Michele nie są facetami – oświadczyła chłodno, próbując zamaskować ból, który czuła. John okazał się ogromnym rozczarowaniem, straciła na niego trzy lata życia.

– One są w mojej grupie – odparł, po czym ją objął. – O co ci chodzi?

– W ogóle się już nie widzimy. Nic nas nie łączy. Nasz związek to katastrofa. To koniec. I to od miesięcy. – Poczowała pieczenie łez pod powiekami, gdy to powiedziała, lecz nie zamierzała się rozplakać. Nie chciała wyglądać w jego oczach jak ofiara.

– Nie wytrzymasz do czerwca? – Podszedł do lodówki, wyciągnął piwo i spojrzał na nią.

– I co wtedy? To już nie działa. Dawniej się lubiliśmy. Robiliśmy razem różne rzeczy. – Miała wrażenie, że nie rozmawiają o sednie problemu. – Sypiasz z Carą?

Znów wracali do tego tematu, lecz teraz naprawdę chciała wiedzieć. Szkoła nie była już wymówką, która tłumaczyłaby rozpad ich związku w ostatnich miesiącach. Nic z niego nie zostało.

– Och, na litość boską. Zdradzasz mnie? O to ci chodzi? I zwalasz winę na mnie?

Bardzo sprytnie unikał odpowiedzi na pytanie, a ona wpadła w gniew. Nie wykazywał ani odrobiny skruchy.

– Odpowiedz na pytanie – nakazała mu ostro.

– Przykro mi, pani adwokat. To chyba nie twoja sprawa, co robię, jeśli się wyprowadzasz.

Znów zachowywał się jak dupek, igrał z nią, bawił się w kotka i myszkę.

– Zależy ci na naszym związku? – zapytała wprost.

– Oczywiście, że tak. Ale nie będę tu z tobą siedział dzień i noc, jeśli w czerwcu mam skończyć studia.

– Nie musisz uczyć się w każdy weekend w Hamptons albo mógłbyś mnie czasami zaprosić. – Widziała, że tego nie chce, i podejrzewała, z jakiej przyczyny. Ktoś gorączkowo do niego pisał SMS-y, gdy rozmawiali, a ona domyślała się kto. Chwyciła jego komórkę, gdy uniósł butelkę z piwem do ust. Serce jej stanęło, gdy odczytała wiadomość. Nie zdołał jej powstrzymać. „Suka w domu? Mogę wpaść?” Podpisano „C”. Uzyskała swoją odpowiedź.

John zrobił zszokowaną minę i wyrwał telefon z jej dłoni.

– Co to ma znaczyć? – zapytała Jane lodowatym tonem.

– Nie wtykaj nos w nie swoje sprawy – odparł, po czym wpadł do sypialni i trzasnął drzwiami.

Wróciła do pakowania; wyjmowała swoje rzeczy z szafy w przedpokoju, gdy wyszedł z sypialni kilka minut później. Nie zauważył, że się trzęsła.

– Posłuchaj, oboje żyjemy teraz pod presją. Czasami sytuacja wymyka się spod kontroli. Cokolwiek się z nią dzieje, nie ma znaczenia. Ty i ja jesteśmy razem od trzech lat.

– Chyba o tym zapomniałeś. Odchodzę. To nie służy żadnemu z nas. I to od miesięcy. – Odwróciła się do niego twarzą. – Myślałam, że jesteśmy wobec siebie uczciwi i wierni. Najwyraźniej się myliłam.

– A ty z kim sypiasz? Z tym facetem z Christie's? Chyba go polubiłaś.

– Tak, polubiłam. Ale nie sypiam z nim. Powiedziałam mu o tobie. Ja nie sypiam z innymi. Mieszkam z tobą, myślałam, że się kochamy, cokolwiek to dla ciebie znaczy.

– Wracam do L.A. – wyznał w końcu ze skruszoną miną. – Ona też. Wiem, że ty chcesz zostać tutaj i szukać pracy w nowojorskiej kancelarii. – W końcu zdobył się na szczerą. Za późno.

– I dlatego zdradzasz mnie, rozpoczynając związek z inną? Tak mi o tym mówisz?

– To wspaniała okazja. Jej ojciec da nam pieniądze na rozkręcenie firmy. To jakiś start. To może być moja wielka szansa.

– Świetnie. Miło byłoby, gdybyś najpierw zakończył sprawy ze mną. Po co te pozory? Po co tyle zachodu? Co jest z tobą nie tak? – Postąpił z nią wyjątkowo podle. Podczas gdy ona siedziała w domu i czekała na niego, on sypiał z Carą, której ojciec zamierzał przekazać im pieniądze na nowy biznes.

– Nie chcemy od życia tego samego – wyjaśnił bez przekonania.

– Ja myślałam, że chcemy. Mój błąd. Mogłeś mi to wyjaśnić, gdy sam doszedłeś do tego wniosku. Czy Cara chce tego co ty?

– Oboje jesteśmy z L.A. Powrót to jej pomysł.

– Cudownie. – Łzy napłynęły jej do oczu, gdy się pakowała. Nie chciała na niego patrzeć.

– Ty jesteś z Michigan. To co innego.

Chyba myślał, że jest miły, tymczasem zachowywał się jak dupek. Całkowicie się zmienił albo też w końcu obnażył swoje prawdziwe ja.

To już nie miało znaczenia.

– Tak, w Michigan mieszkają głupi, nudni ludzie, którzy mówią prawdę. To musiało być dla ciebie okropne.

– Jesteś dla mnie zbyt przyzwoita – wyznał szczerze. – Cara to „niegrzeczna dziewczynka”. Też taki teraz jestem. – W głosie dało się wyczuć, że jest z siebie dumny. Przeszedł od zaprzeczania, że z nią sypia, do cichego potwierdzenia i chełpienia się tym.

– Kimkolwiek teraz jesteś lub myślisz, że jesteś, może dasz mi się po prostu spakować w spokoju? Przenocuję dzisiaj gdzieś indziej, a ty możesz jej napisać, że „suka wyszła”.

– Daj spokój, skarbie, nie bądź taka. Nie kończmy tego w ten sposób po trzech latach.

– Ty już to skończyłeś – odparła cicho, po czym weszła do sypialni, wyjęła walizki i wrzuciła do nich wszystko, co zostało. Chciała już tylko stąd wyjść. Czowała się jak idiotka, gdy mówił jej, że jest zbyt przyzwoita, i nabijał się z niej. Czowała się tak, jakby wyrwał jej serce przez gardło. Ewidentnie zdradzał ją od miesięcy i śmiał się z niej w duchu. Okazała się totalną idiotką. Gdy go słuchała, nie potrafiła sobie przypomnieć, za co go w ogóle kochała.

Siedział na kanapie, pił piwo i oglądał telewizję, gdy pakowała swoje rzeczy. Pół godziny później w przedpokoju stanęły cztery walizki pełne jej ubrań, resztę włożyła do kartonów, które do czasu znalezienia mieszkania miały czekać w magazynie. Zostawiała mu wszystko, co kupiła do kuchni – nie dbała o to. Cara będzie mogła tego używać, jeśli zacznie dla niego gotować. Bieglejsza była jednak chyba w sypialni niż w kuchni.

Włożyła płaszcz i sięgnęła po walizkę. Mieszkanie wydało się jej nagie. Zauważyła, że John jest lekko pijany. Wbił w nią zdumione spojrzenie.

– To wszystko? Naprawdę się wyprowadzasz?

– Tak.

– Przecież mieliśmy porozmawiać, popracować nad tym.

– Możesz popracować z Carą. Już dość dzisiaj usłyszałam. – Zresztą jaki miałoby to sens, jeśli zamierzał przeprowadzić się z nią do L.A.?



Otworzyła drzwi mieszkania i wyniosła walizki na korytarz. Gdy wstał, by jej pomóc, powstrzymała go gestem. – Nie. Poradzę sobie.

– Oczywiście, wszystko robisz idealnie. Nikt nie jest taki mądry jak ty, z twoimi idealnymi stopniami i wynikami. Życie wszystko serwuje ci na srebrnej tacy. Niektórzy z nas muszą się bardziej wysilać. Ale nie ty.

Uświadomiła sobie nagle, że jest o nią zazdrosny, może zawsze był. W jego oczach nie dostrzegła miłości, gdy na nią patrzył, nie widziała jej od miesiący. Teraz to rozumiała. Cara była częścią jego wysiłku. Miała pomóc mu założyć firmę przy udziale swojego ojca. Jane nie mogła zaproponować mu podobnego układu. Dlatego ze sobą skończyli.

– Powodzenia w L.A. – Walizki były dla niej za ciężkie, lecz nie chciała jego pomocy. Sam jego widok napełniał ją odrazą. Wyniosła wszystkie cztery walizki na korytarz, przeniosła je do windy, po czym wróciła do mieszkania. – Ktoś przyjedzie jutro po moje rzeczy, a klucze ci prześlę. Możesz jej powiedzieć, że już może przyjść.

– Tu nie chodzi o nią – powiedział lekko zamroczony alkoholem. Zaczęła się zastanawiać, czy pił cały dzień.

– Nie – zgodziła się – tu chodzi o nas. O ciebie i o mnie. Powinnam się wyprowadzić wiele miesięcy temu. Może w ogóle trzeba było tego nie zaczynać. – Wciąż była przekonana, że to on się zmienił, lecz teraz nie miało to już znaczenia. – Do widzenia – pożegnała się cicho, patrząc na niego po raz ostatni.

– Kocham cię, skarbie – mruknął, próbując wziąć ją w ramiona. Odepchnęła go. Nie znał prawdziwego znaczenia tych słów.

– Może powinniśmy jeszcze nad tym popracować.

Jej zdaniem było już na to zdecydowanie za późno, poza tym była niemal pewna, że Cara przenocuje w ich łóżku jeszcze tej samej nocy. Zawsze tego chciała i on najwyraźniej też. Bratnie dusze. Wykorzystywali siebie nawzajem, a ją okłamywali.

Jane nie powiedziała już ani słowa – po prostu wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Wsiadła do windy z walizkami i zjechała na dół. Przeciągnęła swój bagaż przez hol na chodnik i przywołała gestem taksówkę. Kierowca włożył jej torby do bagażnika i na przednie

siedzenie, a ona podała mu adres Alex. Uprzedziła przyjaciółkę o swoim przyjeździe.

Gdy taksówka pędziła po West Side Highway, dostała SMS-a od Johna. Był już na tyle pijany, by wysłać go nieodpowiedniej osobie. Wiadomość przeznaczony zapewne dla Cary, lecz wysłał ją Jane. „Nie ma jej. Przyjedź. J.” Był żaloszny. Przez chwilę odczuwała pokusę, aby odpisać mu „Pieprz się”, lecz tego nie zrobiła. Wykasowała jego wiadomość, po czym utkwiała wzrok w szybie. Czuła się pusta i otepiała, głupia i wykorzystana. Trzy lata jej życia właśnie poszły z dymem.

Phillip i Valerie jedli tego wieczoru obiad w tajskiej restauracji, którą Valerie lubiła. Phillip uznał, że matka jest wyjątkowo przygaszona.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską.

– Oczywiście. Nic mi nie jest.

Uśmiechnęła się do niego, lecz w jej oczach pojawiła się melancholia, której nigdy wcześniej u niej nie zauważył.

– Jesteś bardzo milcząca – dodał, martwiąc się o nią.

– Jestem tylko zmęczona. Wczoraj byłam w New Hampshire.

– Naprawdę? Dlaczego? – Uznał tę podróż za bezsensowną.

– Chciałam zobaczyć się z moją dawną nianią, Fioną McCarthy.

Pamiętasz ją? Poznaliście się, gdy miałeś piętnaście lat.

– Tak, pamiętam. Była zabawna. Jeszcze żyje?

– Ależ oczywiście. Ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Uznałam, że powinnam ją odwiedzić, ponieważ możliwe, że nie zostało nam wiele czasu, biorąc pod uwagę jej wiek.

– Dlaczego nie zostałeś na noc?

– Chciałam wrócić do domu.

– Chyba oszalałaś, mamó. Nawet nie wiedziałem, że wyjechałaś.

– Poradziłam sobie. – Uśmiechnęła się do niego, znów bardziej przypominając siebie.

– Przeglądałaś fotografie? – Miał na myśli zdjęcia Marguerite, które przesłała mu Jane.

– Tak – odparła cicho.

– Rozpoznałaś kogoś? Zauważyłaś jakieś rodzinne podobieństwo? – zażartował.

Nie odpowiedziała. Zdecydowanie zachowywała się poważniej niż

zwykle.

– Niestety – mruknęła, po czym zmieniła temat. – Była piękną kobietą. Nie mogę się już doczekać wystawy klejnotów przed aukcją.

– Możesz przecież wpaść i zobaczyć je, kiedy tylko zechcesz. Trzymam je w sejfie. Próbuje teraz oszacować ich wartość. Myślę, że osiągną zawrotne ceny.

Pokiwała głową, lecz nic nie dodała.

Zaczęli rozmawiać na temat jego zbliżającej się podróży do Paryża na kolejną dużą aukcję Christie's. Wyjaśnił, że zamierza udać się do Cartiera i Van Cleefa, aby uzyskać więcej informacji o biżuterii – gdzie została zakupiona i z jakiej okazji. Paryskie archiwum Cartiera odpowiedziało na jego maila po trzech dniach. Szukali w swoich archiwach przedmiotów, które opisał, i obiecali, że odezwą się do niego w ciągu dwóch tygodni, jak również że są gotowi udostępnić mu swoje archiwa, gdy przyjedzie do Paryża. Okazali się wyjątkowo uprzejmi i zapewnili go, że podejmą wszelkie starania, aby odnaleźć dokumenty i szkice klejnotów, które go zainteresowały. Van Cleef zgłosił podobną gotowość.

– Umieszczenie roboczych szkiców w katalogu ożywi aukcję – wyjaśnił matce.

– Jak długo cię nie będzie? – zapytała cicho.

– Tydzień. Muszę jeszcze lecieć do Paryża, może do Rzymu.

Zamierzał odszukać wyroby od Bulgari, które należały do hrabiny. Chciał skrupulatnie opracować temat. Nawet jeśli biżuteria nie mieściła się w kręgu jego zainteresowań, w pełni poświęcał się swojej pracy, a zwłaszcza temu zadaniu, którym zainteresował się również prywatnie. Jego matka najwyraźniej także.

Po kolacji odprowadził ją do domu, lecz na górę weszła sama. Nie powiedziała mu, czego dowiedziała się od Fiony. Potrzebowała czasu, by to przetrwać, i nie była jeszcze gotowa na rozmowę o tym. Nie miała pojęcia, co się stanie, jeśli już ją odbędzie, ani jak wpłynie to na aukcję. Nie chciała jeszcze wprawiać maszyny w ruch, choć wiedziała, że będzie musiała, jeśli rzeczywiście jest spadkobierczynią Marguerite.

Phillip pojechał taksówką do Chelsea, a gdy wszedł do swojego mieszkania, pomyślał o Jane. Bardzo chciał się z nią zobaczyć, lecz nie

wiedział, kiedy będzie to możliwe. Nie chciał się narzucać, przecież miała chłopaka. Nie mógł wiedzieć, że w tej samej chwili Jane siedzi w mieszkaniu swojej przyjaciółki Alex i opowiada jej, co zaszło pomiędzy nią a Johnem.

Cała ta sprawa była paskudna i upokarzająca, chciała już tylko zostawić ją za sobą. Zdumiało ją, że nie odczuwa smutku, tylko gniew i ulgę. Może rozczarowanie i poczucie osamotnienia jeszcze nadejdą – tego nie wiedziała.

– Teraz możesz umówić się z tym facetem z Christie's – powiedziała Alex, gdy już umyły zęby i położyły się do łóżka.

Walizki Jane wciąż stały w przedpokoju nierozpakowane.

– Jeszcze nie – odparła Jane z namysłem. – Potrzebuję czasu, by to sobie poukładać i przeboleć.

– Nie czekaj zbyt długo – ostrzegła ją Alex.

Jane wybuchnęła śmiechem.

– Porządni faceci nie zostają na rynku matrymonialnym zbyt długo. Szybko z niego znikają.

– Dobrze mi bez faceta – zapewniła Jane zarówno przyjaciółkę, jak i siebie. Teraz mogła robić, co tylko chciała. Najlepsze w tym wszystkim było to, że odzyskała wolność. Wiedziała, że postąpiła słusznie, odchodząc od Johna. Była to najlepsza decyzja, jaką podjęła od lat, choć niestety spóźniona.

## Rozdział 12

Gdy Jane przysłała w poniedziałek do pracy, zauważyła, że Harriet wygląda na wyczerpaną – miała sińce pod oczami świadczące o trudnym weekendzie. Zapytała ostrożnie o zdrowie jej matki, czym wzruszyła szefową. Na początku Harriet nie lubiła Jane, uważała ją za zepsutą bogatą pannicę, lecz z czasem odkryła, że to miła osoba i dobry pracownik. Obdarzyła ją sympatią. Wiedziała, że zawsze może na nią liczyć, jeśli trzeba zrobić coś więcej, i rozumiała, że będzie za nią tęsknić, gdy Jane odejdzie. Miała w sobie świeżość i energię, których brakowało pozostałym podwładnym Harriet. Spojrzała teraz na Jane z bladym uśmiechem.

– Mojej mamie pogorszyło się w ten weekend, jej SM postępuje w zastraszającym tempie. Nie wiem, czy będzie mogła wrócić ze mną do domu, a jeśli oddam ją do ośrodka, to ją zabije. – Co gorsza, niedawno Harriet zrozumiała, jak bardzo sama zależna jest od obecności matki, od kogoś, kim może się opiekować. Zawsze były sobie bliskie, a perspektywa powrotów do pustego mieszkania, samotnego życia i odwiedzania matki w domu opieki w najbliższych latach głęboko przygnębiała Harriet.

Jane widziała to w jej oczach.

– Przykro mi – powiedziała szczerze. Jej własne smutki i kłopoty wydały się jej nic nieznaczące w porównaniu z sytuacją Harriet. Poczowała się głupio, że tak przeżywała swoje rozczarowanie Johnem. Złamane serce było niczym w porównaniu z powoli umierającą matką, którą Harriet wyraźnie bardzo kochała.

– Ty też nie wyglądasz dobrze – zauważyła Harriet.

Jane wydawała się nieco mniej zadbana niż zazwyczaj. Nie rozpakowała jeszcze walizek u Alex i do pracy przysłała w dżinsach, co rzadko się jej zdarzało.

– Zerwałam w weekend z chłopakiem i wyprowadziłam się – wyznała ze wstydem, jakby spadała na nią część winy za to, że nie uświadomiła sobie wcześniej, iż nieudacznik, z którym żyła, zdradzał ją i snuł plany biznesowe z Carą, licząc na pieniądze jej ojca. Czowała się zarówno zraniona, jak i głupia.

Podobne emocje przeżywała poprzedniego wieczoru, gdy opowiedziała o tym matce, a ta uznała, że Jane powinna była wszystkiego wcześniej się domyślić, bo ona zawsze podejrzewała, że związek córki zmierza donikąd. Matka Jane była zdania, że wszystkie związki powinny prowadzić do małżeństwa, i dodała, że tego właśnie Jane mogła się spodziewać, unikając długoterminowych zobowiązań, mieszkając z mężczyzną i koncentrując się na karierze. Dlatego związała się z Johnem, który też myślał tylko o karierze. Pomimo uwag matki Jane nie czuła się gotowa na małżeństwo i nie zamierzała dać się do niego zmusić poczuciem wstydu ani ponaglaniem. Alex miała rację. John okazał się niewłaściwym facetem. Trzy lata zajęło jej dostrzeżenie prawdy, lecz teraz już wiedziała.

– Masz złamane serce? – zapytała Harriet łagodnie.

Jane jeszcze nigdy nie widziała takiego wyrazu współczucia na jej twarzy. Pokręciła głową.

– Nie, jestem rozczarowana. I czuję się jak idiotka. Moja matka jest mistrzynią w powtarzaniu „a nie mówiłam”. Okazało się, że tym razem miała rację.

– To nie był mężczyzna dla ciebie.

– Nie był – zgodziła się Jane, choć trudno było jej to przyznać.

Rzadko dochodziło pomiędzy nimi do takich szczerych rozmów, widziała, że Harriet jej współczuje.

– Mam dla ciebie pewien projekt. – Harriet zmieniła temat ku uldze ich obu. – Zastanawiałam się nad tym przez weekend, chcę się upewnić, że powierzyliśmy sprawie Pignelli odpowiednio dużo uwagi. Wiem, że niczego nie znaleźliśmy w jej dokumentach, lecz przypomniałam sobie o listach. Te po włosku napisał zapewne ktoś inny, lecz te angielskie mogła napisać ona. Chciałabym, byś je skopiowała i dokładnie przeczytała, tylko po to, by się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy, na przykład nazwiska krewnego lub spadkobiercy, oświadczenia, że pragnie komuś przekazać tę biżuterię, choćby przyjaciółce. Czasami w starej korespondencji odnajdujemy różne rzeczy. Czy mogłabyś więc przeczytać listy, abyśmy mieli pewność, że wszystko zostało sprawdzone?

Jane zaskoczyła ta prośba, sama o tym nie pomyślała. Pokiwała

głową, a Harriet podała jej pozwolenie na wyciągnięcie listów ze skarbca, w którym przetrzymywali wszystkie dokumenty.

– Myślę, że to naprawdę dobry pomysł – odparła Jane z entuzjazmem. Harriet wyglądała na osobę znudzoną swoją pracą, lecz była w niej dobra i bardzo sumienna.

– Zapewne nic tam nie ma, ale nigdy nie wiadomo. Były dziwniejsze przypadki.

Jane prosto z biura Harriet udała się do skarbca, w którym przechowywano dokumenty, wręczyła pozwolenie kierownicze, a kilka minut później otrzymała stos listów. Podeszła do kserokopiarki i sporządziła kopie, po czym oddała oryginały do skarbca. Miała pokaźny stos listów napisanych drobnym, staroświeckim charakterem pisma. Zniosła go na biurko, naląła sobie filiżankę kawy z biurowego ekspresu, po czym zasiadła do czytania. Najpierw wszystkie przejrzała, by zobaczyć, do kogo zostały zaadresowane, i zauważyła, że wszystkie nagłówki są podobne: „mój kochany aniołku”, „moja kochana dziewczynko” i „moje kochane dziecko”. Nie odnotowała żadnych imion. Sprawdziła też podpisy na dole – w większości wypadków widniał tam tylko inicjał „M”, a kilka listów podpisano „twoja kochająca matka”. Na podstawie pobieżnego przeglądu nie sposób było stwierdzić, czy napisała je Marguerite, czy też jej matka do niej. Mieli kilka próbek pisma hrabiny dla porównania, lecz Jane instynktownie przeczuwała, że to właśnie ona była autorką. Pierwszy list datowano na 30 września 1942 roku. Pod datą autorka dopisała „Londyn”. Zaadresowano go do „mojego kochanego aniołka”.

„Wciąż nie mogę uwierzyć, że cię zostawiłam. Niedopuszczalne, nieznośne, najgorsze z wszelkich możliwych rozwiązań. Tragedia dla mnie. Odebrali mi ciebie, a teraz jestem tutaj, w Londynie, mieszkam w małym hotelu. Muszę znaleźć mieszkanie. Gdzie ja się podzieję? Jak mam żyć bez ciebie? Jak to się stało? Jak mogli to zrobić? Nie wiem, czy kiedykolwiek wyślę ci te listy, lecz jeśli tak, musisz wiedzieć, jak bardzo cię kocham i tęsknię za tobą, jaką ziejącą pustkę w moim sercu pozostawił po sobie dzień, kiedy cię zostawiłam”.

„Poznałam sympatycznego mężczyznę, który okazał się dla mnie bardzo miły. Przebywa tutaj na podstawie specjalnego zezwolenia, ma

włoski paszport dyplomatyczny. Zostaje tylko na kilka tygodni, po czym wraca do Neapolu, gdzie mieszka. Poznałam go dzień po przyjeździe, gdy potknęłam się i upadłam na ulicy, a on pomógł mi się podnieść i otrzepać, a następnie zaprosił mnie na kolację do bardzo miłej restauracji. Zachował się wobec mnie jak ojciec, a ja powiedziałam mu o tobie. Teraz tylko o tobie myślę, zastanawiam się, co robisz, jak wyglądasz, czy jesteś zdrowa, czy dobrze cię traktują. Wiem, że Fiona obdarzy cię miłością, nawet jeśli moi rodzice tego nie zrobią. Proszę, pamiętaj, że gdyby tylko pozwolili mi z tobą zostać, zostałabym. Nie dali mi wyboru”.

Dalej opisywała w liście, co robiła z niedawno poznanym Włochem – kolacje, lunche, wizyta u przyjaciela w posiadłości pod Londynem. Bezustannie powtarzała, jaki jest dla niej miły. Poszli do biblioteki, a w kolejnym liście napisała, że znalazł jej lepszy hotel i kupił ciepły płaszcz. Jane czytała jeden po drugim listy, które były bardzo młodzieńcze i niewinne. Czasami daty następowały tuż po sobie, czasami zdarzała się przerwa trwająca tygodnie, a nawet miesiące.

Pod koniec października napisała, że mężczyzna wraca do Włoch i zaprosił ją, by mu towarzyszyła. Dodała też, że poprosił ją o rękę, a ona przyjęła oświadczenia. Mieli się pobrać, gdy tylko wszystko zostanie ustalone. Jane nie potrafiła wyczytać ze skromnych opisów, czy dziewczyna była zakochana, czy może przyłgnęła do swego jedyne go przyjaciela i obrońcy w Londynie. Trwała wojna, wszędzie roiło się od amerykańskich i brytyjskich żołnierzy, a ona była całkiem sama. Wspomniała w pierwszym liście, że rodzice dali jej pieniądze na życie, nie była więc całkiem pozbawiona środków, przynajmniej na jakiś czas, lecz miała zaledwie osiemnaście lat, dryfowała sama w nieznanym świecie, nie miała żadnych kontaktów, przyjaciół, rodziny ani pomocy, a Włoch, o którym pisała, był miły i kochający. Przy nim czuła się bezpiecznie. Napisała, że zamierzają się pobrać przed wyjazdem do Włoch i że to on wziął na siebie wszelkie formalności. Planowali zamieszkać w Neapolu.

W kolejnej korespondencji napomknęła w liście o Niemcach we Włoszech i dodała, że jej nowemu mężowi udało się, dzięki znajomościom, wyrobić dla niej włoski paszport jako dla swojej



małżonki. Miała go używać zamiast amerykańskiego, ponieważ Włochy i Stany Zjednoczone oficjalnie były w stanie wojny. Opisała podróż przez Szwajcarię pociągiem dyplomatycznym do Rzymu, a potem Neapolu. „Jestem więc teraz Włoszką i hrabiną”, wyznała niemal żartobliwie w następnym liście, który zaczynał się słowami „mój kochany aniołku”. Dodała, że jest szczęśliwa ze swoim nowym mężem, który traktuje ją cudownie. Wspomniała o racjonowaniu zapasów, o tym, jak bardzo podoba się jej jego dom, oraz o niemieckim oberführerze, który odwiedzał ich od czasu do czasu. Jej mąż uznał, że najlepiej będzie traktować go uprzejmie i przyjmować, choć oboje nie zgadzali się z jego poglądami ani przekonaniem politycznymi.

W lipcu następnego roku alianci zbombardowali Rzym, a Marguerite napisała, że musiało to być przerażające dla mieszkańców miasta. Umberto nie zabierał jej już do stolicy. Tydzień później w tym samym liście opisała upadek włoskiego rządu i kapitulację Włoch we wrześniu, a potem powtórny niemiecką okupację Rzymu trzy dni później. W październiku alianci wkroczyli do Neapolu, a Włosi dołączyli do koalicji alianckiej. W tym samym czasie gościli w swoim domu amerykańskiego dowódcę wojskowego. Zdumiał się, słysząc, że hrabina jest Amerykanką. Wspominała o różnych wydarzeniach wojennych, o bombardowaniach, które trwały przez cały kolejny, 1944 rok. Mieszkała w Europie jako mężatka już niemal dwa lata.

Jane czytała i coraz bardziej umacniała się w przekonaniu, że listy pisała Marguerite. W treść każdego wplecione były dowody ogromnej miłości do męża, a także miłości i tęsknoty za jej „kochanym aniołkiem”. Hrabia obiecał jej, że po wojnie udadzą się do Nowego Jorku i upomną się o dziecko. Marguerite mocno w to wierzyła i nie mogła się już doczekać tego dnia.

Kilka lat później, w 1949 roku, napisała przejmujący list potwierdzający, że byli w Nowym Jorku, skonsultowali się z prawnikiem i poczynili próby odzyskania dziecka – próby, które zostały zaciekle udaremnione przez rodziców Marguerite. Akt urodzenia, który sfałszowali w 1942 roku, gdy dziecko przyszło na świat, okazał się trudny do podważenia. Zagrozili, że rozgłoszą, iż Marguerite i Umberto kolaborowali z nazistami, co nie wyglądałoby dobrze w sądzie.

W kolejnym przejmującym liście Marguerite rozpaczała, że nie zdołała nawet zobaczyć córki podczas wizyty w Stanach. Prawnik, z którym się konsultowali, doradził im, aby porzucili wszelkie nadzieje na odzyskanie dziecka, czy nawet spotkanie z nim, oraz by skontaktowali się z nim bezpośrednio, gdy skończy osiemnaście lat. Nic więcej nie można było zrobić. Rodzice Marguerite zablokowali wszystkie możliwości. Poinformowali ją, że wszyscy myślą, iż umarła, i że tak powinno pozostać. Pogrzebali ją żywcem i odebrali jej dziecko.

List napisany latem 1960 roku dowodził, że Marguerite poszła za radą prawnika lub przynajmniej miała taki zamiar. Pojechała do Nowego Jorku, by zobaczyć się z córką i opowiedzieć jej prawdziwą historię jej narodzin oraz wyznać, kto jest jej prawdziwą matką. Marguerite śledziła ją przez kilka dni na ulicach, zachwycała się jej urodą i szczęściem malującym się na jej twarzy. W końcu z bolącym, złamanym sercem uświadomiła sobie, że zdradzając jej prawdę, okradnie ją z jedynej tożsamości, jaką jej córka знаła, z należnego jej dziedzictwa, które zastąpią skandal, wstyd i konsternacja. Marguerite mogła jej zaoferować tylko nieślubne pochodzenie i hańbę. Ostatecznie wróciła do Włoch, nie nawiązawszy kontaktu z córką. Nie ujawniła się. Postąpiłaby źle, gdyby zburzyła jej spokojny, bezpieczny świat, odarła ją z godnego szacunku nazwiska i narzuciła się jej jako matka, której dziewczyna nigdy nie знаła. Przez długi czas w listach Marguerite pobrzmiwała potem nuta przygnębienia. Latami żyła tylko po to, aby zobaczyć córkę, nawiązać z nią kontakt, czekała na to cierpliwie aż do ukończenia przez dziecko osiemnastego roku życia, i nagle uświadomiła sobie, że to, co dla niej mogłoby być radością, dla jej córki okazałoby się tragedią.

Pięć lat później napisała, że jej mąż zmarł nagle na atak serca podczas gry w squasha. Znów została na świecie sama, bez opoki, która dodawała jej otuchy i chroniła przez dwadzieścia trzy lata. Przez wiele lat raz po raz wyjaśniała w listach, że gdyby się zdecydowała na kolejne dziecko, to byłoby tak, jakby zdradzała pierwotną córkę, ostatecznie się jej wyrzekła. Umberto chciał mieć dzieci, lecz ona czuła, że nie może. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby urodzić kolejne dziecko, gdy wciąż opłakiwała to pierwsze. W wieku czterdziestu jeden lat została więc całkiem sama.

Miała trudności z utrzymaniem posiadłości po śmierci męża, ponieważ wcześniej nigdy nie ograniczali wydatków. Umberto był wobec niej wyjątkowo hojny – wtedy po raz pierwszy wspomniała o wielu prezentach w postaci biżuterii, które zachowała dla swojej córki, by je jej przekazać, gdy już się pewnego dnia spotkają. Wciąż miała nadzieję, że to się wydarzy, gdy jej „kochany aniołek” dorośnie, a prawda, jej historia, stanie się mniej traumatyczna. Nie mogąc zobaczyć się z córką, Marguerite nigdy więcej nie odwiedziła Stanów po swojej bezowocnej wizycie w 1960 roku.

Pałac w Neapolu sprzedała w 1974 roku, dziewięć lat po śmierci Umberta, gdy okazało się, że nie zdoła już dłużej utrzymać *castello* ani znieść życia w nim bez niego. Pieniądze ze sprzedaży pozwoliły jej przeprowadzić się do Rzymu, do mieszkania, w którym żyła skromnie przez dwadzieścia kolejnych lat, do dnia, kiedy jej fundusze okazały się alarmująco uszczuplone. W międzyczasie sprzedała konie, samochody i nieruchomości. Umberto miał majątek, którego również się pozbyła. Zapisał jej wszystko, zanim zmarł.

W listach opisywała podróże, w które zabierał ją mąż, na przykład do Paryża, gdzie kupił dla niej te wszystkie wspaniałe prezenty. Ilekroć o nich wspominała, deklarowała swój zamiar przekazania ich pewnego dnia córce. W tamtym czasie była jednak jeszcze młoda i uznała zapewne, że nie trzeba na razie podejmować żadnych kroków prawnych w tej sprawie.

Z wiekiem jej listy stawały się coraz smutniejsze. Pisywała je coraz rzadziej, tracąc chyba nadzieję, że kiedykolwiek zobaczy swoje jedyne dziecko. Fiona napisała jej, że jej „kochana dziewczynka” wyszła za mąż i wiele lat później o narodzinach jej syna. Marguerite miała wtedy już prawie sześćdziesiąt lat, nadal mieszkała w Rzymie. Nie zamierzała wracać do Stanów ani kontaktować się z rodziną. Jediną osobą, jaką pragnęła zobaczyć, była jej córka, ale to spotkanie uznawała za niemożliwe. Listy jasno to podkreślały. Nadal była przekonana, że jej nagłe pojawienie się w życiu córki po tylu latach będzie zbyt trudne do wytłumaczenia i że tylko zburzy jej spokój i ją unieszczęśliwi. Zdaniem Marguerite odpowiednia chwila już nadeszła i przeminęła, a teraz jej córka tylko by cierpiała. Tego przecież nie chciała, dlatego też nigdy się

z nią nie skontaktowała, nawet gdy dorosła. Była pewna, że jest już za późno.

W kolejnych listach ze smutkiem wyznawała, że opuszcza Rzym. Nie miała już zamiaru wysyłać ich córce, stanowiły teraz rodzaj pamiętnika, który prowadziła od lat, gdzie zamieszczała sprawozdania z najważniejszych wydarzeń i punktów zwrotnych swojego życia. Wciąż zwracała się do córki jak do dziecka. Gdy opuszczała Rzym, by przeprowadzić się do Nowego Jorku, czuła się tak, jakby opuszczała swoją jedyną ojczyznę. W wieku siedemdziesięciu lat odczuła jednak potrzebę powrotu do korzeni, poza tym wierzyła, że będzie mogła żyć skromniej w małym mieszkaniu w Nowym Jorku. Opisała swój zamiar, a potem mieszkanie, które kupiła dzięki sprzedaży dwóch sztuk biżuterii. Resztę pieniędzy odłożyła. Wiodła skromne życie, liczyła się z każdym centem. Nie pobłażała sobie. Ogień jej życia już wygasł, wraz z nadzieją, że jeszcze kiedyś zobaczy córkę. Zaczęła żyć przeszłością. Często wspominała Umberta, z nostalgią opisywała ich wspaniałe wspólne lata. W jednym z ostatnich listów zadeklarowała, że zamierza sporządzić testament i całą biżuterię zapisać jednemu dziecku. Z wyjątkiem dwóch pierścionków, które sprzedała, zatrzymała wszystko inne, wszystkie dowody miłości Umberta do niej, jedyne prezenty, jakie mogła zostawić córce.

Pod koniec listy stały się rozwlekłe, Marguerite pisała o przeszłości, o żalu i zgorzknieniu, które pozostawiła w niej utrata dziecka, o szczęśliwym życiu, jakie wiodła z Umbertem, o głębokiej miłości, która ich łączyła. Jane czuła jednak, że przez cały ten czas unosił się nad nią mroczny cień – brak dziecka.

W dwóch ostatnich listach pisała o wycieczkach do Paryża z Umbertem tak, jakby wydarzyły się niedawno, a Jane zrozumiała, że musiała już wtedy cierpieć na demencję. Listy miały daty sprzed czterech lat, charakter pisma stał się niewyraźny. Wciąż zwracała się do córki jak do małej dziewczynki i zastanawiała się, do jakiej szkoły poszła. Jane czuła smutek, obserwując stopniowe pogarszanie się jej zdrowia. Z jej słów przebijała samotność. Otaczały ją wspomnienia ludzi, którzy już dawno ją opuścili. Powoli traciła orientację. Jedno jednak było jasne – ogromnie kochała córkę i choć nigdy nie sporządziła

testamentu, o którym przez tyle lat pisała, zamierzała całą biżuterię zostawić jej, jako swój jedyny majątek. Była świadoma, że nie wynagrodzi jej ukradzionych lat. Nigdy nie wspomniała imienia córki, lecz bez wątpienia postrzegala ją jako swoj? jedyn? spadkobierczyni?. W ostatnim liście znów po wielu latach napisała, że zobaczy się z córk? , spotka się z ni? w końcu i spróbuje jej wyjaśnić, co się wydarzyło, dlaczego nigdy nie wróciła ani nie próbowała się z ni? skontaktowa?. Dręczyło ją to do samego końca.

Po policzkach Jane płynęły łzy, gdy odłożyła ostatni list. Marguerite odmalowała obraz utraconej miłości i matki, która nigdy nie przestała kochać odebranego jej dziecka. Jedyne pytanie brzmiało, kim była jej córka. Nigdzie nie wymieniła nazwiska, żadnej wskazówki co do miejsca jej zamieszkania. Biorąc pod uwagę upływ czasu, jej córka również mogła już nie żyć.

Jane weszła do biura Harriet pod koniec dnia z ciężkim sercem.

– Znalazłaś coś? – zapytała Harriet wyczekująco. Miała nadzieję, że odnajdzie się odręcznie spisany testament wsunięty pomiędzy kartki listów, którego wcześniej nikt nie zauważył.

– Owszem – odparła Jane smutno. – Myślę, że w wieku osiemnastu lat urodziła córkę, którą musiała zostawić przed swoim wyjazdem do Europy. Nigdy więcej się nie zobaczyły. Próbowała odzyskać prawo do opieki siedem lat później, lecz jej rodzice ją powstrzymali. Podobno sfałszowano akt urodzenia, w którym rodziców Marguerite wpisano jako rodziców dziecka. Zamierzała odnowić kontakt z córk?, gdy ta skończy osiemnaście lat, przyjechała nawet w tym celu do Nowego Jorku, lecz zmieniła zdanie z obawy, że zniszczy jej tym życie. Nigdy więcej jej nie widziała ani nie próbowała się z ni? kontaktowa?. Píše wyraźnie, że zachowała tę biżuterię dla niej, zamierzała spisać testament, lecz ostatecznie tego nie zrobiła. Zapadła na demencję, co widać w ostatnich listach. Miała już wtedy ponad osiemdziesiąt lat. Nie mam pojęcia, kim jest jej córka. W listach nie ma nazwiska, nie wiem, gdzie może być. Mogła się wyprowadzić z Nowego Jorku, może już nie żyć. Miałaby teraz ponad siedemdziesiąt lat. Ta historia jest taka smutna. W tych listach jest całe życie, lecz nic, co mogłoby nam pomóc odnaleźć jedyn? spadkobierczyni?.

– Miejmy nadzieję, że widziała któreś z naszych ogłoszeń i sama się z nami skontaktuje.

Obie uznały to jednak za nieprawdopodobne. Wszelkie ślady zostały zatarte, a dziecka, które Marguerite Pearson zostawiła i które przez ponad siedemdziesiąt lat nazywała swoim „kochanym aniołkiem”, nie sposób było odnaleźć, nie mając nazwiska.

Jane myślała tylko o tym, gdy tego wieczoru po pracy jechała metrem do mieszkania Alex. Przyjaciółka poszła na randkę, a Jane zamierzała skończyć tego dnia ostatnią pracę, którą musiała złożyć przed końcem roku. Słowa „kochany aniołek” tańczyły jednak przed jej oczami na ekranie komputera. Nie wyobrażała sobie boleśniejszego przeżycia niż rezygnacja z własnego dziecka. Niezależnie od tego, jak mocno kochali się Umberto i Marguerite, to utrata córki odcisnęła największe piętno na jej życiu. To ona była powodem smutku widocznego w jej oczach na niektórych zdjęciach. Biżuteria, którą dla niej przechowywała przez tyle lat, miała trafić teraz na aukcję, w ręce nieznajomych, zamiast do dziecka Marguerite. Kolejna straszliwa niesprawiedliwość i ironia losu.

## Rozdział 13

Phillip zarezerwował bilet na nocny lot do Paryża. Samolot opuszczał według planu Nowy Jork tuż przed północą i lądował na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w południe miejscowego czasu. Wiedział, że jego dzień zacznie się przez to później, bo nie dotrze do centrum przed drugą, biorąc pod uwagę, że będzie musiał jeszcze odebrać bagaż, przejść kontrolę i złapać taksówkę. Takie rozwiązanie zostawiało mu jednak dość czasu na kilka spotkań przed końcem dnia roboczego. Wolał latać nocą, ponieważ mógł przespać na pokładzie pięć, sześć godzin i dotrzeć na miejsce w dobrej formie. Zawsze wybierał taką opcję, gdy Christie's wysyłał go do Paryża raz lub dwa razy do roku na ważne aukcje.

Samolot wystartował punktualnie. Phillip zjadł przekąskę złożoną z sera i owoców, natomiast z reszty posiłku zrezygnował, mimo iż jedzenie było jak zawsze smaczne. Inni pasażerowie woleli cieszyć się wszelkimi przywilejami, lecz jego bardziej pociągała wizja snu niż obfitego posiłku po północy. Ułożył się pod kocem z poduszką pod głową godzinę po starcie. Pilot zapowiedział, że lot potrwa sześć i pół godziny, trzydzieści minut dłużej niż zwykle ze względu na silny wiatr. Phillip zasnął, zanim samolot znalazł się nad Atlantykiem na północ od Bostonu.

Spał mocno aż do ogłoszenia, że za trzydzieści minut rozpoczyna się podejście do lądowania na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w Roissy. Miał dość czasu, by wypić filiżankę kawy, zjeść croissanta, umyć zęby, uczesać włosy i się ogolić – wrócił na swoje miejsce odświeżony i wypoczęty tuż przed lądowaniem. W Paryżu było szaro i deszczowo, lecz jemu to nie przeszkadzało. Kochał to miasto, niezależnie od tego, czy sprowadzała go tutaj biżuteria czy sztuka. Planował odwiedzić starych znajomych z działu sztuki w Londynie po paryskiej aukcji. Najpierw musiał jednak trochę popracować.

Przeszedł kontrolę, niemal od razu złapał taksówkę i łamaną francuszczyzną nakazał kierowcy zawieźć się do hotelu Four Seasons na Avenue George V. Christie's zawsze opłacał wygodne noclegi. W holu powitały go efektowne kompozycje kwiatowe, a jego pokój okazał się

przyjemny i ładny. Wziął prysznic i tuż po trzeciej zjawił się w siedzibie Christie's na Avenue Matignon. Aukcja „Wspaniałe klejnoty”, na którą trafiła między innymi zabytkowa biżuteria Marii Antoniny, miała się odbyć następnego wieczoru, a jego paryski odpowiednik, Gilles de Marigny, będący w mniej więcej tym samym wieku, zapewnił go, że zainteresowanie licytacją jest duże, już odnotowali wiele zgłoszeń telefonicznych, a wszystkie najważniejsze muzea europejskie przysłały swoich przedstawicieli.

Przez chwilę rozmawiali o interesach oraz o polityce nowojorskiej centrali, po czym Phillip udał się do sal ekspozycyjnych, aby obejrzeć wystawione przedmioty. Imponująca skala przedsięwzięcia znów przypomniła mu o klejnotach Marguerite. Dopiero o szóstej znalazł czas, by zadzwonić do archiwum Cartiera. Z radością poinformowali go tam, że poczynili postępy w jego sprawie i znaleźli dokumenty ośmiu przedmiotów, o które pytał, a także szkice robocze do tych, które zostały zrobione na zamówienie, a nie kupione w sklepie. Dodali, że nazajutrz chętnie pokażą mu dokumenty i rysunki. Był to dzień aukcji i wiedział, że nie zdoła wyrwać się z pracy, dlatego przesunął spotkanie na pojutrze. Z zadowoloną miną odłożył słuchawkę. Następnie zadzwonił do Van Cleefa i Arpelsa, gdzie dowiedział się, że osoba zawiadująca archiwum, z którą chciał porozmawiać, wyjechała z kraju i wraca dopiero za dwa tygodnie. Obiecano mu jednak kopie wszystkiego, co posiadało archiwum na temat klejnotów zakupionych przez Umberta.

Szczegóły ich pochodzenia, a nawet szkice mogli zamieścić w katalogu, co bez wątpienia przysłużyłoby się aukcji. Zwłaszcza poważni kolekcjonerzy biżuterii pragnęli wiedzieć wszystko o historii danego przedmiotu – zarówno o poprzednich właścicielach, jak i procesie jego powstawania.

– Dobre wieści? – zapytał Gilles, wchodząc do biura, które zajął Phillip na czas swego krótkiego pobytu w Paryżu.

– Tak sędę. Organizujemy teraz w Nowym Jorku aukcję pewnego majątku na zlecenie sądu. W banku znaleziono porzuconą skrytkę depozytową, która zawierała fortunę we wspaniałych klejnotach zakupionych dla ich właścicielki w okresie, gdy była żoną włoskiego hrabiego. Przepiękne rzeczy. Cartier ma w archiwach większość



dokumentacji. Osiem klejnotów zamówiono u nich w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Cała kolekcja składa się z dwudziestu dwóch obiektów. Wystawimy ją w maju.

– Brzmi niezłe – odparł Gilles uprzejmie.

Miał śliczną młodą żonę i troje dzieci, które Phillip poznał podczas wcześniejszych pobytów w Paryżu. Tym razem niestety nie mieli czasu na spotkanie towarzyskie tuż przed tak ważną aukcją.

– Mam nadzieję, że tak też będzie – mruknął Phillip, mając na myśli sprawę Pignelli.

Wspólnie przejrzeni oferty złożone przez klientów w ramach jutrzejszej aukcji. Wiedzieli, że znacznie więcej spłynie ich przez telefon i padnie na sali. Aukcja miała przynieść miliony euro, interesowali się nią bowiem najważniejsi kolekcjonerzy z całego świata.

Phillip wyszedł z biura o ósmej i postanowił wrócić do hotelu pieszo, a gdy dotarł do celu, jeszcze przedłużył spacer. Wieża Eiffla była podświetlona, a w powietrzu unosił się zapach wiosny. Usiadł przy stoliku w małym zatłoczonym bistrze i zamówił kieliszek wina oraz lekki posiłek. Przez jakiś czas obserwował tłumy i rozkoszował się atmosferą Paryża, po czym wrócił do hotelu o dziesiątej. Kochał to miasto. Uważał je za najpiękniejsze na świecie.

Obejrzał serwis informacyjny CNN w swoim pokoju, przeczytał faksy, które przesłało mu jego biuro poza paryskimi godzinami pracy, i sprawdził wiadomości pozostawione na automatycznej sekretarce w biurze w Nowym Jorku. Tam była dopiero czwarta trzydzieści, mógłby więc oddzwonić lub trochę popracować w razie konieczności, lecz nie zostawił w domu żadnych ważnych spraw i o jedenastej już mocno spał. Następnego ranka obudził się o siódmej i przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. W końcu przypomniał sobie, że jest w Paryżu i że nadszedł dzień aukcji. Zamówił śniadanie do pokoju, przeczytał „International Herald Tribune” i „New York Timesa”, po czym poszedł pieszo do biura Christie’s, zjawiając się tam tuż przed dziesiątą.

Był to dla niego pracowity dzień. Zjedli z Gilles’em kanapki przy biurku, omawiając ostatnie szczegóły tuż przed aukcją, i zeszli do sali przed siódmą, bo na tę godzinę wyznaczono oficjalne rozpoczęcie

licytacji. Kontrolę nad całym procesem sprawował cieszący się sławą w środowisku licytator, a kilkoro doświadczonych ekspertów miało za zadanie zweryfikować oryginalność przedmiotów. Na długim stole pod jedną ze ścian leżało dwanaście telefonów. Obsługujący je ludzie już dzwonili do najważniejszych kupców, by sprawdzić jakość połączenia i prawdziwość numerów.

Gilles i Phillip zajęli miejsca z tyłu sali, by obserwować licytację. Po ogłoszeniu jednej poprawki do katalogu i wycofaniu dwóch przedmiotów aukcja rozpoczęła się o czasie. Pamiątki po Marii Antoninie przesunięto na później, aby podsycić zainteresowanie, lecz wpłynęły już pierwsze mocne oferty. Pierwsze trzy przedmioty sprzedano za trzykrotność wyceny, co nie było wcale rzadkie podczas ważnych aukcji cieszących się dużym zainteresowaniem. Pół godziny później zabytkowy diamentowy naszyjnik wylicytowano za dziesięciokrotność sumy wyjściowej, co wywołało poruszenie na sali. Dwoje klientów wdało się w zacieklą potyczkę przez telefon, co zaowocowało wyśmienitym rezultatem zarówno dla sprzedającego, jak i dla Christie's. Naszyjnik osiągnął cenę nieco poniżej miliona dolarów. Gilles i Phillip spojrzeli na siebie z satysfakcją. Aukcja zapowiadała się wyśmienicie.

W końcu nadeszła pora na klejnoty Marii Antoniny, które sprzedawały się po cenach prognozowanych przez dom aukcyjny. Dwa przedmioty zakupili prywatni kolekcjonerzy, co szeptem zdradził Phillipowi Gilles, pięć wylicytowały muzea. Ostatni na liście był elegancki diamentowy diadem, który młoda królowa nosiła podczas swego pierwszego oficjalnego wystąpienia w nowej roli. Diadem został sprzedany za dwa i pół miliona euro, czyli nieco ponad trzy miliony dolarów, londyńskiej Tate Gallery. Aukcja zakończyła się niespodzianką. Gilles już nie raz był świadkiem podobnego zdarzenia, Phillip zaś dotychczas tylko o tym słyszał.

Gdy tylko rozległ się stukot młotka, w trzecim rzędzie wstał niski brodaty mężczyzna w brązowym garniturze i oświadczył stanowczym głosem, który poniósł się po sali:

– Przejmuję ten przedmiot na rzecz muzeów Francji na mocy pełnomocnictwa udzielonego mi przez rząd.

Zapadła martwa cisza, gdy niewtajemniczeni próbowali domyślić się, co się właśnie stało. Phillip znał tę procedurę. Gdy przedmiot miał dużą wartość historyczną, rząd wysyłał na aukcję swojego reprezentanta, który czekał na zakończenie licytacji, aby ustalić obecną rynkową wartość przedmiotu, a następnie przejmował go na rzecz francuskiego rządu. W konsekwencji osoba, która wylicytowała przedmiot, ostatecznie go traciła – w tym wypadku na rzecz Luwru. Dla takiej osoby było to źródło wielkiego rozczarowania, gdy traciła przedmiot w ostatniej chwili, lecz zawsze istniało takie ryzyko, o czym Christie's przypominał wszystkim ważnym klientom przed każdą aukcją. Przedstawiciel rządu zezwolił na sprzedaż innych przedmiotów, lecz nie diademu. Portret młodej królowej w tym klejnocie wisiał już w Luwrze, czego Christie's był świadom. Po krótkiej przerwie aukcję kontynuowano w atmosferze ogromnego poruszenia. Sprzedano wszystkie przedmioty, niektóre po oszałamiających cenach, i przed dziesiątą wszyscy zwycięzcy odebrali je lub poczynili ustalenia w sprawie wysyłki. Wiele rzeczy zakupili znani jubilerzy z Londynu i Nowego Jorku. Jedną z najwyższych ofert złożył prywatny kupiec z Hongkongu. W takie wieczory Phillip nie żałował, że jest pracownikiem działu biżuterii. Aukcja okazała się wspaniałą, przyniosła mu wiele emocji, zwłaszcza gdy zabytkowy diadem został przejęty przez francuskie muzeum, co nie zaskoczyło ani jego, ani Gilles'a.

– Dobra robota – powiedział do kolegi, gdy wychodzili z pustej sali aukcyjnej. Od lat nie odnieśli takiego sukcesu, choć przedmioty na aukcję pochodziły od wielu osób, a nie jednej słynnej, jak w wypadku kolekcji Elizabeth Taylor. Aukcje pojedynczych właścicieli, zwłaszcza osób sławnych, zawsze cieszyły się większą estymą. Czasami jednak dorównywały im aukcje przedmiotów o zróżnicowanym pochodzeniu, jak w tym wypadku.

Wciąż był podekscytowany, gdy wrócił do hotelu. Nie mając komu o tym opowiedzieć, zadzwonił do matki, lecz nie zastał jej w domu. Miała tyle zajęć i zainteresowań, uczęszczała na wiele wykładów o sztuce, zasiadała w licznych zarządach i przyjaźniła się z tyloma osobami, że czasami trudno było ją złapać. Zostawił jej wiadomość na poczcie głosowej i przez chwilę rozważał telefon do Jane, lecz uznał, że

czułby się z tym nieco głupio. Nie znał jej zbyt dobrze, a ona powinna być jeszcze w pracy lub już w drodze do domu, zrezygnował więc z tego pomysłu.

Następny dzień również okazał się dla niego interesujący. Najpierw pomógł Gilles'owi z papierami i ustaleniami poczynionymi po wczorajszej aukcji, co nie było łatwe, a następnie o jedenastej udał się na spotkanie u Cartiera na rue de la Paix, gdzie przyjął go kierownik archiwum. Czekał na Phillipa z teczką na biurku. Miał spis klejnotów, który przesłał mu Phillip, lecz odczytał je w porządku chronologicznym, a nie tak, jak ułożył je Phillip, który nie miał pojęcia, kiedy poszczególne przedmioty powstały. Był to starszy mężczyzna mający wszechstronną wiedzę na temat biżuterii zaprojektowanej przez Cartiera dla ważnych klientów – wiedział, z jakiego okresu pochodziły poszczególne klejnoty, czy różniły się od ich innych projektów, co miały w sobie niezwykłego – i z radością się tą wiedzą dzielił. Pokazał Phillipowi nawet szkice robocze przedmiotów, które go interesowały. Widać było, że odczuwa prawdziwą dumę z działalności firmy. Pracował dla Cartiera od trzydziestu lat.

Wyjaśnił Phillipowi, że trzydziestokaratowy szmaragd o szlifie szmaragdowym – to znaczy kwadratowym (tak nazywano szlif każdego kamienia o tym kształcie, nie tylko szmaragdów, o czym Phillip wiedział, rzecz jasna, po dwóch latach pracy w dziale biżuterii Christie's, choć wcześniej tej wiedzy nie posiadał) – otoczony mniejszymi czterokaratowymi szmaragdami z obu stron był pierwszym pierścieniem, jaki hrabia di San Pignelli u nich zamówił. Szczegółowe notatki i drobiazgowy rysunki uzmysłowiły im, że był to prezent ślubny dla jego młodej żony. Zamówił go pod koniec 1942 roku, a wykonanie pierścienia zajęło sześć miesięcy. Był to wspaniały klejnot, o czym Phillip przekonał się na własne oczy w Nowym Jorku.

Perłowo-diamentową obróżę Umberto zakupił rok później na urodziny Marguerite – na szkicach odnotowano nawet obwód jej szyi.

– Miała bardzo długą, smukłą, arystokratyczną szyję, niczym łabędź – powiedział archiwista z uśmiechem.

Mieli jej fotografię w obróżce z późniejszego okresu, a Phillip wyraził chęć jej skopiowania do katalogu za ich pozwoleniem ze

wzmianką, iż pochodzi z archiwów Cartiera. Marguerite uśmiechała się na zdjęciu, miała na sobie białą satynową suknię wieczorową i wyglądała zniewalająco, wspierając się na ramieniu męża.

– Sprzedaliśmy mu też bardzo cenny perłowy naszyjnik z pana listy, najwyraźniej mieliśmy go na stanie sklepu, nie został wykonany na specjalne zamówienie. To naturalne perły, które są dzisiaj rzadkością.

Phillip doskonale pamiętał naszyjnik. Perły nanizane na długi sznur wyróżniały się nietypową wielkością i gładkim kremowym kolorem bez żadnych skaz ani przebarwień.

– Sprzedaliśmy go hrabiemu rok po obroży, niemal w tym samym czasie, a więc to również musiał być prezent urodzinowy.

Po wojnie jako prezent z okazji rocznicy Marguerite otrzymała piękną diamentową broszkę. Podarunkiem rocznicowym okazała się także jedna ze słynnych tygryskich bransoletek Cartiera z białych diamentów i onyksów. Na piątą rocznicę hrabina otrzymała pierścionek z dwudziestopięciokaratowym owalnym birmańskim rubinem „gołębia krew”, którego wykonanie zajęło według notatek rok.

– Zapewne tyle szukano kamienia, który był nietypowo duży jak na birmańskie rubiny tej barwy.

Czterdziestokaratowy pierścionek z diamentem o szlifie szmaragdowym otrzymała na dziesiątą rocznicę, a na dwudziestą hrabia zakupił dla niej pierścionek z dużym żółtym diamentem – było to w 1962 roku, trzy lata przed jego śmiercią.

– Miała jedne z naszych najlepszych, najbardziej pamiętnych wyrobów. Czasami zastanawiamy się, co się z nimi stało, a one pojawiają się, o czym dowiadujemy się, dopiero gdy spadkobiercy wystawiają je na aukcję lub w sytuacjach takich jak ta. Podejrzewam, że będzie to naprawdę duża licytacja. Czy chciałby pan, bym przesłał mu kopie naszych dokumentów: rysunki oraz informacje, na jakie okazje przedmioty zostały wykonane?

Właśnie tego szukał Phillip; uznał, że trafił w dziesiątkę swoją wizytą u Cartiera. Informacje od nich mogły nadać sprawie jeszcze większego znaczenia, a klejnotom wartości, zwłaszcza dla potencjalnych kupców – czy byliby to jubilerzy pragnący je odsprzedać dalej, czy też osoby prywatne, które chciałyby dowiedzieć się wszystkiego o ich

pochodzeniu i poprzednich właścicielach.

– Hrabia był bardzo hojnym mężczyzną – zauważył Phillip przed wyjściem.

– Musiał ją bardzo kochać – odparł dyskretnie archiwista. Sam był zafascynowany historią wyrobów Cartiera, większość swojej kariery poświęcił archiwum, które uzupełniał o informacje na temat kolejnych klejnotów. Była to jego życiowa misja.

Phillip podziękował mu za poświęcony czas i doskonałe wyniki jego kwerendy, poprosił o przesłanie pocztą elektroniczną rysunków do katalogu, a gdy uścisnęli sobie dłonie i pożegnali się, wyszedł. Zatrzymał się na lunch w pobliskim bistrze. Jadł, rozmyślając o tym, czego dowiedział się u Cartiera, po czym udał się do Van Cleefa i Arpelsa, mimo iż szef ich archiwum wyjechał. Jego wizyta tam okazała się krótsza, lecz równie owocna. Zastępca szefa działu powiedział mu, że komplet złożony z szafirowego naszyjnika i kolczyków wykonany w stylu typowym dla lat czterdziestych był prezentem urodzinowym, a prosta diamentowa szpilka została подарowana hrabinie na Gwiazdkę, tak jak pierścionek z szafirem i bransoletka. Kamienie w tych wyrobach były mniejsze, lecz osadzone z niezwykłą wprawą. Cechowała je wyjątkowa jakość i wielka uroda.

Nie udało mu się skontaktować z Boucheronem w sprawie mniej istotnych elementów kolekcji Marguerite. Umberto wyraźnie preferował Van Cleefa oraz Cartiera. Biżuteria hrabiny pochodziła też od innych paryskich jubilerów, którzy jednak nie działali już na rynku.

Wewnętrzny ekspert Christie's oszacował, że mały diamentowy diadem był zabytkiem, w związku z czym wyśledzenie jego historii okazało się niemożliwe. Na pewno pochodził z Francji, lecz zakupu dokonano prawdopodobnie w Londynie. Resztę biżuterii wykonano we Włoszech, w tym dwie sztuki u Bulgari, z którym Phillip jeszcze się nie skontaktował. Wycieczka do Paryża okazała się jednak bardzo owocna. Zyskał mnóstwo informacji na temat biżuterii Marguerite, znał nawet pierwotne ceny, które nie miały jednak żadnego przełożenia na współczesność. Ceny zakupu okazały się astronomiczne, a ponad siedemdziesiąt lat później zwiększyły się wielokrotnie. Kamieni tej wartości nie sposób już było współcześnie znaleźć.

Po spotkaniu u Van Cleefa Phillip wrócił do biura Christie's, lecz nie miał tam nic do roboty. Został oddelegowany na paryską aukcję jako obserwator i jego praca dobiegła końca – paryskie biuro mogło sobie poradzić z resztą. Tego samego wieczoru zamierzał wsiąść do pociągu Eurostar, aby pokazać się w londyńskim biurze, skoro odbył już podróż do Europy. Poza tym zawsze lubił Londyn, miał tam przyjaciół w dziale sztuki. Pożegnał się z Gilles'em, który życzył mu powodzenia podczas majowej aukcji.

W Londynie zatrzymał się w hotelu Claridge's. Poszedł na spacer na New Bond Street, by obejrzeć kolekcje Graffa i innych ważnych jubilerów. Sprzedawali sporo biżuterii od Graffa na swoich aukcjach – cechowały ją nieskazitelne kamienie i maestria wykonania, stąd też brały się jej wysokie ceny. Sam Laurence Graff również kupował od nich kamienie, by potem wykorzystać je w swoich projektach. Był znany z tego, że kupował niezwykle cenne kamienie w rzadkich kolorach, jak różowe i błękitne diamenty, a także z tego, że wybierał te największe. Stał się współczesnym Harrym Winstonem, wytwarzając niezwykle dzieła sztuki, które sprzedawano po zdumiewających cenach. Phillip z przyjemnością obejrzał jego witrynę podczas spaceru. Mimo iż osobiście przedkładał sztukę nieużytkową nad biżuterię, umiał docenić, że kolekcja Graffa jest najlepsza na rynku.

W drodze powrotnej do hotelu zajrzał również do kilku galerii. Następnego ranka udał się do biura Christie's, gdzie spotkał się ze swoimi brytyjskimi odpowiednikami, by omówić zbliżające się aukcje. Ucieszył się, że widzi się z nimi osobiście i mogą odbyć poważną rozmowę, zamiast tylko wymieniać bezosobowe maile. Opowiedział im też szczegółowo o majowej aukcji w Nowym Jorku. Z zaciekawieniem wysłuchali historii majątku di San Pignelli, okoliczności, w jakich trafił on pod kuratelę sądu do spraw spadkowych, oraz relacji z jego najnowszymi odkryciami u Cartiera i Van Cleefa. Gdy tego popołudnia się pakował, pod wpływem impulsu postanowił jeszcze polecieć do Rzymu, by tam dokończyć swoje badania. Recepcjonista hotelu zarezerwował dla niego bilet na lot o dwudziestej pierwszej. Londyn dzieliły od Rzymu tylko dwie i pół godziny podróży, udało mu się też zarezerwować nocleg w hotelu Hassler. Nie zamierzał zostawać tam długo, chciał tylko

następnego dnia odwiedzić jednego czy dwóch tamtejszych jubilerów. Z powodu niewielkiego opóźnienia na Heathrow dotarł do hotelu tuż po północy. Jego pokój nie był duży, lecz wygodny, z małym balkonem, antykami i ścianami wyłożonymi luksusową żółtą satyną oraz pięknym widokiem na Rzym. Miasto żyło i kipiało energią nawet o tej porze, miało w sobie chaos i wigor, które uwielbiał. Po ulicach wciąż spacerowali ludzie. Nalał sobie szklaneczkę brandy i wypił ją na balkonie, podziwiając księżyc w pełni. Paryż porażał swoją urodą, lecz to Rzym uważał za najromantyczniejsze miasto świata. Przygnębiało go nieco, że stoi na balkonie sam. Uznał, że jego matka ma rację – powinien włożyć więcej wysiłku w to, by kogoś poznać i zrobić ze swoim życiem coś więcej niż tylko spędzać każdy weekend na swojej łodzi. Miło byłoby mieć w Rzymie towarzystwo, nawet jeśli przyjechał tu w interesach.

Po brandy zasnął mocno w łóżku z baldachimem i obudził się o ósmej rano. Wypił mocne włoskie espresso, a o dziesiątej był już u Bulgarego na via Condotti. To stamtąd pochodziły dwie bransoletki ze skrytki depozytowej Marguerite – szmaragdowo-diaamentowa oraz filigranowa z diamentów – niestety z żalem poinformowano go, że Bulgari nie prowadzi archiwów sięgających tak daleko wstecz. Wiele dokumentów zostało zniszczonych w czasie wojny. Zaryzykował niepotrzebnie, lecz cieszył się, że udało mu się wpaść do Rzymu, skoro był już w Europie z okazji paryskiej aukcji. Udał się na spacer po via Condotti i zajrzał do Prady, by kupić koszulę, a o pierwszej, gdy większość sklepów zamykano na lunch, uznał, że zakończył swoje sprawy.

Poszedł do trattorii na talerz pasty i kieliszek wina. Gdy jadł, obserwując toczące się wokół życie, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Nie potrzebował tego w ramach kwerendy do katalogu, lecz nagle odczuł nieodparte pragnienie, by odwiedzić Neapol i zobaczyć *castello*, w którym mieszkali Pignelli. W dokumentach Marguerite znajdował się również jej rzymski adres, a Phillip poprosił taksówkarza, aby tam podjechał w drodze do hotelu. Ich rzymskie *pied-à-terre*<sup>\*\*</sup> mieściło się w ładnym, acz niepozornym budynku. Główną siedzibą – dla hrabiny przez trzydzieści dwa lata – był jednak



Neapol – to tam znajdowała się rodzinna posiadłość hrabiego, jak zakładał Phillip. Bardzo chciał ją zobaczyć. Nie musiał jeszcze wracać do Nowego Jorku i odczuwał pokusę, by dodać jeszcze jeden dzień do swojej podróży i zahaczyć o Neapol. Po powrocie do hotelu o wpół do trzeciej zapytał w recepcji o dostępne loty. Recepcjonista poinformował go, że samolot odlatuje z lotniska Fiumicino o szóstej, zaproponował też, że zarezerwuje dla niego pokój w Grand Hotel Vesuvio, który na pewno będzie mu odpowiadać. Czując się tak, jakby miał dokonać wyjścia w przestrzeń kosmiczną, Phillip poprosił o rezerwację zarówno lotu, jak i hotelu.

Misja, by dowiedzieć się jak najwięcej o Marguerite Pearson di San Pignelli, powoli przejmowała kontrolę nad jego życiem. Odczuwał nawet cień zawstydzenia na myśl o swojej obsesji, lecz nie potrafił się jej oprzeć. Godzinę później siedział już w taksówce na lotnisko, nie mając pojęcia, co znajdzie w Neapolu. Czuł tylko, że musi tam polecieć. Coś go tam ciągnęło, nawet jeśli nie do końca wiedział co. Zapragnął porozmawiać z Jane, zastanawiał się, czyby go zrozumiała, czy może uznałaby, że postradał rozum. Nic nie łączyło ich z tą kobietą, a jednak podbiła ona serca ich obojga.

Samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku w Capodichino, skąd Phillip taksówką pojechał do hotelu. Jego pokój miał balkon, z którego rozpościerał się spektakularny widok na Zatokę Neapolitańską. W tym mieście o reputacji stolicy kieszonkowców nie czuł się na tyle swobodnie, by udać się na spacer, dlatego też kolację zjadł w doskonałej restauracji Caruso na ósmym piętrze. Na następny dzień wypożyczył samochód, który dostarczono mu do hotelu. Był to praktyczny, zwyczajny sedan Fiata. Recepcjonista podał mu dokładne wskazówki, jak dojechać pod adres Marguerite, czyli do *castello*, jak założył. Recepcjonista dodał, że posiadłość znajduje się na końcu miasta w pięknej okolicy, choć nieco na uboczu. Jadąc, Phillip widział w oddali Wezuwiusz, który przypominał mu o Pompejach. Odwiedził je z rodzicami jako dziecko i od tamtej pory był nimi zafascynowany. Nie tyle interesowały go zabytki i artefakty, ile ludzie, którzy zginęli na miejscu zalani lawą, kiedy wypełniali swoje codzienne obowiązki, i pozostali tak do dziś. Wspomnienie wciąż żyło w jego umyśle.

Wywarło ogromne wrażenie na nim jako dziecku. Od razu zapragnął się wtedy dowiedzieć, czy w Nowym Jorku są wulkany, a gdy usłyszał, że ich nie ma, odczuł ogromną ulgę. Uśmiechnął się teraz, przypominając sobie to wszystko.

Upłynęło co najmniej pół godziny, zanim dojechał na obrzeża miasta – w Neapolu kierowcy wykazywali większą nerwowość niż w Rzymie. Zerkając na spisane wskazówki, skręcił za róg i nagle zobaczył piękne małe *castello*. Elegancki budynek otaczał wysoki mur i potężne stare drzewa. Na brukowany dziedziniec wiodły podwójne wrota. Sprawdził dla pewności adres i potwierdził, że jest na miejscu. Zaparkował samochód i wysiadł, aby się rozejrzeć. Zawahał się przy otwartej bramie i zauważył dwóch ogrodników oraz mężczyznę w swobodnym stroju, który wydawał im wskazówki, pokazując dłonią ogrody, podczas gdy oni kiwali głowami. Mężczyzna był wysoki, wyglądał na sześćdziesiąt parę lat, miał gęste siwe włosy. Odwrócił się, aby spojrzeć na Phillipa z pytającą miną, po czym podszedł do niego, gdy skończył rozmowę z ogrodnikami. Phillip nie wiedział, co powiedzieć, a jego włoski nie był na tyle płynny, by mógł wyjaśnić przyczynę swojej wizyty.

– *Posso aiutarla?* – zapytał mężczyzna głębokim dźwięcznym głosem.

Miał twarz poznaczoną zmarszczkami i błyszczące oczy. Niczym nie przypominał hrabiego ze zdjęć, który miał pociągłą twarz i ostre rysy arystokraty, był bardzo smukły i wysoki. Ten człowiek wyglądał na amatora jedzenia i dobrej zabawy. Jego oczy były przyjazne. Phillip zauważył też, że mężczyzna był zaskoczony jego obecnością, kiedy zapytał, czy może mu w czymś pomóc.

– Czy mówi pan po angielsku? – zapytał Phillip z wahaniem, nie wiedząc, co zrobi, jeśli usłyszy odpowiedź odmowną. Jego motywy były zbyt skomplikowane, by mógł je wyjaśnić w języku migowym, a do tego mogły się wydać podejrzane. Naprawdę nie musiał tu przyjeżdżać... Po prostu zapragnął zajrzeć z czystej ciekawości.

– Słabo – odparł mężczyzna, unosząc dwa palce, by pokazać, jak mało. Uśmiechnął się.

– Chciałem zobaczyć *castello* – wyjaśnił Phillip powoli, czując się

niezręcznie. – Znam kogoś, kto mieszkał tu bardzo dawno temu. – Nieco naginał prawdę, przecież tak naprawdę nie znał hrabiny, tylko o niej słyszał.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Rodzic? Babcia? – zapytał.

Phillip nie wiedział, że po włosku tak samo mówi się na rodzica, jak na krewnego, lecz zrozumiał ogólne przesłanie i pokręcił głową. Nie mógł przecież powiedzieć: „Nie, kobieta, której biżuterię będziemy licytować w Christie’s. W zasadzie nigdy jej nie spotkałem, lecz mnie fascynuje”, a taka była prawda. Nagle przypomniał sobie kopie zdjęć, które woził w komputerze. Poszedł po nie do samochodu, dając mężczyźnie znak, by zaczekał.

Phillip wrócił chwilę później i pokazał mu zdjęcia Umberta i Marguerite przed *castello* na tle ogrodów i stajni, które musiały znajdować się z tyłu lub które już dawno zburzono. Gdy starszy mężczyzna zobaczył zdjęcia, jego twarz natychmiast się rozjaśniła. Entuzjastycznie pokiwał głową.

– Umberto i Marguerite di San Pignelli – powiedział Phillip, wskazując ich palcem.

Mężczyzna znów pokiwał głową.

– *Il conte e la contessa* – wymienił ich tytuły.

Tym razem to Phillip przytaknął, po czym się uśmiechnął.

– Czy to pańska rodzina? – zapytał Phillip.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, ja kupić dziesięć lat temu – oświadczył wyraźnie. – On umrzeć dawno temu. Bez rodziny, bez dzieci. On umrzeć, ona sprzedać dom, pojechać do Rzymu. Inni ludzie kupić, zepsuć dom, sprzedać mnie. Nie mają pieniędzy, sprzedali mi.

Mówił łamaną angielszczyzną, lecz udało mu się wyjaśnić Phillipowi, co się wydarzyło. Marguerite sprzedała dom po śmierci męża i przeprowadziła się do Rzymu, a nowi właściciele doprowadzili posiadłość do ruiny z braku środków, po czym sprzedali ją jemu. Mężczyzna chyba dobrze opiekował się tym miejscem. A ferrari i lamborghini stojące na dziedzińcu dowodziły, że ma na to pieniądze.

– *Il conte era molto elegante, e lei bellissima* – powiedział,

wyrażając swój zachwyt elegancją hrabiego i urodą Marguerite, gdy przeglądał fotografie. – Bardzo smutne, nie ma dzieci w domu – dodał.

Zapragnął dowiedzieć się więcej, dlaczego Phillip tak bardzo interesuje się tym miejscem, lecz nie znał angielskiego na tyle, by o to zapytać. Niemniej zaprosił Phillipa do środka i pozwolił mu się rozejrzeć. Pełen wdzięczności za to ciepłe przyjęcie, Phillip udał się za gospodarzem do domu. W obszernych pokojach stały piękne antyki i współczesne dzieła sztuki, które tworzyły harmonijną całość. Ściany pomalowano subtelnymi, pastelowymi farbami, a z górnych pięter rozpościerał się spektakularny widok na morze.

– Bardzo kochać ten dom – wyjaśnił mężczyzna, kładąc dłoń na swoim sercu.

Phillip pokiwał głową.

– Dobrze uczucie, bardzo ciepły. Należę do rodziny *il conte* czterysta lat. Ja z *Firenze*, ale teraz też *Napoli*. Czasami *Roma*. *Galleria d'arte* – wyjaśnił, wskazując obrazy, a potem siebie.

Phillip domyślił się, że ma przed sobą marszanda. Obrazy na ścianach były imponujące, namalowali je sławni artyści, których Phillip z łatwością rozpoznał. Wyjął swoją wizytówkę, aby przedstawić się jako wiceprezes Christie's, a właściciel *castello* od razu zrozumiał, z kim ma do czynienia. Zrobiło to na nim widoczne wrażenie.

– *Gioielli?* – zapytał, wskazując palcem słowo „biżuteria” na wizytówce.

Phillip pokiwał głową.

– Przedtem *prima* – było to jedno z niewielu włoskich słów, jakie Phillip znał – sztuka, obrazy. – Wskazał palcem obrazy na ścianach. – Teraz, *adesso*, *gioielli*, ale wolę sztukę.

Mężczyzna roześmiał się, jakby zrozumiał i podzielał to zdanie, po czym znów wrócił do tematu Umberta i Marguerite.

– *La contessa aveva gioielli fantastici* – zauważył, wskazując fotografie Marguerite w klejnotach. – Słyszę to. Bardzo sławne klejnoty, ale potem bez pieniędzy, gdy *il conte* zmarł. Dużo samochodów, konie, *gioielli*, więc sprzedaje dom. I chyba bardzo smutna po jego śmierć, bo nie ma dzieci.

Phillip pokiwał głową. Właściciel *castello* odmalowywał pewną

wizję, nawet jeśli brakowało mu słów. Małżeństwo wydawało mnóstwo pieniędzy. Gdy Umberto zmarł, niewiele zostało z majątku. Dlatego też hrabina musiała sprzedać posiadłość i przeprowadzić się do mieszkania w budynku, który miał podczas swego pobytu w Rzymie. Zapewne przez długi czas żyła ze środków uzyskanych ze sprzedaży *castello*, a potem wróciła do Stanów. Na podstawie swojej wiedzy o jej małym mieszkaniu w Murray Hill i domu opieki w Queens Phillip wywnioskował, że w Nowym Jorku żyła skromnie. Dni swojej chwały przeżyła tutaj, razem z Umbertem. Po jego śmierci zostały jej tylko klejnoty, które miały ogromną wartość. Nigdy ich jednak nie sprzedała, by mieć środki na swoje utrzymanie, może z miłości do niego. Rozstała się tylko z dwoma pierścionkami. Bez wątpienia kryła się za tym historia wielkiej miłości, której wspomnienie towarzyszyło jej do końca życia, długo po jego śmierci.

Myśląc o tym samym, Włoch wskazał palcem zdjęcia, po czym wzruszony dotknął swojego serca, a Phillip pokiwał głową. Właśnie to go tutaj przywiodło, co jego rozmówca zdawał się rozumieć, choć nie bez przeszkód. Wyjął wizytówkę i wręczył ją Phillipowi. Okazało się, że Phillip miał rację. Mężczyzna nazywał się Saverio Salvatore i prowadził galerie sztuki we Florencji i Rzymie. Spotkanie okazało się bardzo fortunate, a Phillipowi dobrze się z nim rozmawiało. Gdy wyszli na dziedziniec, Phillip podziękował mu po włosku i angielsku. Saverio spojrzał na niego ciepło, po czym wybrał jedną, szczególnie czarującą fotografię Marguerite i Umberta.

– Ty mi prześle? Mnie podobać się do dom. To był ich dom przez wiele lat.

Phillip od razu się zgodził, zapewnił właściciela, że prześle mu kilka zdjęć. Wzruszyło go, że Saverio pragnie mieć ich zdjęcia. Ta historia miłosna poruszała serca wszystkich.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym Phillip wyszedł przez bramę. Saverio pomachał mu i wrócił do domu. Nie zwiedzili całej posiadłości, która była ogromna, lecz Phillipowi wystarczyło to, co zobaczył. Dowiedział się, jak wyglądał ich dom i gdzie mieszkali. Wiedli wspaniałe życie. Poczł ciepło w sercu na myśl, że mężczyzna, który mieszkał tam teraz, dbał o posiadłość i żywił szacunek dla

dawnych właścicieli. Nie zapomniano o nich. Phillipa ogarnął spokój, gdy odpalił samochód i wrócił do hotelu.

Podróż do Neapolu nie wchodziła w zakres jego służbowych obowiązków w Christie's ani nie dała mu wiedzy mogącej wesprzeć aukcję klejnotów Marguerite, lecz wiedział, że słusznie postąpił, przyjeżdżając tutaj. Był tego pewien. Zamierzał zachować wizytówkę Saveria z nadzieją, że znów się spotkają. Pragnął też dotrzymać obietnicy i przesłać mu zdjęcia Umberta i Marguerite.

\*\* Mieszkanie, z którego korzysta się od czasu do czasu (przyp. red.).

## Rozdział 14

Phillip zadzwonił do matki w weekend po swoim powrocie do Nowego Jorku. Pragnął zjeść z nią kolację w niedzielny wieczór i opowiedzieć jej, czego dowiedział się o Marguerite, jej biżuterii i domu, w którym mieszkała, a który odwiedził. Wiedział, że matkę zainteresuje ten temat, a frapującej ją historii nada większe znaczenie. Marguerite nie stanowiła już dla nich całkowitej zagadki, była kobietą, która miała dom, kochającego mężczyznę i pełne luksusu życie. Nie była już tylko nazwiskiem na skrytce depozytowej w banku, która mieściła kolekcję szalenie cennej biżuterii. Wiedza, że pieniądze się jej kończyły – na jej koncie w dniu śmierci znajdowało się nie więcej niż dwa tysiące dolarów, że przez wiele lat mieszkała w małym mieszkaniu, a ostatnie dni spędziła w skromnym domu opieki w Queens, czyniła jej historię jeszcze bardziej wzruszającą i intrygującą. Biżuteria od Umberta z całą pewnością wiele dla niej znaczyła.

Pragnął poinformować matkę o tym wszystkim, opowiedzieć jej o aukcji w Paryżu i reszcie swojej podróży, a także dramatycznej chwili, kiedy rząd francuski przejął diadem Marii Antoniny na rzecz państwowych muzeów. Wiedział, że z radością wysłucha jego opowieści. Poczł zaskoczenie, gdy w słuchawce rozległ się jej smutny, poważny głos. Odparła, że również pragnie się z nim zobaczyć. Najwyraźniej także miała mu coś do powiedzenia.

– Wszystko w porządku, mamo? Coś się stało?  
– Nie, chcę tylko porozmawiać. Muszę podjąć pewne decyzje.  
– Chodzi o twoje zdrowie? – zapytał w przyпіlywie paniki.  
– Nie, kochanie, nic mi nie jest. To inne sprawy. Potrzebuję twojej rady.

Wiedział, że od czasu do czasu sprzedawała obligacje kupione przez jego ojca. Zainwestowała w solidny fundusz i nie musiała martwić się o pieniądze z ubezpieczenia, które odziedziczyła po śmierci męża. Lubiła pytać Phillipa o radę.

– W niedzielę wieczorem?  
– Może być, miłego weekendu.

Rozłączył się, wciąż czując obawy. Odniósł wrażenie, że matkę dręczy coś ważnego. Miał nadzieję, że go nie okłamała i że z jej zdrowiem wszystko w porządku. Jako jednak czuł się za nią odpowiedzialny, martwił się o nią, niezależnie od tego, jak bardzo była młodzięcza i niezależna. Miała siedemdziesiąt cztery lata, nawet jeśli nie wyglądała na to ani się tak nie zachowywała.

Podczas weekendu rozmyślał też o Jane Willoughby. Zapragnął zadzwonić do niej i opowiedzieć o rezultacie podróży, o swoim śledztwie w sprawie Marguerite. Postanowił znów zaprosić ją na lunch, czy miała chłopaka, czy nie. Wiele dowiedział się o Marguerite w Europie i pragnął się tym z nią podzielić.

Podczas gdy Phillip pracował na swojej łodzi, Jane przeprowadzała się do nowego mieszkania. Znalazła małą kawalerkę w pobliżu mieszkania Alex i była nią zachwycona. Rodzice zadeklarowali, że pomogą jej opłacać czynsz, dopóki nie znajdzie pracy. John nie odzywał się, odkąd się wyprowadziła. Równie dobrze mogłaby zniknąć bez śladu. Zachowywał się, jakby zapomniał o jej istnieniu, co bolało. Założyła, że zszedł się z Carą i dlatego przestała go obchodzić. Była to dla niej trudna lekcja, żałowała, że nie wyprowadziła się, gdy wszystko zaczęło się psuć wiele miesięcy temu. Ostatnie pół roku okazało się całkowitą stratą czasu, a bez troskie ignorowanie jej i wymówki dotyczące szkoły i projektów naukowych po prostu ją obrażały.

Wzięła w tygodniu dzień wolny i pojechała do IKEA, by kupić podstawowe sprzęty, których potrzebowała w nieumeblowanym mieszkaniu. Alex pomogła je poskręcać. Dobrze radziła sobie ze śrubokrętem i młotkiem. W niedzielny wieczór Jane mieszkała już w kawalerce, która wyglądała wspaniale. Dawało jej to nowy początek. Świętowały jej przeprowadzkę, jedząc popcorn i oglądając film.

Phillip opuścił Long Island w niedzielne popołudnie nieco wcześniej niż zwykle. Padało, wiedział, że będą korki, i bardzo chciał zobaczyć się z matką. Zatrzymał się po drodze i kupił butelkę różowego wina, które lubiła, a o piątej nacisnął dzwonek do jej drzwi, które otworzyła mu z zaskoczoną miną.

– Jesteś wcześniej! – zawołała z radością, gdy wręczył jej wino, które również ją ucieszyło.



– Wygląda na to, że mamy wiele do omówienia, więc pomyślałem, że dam nam więcej czasu – odparł swobodnie, wchodząc do mieszkania. Widział, że pracowała. Czuł zapach świeżych farb olejnych, znajomy aromat, który uwielbiał i który zawsze kojarzył mu się z matką.

Kilka minut później Valerie rozlała wino do kieliszków i usiedli razem w przytulnym salonie. Ona zajęła swój ulubiony stary skórzany fotel, a on kanapę. Spojrzał na nią pytająco.

– Co się dzieje? Ty pierwsza. – Martwił się o nią od dwóch dni.

– To długa historia – odparła z westchnieniem, upijając łyk wina. – Wiedziałam o tym już podczas naszego poprzedniego spotkania, lecz potrzebowałam czasu, by to wszystko przemyśleć. To był dla mnie szok.

Słuchając jej, coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że chodzi o poważny problem ze zdrowiem. Wstrzymał oddech, gdy jej słuchał, mimo iż jego zdaniem wyglądała kwitnąco i w jej wyglądzie nic nie wskazywało na chorobę.

– Powiedziałaś ci, że odwiedziłam Fionę, moją dawną nianię. Chciałam, by pomogła mi coś zrozumieć. Gdy przeglądałam fotografie Marguerite, które mi dałaś, nic mnie w niej nie uderzyło. Chyba dostrzegłam nikłe podobieństwo, lecz tylko w jej amerykańsko-anglosaskich rysach, a umówmy się, wszyscy biali Amerykanie wyglądają podobnie – oświadczyła swobodnie.

Roześmiał się, słysząc typowe dla jego matki lekceważenie konwenansów.

– Cóż, nie zawsze – odparł, na co się uśmiechnęła.

– W każdym razie nic mnie nie zdumiało w jej wyglądzie.

Wstrząsnęło mną jednak do głębi zdjęcie małej dziewczynki. Niewiele mam zdjęć siebie jako dziecka, rodzice nie darzyli mnie wielką miłością, mówiąc oględnie, lecz gdy zobaczyłam te zdjęcia, natychmiast pomyślałam, że przedstawiają mnie. Nie ma na nich żadnych imion ani nazwisk, lecz daty wskazywały, że byłam w tym samym wieku co dziecko na zdjęciach, a na podstawie dwóch z nich zyskałam całkowitą pewność. Nie potrafiłam jednak zrozumieć, skąd wzięły się moje zdjęcia w skrytce depozytowej, co tam robiły?

Poszłam zobaczyć się z Winnie w tej sprawie, ponieważ przyszło

mi do głowy pewne wyjaśnienie. Nagle podejrzone wydało mi się, że nie mamy żadnych zdjęć naszej najstarszej siostry Marguerite. Podobno moja matka była tak zdruzgotana po jej śmierci, że zniszczyła je wszystkie oraz inne dowody istnienia mojej siostry, co zawsze wydawało mi się dziwne. Czy nie powinna raczej zachować każdego strzępka wspomnień po ukochanej córce? Twój dziadkowie byli niewyobrażalnie sztywni, zimni i krytyczni, a ja zaczęłam się nagle zastanawiać, czy Marguerite na pewno umarła. A jeśli zakochała się we włoskim hrabim, czego jej rodzice nie pochwalali, i tylko nam powiedzieli, że umarła, podczas gdy ona żyła i przez te wszystkie lata mieszkała ze swoim włoskim mężem? A jeśli to nazwisko to nie tylko przypadkowa zbieżność i Marguerite di San Pignelli faktycznie była moją najstarszą siostrą? Były w tym samym wieku. Z jakiegoś powodu nagle ogarnęło mnie przekonanie, że tak właśnie się stało. Winnie miała zaledwie cztery lata, gdy Marguerite odeszła, a ja byłam niemowlakiem, lecz zawsze się zastanawiałam, czy Winnie podejrzewała, że Marguerite żyje, czy może usłyszała kiedyś coś, co skłoniłoby ją do zakwestionowania wersji, którą jej wmówiono. – Valerie spojrzała na syna z napięciem.

– I co powiedziała ci ciotka? – Jej słowa go zaintrygowały.

– Oświadczyła, że na starość dziecinnieję. Że tracę rozum, bo nasi rodzice nigdy by czegoś takiego nie zrobili. Kochała ich o wiele bardziej niż ja, a oni byli wobec niej znacznie bardziej czuli. Co więcej, jest dokładnie taka jak oni, a ja nigdy nie byłam, dlatego zawsze starali się siłą nakłonić mnie do myślenia i zachowywania się tak jak oni, czego nie potrafiłam. Powiedziała mi, że moje pomysły są niedorzeczne, że rodzice nigdy by nas nie okłamali, że zdjęcia wcale nie przedstawiają mnie, bo przecież wszystkie dzieci wyglądały i ubierały się wtedy tak samo, co po części jest prawdą. To dziecko miało jednak dokładnie taką twarz jak ja i moje oczy. Ostatecznie nie przekonałam jej i straszliwie się pokłóciłyśmy.

Tamtej nocy przyszło mi do głowy, że powinnam odwiedzić Fionę i zapytać ją, co wie. Doszłam do wniosku, że może naświetlić mi okoliczności, w których moja siostra odeszła. Wiele lat później powiedziano nam, że wyjechała do Szwajcarii do szkoły, ponieważ trwała wojna. Dlaczego jednak pozwolili jej wyjechać podczas wojny,

a jeśli wyjechała do Anglii, to dlaczego umarła we Włoszech? Nigdy nie mogłyśmy zadawać takich pytań ani nawet wymieniać jej imienia, a zawsze mnie to intrygowało. Uznałam więc, że może Fiona powie mi coś nowego, może rozpozna Marguerite na zdjęciu, skoro pracowała u nas dwa lata przed jej zniknięciem. Pojechałam do New Hampshire, by się z nią spotkać. Ma dziewięćdziesiąt cztery lata, lecz jest w doskonałej formie.

Zaczęło brakować jej tchu, lecz kontynuowała, a Phillip słuchał jej uważnie, nie mając pojęcia, co będzie dalej.

– Pokazałam jej zdjęcia i zapytałam, czy Marguerite di San Pignelli to moja siostra. Pękło mi serce, gdy powiedziała, że nie. Nie byłam jednak przygotowana na jej następne słowa. Oświadczyła, że Marguerite była moją matką. Zaszła w ciążę z chłopcem, którego kochała, gdy miała siedemnaście lat. On prawie skończył osiemnaście. Ich rodzice wpadli w szal, nie pozwolili im się pobrać i rozdzielili ich. Marguerite odesłano do domu dla zbłąkanych dziewcząt w Maine, aby ukryć jej ciążę, a dziecko oddać do adopcji. Kilka tygodni po jej wyjeździe z miasta Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, chłopiec zaciągnął się do wojska, wyjechał do Kalifornii na obóz dla rekrutów i tam wkrótce zginął podczas szkolenia. W rezultacie Marguerite odmówiła oddania dziecka, dlatego też jej rodzice, a moi dziadkowie, zniknęli wraz z nią na jakiś czas i wrócili do Nowego Jorku kilka miesięcy później z noworodkiem, udając, że dziecko jest ich, i jednocześnie nienawidząc tego kłamstwa. Wsadzili Marguerite na neutralny szwedzki statek do Lizbony, skąd wyjechała do Londynu. Nigdy nie dotarła do Szwajcarii. Rok później ogłosili, że umarła na gripę, i pozbyli się jej na zawsze ze swojego życia. Tymczasem ona poznała w Londynie hrabiego. Miała osiemnaście lat, była sama w obcym kraju, trwała wojna. On był dla niej miły, pobrali się bardzo szybko i zabrał ją do Włoch, gdzie zamieszkali w jego domu rodzinnym w Neapolu. Jej rodzice wygnali własne dziecko, Phillipie. Pierworodną córkę, tylko po to, by uniknąć skandalu – powiedziała z oburzeniem i łzami w oczach. – Wykreślili ją ze swojego życia na zawsze, a dziecko zatrzymali, choć nawet go nie chcieli i nigdy nie kochali. Fiona twierdzi, że Marguerite i hrabia próbowali odzyskać dziecko kilka lat później, a jej rodzice zrobili wszystko, co w ich mocy,

aby ją zniechęcić, przestraszyć. Zagrozili jej, nakazali dochować tajemnicy, a ona w końcu się poddała. Fiona mogła tylko przesyłać jej moje zdjęcia, dopóki nie odeszła od nas dziesięć lat później.

Ale, Phillipie – kontynuowała, gdy łzy popłynęły w końcu po jej policzkach – to dziecko to ja. Marguerite była moją matką, nie siostrą, moi dziadkowie ukradli mnie jej i udawali moich rodziców, nienawidząc mnie przez całe życie z powodu hańby, jaką oznaczały dla nich moje narodziny. Żyłam w kłamstwie przez całe życie, nie poznałam matki z ich powodu. Marguerite Pearson di San Pignelli była moją matką. Nie mam pojęcia, co powinnam z tym zrobić, komu o tym opowiedzieć ani nawet czy ma to teraz jakiegokolwiek znaczenie. Ona nie żyje. – Gdy to powiedziała, znów poczuła się jak sierota. Czowała się tak każdego dnia, odkąd się dowiedziała. – Niemniej nie ma wątpliwości. Była moją matką. To przedziwny zbieg okoliczności, nie podejrzewałam nawet takiego obrotu spraw. Nie myślałam w ogóle, że zacznę się zastanawiać, czy była moją siostrą. Czuję się tak, jakby było mi przeznaczone ją odnaleźć, odkąd wezwano cię do zrobienia tej wyceny dla Christie's. Była twoją babcią, Phillipie. Matką, której nigdy nie znałam, a którą powinnam znać.

Łzy płynęły po jej policzkach, a Phillip otoczył ją ramionami i uściśnął mocno. Nigdy nie widział matki w takim stanie, chyba że po śmierci ojca. Valerie płakała cicho, gdy tulił ją do siebie.

– Powiedziałaś Winnie? – zapytał.

Pokiwała głową.

– Tym razem mi uwierzyła. Nadal próbowała tłumaczyć ich zachowanie, powiedziała, że jest pewna, iż myśleli, że postępują słusznie. Nie mogli jednak tak czuć, gdy odebrali mnie matce na całe życie, gdy traktowali mnie jak intruza, gdy wygnali swoją córkę i udawali, że umarła. Winnie błagała mnie, bym nie robiła z tego wielkiej sprawy, bym nikomu nie mówiła. Najpierw oskarżyła mnie o to, że chodzi mi o biżuterię, lecz pod wieloma względami to o wiele bardziej szokujące niż pragnienie otrzymania w spadku całej tej fortuny. To potworne kłamstwo rozpowszechniane przez moich dziadków, którzy zapewne zrujnowali Marguerite życie, odbierając jej jedyne dziecko. Biedna kobieta umarła całkiem samotna.

Valerie osuszyła łzy. Wydawała się głęboko poruszona, gdy Phillip zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Ja nie pomyślałem o biżuterii, tylko o tym, co to wszystko znaczyło dla twojej matki i dla ciebie. Zgadza się, to straszna historia. – Teraz jednak musieli wziąć pod uwagę również klejnoty. – Prawda jest jednak taka, mam, że jesteś jej spadkobierczynią. Jedynym dzieckiem. Jeśli tak właśnie jest, powinnaś po niej dziedziczyć.

– Biżuteria należy również do Winnie... w końcu była jej siostrą. Ja o to nie dbam. To nie wróci mi matki.

– Nie, lecz ona chciałaby, byś ją miała. Myślę, że to jest powód, dla którego przechowywała ją przez te wszystkie lata, nawet gdy zostało jej niewiele pieniędzy. Albo zatrzymała ją z miłości dla Umberta, albo też miała nadzieję, że pewnego dnia cię odnajdzie i ci ją przekaże.

– Gdyby to była prawda, sporządziłaby testament, a ona tego nie zrobiła – przypomniała mu.

– Nie wiesz, co myślała ani w jakim była stanie pod koniec. Fakty są takie, że te rzeczy należały do niej, a ty jesteś jej jedyną córką. Nie jestem pewien, co teraz. W tej historii kryje się jednak więcej niż okropne zachowanie twoich dziadków. Twoja matka zostawiła ci fortunę w klejnotach.

Nie spodziewał się takiego rezultatu nawet w najśmielszych marzeniach, nawet gdy zapytał ją o zbieżność panińskiego nazwiska. Podejrzewał, że Marguerite może być daleką kuzynką, lecz nie jego babką ze strony matki. Było to zdumiewające odkrycie dla nich wszystkich. Nie mogli jednak tak tego zostawić. Należało teraz podjąć właściwe kroki. Phillip nie wiedział jeszcze jakie, lecz chciał się nad tym zastanowić i podjąć słuszną decyzję.

Gdy otrząsnął się z szoku po informacji, którą podzieliła się z nim matka, opowiedział jej o swoich wizytach u Cartiera i Van Cleefa, o tym, co wie teraz na temat biżuterii, o jej pochodzeniu i o ważnych datach, z których celebrowaniem była związana. Zrelacjonował jej swoją wizytę w *castello* Marguerite w Neapolu i spotkanie z Saveriem Salvatore, obecnym właścicielem posiadłości, który okazał się uroczym człowiekiem dysponującym pewną wiedzą na temat Marguerite

i Umberta. Wszystkie elementy tej układanki idealnie do siebie pasowały, brakowało już tylko kilku.

– Chciałabym kiedyś go zobaczyć – wyznała Valerie tęsknie, myśląc o domu, w którym jej matka mieszkała przez ponad dwadzieścia lat z jej ojczymem, którego nigdy nie poznała. Powoli oswajała się z rodziną, o której istnieniu dotąd nie wiedziała, a która po śmierci wydawała się jej bardziej rzeczywista niż wychowujący ją rodzice.

Tego wieczoru długo rozmawiali, jedząc w kuchni i starając się złożyć wszystkie elementy historii, znów zasiedli do oglądania zdjęć. Gdy wypili wino, Valerie wyznała, że pragnie namalować portret matki na podstawie jej fotografii. Uchwyciła się jej teraz kurczowo niczym sierota, którą w rzeczywistości była, by w ten sposób uleczyć tragiczne straty z przeszłości.

Phillip czuł się tym wszystkim głęboko poruszony, gdy tej nocy wrócił do domu. Miał wiele spraw do przemyślenia – dawnych, teraźniejszych i przyszłych – a także rozważenie decyzji w kwestii biżuterii. Mógł jednak myśleć tylko o tym, że z samego rana powinien zadzwonić do Jane. Zapewne niewiele więcej niż on wiedziała o tym, co musiała teraz zrobić jego matka, lecz coś trzeba było postanowić. Co – to miało się dopiero okazać.

## Rozdział 15

Phillip zadzwonił do Jane następnego ranka, zanim zdołała zdjąć płaszcz w swoim biurze. On był jeszcze w domu.

– Jak twoja podróż? – zapytała, ciesząc się, że go słyszy. Myślała o nim tego ranka.

– Bardzo interesująca – odparł nieco rozkojarzony. Miał bardzo poważny głos. Przez większość nocy nie spał, rozmyślając o słowach matki i o tym, co może zrobić, by jej pomóc. Przeszedł od razu do rzeczy. – Zastanawiałem się, czy moglibyśmy zjeść dzisiaj razem lunch. Muszę coś z tobą omówić.

Jego głos brzmiał bardzo rzeczowo, a nie romantycznie – nie potrafiła sobie wyobrazić, o co może mu chodzić.

– Jasne. Oczywiście. Gdzie chciałbyś się spotkać?

Zaproponował inną restaurację w pobliżu swego biura, która nie była hałaśliwa, a serwowała smaczne kanapki, burgery i sałatki. Nie chciał, by rozpraszało go wymyślne jedzenie, nachalni kelnerzy ani wścibscy klienci z sąsiednich stolików. Umówili się o dwunastej trzydzieści, a on już siedział przy stoliku, gdy Jane dotarła na miejsce. Miał na sobie sportową marynarkę, sweter i popielate spodnie. Ona również ubrała się swobodnie, nie spodziewając się spotkania w porze lunchu. Po jego oczach poznała, że coś go martwi.

Oboje zamówili kanapki klubowe i uzgodnili, że podzielą się sałatką, a gdy tylko kelner przyjął ich zamówienie, Phillip zwrócił się do Jane i opowiedział jej o swojej podróży do Europy, o wizytach u Van Cleefa i Cartiera, a także w *castello* w Neapolu. Jego opowieść ją wzruszyła. W końcu wziął głęboki oddech i postanowił przejść do rzeczy, opowiadając jej resztę. Były to bardzo osobiste i poruszające fakty, lecz dzieląc z nią tę przygodę do tej pory, uznał, że zasługuje, by wiedzieć wszystko.

– Jane, moja matka sama zabawiła się w detektywa i odkryła zdumiewające informacje. Okazało się, że to nie tylko przypadkowa zbieżność nazwisk, lecz znacznie więcej. – Zrelacjonował jej, czego Valerie dowiedziała się od Fiony, a co przekazała mu poprzedniego wieczoru. Sam jeszcze nie do końca się z tym oswoił. – To wydaje się

niewiarygodne i tym dziwniejsze, że tak po prostu zadzwoniłaś do Christie's z prośbą o wycenę, co doprowadziło moją matkę do odkrycia prawdy na temat jej narodzin i jej matki. Cała ta tajemnica rozwiązała się na naszych oczach. Fakty są zdecydowanie ciekawsze od fikcji. A co najdziwniejsze, moja matka okazała się spadkobierczynią Marguerite di San Pignelli. Marguerite jest moją babką. To dopiero dziwne.

Wydawał się oszołomiony, gdy o tym opowiadał, a Jane była szczerze zdumiona. Gdy przysłuchiwała się relacji jego matki, uderzyło ją podobieństwo z historią spisaną w listach.

– Nie jestem pewien, co powinniśmy teraz zrobić ani jak udowodnić przed sądem, że moja matka jest prawowitą spadkobierczynią Marguerite. Nie może tak po prostu wejść do sądu i powiedzieć: „Cześć, to była moja mama”. Biorąc pod uwagę, że jej dziadkowie sfalszowali jej akt urodzenia, uznając ją za swoje dziecko, ten dokument też nie stanowi żadnego dowodu. Nie wspominając już o tym, że aukcja odbędzie się za dwa miesiące. Jestem pewien, że wszystko ostatecznie się ułoży, lecz nie wiem, co robić dalej. Potrzebuję twojej rady. Co o tym wszystkim sądzisz?

Przez chwilę nie potrafiła znaleźć słów, by mu odpowiedzieć, aż w końcu instynktownie zaczęła myśleć jak prawnik. Nie miała już wątpliwości, co należy zrobić.

– Musisz zadzwonić do swojego prawnika, i to szybko. Sam tego wszystkiego nie rozwiązesz. Musisz powiadomić sąd do spraw spadkowych, że odnalazł się spadkobierca, twoja matka musi oficjalnie się ujawnić, a potem będziecie musieli dostarczyć dowód. Nie wiem, ile to potrwa, jakie kroki trzeba przedsięwziąć ani jakich dowodów będzie to wymagało. Prawniki będą wiedzieli. To nie jest moja specjalność. A jak twoja matka znosi to wszystko? To musiał być dla niej potworny szok, gdy odkryła, że ludzie, których uważała za swoich rodziców, odebrali jej prawdziwą matkę i rozdzielili je na całe życie. Musiało jej pękać serce, gdy tego wszystkiego słuchała. Wiem, że to się zdarza, lecz dla niej musiało to być okropne uczucie – oświadczyła ze współczuciem w oczach. Przejmująca historia Marguerite oraz matki Phillipa stawała się dla niej coraz bardziej realna i głęboko ją wzruszyła.

– Jest bardzo zdenerwowana, co mnie nie dziwi. Naprawdę nie



myśli teraz o biżuterii, tylko o matce, którą straciła. O ile wiem, babcia nie była dla niej miła. Była bardzo zimną kobietą i chyba zawsze winiła moją matkę za okoliczności jej narodzin, jakkolwiek to niesprawiedliwe. Mimo to jednak musimy też myśleć o biżuterii. Nie można sprzedać jej teraz, gdy odnalazł się prawowity spadkobierca, bez zgody rzeczzonego spadkobiercy, a moja matka będzie musiała najpierw zostać oficjalnie uznana za spadkobierczynię. Nie mam pojęcia, czy zajmie to dni, czy miesiące.

Martwiło go to, tak jak Jane.

– Ja również nie wiem – przyznała. – Może to potrwać dowolnie długo, ponieważ sądy nigdy się nie spieszą, zwłaszcza gdy rozstrzygają w sprawach majątków osób zmarłych, które nie mogą się skarżyć na ich opieszałość.

Oboje się uśmiechnęli.

– Nie wiem też, czy moja ciotka Edwina nie upomni się o część majątku. Marguerite była jej siostrą, może więc zażądać czegoś dla siebie.

– Musisz niezwłocznie zadzwonić do adwokata – odparła Jane. – Mogę ci jakiegoś polecić, jeśli chcesz – dodała pomocnie.

– Mam już kogoś na myśli – mruknął cicho.

– W takim razie zadzwoń jeszcze dziś – ponagliła go.

Pokiwał głową, zapłacił rachunek, po czym podziękował jej, że go wysłuchała i dała mu dobrą radę. Rozmowa z nią pomogła mu, co doceniał. Nadal nie przestawały jej zadziwiać meandry losu, które doprowadziły do tego, że zadzwoniła właśnie do Phillipa, czyli syna dziecka opisywanego przez Marguerite w listach i oplakiwanego przez nią przez całe życie. Siła drzemiąca w tej historii była obezwładniająca.

– Gdy Harriet poleciła mi przeczytać listy ze skrytki depozytowej, miałam nadzieję, że odnajdę testament. Tak się nie stało, były tylko listy, lecz zawarta jest w nich cała ta historia. Wszystko, co mi właśnie opowiedziałeś, lecz ze strony matki twojej matki. Dziecko, które zostawiła w Nowym Jorku, nazywała swoim „kochanym aniołkiem”, zmuszono ją, by zniknęła, wyjechała do Londynu w czasie wojny, poznała hrabiego, poślubiła go i zamieszkała z nim. Próbowała odzyskać dziecko, gdy mała miała siedem lat. Zrobili, co mogli, lecz jej rodzice

sabotowali każdy ich krok. Wróciła zobaczyć się z córką, gdy ta skończyła osiemnaście lat, chciała opowiedzieć jej wszystko, lecz gdy zobaczyła ją z oddali, przeraziła się, że zakłóci i zniszczy jej życie, zastępując poważanie skandalem. Wróciła do Włoch, nie nawiązawszy kontaktu, i w końcu się poddała.

Pisała do swojej córki przez ponad siedemdziesiąt lat. To listy pełne miłości do jej dziecka. Nigdy nie nazwała jej po imieniu i bezustannie powtarzała, że zapisze jej całą swoją biżuterię. Zamierzała sporządzić testament, lecz nie zdążyła. W listach widać, że pod koniec jej umysł nie pracował sprawnie. Zagubiła się w przeszłości. Nie ma w listach nic, co stanowiłoby stosowny dowód prawny, chyba że twoja matka udowodni, iż jest córką Marguerite. Wszystko inne tam jednak jest, cała ta smutna historia od początku do końca, przerywana słodkimi chwilami. Była szczęśliwa z hrabią, lecz jej życiem kierowała tęsknota za odebrany dzieckiem. Mam kopie listów w aktach. Mogę je dla ciebie zeskanować. To smutna historia, lecz unaoczni twojej matce, jak bardzo była kochana przez te wszystkie lata, które utraciły jako matka i dziecko. – Mogła się tylko domyślać, ile będzie znaczyć ta korespondencja dla matki Phillipa. Jakby słyszała głos swej matki zza grobu.

Phillip wydawał się przytłoczony jej słowami. Wiedział, że Valerie doceni wagę tego odkrycia oraz fakt, że zyska dzięki niemu wgląd w uczucia swojej matki.

– Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś przesłała mi kopie listów. Może matce trudno będzie je czytać, lecz na pewno podziałają też na nią leczniczo. Zna tylko relacje innych ludzi. Wysłuchanie tej opowieści z ust matki przez jej listy będzie dla niej nieocenionym darem.

– Tak się cieszę, że je przeczytałam – wyznała Jane cicho. – Nawet jeśli nie zawierały testamentu, co dla wszystkich okazałoby się bardziej pożyteczne.

Wyszli na ulicę, czując zamęt w głowach po tym, o czym właśnie rozmawiali. Aby oderwać ich myśli od emocjonalnego odkrycia, Phillip postanowił zapytać Jane, jak układa się jej z chłopakiem. Nie spodziewał się, by coś się zmieniło.

– W sumie – odparła, uśmiechając się do niego, gdy stanęli na

chodniku – moja sytuacja nieco się zmieniła. Wyprowadziłam się. Znalazłam nowe mieszkanie w Meatpacking District i jestem zachwycona.

– Nadal się z nim widzisz? – zapytał z nadzieją, że usłyszy odpowiedź odmowną.

– Nie – wyznała cicho. – Zdradzał mnie, o czym niedawno się dowiedziałam. Mogłam zrezygnować sześć miesięcy temu, gdy w naszym związku zaczęło się psuć, lecz myślałam, że wszystko się ułoży. Myliłam się. A on przeprowadza się z nią do L.A.

Phillip domyślił się, że był to dla niej cios. Miał nadzieję, że nie cierpiała zbyt mocno. Wydawała się spokojna, miała filozoficzne podejście do tego, co się stało. Chyba nawet czuła ulgę.

– Czy mógłbym cię więc zaprosić kiedyś na kolację? – zapytał, jak poprzednim razem.

Pokiwała głową z zadowoloną miną.

– Bardzo chętnie – odparła, ciepło się uśmiechając.

Obiecał, że będzie ją informował o postępach w sprawie matki i o krokach, które podejmą, by udowodnić, że jest spadkobierczynią Marguerite. Miał przecucie, że proces może się okazać skomplikowany i przewlekły. Jane zadeklarowała, że prześle mu kopie listów Marguerite jeszcze tego popołudnia. Zamierzał sam je przeczytać. Ogromnie współczuł swojej matce w związku z tym, czego się właśnie dowiedziała.

– Zadzwoń do ciebie – zapewnił ją i pocałował w policzek, gdy życzyła mu szczęścia.

Wrócił do swego biura i od razu skontaktował się ze swoją kuzynką Penny. To właśnie ją jako prawniczkę miał na myśli. Pracowała dla świetnej kancelarii, miała już status partnera i zawsze dawała mu dobre rady. Zadzwoił do niej, gdy tylko usiadł przy biurku. Wyszła ze spotkania, by z nim porozmawiać. Jako kuzynostwo i jedynacy zawsze byli sobie wyjątkowo bliscy. Penny miała czterdzieści pięć lat i troje nastoletnich dzieci – trzynastoletniego syna, piętnastoletnią córkę, która doprowadzała ją do szału, oraz osiemnastoletniego syna, który w tym roku kończył liceum. To na te wnuki bezustannie narzekała Winnie swojej siostrze.

– Co się dzieje? Aresztowali cię? – zapytała Penny z nadzieją. Phillip wybuchnął śmiechem.

– Jeszcze nie. Wciąż nad tym pracuję. Posłuchaj, coś się stało, duża sprawa. Czy mogę przyjść do ciebie do biura, by się z tobą zobaczyć? – Pracowała na Wall Street i specjalizowała się w podatkach i prawie własności, idealnie nadawała się więc do tej sprawy.

– Kiedy chciałbyś przyjść?

– Teraz? Później? Za dziesięć minut?

– Cholera, do szóstej mam spotkania. Jeśli to ważne, mogę poprosić moją gosposię, żeby została dłużej i nakarmiła potwory.

– Byłoby świetnie – wyznał szczerze.

– W takim razie do zobaczenia o szóstej. Ale nie wpakowałeś się w kłopoty? Oszustwa podatkowe? Defraudacje?

– Doceniam twoją wiarę we mnie – odparł, uśmiechając się wesoło.

– Nigdy nic nie wiadomo. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

– Nie dziwniejsze niż to, co się naprawdę stało. Widzimy się wieczorem, Penny. I dziękuję.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia o szóstej.

Miał jeszcze trzy godziny do tego spotkania, więc gdy pół godziny później Jane przysłała mu zeskanowane listy Marguerite, usiadł przy biurku i zaczął je czytać. Łzy płynęły mu po policzkach. Wiedział dość dużo, by zrozumieć tragedię Marguerite, której odebrano dziecko. Cierpiała bardziej niż jego matka, ponieważ Valerie nie wiedziała nawet, co utraciła. Marguerite natomiast doskonale wiedziała, co jej zabrano, i opłakiwała to przez całe życie.

Kancelaria, w której pracowała Penny, miała imponującą nazwę i taką samą reputację, a sama Penny zajmowała ogromne biuro. Była tu partnerem już od kilku lat, a gdy Phillip wszedł do jej gabinetu, wstała i uścisnęła go. Była uroczym rudzielcem o świetnej figurze. Mąż szalał za nią.

Uściskała Phillipa, po czym usiadła za biurkiem, a on zajął miejsce naprzeciwko niej i zrelacjonował jej całą historię. Opowiedział jej o ciąży, którą utrzymywano w sekrecie, o przysposobieniu jego matki przez dziadków, którzy zapłacili za sfałszowanie aktu urodzenia.

Oficjalnie więc babka figurowała w dokumentach jako matka. Opowiedział o „zniknięciu” Marguerite i utrzymaniu Valerie w nieświadomości, o zbiegu okoliczności, w wyniku którego dokonał wyceny majątku swojej babki, o detektywistycznych poszukiwaniach jego matki oraz informacjach od niani, które, choć nieoficjalne, okazały się prawdziwe. Przekazał jej też treść listów Marguerite, które potwierdziły jego słowa.

– I jak teraz udowodnić, że moja matka jest prawowitą spadkobierczynią swojej matki?

Penny zastanawiała się przez chwilę. Zapisała coś w notatniku, co często robiła podczas tej zdumiewającej opowieści. Jako prawnika niewiele spraw ją dziwiło. Słyszała znacznie bardziej zagmatwane historie, chociaż ta przedstawiona przez Phillipa faktycznie okazała się intrygująca.

– Najpierw wyślemy kogoś po oświadczenie do niani. Ma dziewięćdziesiąt cztery lata, więc nie będziemy się ociagać. Gdyby dziś w nocy umarła we śnie, jej historia, czyli dowód, odejdzie wraz z nią. Spróbuję jutro kogoś tam wysłać. Myślisz, że zgodzi się zeznawać?

– O ile pamiętam, to bardzo rozmowna kobieta. Chciała, by moja matka poznała prawdę. Nie wiem, dlaczego nie opowiedziała jej wcześniej, lecz zrobiła to teraz. Gdybym nie zajmował się tą wyceną, matka nie zobaczyłaby zdjęć i prawdopodobnie nigdy nie dowiedziałaby się, kim była jej prawdziwa matka ani babka. – Ta historia była tak zdumiewająca, że zszokowała ich oboje.

– Przeznaczenie chadza dziwnymi ścieżkami – oświadczyła Penny. Zdecydowanie w to wierzyła. – Moja kolejna sugestia może się nie spodobać twojej matce, lecz na pewno uprościłaby postępowanie. Chcę wykonać badanie DNA. Będziemy musieli ekshumować w tym celu jej matkę, czyli moją ciotkę, a twoją babkę, jak sądzę – kontynuowała z namysłem. – Musimy się zwrócić do sądu po zgodę. Nie powinni się wzbraniać, jeśli podejmiemy się pokryć koszty, a zakładam, że się zgodzimy.

Phillip twierdząco pokiwał głową.

– Jeśli wynik okaże się pozytywny, to wystarczy za dowód. Sąd potwierdzi, że twoja matka jest spadkobierczynią, a co robi ze swoją

własnością potem, będzie zależało już tylko od niej. Na wyniki badania DNA czeka się sześć tygodni, a jeśli okażą się pozytywne, sprawa będzie zamknięta.

– A twoja matka? Czy ona również jest spadkobierczynią jako siostra Marguerite?

Penny zastanawiała się nad tym przez chwilę. Wiedziała, jacy nieprzewidywalni stają się ludzie, gdy w grę wchodzi majątek, uznała jednak, że zna swoją matkę i jej stan posiadania. Ojciec Penny zostawił małżonce fortunę, a jego rodzice założyli dla wnuczki okazały fundusz powierniczy. Nie było sensu wdawać się w wojnę o te pieniądze.

– Być może zgłosi jakieś roszczenia do majątku – przyznała – lecz uważam, że powinniśmy zostawić tę sprawę siostronom do rozwiązania. Niech one wypracują porozumienie. Podejrzewam, że moja mama nie będzie niczego chciała i ucieszy się przez wzgląd na twoją mamę. Uzna, że na to zasłużyła, zwłaszcza po tym, jak odebrano jej prawdziwą matkę. Przekonajmy się, co uzgodnią nasze mamy w tej sprawie. Czy ta biżuteria jest dużo warta?

– Według naszych szacunków od dwudziestu do trzydziestu milionów, przed opodatkowaniem, rzecz jasna. Podatki pożrą połowę. Niemniej była to znacząca suma. Penny zagwizdała.

– Niezła sumka.

Valerie mogła otrzymać dziesięć do piętnastu milionów po opodatkowaniu. Nie będzie musiała się martwić o pieniądze do końca życia, zwłaszcza że wciąż miała polisę po zmarłym mężu.

– To doprawdy zdumiewająca historia. Czuć w niej rękę opatrności. Czasami człowiek zapomina, że dobre rzeczy spotykają też dobrych ludzi, nie tylko złych. To byłoby miłe dla twojej mamy.

– Owszem – zgodził się Phillip. W przyszłości także dla niego, lecz nie myślał o tym teraz.

– Cóż, w takim razie zaczynajmy. Jutro wyślę kogoś do niani. Prześlij mi maila ze szczegółami. Porozmawiaj z mamą o badaniu DNA i poproś, żeby do mnie zadzwoniła, a ja przygotuję wniosek o ekshumację Marguerite. To wszystko jest mniej skomplikowane, niż się wydaje. A jeśli nikt nie zakwestionuje jej praw do dziedziczenia, nie będzie żadnego problemu.

Może koniec tej historii okaże się prostszy i szczęśliwszy niż początek, a rezultat – pozytywny dla Valerie. Było to pewne pocieszenie, choć biżuteria i wpływy z niej nie mogły zastąpić jej matki.

Było wpół do ósmej, gdy Phillip opuścił biuro kuzynki. Zadzwoił do matki, gdy tylko dotarł do domu. Malowała. Przekazał jej słowa Penny. Valerie natychmiast zgodziła się na badanie DNA, podała mu adres domu opieki Fiony w New Hampshire i zadeklarowała, że zadzwoni do niani, by uprzedzić ją, że ktoś przyjedzie spisać jej zeznanie. Gdy zatelefonowała, Fiona potwierdziła, że z radością opowie swoją historię jeszcze raz.

Valerie zapaliła się do myśli o badaniach DNA. Zamierzała następnego dnia zadzwonić do swojego lekarza w tej sprawie. Odczuwała teraz głęboką potrzebę udowodnienia, że Marguerite była jej matką, czemu nikt nie zaprzeczał. Przynajmniej nie teraz, już nie. Pragnęła jednak oficjalnego potwierdzenia, jakby chciała udowodnić samej sobie, że miała matkę, która ją jednak kochała.

W końcu Valerie zadzwoniła do Winnie. Chciała tylko przekazać jej, co postanowiła. Winnie wysłuchiwała jej uważnie. Wydawała się podenerwowana:

– To takie nieprzyjemne – oświadczyła ponuro. – Ekshumacja, badanie DNA. Żałuję, że nie możemy po prostu zostawić tej sprawy.

Wtedy jednak majątek Marguerite przeszedłby na rzecz państwa, co również wydawało się jej niewłaściwe. Nie cierpiała jednak tego całego zamieszania, nie chciała mierzyć się ze świadomością, że rodzice ją okłamywali. Nie była już zła na Valerie, pragnęła tylko, by to się nigdy nie wydarzyło, by się nigdy nie dowiedziały. Nieco gniewała się na Fionę za to, że opowiedziała Valerie tę historię. Winnie przez całe życie stosowała taktykę chowania głowy w piasek. Tak jak jej rodzice. Bolało ją, że musiała przyznać, iż okazali się kłamcami.

– Wiem, że uważasz, iż robię to dla pieniędzy – odparła Valerie smutno – lecz tak nie jest, nawet jeśli trudno ci w to uwierzyć. Chcę tylko dowieść, że była moją matką. Nigdy dotąd nie czułam, jakbym ją miała. Dopiero teraz.

Było za późno, by cokolwiek zmienić, pragnienie siostry wydawało się Winnie dziecinne, przecież Valerie miała rodziców, nawet jeśli nie

biologicznych, lecz czuła, jak wiele to dla niej znaczy, i wiedziała, że nie zdoła już zatrzymać tego procesu. Puszka Pandory została otwarta.

– Masz prawo do części biżuterii – dodała Valerie. – Była twoją siostrą.

– Nie chcę jej majątku – oświadczyła Edwina stanowczo. – Henry zostawił mi więcej, niż potrzebuję. Nie wiedziałabym, co z tym zrobić. A jego rodzice zatroszczyli się o Penny. Ma wszystko, czego tylko mogłaby zapragnąć, jej dzieci również. Ustanowiłam dla nich odpowiednie fundusze. Martw się o siebie i o Phillipa. Jeśli ta kobieta naprawdę była twoją matką, tak należy postąpić. – Winnie nie była bezkonfliktowa ani szczególnie zadowolona z życia, lecz była uczciwa, szczerza i nie zamierzała walczyć z Valerie o majątek. Nie oczekiwała też udziału w nim. – Jeśli okaże się, że jestem twoją ciotką, a nie siostrą, możesz zaprosić mnie na kolację – dodała z chłodnym uśmiechem.

– Jeśli chcesz, zabiorę cię do Europy – zapewniła ją Valerie. – Chciałabym zobaczyć, jak żyła moja matka. Phillip odwiedził jej dom w Neapolu – dodała z tęsknotą w głosie.

– Zawsze choruję we Włoszech – mruknęła Winnie. – Jedzenie jest tam za ciężkie. Ostatnio dostałam zapalenia uchyłków.

Valerie wybuchnęła śmiechem.

– Cóż, pomyśl o tym.

– Możesz zrobić dla mnie zdjęcia – oświadczyła Winnie stanowczo.

Valerie przyznała w duchu, że łatwiej podróżowałoby się jej bez siostry, lecz ucieszyła się, że Winnie nie zamierzała oprotestować jej planów ani nie chciała niczego dla siebie. To mogło skrócić proces.

Następnego dnia Valerie umówiła się na badania DNA. Penny złożyła wniosek o ekshumację i wykonanie badania DNA Marguerite, a następnie oddelegowała licencjonowanego detektywa do New Hampshire, by przeprowadził wywiad z Fioną. Rozpoczęły walkę. A Jane, gdy tego ranka przyszła do pracy, udała się prosto do biura Harriet.

– Odnalazł się spadkobierca w sprawie Pignelli – oświadczyła z uradowaną miną.

Harriet szeroko otworzyła oczy.



– Ktoś odpowiedział na ogłoszenie? – Wydawała się zaskoczona, lecz zadowolona.

– To znacznie bardziej skomplikowane.

Jane zdała szefowej szczegółową relację, a Harriet przysłuchiwała się jej ze zdumieniem.

Dwa dni później na jej biurko trafił formularz z wnioskiem o ekshumację ciała Marguerite i wykonanie badania DNA, a ona natychmiast przekazała go do sądu, aby ułatwić postępowanie. Gdy Jane wychodziła z jej biura, nie mogła przestać rozmyślać o tym, że gdyby otrzymała upragniony staż w sądzie rodzinnym, zamiast trafić do sądu do spraw spadkowych, nie poznałaby Phillipa, a jego matka nigdy nie odkryłaby prawdy o własnych korzeniach.

Phillip zaprosił ją na kolację w weekend i na swoją łódkę, gdy zrobi się cieplej. Miała więc na co czekać. Jej życie pojaśniało w ostatnim czasie. A wszystko to dzięki Marguerite di San Pignelli i biżuterii, którą zostawiła w porzuconej skrytce depozytowej. To zakrawało na cud.

Otrzymane od Jane listy Phillip wydrukował i przekazał matce jeszcze tego samego wieczoru. Miała prawo do oryginałów, lecz wiedział, że zapragnie przeczytać je od razu, choć nie na ekranie.

Wyjaśnił jej spokojnie, co to takiego, a ona zaczęła płakać, zanim wyjęła je z szarej koperty. Poprosiła, by zostawił ją samą, i podziękowała, że je przyniósł. Podejrzewała, że okażą się bolesne, lecz nie miała pojęcia, jak obezwładniająco wzruszające będzie dla niej zapoznanie się z latami cierpienia jej matki, jej nieutulonym poczuciem straty, koniecznością rezygnacji z córki i oplakiwania jej przez całe życie. Valerie godzinami szlochała, gdy uważnie czytała listy i wracała do nich. Gdy jednak skończyła, przekonała się nareszcie, jak bardzo była kochana. Żałowała, że matka nie ośmieliła się z nią skontaktować, gdy odwiedziła Nowy Jork, zamiast bać się, że zrujnuje jej życie. Nie doszłoby do tego – jej życie mogłoby się tylko wzbogacić, gdyby poznała matkę, która darzyła ją miłością, zamiast tej, którą miała. Żałowała też, że Marguerite nie skontaktowała się z nią w późniejszych latach, gdy wróciła do Stanów. Na każdym etapie życia Valerie powitałaby ją z otwartymi ramionami, a teraz utraciła na to jakąkolwiek

szansę. Wiedziała już jednak, kogo utraciła, jaką kobietą była jej matka i jak ją kochała. Ta świadomość stanowiła balsam na bardzo stare rany zadane przez życie pozbawione matczynej miłości. Tylko jej niania Fiona kochała ją przez pierwsze lata jej życia. Nigdy nie zaznała macierzyńskiej miłości ze strony kobiety, która jej matkę udawała. Jej babka przyjęła ją pod swój dach tylko po to, by uniknąć skandalu, i nie żywiła do niej żadnych głębokich uczuć. Jeśli już, to nienawiść za to, że Valerie była nieślubnym dzieckiem. Odepchnęła też własną córkę, pozbawiając ją przy tym jedyne dziecko. To dwie córki utracono, nie jedną.

Wszystko to wciąż wydawało się jej nieprawdopodobne, a jednak się wydarzyło. Gdy zakończyła lekturę listów, odczuła żal z jednego tylko powodu – że nie zdołała chociaż raz przytulić swojej matki i powiedzieć jej, jak bardzo ją kochała. Dałaby za to wszystko, lecz musiały wystarczyć jej listy. Okazały się wspaniałym darem od matki, której nigdy nie znała. Teraz każdą cząstką swej istoty czuła, że Marguerite zawsze kochała ją całym swym sercem i duszą.

## Rozdział 16

W wieczór po badaniu DNA Valerie malowała w swoim studiu, a postać nieznaną kobiecie, nad którą pracowała, zaczęła coraz bardziej przypominać Marguerite ze zdjęć. Miała w sobie nieziemski, tęskny rys, niczym zagadka wynurzająca się z mgieł. Obraz miał w sobie coś smutnego, a opowieść Fiony o jej biologicznych rodzicach coraz bardziej przywodziła jej na myśl historię Romea i Julii. Fiona powiedziała, że rodzice Tommy'ego zdenerwowali się tak samo jak rodzice Marguerite na wieść o ciąży – oni również nie żyli zapewne ciepłych uczuć do dziewczyny, która nosiła w sobie widomy dowód głupoty ich syna. Nawet gdy zmarł, nie zapragnęli jego dziecka, w przeciwnym razie bowiem skontaktowałyby się z nią, a nigdy tego nie zrobili, przynajmniej według wiedzy Valerie, choć może jej dziadkowie to również ukryli. Zdawała sobie sprawę, że jej dziadkowie ze strony ojca zapewne już nie żyją, musieliby mieć przecież ponad sto lat, jak jej rodzice. Nie mogła przestać się jednak zastanawiać, czy może ma innych członków rodziny. Biorąc pod uwagę, że Tommy zginął niedługo po tym, jak Marguerite zaszła w ciążę, nie spłodził zapewne innych dzieci, lecz mógł mieć rodzeństwo lub kuzynów. Odczuwała tęsknotę za krewnymi, której nic nie mogło ugasić. Chciała wiedzieć wszystko. Miała już pół równania, a teraz pragnęła reszty.

Odłożyła pędzle i wyszła ze studia. Usiadła przy komputerze i wpisała do wyszukiwarki nazwiska Tommy'ego oraz jego rodziców. Wybierała różne konfiguracje, wykorzystując datę urodzenia Tommy'ego i przybliżoną datę jego śmierci. Thomas, Muriel i Fred Babcock – ostatecznie znalazła informację, że wszyscy nie żyją. Wpisała więc Thomasa Babcocka, myśląc, że może jakiś krewny nazwał swoje dziecko po jej ojcu, który zginął w czasie wojny. Znalazła jednego w Nowym Jorku, był młodszy od niej o dziesięć lat i mógł się okazać właściwy, gdyby Tommy miał brata.

Jej serce głośno tłukło się w piersi, gdy drżącą dłonią wybierała numer. Wstrzymała oddech, gdy telefon zaczął dzwonić. Mało prawdopodobne, by udało jej się trafić za pierwszym razem, lecz sama możliwość trzymała w napięciu. Słyszała podobne historie – o ludziach

oddanych do adopcji, którzy szukali swoich biologicznych rodziców i dzięki przypadkowej rozmowie telefonicznej nawiązywali z nimi kontakt przez Internet. Należała do takich osób – nieślubnych dzieci, które szukały swoich korzeni, pragnąc odnaleźć rodziców lub krewnych, pozbierać elementy układanki, zanim będzie za późno. A może już było za późno? Może wszyscy krewni Tommy’ego już nie żyli? Może był jedynakiem?

Po trzecim dzwonku słuchawkę podniósł mężczyzna. Miał miły głos, a Valerie nerwowo zrelacjonowała mu historię sprzed siedemdziesięciu pięciu lat o Tommym Babcocku i swojej matce. Rozdzieleni młodzi kochankowie, niechciana ciąża i jego przedwczesna śmierć na samym początku wojny. Nawet w jej uszach brzmiało to dziwnie. Mężczyzna na drugim końcu linii wysłuchał jej w milczeniu.

– Czy miał pan może wujka lub krewnego o nazwisku Thomas Babcock? – zapytała z nadzieją, niecierpliwie czekając na odpowiedź.

– Owszem, miałem, lecz nie sądzę, by to jego pani szukała. Miałem wujka Toma, mój dziadek też miał tak na imię. Nie sądzę jednak, by to o niego pani chodziło. – Mężczyzna zachichotał.

– Dlaczego nie? – zapytała zaciekawiona Valerie, zastanawiając się, czy może jednak nie trafiła pod dobry adres. Czasami zbiegi okoliczności, które wydawały się na początku błędne, okazywały się potem właściwe.

– Mój wujek był gejem. Działał jako aktywista, gdy rodził się ruch gejowski, i przeprowadził się do San Francisco w latach sześćdziesiątych. Był świetnym facetem, zmarł na AIDS w 1982 roku. Nie sądzę, by spłodził jakieś dzieci. Był bardzo utalentowanym scenografem broadwayowskim, a w San Francisco bardzo znanym projektantem wnętrz. – Bratanek wydawał się dumny ze swojego wuja, mimo iż ewidentnie to nie jego szukała. – Mam nadzieję, że odnajdzie pani krewnych ojca. To smutna historia. Dlaczego czekała pani z tym tak długo?

– Niedawno sama dowiedziałam się prawdy. W tamtych czasach historie o nieślubnych dzieciach starano się ukryć, nikt o tym nie mówił.

– No tak – zgodził się mężczyzna uprzejmie. – Cóż, powodzenia.

Chwilę później się rozłączyli, a Valerie zaczęła się zastanawiać, do

ilu Babcocków będzie musiała zadzwonić i czy w ogóle trafi na kogoś, kto był jakoś spokrewniony z jej ojcem.

Znów wpisała nazwisko do wyszukiwarki i tym razem otrzymała tuziny wyników w wielu stanach, znalazła nawet czteroletnie dziecko. Po jakimś czasie jeden przypadek uznała za bardziej prawdopodobny niż inne. Mężczyzna miał siedemdziesiąt lat, urodził się rok po wojnie i mieszkał w Santa Barbara w Kalifornii ze swoją małżonką Angelą i Walterem Babcockiem, który miał dziewięćdziesiąt cztery lata. W jej głowie wykluła się historia. A co, jeśli Tommy miał starszego brata, który się ożenił, a narodzonemu po wojnie synowi nadał imię zmarłego brata? Teraz już wierzyła, że wszystko jest możliwe. Wolałaby zadzwonić do Fiony i ją zapytać, lecz zrobiło się późno, a niania zapewne już spała.

Wpatrywała się w nazwiska i numery, rozpaczliwie pragnąc zadzwonić. Nie dbała już o to, że ludzie pomyślą, iż oszalała. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. W Kalifornii była dopiero siódma, a najgorsze, co mogli jej zrobić, to powiedzieć, że to pomyłka, i rozłączyć się. Postanowiła, że poprosi do telefonu Thomasa Babcocka, a nie jego ojca. Thomas okazałby się bratankiem jej biologicznego ojca, gdyby miała rację. Kobieta, która podeszła do telefonu, miała lekki południowy akcent. Valerie zapytała, czy może rozmawiać z Thomasem Babcockiem, po czym zamknęła oczy, czekając. Nie miała nic do stracenia poza czasem i twarzą, a o to nie dbała.

Chwilę później na drugim końcu linii rozległ się głęboki, dźwięczny głos. Mężczyzny nie zdenerwował telefon od nieznanym. Wyjaśniła mu pospiesznie i tak logicznie, jak to tylko możliwe, dlaczego do niego dzwoni.

– Wiem, że to zabrzmiało jak szaleństwo, lecz przyszedłem na świat w czerwcu 1942 jako nieślubne dziecko młodej kobiety Marguerite Wallace Pearson i chłopca o nazwisku Tommy Babcock. Jego rodzice nazywali się Muriel i Fred. Moi rodzice mieli po siedemnaście lat, gdy poczęli mnie w Nowym Jorku. Moja matka została odesłana do Maine, gdzie w tajemnicy mnie urodziła. Mój ojciec wstąpił do armii po Pearl Harbor i zginął w wypadku w styczniu 1942 roku w Kalifornii, zanim przyszedłem na świat. Moi dziadkowie wychowywali mnie jako własne

dziecko. Odesłali moją matkę do Europy po moich narodzinach, nigdy więcej jej nie zobaczyłam. O wszystkim tym dowiedziałam się niedawno, nie znałam swoich prawdziwych rodziców aż do teraz. Niedawno zlokalizowałam matkę, niestety pół roku po jej śmierci.

A teraz, gdy dowiedziałam się czegoś o nim, zaczęłam się zastanawiać, czy może żyją jacyś krewni mojego ojca. Może znali historię moich rodziców i ją zapamiętali. Czy pański ojciec Walter miał brata, który pasuje do tego opisu i zginął podczas wojny? – Umilkła.

Thomas Babcock wysłuchał jej uprzejmie, nawet jeśli nie był tym, kogo szukała. Coś w sposobie, w jaki opowiedziała swoją historię, poruszyło jego serce. Wydawała się kobietą rozsądną i wzruszyło go, że szuka swoich rodziców w wieku siedemdziesięciu czterech lat. Założył, być może niesłusznie, że musiała wieść smutne życie. Zaprzagnął jej pomóc, jeśli to tylko możliwe.

– W zasadzie – odparł miłym głosem – otrzymałem imię po wuju, który rzeczywiście zginął podczas wojny mniej więcej w tym samym czasie. Miał zaledwie osiemnaście lat, lecz żadnych dzieci. Był młodszym bratem mojego ojca, byli bardzo sobie bliscy, gdy dorastali, niemal jak bliźniacy, jak twierdzi mój ojciec. Nadal płacze, gdy go wspomina, a ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Oddałbym mu słuchawkę, by mógł z panią porozmawiać, lecz jest już bardzo słaby, wcześniej się kładzie, a teraz już śpi.

– Czy to możliwe, że nie wiedział o niechcianej ciąży lub nie powiedział o niej panu, aby nie kłać wspomnień o ukochanym młodszym bracie?

Mężczyzna po drugiej stronie roześmiał się w odpowiedzi.

– To możliwe, lecz mało prawdopodobne. Mój tata to dość bezpośredni facet, czasami bywa wręcz obcesowy. Myślę, że powiedziałby mi, gdyby wiedział albo gdyby coś takiego faktycznie się wydarzyło. Na pewno jednak go o to zapytam. Może zostawi mi pani swoje nazwisko i numer, ja z nim jutro porozmawiam i oddzwonię, jeśli czegoś się dowiem?

– Dziękuję – odparła z wdzięcznością i ulgą. – Wiem, że to się może wydawać głupie, nie wiem, dlaczego ma to dla mnie takie znaczenie w moim wieku, ale ma. Myślę, że podświadomie szukałam

rodziców przez całe życie.

– Wszyscy pragniemy poznać nasze korzenie – powiedział ze współczuciem Tom Babcock.

Podawała mu swoje nazwisko i numer telefonu, a on obiecał, że oddzwoni do niej tak czy inaczej, po czym się rozłączyli.

– Kto to był? – zapytała jego żona Angie, która właśnie kończyła sprzątać po kolacji.

Mieszkali w Montecito w Santa Barbara razem z ojcem Toma. Walter poruszał się na wózku, lecz nie zamierzali oddać go do domu opieki. Uzgodnili, że zostanie z nimi do samego końca. Mieli czworo dorosłych dzieci oraz sześcioro wnucząt i chcieli na własnym przykładzie pokazać im, że wiekowych rodziców nie wolno się pozbywać jak starych butów, lecz trzeba ich cenić i szanować, nawet jeśli bywa to niewygodne i trudne. A Walter był uroczym staruszką, choć w ostatnim roku bardzo podupadł na zdrowiu.

– Jakaś kobieta z Nowego Jorku, starsza ode mnie, utrzymuje, że jest nieślubną córką mężczyzny o nazwisku Tommy Babcock, który zmarł jako osiemnastolatek podczas wojny, oraz kobiety, która go kochała. Niedawno się o nich dowiedziała. Jej matka już nie żyje, a ona próbuje odnaleźć krewnych ojca. Moim zdaniem to nie my. Obiecałem jej, że zapytam tatę, ale myślę, że powiedziała mi o czymś takim. Nigdy nie miał przede mną tajemnic. – Otoczył ramieniem małżonkę, która pokiwała głową.

Angie pochodziła z Karoliny Południowej. Byli szczęśliwym małżeństwem od czterdziestu trzech lat. Ojciec Toma przeniósł się do Kalifornii, do La Jolla, po tym, jak stacjonował po wojnie w San Diego – tam właśnie przyszedł na świat Tom. Mieszkał w Kalifornii całe życie, choć jego rodzice pochodzili z Nowego Jorku. Tom i Angie poznali się na Uniwersytecie San Diego, pobrali się zaraz po dyplomie, przeprowadzili się do Santa Barbara i tu już zostali. Ich dorosłe dzieci mieszkały w Santa Barbara i L.A., dzięki czemu często je widywali.

Tom był architektem, wciąż aktywnym zawodowo. Zawsze powtarzał, że emerytura nie jest dla niego. Jego ojciec z sukcesem prowadził firmę do osiemdziesiątych trzecich urodzin. Angie była projektantką wnętrz i często współpracowała z Tomem. Byli szczęśliwi,

zajęci i spełnieni, wciąż angażowali się w pracę zawodową, a ich dzieci świetnie sobie radziły. Mieli wielu przyjaciół, jako otwarci i kochający ludzie. Ciepło i dobroć Toma pokonały dystans pomiędzy Wschodnim Wybrzeżem a Zachodnim, co zachęciło Valerie do opowiedzenia mu całej historii, mimo iż nie wydawał się osobą, której szukała. Ten telefon pochłonął tak wiele jej energii, że nie zadzwoniła już do żadnego Babcocka, lecz poszła spać.

Następnego ranka, gdy Tom pomógł ojcu umyć się i ogolić, a następnie ubrać się i usiąść na wózku, opowiedział mu o telefonie z poprzedniego wieczoru.

– Dzwoniła do nas wczoraj jakaś kobieta z Nowego Jorku, szukała cię, tato – zakpił lekko. Ojciec nie stracił jeszcze poczucia humoru. – Podobno słyszała, że jesteś przystojnym facetem.

Walter Babcock prychnął, nie wierząc w ani jedno słowo. W końcu jego syn wyjaśnił powód tego telefonu.

– Powiedziała, że jej rodzice byli w 1941 roku parą nastolatków mieszkającą w Nowym Jorku. Jej mama zaszła w ciążę, po czym została odesłana gdzieś, by urodzić dziecko, które wychowywali chyba dziadkowie. Nigdy nie pozwolili jej zobaczyć się z prawdziwą matką. Jej tata zginął w wypadku tuż po tym, jak wstąpił do armii w styczniu 1942, przed jej narodzinami. Miał zaledwie osiemnaście lat. Dopiero się o tym wszystkim dowiedziała. Odnalazła swoją matkę, lecz okazało się, że zmarła, a teraz szuka krewnych ojca, aby dowiedzieć się czegoś o swoich korzeniach, poznać rodzinę. Wydawała się miła, ma siedemdziesiąt cztery lata. Zabrzmiało to jak historia wujka Tommy'ego, chociaż nigdy nie mówiłeś mi o żadnej ciąży. Jej matka nazywała się Margaret Pearson albo jakoś tak. – Nie pomylił się wiele. – Nie słyszałeś o tym? – zapytał Tom ojca delikatnie.

Na twarzy Waltera odmalowało się poruszenie i gniew.

– Wiedziałbym, gdyby jakaś dziewczyna zaszła z nim w ciążę. Tommy nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Oczywiście, że to nie on. Co strzeliło tej kobiecie do głowy, by w jej wieku oczerniać ludzi, którzy od siedemdziesięciu czterech lat nie żyją? Powinna się wstydzić. Mam nadzieję, że nie będziesz z nią już więcej rozmawiał. – Marszczył brwi z groźną miną, zły, że przez syna jego dzień zaczął się w taki sposób.



Pamięć brata uważał za świętą i był wściekły na to, co powiedziała ta kobieta i co próbowała zrobić.

– Obiecałem, że tak czy inaczej oddzwonię – odparł Tom lekko. – Traktowała tę sprawę bardzo poważnie. To musi być smutne, poznać swoich rodziców dopiero w wieku siedemdziesięciu czterech lat i nigdy ich nie spotkać.

– W jej wieku nie powinno jej to obchodzić. Nie ma dzieci?

– Nie pytałem – przyznał Tom szczerze. – Może nie. A nawet jeśli ma, ciągle się czyta o takich historiach albo ogląda się je w telewizji, historie osiemdziesięciolatków oddanych do adopcji, którzy szukają swoich stuletnich matek. Myślę, że taka świadomość towarzyszy ludziom już do końca. Cieszę się, że to nie nasz wujek Tommy. To musi być straszne dla tej biednej kobiety, że nigdy nie знаła swoich rodziców. – On również nie poznał swojego wuja, lecz jego ojciec opowiadał mu o nim przez całe swoje życie. Nigdy nie pogodził się ze śmiercią młodszego brata.

Tom zawiózł ojca do kuchni na śniadanie, a potem zjawiała się gospodyni i pielęgniarka do pomocy. Nigdy nie zostawiali Waltera samego, a szli dzisiaj z Angie do pracy. Tom zadzwonił do Valerie ze swojego biura architektonicznego i przekazał jej rezultat rozmowy ze swoim ojcem.

– Bardzo mi przykro, pani Lawton. Bardzo chciałbym pomóc pani w odnalezieniu krewnych. To wzruszająca historia i mam nadzieję, że trafi pani na właściwy trop. To jednak nie jesteśmy my. – Nie dodał, że jego ojciec był tą historią oburzony, co było bolesne również dla niego.

– Dziękuję, że pan próbował – odparła Valerie uprzejmie, wdzięczna mężczyźnie, że porozmawiał ze swoim ojcem, a nawet oddzwonił, zamiast uznać ją za wariatkę. Zdarzały się jednak dziwniejsze rzeczy, to mogło się udać, to mógł być właściwy Babcock. – Wiedziałam, że szanse są nikłe. Tak naprawdę poruszam się po omacku. Nie wiem, co dalej robić. – Do wielu Thomasów Babcocków jeszcze nie dzwoniła.

– Może skorzystać z usług agencji detektywistycznej, jeśli to dla pani takie ważne? – zasugerował.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała – ale to wszystko jest dla

mnie jeszcze nowe, to poszukiwanie zaginionych rodziców. Zawsze myślałam, że wiem, kim byli moi. Okazało się, że nie miałam racji.

– Cóż, powodzenia. – Tom pożegnał się, rozłączył i zapomniał o całej sprawie.

Przez następne trzy dni gospodyni i pielęgniarz skarżyli się, że Walter stał się niemożliwy. Marudny, trudny, był w złym nastroju, niespokojny, przestał jeść. Gdy Tom wszedł do pokoju ojca po powrocie z pracy trzeciego dnia, Walter płakał, co go przerażyło. Nigdy nie widział go w takim stanie. Ojciec spojrzał na niego ze strumieniami łez na policzkach.

– Co się stało, tato? Żle się czujesz? Mam zadzwonić po lekarza? Joe i Carmen mówią, że nic nie jest. – Zrezygnował też z kolacji, którą ugotowała Angie poprzedniego wieczoru.

– To ta kobieta – wyznał zdławionym głosem.

– Jaka kobieta? Carmen? – Gospodyni była z nimi, odkąd dzieci przyszły na świat, i zawsze traktowała wszystkich z sympatią. – Dokuczają ci?

– Nie. – Pokręcił głową ze smutkiem. Wyglądał, jakby się skurczył w ostatnich dniach. – Ta kobieta, która do ciebie zadzwoniła i opowiedziała ci te wszystkie kłamstwa o Tommym. Dlaczego mówiła takie rzeczy? On był takim dobrym chłopcem.

Walter był wyraźnie wzburzony, a Tom zaczął się martwić, że mogą to być wczesne oznaki demencji, które się dotychczas nie ujawniały. Ojciec był bardzo niespokojny i zdenerwowany.

– Oczywiście, że był, tato – próbował go uspokoić, lecz Walter był niepokojony z powodu afrontu, jaki zrobiono jego młodszemu bratu, którego czcił jak świętego. – Ona tylko szuka rodziny swojego ojca. Nie możesz jej za to winić. Nie zrobiła nic złego.

– Nigdy nie zaszła z nim w ciążę żadna dziewczyna – oświadczył Walter uparcie, nie przestając płakać.

– Tato, ona znalazła nas przez Internet. Nigdy nie знаła wujka Tommy'ego.

– Jest taka sama jak jej matka – warknął nagle Walter. Syn jeszcze nigdy nie słyszał u niego takiego tonu. – Nigdy jej nie lubiłem. Chciała złapać Tommy'ego w pułapkę i dostała to, na co zasłużyła. Odesłali ją

do jakiegoś obozu dla niegrzecznych dziewcząt w Nowej Anglii. Rodzice nie pozwolili Tommy'emu więcej się z nią spotykać. Myślał, że ją kocha, chciał się z nią nawet ożenić, lecz tata mu nie pozwolił. A potem zginął. Nie wiem, co stało się z tą dziewczyną. Potem straciło to znaczenie.

Zanosił się płaczem, a Tom wpatrywał się w niego oniemiały.

– Znałeś ją?

Ojciec nie odpowiedział, odwrócił się do okna, a po jego policzkach wciąż płynęły łzy.

– Przestał ze mną rozmawiać, gdy się w niej zakochał. Rzuciła na niego urok. Powtarzał, że się z nią ożeni.

Było jasne, że Walter był zazdrosny o tę kobietę i miłość, która połączyła dwoje młodych. Wyglądało na to, że zapłacili za nią wysoką cenę, zostali rozdzieleni, ukarani przez rodziców, dziewczynie odebrano dziecko, nigdy go już nie zobaczyła, a chłopiec, którego kochała, zginął, gdy była w ciąży. Mógł jej tylko współczuć, podczas gdy jego ojciec wciąż był na nią wściekły i zazdrosny o nią. Okłamał syna, by chronić pamięć brata.

– Tato, dlaczego mi nie powiedziałeś? To się zdarza, zdarzało się zwłaszcza w dawnych czasach. Musiał to być wtedy potworny skandal – mruknął Tom ze współczuciem.

– Byłby. Nasi rodzice do tego nie dopuścili. Wszystko ukryli, tak jak jej rodzice. Nikt nie chciał tego dziecka. Nie wiem, co się stało, lecz dziecko dostało to, na co zasłużyło, tak jak jego matka. Marguerite. Nienawidziłem jej.

– Myślę, że właśnie z tym dzieckiem rozmawiałem kilka dni temu przez telefon. I nie zgadzam się z tobą, że dostała to, na co zasłużyła. Czym sobie miała na to zasłużyć? Siedemdziesiąt pięć lat później nadal szuka swoich rodziców i próbuje się dowiedzieć, kim byli. Moim zdaniem to niesprawiedliwe. Bo dwoje nastolatków zakochało się w sobie? Daj spokój, tato. Jesteś jej wujem. A jeśli to miła osoba? Myślisz, że tego właśnie chciał Tommy dla kobiety, którą kochał, i ich dziecka? A gdyby to było twoje dziecko, a ty byś zginął... Tommy udawałby, że nic nie wie o dziewczynie, ignorowałby ją? Wstyd mi za ciebie, tato. Stać cię na więcej. Możemy przynajmniej powiedzieć jej, że

odnalazła rodzinę ojca. Jestem pewien, że nie poprosi nas o pieniądze. – Tom uśmiechnął się, próbując rozładować napięcie.

– A skąd wiesz? Pearsonowie zawsze zadzierali nosa, chociaż większość majątku stracili podczas kryzysu. Myśleli, że są lepsi od innych, i patrz, co się stało. Ich córeczka zaszła w ciążę. Nasza matka była gotowa ją zabić. Zabroniła Tommy’emu się z nią spotykać. Płakał przez to całą noc, a następnego dnia rodzice go odesłali. Poszedł chyba raz do jej domu, a potem wyjechał do Kalifornii i zaraz potem zginął.

Tom nigdy nie słyszał, by ojciec używał tak ostrego tonu, a cała ta historia brzmiała jak koszmar, zwłaszcza dla dwojga młodych ludzi, których rodzice potraktowali jak przestępców. Tom głęboko im współczuł. Valerie uderzyła tą historią w czułe miejsce, ponieważ jego ojciec wciąż jeszcze się nie otrząsnął.

– Nie chcę mieć z nią nic wspólnego – warknął Walter.

Tom wyszedł z jego pokoju kilka minut później, by dać mu czas na uspokojenie. Znalazł Angie i opowiedział jej o wszystkim. Ona również była zdumiona. Walter skłamał, by chronić pamięć brata, i wcale tego nie żałował.

– I co teraz zrobisz? – zapytała Angie podczas spokojnej kolacji w kuchni tego wieczoru.

Ojciec już spał. W końcu nieco się uspokoił, a Tom nie poruszył więcej tego tematu.

– Znajdę jej numer i zadzwonię do niej jutro z biura. Mam nadzieję, że nie wyrzuciłem tego numeru. Powiem jej, że tata mnie okłamał. Nigdy jeszcze tego nie zrobił.

– Wiesz, jaki jest przeczulony na punkcie swojego brata – napomknęła Angie łagodnie.

Tom był jednak zszokowany i rozczarowany.

– Wyobrażasz sobie, jaki to musiał być koszmar dla tych dzieciaków, zwłaszcza w tamtych czasach? Zastanów się, ona nigdy nie poznała swojej matki ani ojca, nie wiedziała nawet, kto ją urodził. Kto wie, może gdyby wujek Tommy przeżył, poślubiłby tę kobietę i teraz byłaby naszą ciotką Marguerite. – Zapamiętał to imię, gdy ojciec go poprawił. – Zamiast tego została wyrzutkiem, a dziecko im odebrano. To straszna historia. – Głęboko go to poruszyło.

Tak jak zapowiedział, następnego dnia z samego rana zadzwonił do Valerie, gdy tylko znalazł na biurku kartkę z jej numerem.

Malowała, gdy zatelefonował. Mrużyła powieki, wpatrując się w portret Marguerite. W Nowym Jorku było już południe w wietrzny marcowy dzień. Nie poznała głosu mężczyzny w słuchawce.

– Pani Lawton? – zapytał Tom z wahaniem.

– Tak.

– Tu Tom Babcock. Rozmawialiśmy parę dni temu o moim wujku i ojcu.

Przypomniała sobie, kim jest, gdy tylko się przedstawił.

– Oczywiście. Nie poznałam pana po głosie. – Uśmiechnęła się. – To miło, że pan zadzwonił. Naprawdę bardzo przepraszam, że sprawiłam panu kłopot. Miałam po prostu nadzieję, że to może pan. – W świetle dnia była tym lekko zażenowana, ponieważ jego ojciec nic o tym nie wiedział i nie znał jej matki.

– To ja powinienem panią przeprosić – odparł Tom bez ogródek ze szczerym żalem w głosie. – Ojciec mnie okłamał. Nigdy wcześniej tego nie robił. Nie wiem, co powiedzieć poza tym, że mi przykro. Nie chciałem pani zwodzić. Mój ojciec znał pani matkę, a także całą tę historię. Nie wiedział tylko, co się stało z dzieckiem, podejrzewam, że w tamtych czasach się o tym nie rozmawiało. To musiały być straszne czasy dla pani matki i mojego wuja.

– O mój Boże! – Miała taki głos, jakby właśnie wygrała na loterii. – Pański ojciec jest bratem Tommy’ego Babcocka? Jest moim wujem? – W jej oczach pojawiły się łzy, tak jak w oczach Toma Babcocka. Była tak poruszona, że jego również to wzruszyło.

– A ja jestem pani kuzynem. Nie wiem, czy to dla pani powód do radości lub świętowania, czy nie, lecz znalazła pani rodzinę, której pani szukała. Jeszcze raz przepraszam, że dałem się zwieść ojcu – powtórzył. – Uwielbiał swojego brata i chyba nigdy nie przebolewał jego straty. Nie potrafił znieść myśli, że oczernia się jego pamięć, ani też wiadomości o niechcianej ciąży.

– Rozumiem. To była wtedy wielka sprawa. Biedne dzieci musiały być zrozpaczone. Trudno to sobie wyobrazić, a potem pana wuj zmarł, a moja matka poczuła się zapewne jeszcze bardziej zagubiona. Jej

rodzice wygnali ją z kraju po moich narodzinach, udawali, że umarła. Odesłali ją do Europy podczas wojny, gdy miała ledwie osiemnaście lat, i nigdy więcej jej nie widzieli. Dziadkowie udawali, że jestem ich dzieckiem. To skomplikowane.

– Bez wątpienia. Przykro mi, że pani nie wiedziała.

– Mnie również – przyznała ze smutkiem. – Mam teraz jej zdjęcia. Niedawno je otrzymałam. Coraz więcej dowiaduję się o jej życiu. Nigdy nie miała innych dzieci. Tylko mnie.

– A pani ma dzieci? – zapytał z ciekawością. Bądź co bądź, byli spokrewnieni.

– Mam syna, Phillipa. Jest wspaniały. Ma trzydzieści cztery lata, pracuje w domu aukcyjnym Christie's w dziale biżuterii. Zrobił dyplom z historii sztuki. Jego ojciec był profesorem historii sztuki, a ja jestem artystką, malarką.

– Ja jestem architektem, a moja żona projektantką wnętrz. Mamy czworo dorosłych dzieci i sześcioro wnucząt.

Nagle stali się rodziną, oboje byli tym poruszeni. W końcu Valerie ośmieliła się zadać mu pewne pytanie:

– Myśli pan, że moglibyśmy się kiedyś spotkać?

– Oczywiście – odparł z sympatią. – Jesteśmy kuzynami.

– Pański ojciec nie musi się ze mną widzieć, jeśli to miałyby go zdenerwować. – Był bardzo stary, a ona nie chciała przyprawić go o atak serca.

– Oczekuję, że zgodzi się na spotkanie – oświadczył Tom stanowczo. – Jestem przekonany, że jego święty brat spotkałby się z jego córką, gdyby sytuacja się odwróciła. Mój tata powtarza, że to był wspaniały człowiek, choć w zasadzie jeszcze dziecko. Smutno mi, że mój wuj umarł, mając osiemnaście lat.

Valerie się zgodziła.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotów, ale może przyleciałabym w najbliższych tygodniach. – Nie wiedział, na jakiej stopie żyje ani czy będzie chciała zatrzymać się u nich, co byłoby trudne, biorąc pod uwagę, że w ogóle się nie znali, nawet jeśli byli kuzynami, dlatego dodała: – Mogłabym zamieszkać w hotelu Biltmore. Już tam gościłam.

– Porozmawiam z żoną i wszystko ustalimy – zapewnił

ją. – Valerie – dodał łagodnym tonem – cieszę się, że nas odnalazłaś.

– Ja również – odparła, czując łzy na policzkach. Nie odnalazła ojca, lecz ogarnęło ją podobne uczucie. Nie mogła się już doczekać, by ich poznać, była podekscytowana, gdy odkładała słuchawkę. Czekala na wyniki badania DNA, aby wszystko oficjalnie potwierdzić, lecz w głębi ducha wiedziała już, co pokażą. Liczyło się dla niej to, że odnalazła również rodzinę ojca.

Angie odezwała się dwa dni później i uzgodniły, w jaki weekend się spotkają. Zostało jeszcze dziesięć dni. Valerie nie mogła się już doczekać, by poznać rodzinę, o której nie miała pojęcia, a która mogła okazać się tysiąc razy lepsza niż ta, w której dorastała.

## Rozdział 17

Gdy w następnym tygodniu Phillip zadzwonił do matki, Valerie poinformowała go, że leci na weekend do Kalifornii, czym bardzo go zdziwiła.

– Co będziesz tam robić? Jakiś wernisaż?

– Nie, odwiedzę moich kuzynów – odparła z szelmowską nutą w głosie. Była w doskonałym nastroju, odkąd ich odnalazła.

– Jakich kuzynów? Nie mamy rodziny w Kalifornii. – Jego jedyną kuzynką była Penny.

– Teraz już mamy. Pewnego wieczoru weszłam do Internetu. Próbowałam odnaleźć krewnych mojego ojca. Wymyślałam różne kombinacje i za drugim razem mi się poszczęściło. Znalazłam starszego brata i bratanka mojego ojca. Brat mojego ojca na początku zaprzeczył, że zna tę historię, ponieważ w tamtych czasach posiadanie nieślubnego dziecka było hańbą, a on starał się chronić brata. Jego syn jednak oddzwonił do mnie, gdy uświadomił sobie, że ojciec go okłamał. A teraz ich poznam. – Opowiadała jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek.

– Czy to dobrzy ludzie? – Phillip się martwił, nie chciał, by ktoś ją skrzywdził. Uważał, że matka jest nieco naiwna, zwłaszcza jeśli brat jej ojca na początku okazał się nieuczciwy i wrogo nastawiony.

– Tak mi się wydaje. Tom, mój kuzyn, jest architektem, a jego bardzo miła żona, z którą rozmawiałam, projektantką wnętrz. Mają czworo dorosłych dzieci. Mieszkają w Santa Barbara, mają już wnuki. Tom ma sześćdziesiąt pięć lat, a ona jest o kilka lat młodsza. Walter, brat mojego ojca, ma dziewięćdziesiąt cztery lata i choruje.

Wiedziała o nich wszystko, a Phillip do tej pory – nic.

– Cóż, słyszę, że byłaś zajęta. Czy chcesz, żebym poleciał z tobą? – Miał plany na weekend, lecz towarzyszyłby matce, gdyby o to poprosiła. Nie podobało mu się, że spotka się z tymi ludźmi sama, lecz ona nie żywiła podobnych obiekcji.

– Oczywiście, że nie. Poradzę sobie, ale dziękuję, że zapytałeś. Zostanę tylko na weekend. W następnym tygodniu mam spotkanie rady w Metropolitan Museum.

– Cóż, zadzwoń do mnie, jak dotrzesz na miejsce w takim razie.



Gdzie się zatrzymasz?

– W Biltmore.

W jej ustach brzmiało to jak przygoda. Phillip uśmiechał się do siebie, gdy odkładał słuchawkę.

Opowiedział o tym Jane przy kolacji tego wieczoru. Była to ich druga randka. Zaprosił ją na kolację i do kina tydzień temu, spotkanie się udało. Zaplanowali też dzień na łodzi w weekend. Jane nie mogła się już doczekać.

Wzruszyła ją informacja, że Valerie zamierza lecieć na weekend do Kalifornii, by poznać krewnych ojca. Uznała to za bardzo odważne i tak właśnie powiedziała Phillipowi.

– To chyba wiele dla niej znaczy. Myślę, że dorastając, czuła się jak wyrzutek, otaczała ją dezaprobata i dlatego teraz pragnie poznać krewnych, o których dotąd nie wiedziała, jeśli to ma sens.

– Ma. Wiedząc to, co już wiemy o jej pochodzeniu, możemy założyć, że było jej bardzo trudno jako dziecku.

– Na pewno nie było jej łatwo. Bardzo różni się od siostry i dziadków, którzy udawali jej rodziców. Jest o wiele serdeczniejsza. Jej matka musiała taka być. Szkoda, że nigdy się nie spotkały – mruknął Phillip ze współczuciem, po czym dodał: – Chciałbym, żebyś ty poznała moją mamę.

Jane uśmiechnęła się na tę sugestię.

– Najpierw muszę poznać *Słodką Sallie* – powiedziała, na co Phillip się uśmiechnął.

– Musisz wiedzieć, że ona zawsze będzie moją pierwszą miłością. Aż do teraz była kobietą mojego życia.

– Możesz mi wierzyć, rozumiem to. Mój ojciec przehandlowałby całą rodzinę za swoją łódź. Nie wolno stawać pomiędzy mężczyzną a jego żaglówką.

– W takim razie wszystko powinno się ułożyć – oświadczył z zadowoleniem.

Dobrze się bawili podczas pierwszego spotkania, a Phillip odwiedził Jane w jej małym, jasnym mieszkaniu, gdy przyszedł po nią przed ich drugą randką. Dokonała cudów. Kupione w IKEA przedmioty zaaranżowała tak, że całość tworzyła przytulne wnętrze, mimo iż krótko

tam mieszkała. Była pod tym względem podobna do jego matki.

Podczas kolacji rozmawiali o wynikach badania DNA, na które czekali. Decyzja o ekshumacji ciała Marguerite i przeprowadzeniu badania DNA została podpisana przez sędziego tydzień temu, musieli się więc uzbroić w cierpliwość na kolejnych pięć tygodni, lecz nikt chyba nie miał wątpliwości, jaki będzie rezultat. Z opowieści Fiony wynikało, że Marguerite była matką Valerie. Jane zauważyła, że zakończy staż w sądzie do spraw spadkowych, zanim nadejdą wyniki. Miała przed sobą jeszcze dwa miesiące zajęć, a w czerwcu kończyła studia prawnicze.

– Jakie masz plany na potem? – zapytał przy kolacji.

– Chcę zdać egzamin adwokacki i znaleźć pracę w kancelarii. – Rozesłała już CV do kilku najlepszych firm, lecz nie uzyskała jeszcze żadnej wiążącej odpowiedzi. Musiała się teraz skupić na powtórkach do egzaminu. – Chcę też pojechać na parę tygodni do Michigan, zobaczyć się z rodzicami, zanim zacznę pracę.

Jej plan wydał mu się rozsądny.

Czas, który z nią spędzał, biegł bardzo szybko, gdy rozmawiali na różne tematy i coraz lepiej się poznawali. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety, z którą czułby się tak swobodnie. Wszystko wydawało się proste i naturalne, gdy był z nią. Miał przeczucie, że jego matka również ją polubi.

Prawdziwym sprawdzianem stał się dzień, kiedy pojechali na Long Island. Przyjechał po nią o dziewiątej rano i od razu odetchnął z ulgą, gdy zauważył, że Jane ma na sobie dżinsy, ciepłą kurtkę i tenisówki. Ostatnia dziewczyna, którą zaprosił na łódź, pojawiła się w szpilkach i spódniczce mini. Jeszcze większe wrażenie wywarło na nim, że pomogła mu postawić żagle i odcumować. Ojciec wszystkiego ją nauczył, dokładnie wiedziała, co robić. Zabrał dla nich lunch w koszyku, a gdy nadeszła pora, zarzucił kotwicę w małej zatoczce osłoniętej od wiatru. Słońce jasno świeciło, owiewała ich tylko lekka bryza.

– Jest fantastycznie – powiedziała, uśmiechając się do niego. Najwyraźniej bawiła się równie dobrze jak on. Łodzie żaglowe miały w sobie coś, co pozwalało zapomnieć o zmartwieniach i cieszyć się wiatrem i morzem.

Po posiłku wyciągnęli się na pokładzie w słońcu. Na pływanie było

jeszcze za zimno. Jane leżała wygodnie z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłymi promieniami, a gdy Phillip pochylił się nad nią i pocałował ją, zarzuciła mu ręce na szyję i uśmiechnęła się do niego. Nie powiedzieli ani słowa, tylko cieszyli się chwilą, a potem Phillip przetoczył się na drugi bok i podparł na łokciu.

– Jakim cudem tak mi się poszczęściło? – zapytał wesoło. – Myślałem, że jadę na kolejną nudną wycenę, a zamiast tego znalazłem ciebie.

Czuł, że tak właśnie miało być. Ona odnosiła podobne wrażenie. Wiedziała też, że mogłaby wciąż tkwić w nieszczęśliwym związku z Johnem, gdyby nie zdobyła się na odwagę żeby go zostawić. Teraz cieszyła się z tego, że nie zgodziła się przeciągać sprawy do czerwca.

– Lubisz mnie tylko dlatego, że okazałam się znośnym żeglarzem – zażartowała, a Phillip się uśmiechnął.

– Tak, to też. Lubię cię, ponieważ jesteś mądra, dobra i miła, a do tego piękna.

Znów ją pocałował, a potem wziął ją w ramiona, lecz nie posunęli się dalej. Oboje wiedzieli, że to jeszcze za wcześnie, a nie chcieli niczego przyspieszać. Pragnęli rozkoszować się początkami swojego związku i sprawdzić, dokąd on zmierza. Nie było pośpiechu. Jakiś czas później postawili żagle i spędzili na *Słodkiej Sallie* miłe popołudnie. Gdy w końcu zawrócili do portu, byli zmęczeni i zrelaksowani. Jane pomogła mu zacumować łódź i poszli do samochodu, trzymając się za ręce.

– Dziękuję ci za bardzo miły dzień – powiedziała.

Od razu zrozumiał, że mówiła szczerze. To był idealny dzień dla obojga.

Tego wieczoru wspólnie ugotowali kolację w jej mieszkaniu i obejrzelili film. Siedzieli blisko siebie, a on znów ją pocałował. Wyszedł po północy, obiecując, że zadzwoni następnego dnia. Jane już się zgodziła wrócić z nim na łódź w przyszły weekend. Coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że to idealna kobieta dla niego.

## Rozdział 18

Przed wylotem do Kalifornii na weekend Valerie zadzwoniła do Winnie, by poinformować ją, że wyjeżdża. Często dzwoniła do siostry, na wypadek gdyby ta czegoś potrzebowała. Valerie lubiła informować ją o swoich planach, by w razie czego Winnie mogła zadzwonić do Penny lub swojej gospodyni.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Winnie podejrzliwie.

– Do Kalifornii – odparła Valerie ogólnikowo. Nie była pewna, czy chce zdradzić siostrze, kogo zamierza odwiedzić i dlaczego.

– A co tam będziesz robić?

– Spotkam się z przyjaciółmi w Santa Barbara.

– To bardzo długa podróż na jeden weekend. – Winnie nienawidziła wyjazdów, mawiała, że lubi spać we własnym łóżku. Nigdy nie łaknęła przygód, nawet jako młoda dziewczyna. – Kogo znasz w Santa Barbara? – Nie przypominała sobie, by Valerie wcześniej wspominała o takich znajomych, i oczywiście miała rację. Wyglądała o wiele starszej od Valerie, tak się też zachowywała, lecz pamięć wciąż miała sprawną.

Valerie uznała, że nie ma ucieczki, i opowiedziała siostrze wszystko.

– Znalazłaś ich w Internecie? Oszalałaś? A jeśli to mordercy albo okropni ludzie?

– Wtedy więcej się z nimi nie zobaczę. Zatrzymam się w hotelu Biltmore, gdybyś chciała się ze mną skontaktować. Oni mogą tak samo myśleć teraz o mnie. W ogóle mnie nie znają. To ja zadzwoniłam do nich znienacka z moją historią. Zachowali się wyjątkowo miło. Chcę tylko ich poznać, zobaczyć, jak się będę z tym czuła. – Zyskiwała nowych krewnych i całkiem nowe życie.

– Dlaczego potrzebujesz ich teraz, w twoim wieku? Co to za różnica?

Cała ta sprawa głęboko niepokoiła Winnie: najpierw przerażające odkrycia Valerie na temat Marguerite, potem jej upór w kwestii badania DNA. To jej córka wpadła na ten pomysł i z tego również Winnie nie była zadowolona. A teraz Valerie zamierzała odwiedzić rodzinę swojego

rzekomego ojca, która mogła się okazać straszna. Dlaczego nie pozwałała zmarłym spoczywać w pokoju? Wszystko to było szalenie irytujące.

– Nie jestem pewna – odparła Valerie szczerze. – Po prostu czuję, że muszę to zrobić. Ten chłopiec był moim ojcem, a to jest jego rodzina. Chcę ich poznać i zobaczyć, czy poczuję z nimi więź. Nigdy nie czułam jej z ludźmi, którzy nazywali się moimi rodzicami, a byli moimi dziadkami.

– Myślisz, że poczujesz więź z wujkiem i kuzynem, których nigdy nie widziałaś? Co może cię z nimi łączyć?

– Nie wiem. Tego właśnie chcę się dowiedzieć. – Miała cel, a ta podróż była swego rodzaju pielgrzymką, by uhonorować przeszłość. Nie powiedziała jeszcze Winnie o listach matki. Był to dla niej wciąż drażliwy temat, a Winnie miała do całej sprawy negatywne podejście. Pokrewieństwo z Babcockami uznała za sprawę mniej osobistą i gotowa była się tym podzielić.

– Może nie poczułabyś też więzi ze swoim biologicznym ojcem. Oni byli tylko dziećmi.

Niemniej Babcockowie byli jej rodziną, niezależnie od tego, co sądziła na ten temat Winnie.

– Uważaj na siebie, Valerie. Dbaj o siebie.

– Na pewno. Nie martw się. Poradzę sobie.

Winnie burkliwie się pożegnała, a parę minut później Valerie pojechała na lotnisko. Czuła się beztroska i młoda, zamierzała dowiedzieć się więcej o swoim pochodzeniu i życiu swoich rodziców. Nie było w tym nic złego – pomimo zastrzeżeń Winnie. Winnie nigdy nie ufała nikomu ani niczemu. Podobnie jak matka, miała negatywny stosunek do życia. Były do siebie takie podobne, co z czasem coraz bardziej się uwidaczało. Valerie nie wyobrażała sobie gorszego losu niż z czasem upodobnić się do swojej nieufnej i negatywnie nastawionej do życia matki, a w zasadzie babki.

Samolot wylądował w Los Angeles punktualnie, a Valerie wynajęła samochód na dwugodzinną podróż do Santa Barbara. Zamierzała najpierw zameldować się w hotelu, a potem zadzwonić do Angie i Toma, którzy zaprosili ją na kolację. Trochę się denerwowała

tym spotkaniem, gdy jechała na północ, lecz przede wszystkim cieszyła ją myśl o przyszłych odkryciach.

Dotarła do Biltmore późnym popołudniem i od razu się zameldowała. Przez kilka minut spacerowała po Coral Casino, klubie po przeciwnej stronie ulicy, który należał do hotelu. Następnie wróciła do swojego pokoju i zadzwoniła do Toma, by poinformować go o swoim przyjeździe. Zapytał, jak upłynęła jej podróż, a ona odparła, że dobrze. On również wydawał się zdenerwowany. Było to dla nich bardzo emocjonujące wydarzenie, zwłaszcza dla jego ojca, który oświadczył, że nie chce poznać Valerie i zostanie w swoim pokoju na czas jej wizyty. Tom nie zamierzał go do niczego zmuszać, lecz powiedział mu, że jego zdaniem ojciec źle robi.

– Nie zamierzam witać się z nieślubnym dzieckiem tej kobiety. No bo niby dlaczego?

– Ponieważ to córka twojego brata, twoja bratanica – podkreślił znów Tom, lecz jego ojciec zacisnął tylko usta i odwrócił głowę.

Tom zaproponował, że odbierze Valerie z hotelu, lecz ona uparła się, że przyjedzie sama. O szóstej wyruszyła do Montecito, podążając za wskazówkami, które jej przekazał. Gdy dotarła na miejsce, zobaczyła duży, przestronny dom w stylu hiszpańskim z szerokim, okrągłym podjazdem na wzgórzu z pięknym widokiem. Masywny budynek otaczały rozległe ogrody, wypielęgnowane trawniki i doskonale zaprojektowana zieleń, a także duży basen oraz kort tenisowy. Weszła po schodach od frontu i nacisnęła dzwonek, a chwilę później w drzwiach pojawiła się Angie, atrakcyjna blondynka o szerokim uśmiechu, a za nią wysoki mężczyzna o misiowatym wyglądzie, z którym łączył ją tylko śnieżnobiały kolor włosów. Bez wahania Tom uścisnął ją ciepło, a Angie ucałowała ją na powitanie. Valerie miała na sobie bładoniebieski kaszmirowy sweter i popielate spodnie, wzięła też marynarkę, gdyby się miało ochłodzić, i teraz zastanawiała się, czy nie ubrała się zbyt nieformalnie. Angie włożyła sukienkę i szpilki, a Tom – koszulę, krawat i garnitur na jej cześć. Atmosfera domu była jednak swobodna, a oni przeszli przez pięknie urządzone wnętrza na ogrzewane patio, gdzie mogli cieszyć się widokiem.

Angie powiedziała, że kupili i przebudowali dom, gdy dzieci były

jeszcze małe, dlatego teraz wydawał się dla nich nieco za duży, lecz wciąż go kochali. Było też dzięki temu miejsce dla ojca Toma, który mieszkał z nimi od śmierci matki Toma przed dziesięciu laty. Valerie nigdzie nie dostrzegła jednak Waltera, gdy pili białe wino i lepiej się poznawali. Tom i Angie okazali się ciepłymi, miłymi ludźmi, którzy pragnęli, by czuła się u nich jak w domu. Zaskoczyła ją swoboda, jaką przy nich poczuła, jakby znali się przez całe życie. Należeli do osób, które cechował swobodny kalifornijski styl bycia, lecz Valerie uważała, że to coś więcej.

Zaczęli rozmawiać o jej artystycznej karierze, a Tom zaskoczył ją, mówiąc, że jej ojciec również był utalentowanym artystą, a Walter do dzisiaj przechowywał wiele jego rysunków i część obrazów. Od razu zrozumiała, po kim odziedziczyła swój dar – w jej rodzinie nikt nie interesował się sztuką. Była to jedna z rzeczy, które pociągały ją w mężu, gdy się poznali.

Gawędzili przez godzinę przed kolacją, po czym weszli do środka. Angie pięknie nakryła do stołu i przygotowała wspaniały posiłek, a gospodyni została dłużej, by go podać. Valerie zauważyła na stole trzy nakrycia i przypomniała sobie słowa Toma o tym, że jego ojciec kładzie się wcześniej ze względu na swój wiek. Tom przeprosił na chwilę panie przed kolacją i zajrzał do ojca.

Walter siedział na wózku w swojej sypialni, wpatrywał się w okno i gniewnie marszczył brwi.

– Zamierzasz wyjść stąd i ją poznać, tato? To urocza kobieta.

– Nie zamierzam.

– Jest starsza ode mnie. Nie jest żadnym dzieckiem ani hipiską.

Jesteś jej to winien.

– Nic jej nie jestem winien, do cholery – warknął Walter, po czym odwrócił się plecami do syna, który cicho wyszedł z pokoju.

Tom czuł się, jakby toczył tę rozmowę z dzieckiem. Nigdy nie widział ojca w takim stanie i wcale mu się to nie podobało. Wiedział też, że Valerie będzie rozczarowana, jeśli go nie pozna po tak długiej podróży.

Po drodze do jadalni zebrał kilka oprawionych w ramki zdjęć, by pokazać je Valerie. Były to fotografie jej ojca jako dziecka i nastolatka.

Jedna z nich musiała przedstawiać go w wieku, kiedy poznał i zakochał się w jej matce, a na innej miał na sobie mundur tuż przed wyjazdem z Nowego Jorku na Zachodnie Wybrzeże. Od razu uderzyło ją podobieństwo nie tylko do niej, lecz także do jej syna. Valerie bardziej przypominała jego niż jakiegokolwiek Pearsona. Był bardzo przystojnym młodym człowiekiem. Tom przyglądał się jej uważnie, gdy oglądała fotografie.

– Jesteś bardzo podobna do ojca – powiedział cicho, gdy zasiedli do kolacji.

Valerie pokiwała głową, myśląc o tym, jakie to zdumiewające, że ich odnalazła. Mogła zadzwonić do wszystkich nie tych, co trzeba Thomasów Babcocków, lecz tego nie zrobiła. Za drugim podejściem wybrała właściwy numer. A teraz była tutaj.

– Czy twój ojciec również jest do niego podobny? – zapytała z zaciekawieniem.

– Nie bardzo. Wygląda raczej jak ja, choć teraz jest drobniejszy niż kiedyś. Bardzo schudł.

Pokiwała głową, zastanawiając się, kiedy pozna Waltera i jak się z tym poczuje.

Przy kolacji rozmawiali na bardzo różnorodne tematy – od muzyki, przez sztukę, po teatr. Angie powiedziała, że często jeżdżą do L.A. na różne wydarzenia kulturalne, lecz lubią mieszkać w Montecito, gdzie mają więcej miejsca i lepszą pogodę. Biuro architektoniczne Toma zawsze tutaj miało swoją siedzibę. Tom dodał, że ich dzieci, gdy dorastały, uwielbiały Santa Barbara i tylko jedno z nich przeprowadziło się do L.A. Rozmawiali o dzieciach, a Valerie pokazała im zdjęcie Phillipa. Tom uznał, że mężczyzna jest bardzo podobny do dziadka. Geny Babcocków wyraźnie odezwały się zarówno w Valerie, jak i w jej synu. Angie z dumą pokazała zdjęcia swoich wnucząt, które uwielbiała.

Valerie zapytała, czy bywają w Nowym Jorku, a oni odpowiedzieli, że nie dość często, ponieważ są zajęci pracą i dziećmi. Poza tym nie lubili zostawiać ojca Toma samego na dłużej. Byli oddanymi rodzinie, odpowiedzialnymi ludźmi.

Tom uśmiechnął się do Valerie pod koniec kolacji.

– Nigdy nie miałem siostry i nie mam żadnych kuzynów. Cieszę



się, że to się zmieniło. Szkoda, że nie odnalazłaś nas wcześniej – powiedział ujmująco.

– Ja też żałuję – odparła z powagą. – Nie wiedziałam nawet, że istniejecie, o niczym nie miałam pojęcia aż do niedawna. Wszystko to było dla mnie ogromnym zaskoczeniem, żeby nie powiedzieć szokiem. – Roześmiała się. – Ale pod pewnymi względami to dla mnie ulga. Nie pasowałam do swojej rodziny, gdy dorastałam, zawsze czułam, że nienawidzą mnie i pogardzają mną, lecz nie wiedziałam dlaczego. Teraz wiem. Nie chodziło o mnie, ale o okoliczności moich narodzin, to nie ja źle postępowałam, choć tak właśnie czułam. Moja matka nigdy chyba tego nie przeboleła. Dużo kosztuje wygnanie własnego dziecka i ogłoszenie jego śmierci. Mojej matce złamało serce, że nigdy więcej mnie nie zobaczyła. Nasza niania przesyłała jej moje zdjęcia i dzięki temu połączyłam różne fakty.

Opowiedziała im o skrytce depozytowej Marguerite, o biżuterii, Phillipie, którego poproszono o wycenę, co było czystym zbiegiem okoliczności, i o wyznaniu Fiony na temat tego, co wydarzyło się tak dawno temu.

– Nigdy nie dowiedziałabym się o twoim wujku, a moim ojcu, gdybym nie pojechała do niej, a ona tego wszystkiego by mi nie opowiedziała. Była zaskoczona, że sama się nie domyśliłam, lecz moi dziadkowie dobrze to ukrywali. Sfałszowali nawet mój akt urodzenia, wpisując siebie jako moich rodziców. Wiele zrobili, aby ukryć przede mną prawdę. Zastanawiam się, czy mieli jakiś kontakt z twoimi dziadkami po moim urodzeniu, czy też nigdy więcej ze sobą nie rozmawiali. Podobno żadne z nich nie chciało, by moi rodzice się pobrali, byli przecież bardzo młodzi. Poza tym wybuchłby potworny skandal.

– Ja nigdy o tym nie słyszałem – przyznał Tom nad kawą i deserem. – Mój ojciec zaprzeczył przecież, gdy go o ciebie zapytałem. Musiał to być dla niego szok, że pojawiłaś się po tylu latach. Nikt nigdy nie wspominał, że Tommy miał dziecko.

– Można by pomyśleć, że kogoś powinien zainteresować mój los, lecz podejrzewam, że byli zbyt poruszeni, by się z tym zmierzyć, więc nikt tego nie zrobił. Żałuję, że nie poznałam twoich dziadków.

Uznała jednak, że zadowoli ją spotkanie z Walterem. Miała nadzieję, że poczuje się na tyle dobrze, by się z nią zobaczyć podczas jej krótkiego pobytu. Tom zdradził podczas kolacji, że jego ojciec ma teraz trudniejszy okres – nie powiedział jej, że jego ojciec odmawia rozmowy z nią i zachowuje się jak zagniewane dziecko. Nie chciał zranić jej uczuć po wysiłku, jaki podjęła, by przyjechać i ich poznać. Cieszył się, że to zrobiła. Mieli wiele wspólnych zainteresowań, byli równie otwarci pomimo ich nieco konserwatywnego wyglądu. Byli inteligentni, zabawni i ciekawi świata w przeciwieństwie do Winnie, z którą Valerie dorastała, a która miała wąskie horyzonty i negatywny stosunek do wielu spraw.

Została w ich domu dłużej, niż planowała, dlatego też wróciła do hotelu już po północy, obiecawszy, że zobaczą się znów następnego dnia. Angie zaproponowała, że zabierze ją rano do miejscowego sklepu z antykami, a Tom pragnął pokazać jej swoje biuro architektoniczne, z którego był bardzo dumny. Potem umówili się na lunch. Tom odnosił prawdziwe sukcesy w swoim zawodzie – wybudował wiele domów w Montecito, które mijali po drodze. Przy lunchu Tom zapytał, co stanie się z biżuterią jej matki. Opowiedziała im o majowej aukcji w Christie's i wyjaśniła, że czeka na wyniki badania DNA, które potwierdzi, że jest spadkobierczynią Marguerite.

– To tylko formalność.

– Bardzo chciałabym zobaczyć te klejnoty – zadeklarowała Angie. Valerie obiecała, że prześle jej katalog aukcyjny.

Tego wieczoru zorganizowali kolację ze swoimi dziećmi, przyjechał nawet ich syn z Los Angeles. Valerie była wzruszona tym, jak ciepło ją wszyscy przyjęli. Było to zdumiewające, biorąc pod uwagę, że mieli do czynienia z zaginioną nieślubną kuzynką i bratanicą, o której nic dotąd nie wiedzieli. A teraz wszyscy zachowywali się tak, jakby całe życie czekali, by ją poznać. Poza wujkiem Walterem, który wciąż odmawiał opuszczenia swojego pokoju. Wszystkie wnuki zapytały o niego zaraz po wejściu do domu.

– Dziadek nie czuje się dobrze. Odpoczywa w swoim pokoju – wyjaśnił Tom krótko.

Dwoje z nich poszło się z nim zobaczyć, a najstarszy syn Toma powiedział potem do ojca:

– Wow. Dziadzio jest w okropnym humorze. Co się stało? – Nigdy go jeszcze takiego nie widział.

– To długa historia.

Tom nie chciał tłumaczyć tego teraz, ponieważ Valerie mogłaby go usłyszeć i poczuć się zraniona, że wujek ją ignoruje. Tom stracił już nadzieję, że jego ojciec zachowa się w tej sprawie rozsądnie.

Valerie uznała, że dzieci Angie i Toma są wspaniałe. Przy kolacji prowadzili ożywioną i wesołą rozmowę. Zaczęła żałować, że Phillip nie przyleciał z nią. Miała jednak nadzieję, że tu wróci, i obiecała sobie, że następnym razem go przywiezie. Chciała, by wszyscy go poznali.

Rozmawiali i śmiali się po kolacji, a Tom zaserwował wszystkim szampana. Mieli właśnie wznieść toast za cudem odnalezioną kuzynkę, gdy nagle zauważyli, że ktoś nowy zjawił się w pokoju. Wszystkie głowy odwróciły się do Waltera, który wjechał do salonu z surową miną.

– Co to za hałasy? Obudzilibyście zmarłego.

Był to bardzo stary człowiek o godnym wyglądzie. Miał na sobie garnitur, białą koszulę, krawat, a nawet wizytowe buty. Tom wiedział, jakim wysiłkiem musiało być dla niego samodzielne ubranie się, i był z niego dumny. Wręczył mu kieliszek szampana.

– Wyglądasz wspaniale, tato – powiedział łagodnie.

Valerie uśmiechnęła się do niego przez pokój, po czym podeszła bliżej i z szacunkiem wyciągnęła dłoń. Na jego twarzy malowała się wyraźna dezaprobata, lecz to jej nie powstrzymało. Czekwała, by go poznać.

– To dla mnie wielki zaszczyt – powiedziała cicho.

Walter wahał się przez długą chwilę. W końcu uściśnął jej dłoń i wbił w nią spojrzenie. Bardzo chciał jej nie lubić, lecz nagle okazało się, że nie może. W jego oczach rozbłysły łzy, gdy na nią patrzył, aż w końcu przemówił:

– Wyglądasz jak skóra zdjęta z ojca, nawet w tym wieku. – A potem się uśmiechnął. Gdy pokazała mu zdjęcie Phillipa, spojrzał na nie tęsknie. – Tak właśnie wyglądałby Tommy w jego wieku.

Usiadła obok niego i wdali się w długą rozmowę, podczas której

jego twarz tajała stopniowo pod wpływem jej łagodności i wdzięku.

– Twoja matka była śliczną dziewczyną – przyznał. – Wiem, że go kochała. On też ją kochał. Zawsze martwiło mnie to, co ich łączyło, ten płomień był po prostu zbyt jasny, obawiałem się, że oboje się sparzą. Byłem w Princeton, gdy to wszystko się działo, a gdy wróciłem do domu, rozpętało się piekło, a ona zniknęła. Potem zdarzył się atak na Pearl Harbor i obaj się zaciągnęliśmy. Ja wypłynąłem przed nim. Rozpaczał z twojego powodu. Nie chciał, by Marguerite cię oddała. Pragnął ożenić się z nią po powrocie, lecz nigdy nie wrócił. A ja nie wiedziałem, co się z tobą potem stało. Powiedzieli moim rodzicom, że cię oddali, i na tym się skończyło. Moja matka w to nie uwierzyła, uważała, że to podejrzanе, ale moi rodzice chyba nie chcieli wiedzieć. Myślę, że po śmierci Tommy’ego zapragnęli cię odnaleźć, lecz okazało się to za trudne i łatwiej było zrezygnować. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. A gdy usłyszeliśmy o śmierci twojej matki, cała historia umarła wraz z nią. Ten rozdział został zamknięty. – Spojrzał na nią ze zdumieniem. – A teraz jesteś tutaj. – Przez chwilę mierzył ją surowym wzrokiem. – Dużo czasu ci to zajęło.

– Przepraszam. Ja też nic nie wiedziałam. Nigdy mi nie powiedzieli. Dowiedziałam się kilka tygodni temu. Niestety za późno, by poznać matkę. Zmarła w zeszłym roku. Wyjechała, kiedy miałam kilka miesięcy, i nigdy więcej się nie widziałyśmy.

– To była śliczna dziewczyna – powtórzył.

Valerie nie powiedziała mu, że Marguerite wyszła za Umberta. Nie musiał tego wiedzieć, a już wiele miał do przyswojenia. Jej wizyta przywołała w nim smutek po utracie brata, choć wydawał się bardzo zainteresowany jej synem i chciał wiedzieć o nim więcej. Gdy zdradziła mu, że jest artystką, nakazał zawieźć się do swojego pokoju, aby pokazać jej prace jej ojca, które okazały się naprawdę dobre.

Potem Waltera ogarnęło zmęczenie, uznał, że musi się położyć. Młodzi ludzie robili za dużo hałasu, a to był dla niego ważny wieczór.

– Czy zobaczymy się jutro? – zapytał ją z niepokojem.

– Jeśli chcesz. Lot do Nowego Jorku mam dopiero wieczorem. I na pewno tu wrócę.

– Następnym razem przywieź syna. Chcę go poznać. To chyba

porządny chłopak.

– Owszem. Na pewno go polubisz.

Pokiwał głową i spojrzał na nią.

– Przykro mi, że zrobili z tego taki bałagan – mruknął szorstko. – Dobra z ciebie kobieta. Ona pewnie też taka była. Wygląda na to, że miała trudne życie, jeśli więcej cię już nie zobaczyła, a oni wszystkim powiedzieli, że umarła. Mam nadzieję, że na końcu odnalazła spokój.

– Ja również mam taką nadzieję – zadeklarowała Valerie cicho.

Walter pokiwał głową i poklepał jej dłoń. Zanim opuściła jego pokój, pochyliła się i delikatnie pocałowała go w policzek. Dostrzegła łzy w jego oczach, lecz uśmiechał się do niej, gdy wychodziła.

Wróciła do reszty rodziny, by jeszcze chwilę porozmawiać. Najmłodsza córka Angie i Toma usiadła przy pianinie i zaśpiewali razem. Znow wyszła od nich późno.

Następnego dnia Valerie zaprosiła wszystkich na brunch w hotelu Biltmore, po czym udała się z wizytą do Waltera. Pokazał jej rysunki i obrazy Tommy'ego, a także ich zdjęcia jako dzieci i młodych chłopców. Śmiała się, gdy opowiadał o nim różne wesołe historie, a pod koniec dnia czuła się tak, jakby poznała nie tylko wuja i kuzynów, lecz także ojca. Walter dał jej zdjęcie Tommy'ego na pamiątkę. Gdy pocałowała go na pożegnanie, obiecała, że wkrótce wróci. Chciała znow go zobaczyć i nie zamierzała z tym czekać, biorąc pod uwagę jego wiek.

– Bardzo się cieszy, że cię poznał – powiedział jej kuzyn Tom, zanim wyszła.

Nie dodał, jak bardzo opierał się Walter wcześniej i że całkowicie go zauroczyła. Pod koniec jej pobytu stał się jej największym fanem. Ożywił się, rozmawiając z nią.

– Żałuję, że nie poznałaś go, gdy był młodszy. Był świetnym facetem.

– Nadal jest – zapewniła go.

Uścisnęli się i obiecali sobie, że pozostaną w kontakcie. Podziękowała im za wszystko, a gdy jechała na lotnisko w L.A., czuła się bardzo szczęśliwa, że mogła ich poznać. Był to jeden z najważniejszych weekendów jej życia. Miała teraz prawdziwą rodzinę,

która powitała ją z otwartymi ramionami; miała swoje miejsce na ziemi.  
Nie mogła się już doczekać, kiedy znów ich zobaczy.

## Rozdział 19

Wyniki badania DNA nadeszły pod koniec kwietnia i nie stanowiły niespodzianki. Marguerite Wallace Pearson di San Pignelli okazała się matką Valerie. Valerie nigdy w to nie wątpiła, lecz uznała ten fakt za oficjalne potwierdzenie tego, kim była. Przywrócono jej tożsamość, z której została okradziona przy narodzinach.

Zadzwoiła do Winnie, gdy tylko się dowiedziała, by ją poinformować. Winnie zareagowała roztrzęsieniem i łzami.

– Wiem, że to głupie – pociągnęła nosem – lecz czuję, jakbym straciła właśnie jedyną siostrę, jaką miałam.

– Mogę być dla ciebie równie wredna jako twoja siostrzenica. Nie dbam o to, jak mnie będziesz nazywać. Nic się nie zmieniło.

Zmieniło się jednak wiele, o czym obie wiedziały. Valerie zyskała znaczący element swojej historii, choć nie wiedziała nawet, że go utraciła. Pomimo chłodu, jaki okazywała jej matka, wyrosła na szczęśliwego człowieka i pogodziła się z faktem, iż nie była kochana jako dziecko. Pokonała tę przeszkodę w dużej mierze dzięki Lawrence'owi. Brak miłości, którego doświadczyła jako dziecko, był jednak nienaturalny, a ona w końcu przekonała się, jak bardzo kochała ją jej prawdziwa matka. To ją dopełniło, uzupełniło tę część niej, której dotychczas brakowało, nawet jeśli o tym nie wiedziała. Napełniło ją to głębokim i satysfakcjonującym uczuciem spokoju. Jak powrót do domu po długiej podróży. Nie była już wyrzutkiem ani odmieńcem. Miała prawdziwych rodziców, wiedziała, kim byli, nawet jeśli już dawno nie żyli. Z jakiegoś osobliwego powodu dodało jej to pewności siebie. A Winnie uczyniło słabszą i bardziej samotną. Pozostała ostatnią osobą ze swojego pokolenia, nawet jeśli od Valerie dzieliły ją tylko cztery lata. Kłamstwa ich rodziców zostały obnażone – pomimo daremnych wysiłków Winnie, by ich chronić.

Penny zadzwoniła do Valerie, gdy nadeszły wyniki, i powiadomiła ją o przesłuchaniu w sądzie do spraw spadkowych, które miało potwierdzić, że Marguerite była jej matką, a Valerie jest jej spadkobierczynią. Dodała, że w ciągu dziewięciu miesięcy będzie trzeba opłacić podatek spadkowy od wartości biżuterii. Valerie zamierzała

wykorzystać dochód z aukcji w Christie's, aby opłacić podatki, i zatrzymać resztę. Penny zapytała, czy nadal chce sprzedać biżuterię, jeśli wie już na pewno, że Marguerite była jej matką, lecz Valerie omówiła to już z Phillipem. Nie wyobrażała sobie noszenia tych klejnotów, mimo ich spektakularnego piękna. Były dla niej zbyt ostentacyjne. Wolą ją sprzedać i rozsądnie zainwestować pieniądze, a biżuterią pozwolić cieszyć się komuś innemu, ponieważ nie pasowała ona do stylu jej życia. Pragnęła zatrzymać tylko pierścionek matki z herbem, medalion ze swoim zdjęciem z dzieciństwa i obrączkę ślubną od Umberta. Resztę postanowiła sprzedać.

Penny nakłoniła matkę do podpisania zrzeczenia się wszelkich pretensji do majątku, które również zamierzała złożyć w sądzie do spraw spadkowych. Phillip powiadomił Christie's, że klejnoty Pignelli nie zostaną sprzedane na rzecz skarbu państwa, lecz przez prawowitego spadkobiercę, który się odnalazł. Aukcja miała się odbyć zgodnie z planem. Zamierzali dodać do katalogu wkładkę z informacją dla kupców o zmianie. Dla nich nic to nie zmieniało, lecz był to szczegół, którego należało dopilnować.

Datę przesłuchania wyznaczono dwa tygodnie przed aukcją. Valerie miała reprezentować Penny, a Phillip chciał towarzyszyć matce. Z ramienia sądu występowała Harriet, a Jane obiecała, że przyjdzie, mimo iż dwa tygodnie wcześniej ukończyła staż i wróciła na zajęcia na Columbii. Już pracowicie przygotowywała się do uroczystości wręczenia dyplomów. Jej rodzice przylatywali z tej okazji do Nowego Jorku. Chciała, by poznali Phillipa.

Gdy nadeszły wyniki badania DNA, Phillip zaprosił Jane na kolację z jego matką. Spotykali się już sześć tygodni, a widywali się prawie co wieczór. Nie uzgadniali tego specjalnie, po prostu tak się składało. Oprócz tego w każdy weekend żeglowali. *Słodka Sallie* nie wbijała się klinem pomiędzy nich, lecz ich łączyła – cieszyli się, że mają wspólne hobby.

Phillip zaprosił je na kolację do La Grenouille. Chciał podkreślić wyjątkowość i znaczenie tego wydarzenia, świętować spotkanie jego matki i Jane. Nie przyznał się do tego żadnej z kobiet, lecz zżerały go nerwy. A jeśli się nie polubią albo potraktują się jak rywalki o jego



uczucia? Wszystko było możliwe, kobiety były nieprzewidywalne i gdy człowiek najbardziej chciał, by się polubiły, one postępowały na odwrót. Nawet Valerie, która zazwyczaj kierowała się rozsądkiem. Zawsze wołała kobiety, które lubił najmniej, a antypatią darzyła te, za którymi szalał, choć tych ostatnich nie było zbyt wiele. Valerie miała jednak zazwyczaj ku temu rozsądne powody i często okazywało się, że miała rację. Ten wieczór był więc dla niego ważny.

Pojechał po Valerie do jej domu, a Jane spotkała się z nimi w restauracji. Nieco onieśmieliło ją eleganckie wnętrze i fakt, że miała poznać jego matkę. Bała się tego. Nie była pewna, czego się spodziewać po jego opisach, wiedziała, jak blisko są z sobą związani i jak Phillip szanuje jej opinie.

Na początku zachowywała się nieśmiało, lecz Valerie podjęła wysiłek, aby ją uspokoić, i pod koniec pierwszego dania obie panie dogadywały się wspaniale. Valerie opowiedziała im, jak świetnie bawiła się podczas swojej wizyty u Babcocków w Santa Barbara. Rozmawiali o planach Jane po zakończeniu studiów, gdy zda już egzamin adwokacki. Wieczór upłynął szybko, a po wszystkim odwieźli Valerie do domu. Phillip zaprowadził matkę do budynku, a ona entuzjastycznie uniosła kciuki w górę. Gdy w końcu dotarli do mieszkania Jane, był wykończony. Uświadomił sobie, że przez cały wieczór był spięty, pragnąc, by wszystko dobrze poszło.

– Uwielbiam ją! – zawołała Jane entuzjastycznie, gdy Phillip osunął się na jej kanapę z IKEA.

Dobrze się bawił podczas kolacji, lecz przez cały wieczór czuł ucisk w żołądku. Chciał, żeby wszystko się udało, a obawiał się najgorszego.

– Rozmawiało mi się z nią równie dobrze jak z rówieśnicą, a nawet lepiej – oświadczyła Jane, a on się roześmiał. Trafnie opisała jego matkę.

– Jest pełna energii i taka młodzieńcza. Czasami zapominam, ile ma lat. – A ona nie wyglądała jak jej równolatki.

– Gdybym poznała ją, nie znając ciebie, również chciałabym się z nią zaprzyjaźnić – kontynuowała Jane. – Jest taka naturalna.

– Ja też tak czuję – przyznał. – Lubiłbym ją, nawet gdyby nie była moją matką. – Był to wielki komplement w ustach mężczyzny w jego

wieku.

– Nie wydaje się zaborcza. Myślałam, że mnie znienawidzi.

– Pokochała cię – zapewnił ją. Był to dla nich wszystkich niezwykle wieczór. Zjedli wspólną kolację, do której sommelier podał doskonałe wina. – Przynajmniej mamy to już za sobą. Poznałaś ją. Stało się.

Odetchnął z ulgą, a Jane wybuchnęła śmiechem.

– Wyglądasz, jakbyś przepłynął tego wieczoru wodospad Niagara w beczce.

– Tak mi się wydaje. Nigdy nie wiem, jak zareagują na siebie kobiety, zwłaszcza moja matka. – Zachowywała się jednak swobodnie i zabawnie, stanowiła świetne towarzystwo. Nawet śmiały się z Jane jego kosztem, zwłaszcza z jego pasji do łodzi.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, a potem poszli do łóżka. Phillip ostatnio często nocował w jej mieszkaniu. Wspomniała o tym Alex, na której zrobiło to ogromne wrażenie – zawyrokowała, że Jane powinna go „zatrzymać”. Jane również coraz częściej tak myślała, choć ich związek był jeszcze młody. Wciąż znajdowali się w fazie miesiąca miodowego, lecz to wrażenie nie słabło. Wręcz przeciwnie – pomiędzy nimi układało się coraz lepiej.

Phillip wziął ją w ramiona, gdy się położyli, lecz przez cały wieczór tak się stresował, że zamiast kochać się z nią jak zwykle, wymamrotał kilka słów, przytulił ją, po czym zasnął. Leżała, uśmiechając się do niego. Była to bardzo udana noc, nawet jeśli się nie kochali. A jeśli zdała egzamin przed jego matką, mogła nazwać ten wieczór wspólnym.

W dzień przesłuchania w sądzie lało jak z cebra. Valerie i Phillip przyjechali taksówką. Penny dotarła kilka minut później całkiem przemoczona, a Jane niedługo po niej. Winnie również się zjawiała w goście szacunku dla swojej siostrzenicy, choć w żaden sposób nie brała udziału w posiedzeniu. Harriet Fine miała przedstawić sądowi wszystkie dokumenty, akta i dowody. Z radością przywitała się z Jane. Dopiero w sądzie zauważyła, że coś łączy ją z Phillipem.

– A więc to tak – powiedziała z kpiącym uśmiechem, a Jane się zaczerwieniła. Nie była już jednak urzędniczką, rozstały się z Harriet

w przyjaźni. Harriet była w o wiele lepszym nastroju niż ostatnio. Zdrowie jej matki się poprawiło i znów mieszkały razem. Harriet wiedziała, że to nie potrwa wiecznie, lecz na razie było lepiej, a ona cieszyła się, że ma matkę w domu.

Przesłuchanie okazało się krótkie i stereotypowe. Harriet przedstawiła sprawę sądowi. Penny reprezentowała Valerie, która uroczyście przysięgła, że wszystkie dowody oraz jej zeznania są prawdą i że jest spadkobierczynią Marguerite di San Pignelli. Winnie rozplakała się, gdy sąd to potwierdził, a Valerie się rozpromieniła.

– Teraz musisz opłacić wszystkie podatki – poinformowała ją Winnie z wyższością.

– Wiem. – Valerie uśmiechnęła się do niej. – Dom aukcyjny już o to zadba.

Żałowała, że musi się rozstać z tymi pięknymi kosztownościami, lecz zatrzymanie ich nie miałyby sensu. Phillip przyniósł jej małe pudełko z pamiątkami, a pierścionek i medalion miała Valerie tego dnia na sobie. Złotą obrączkę matki odłożyła.

Gdy wyszli z sądu, Winnie oświadczyła, że część tych pieniędzy siostra powinna przeznaczyć na przyzwoite mieszkanie i w końcu wyprowadzić się z tego, które zajmowała od lat.

– Kocham moje mieszkanie – odparła zdziwiona Valerie. – Dlaczego miałabym się przeprowadzać?

– Mogłabyś mieć więcej miejsca, obszerniejsze studio, lepsze meble, przyjemniejsze sąsiedztwo. – Winnie nigdy nie lubiła SoHo i całą rodzinę uważała za szaleńców, bo tam mieszkali. Valerie mieszkała w SoHo, Phillip w Chelsea, a jej córka w West Village. To im odpowiadało, lecz Winnie nie mogła tego zrozumieć. Żadne z nich nie chciało mieszkać na Park Avenue tak jak ona. Był to punkt zbyt oddalony od miejsc, które lubili, i rzeczy, które chcieli robić. Winnie wywodziła się jednak z innej epoki. A Valerie była jedną z nich, mieszkała w centrum o wiele dłużej niż oni.

– Chyba już na zawsze pozostaniesz cyganką – oświadczyła Winnie ze smutkiem.

Valerie wybuchnęła śmiechem.

– Mam taką nadzieję.

Opuścili budynek sądu w dobrych nastrojach. Wszyscy musieli wrócić do pracy, a Jane na uczelnię, Valerie miała natomiast do zrealizowania plan, który układała od tygodni.

Tego samego wieczoru zadzwoniła do Fiony i poinformowała ją o wynikach badania DNA oraz dzisiejszym przesłuchaniu w sądzie. Fiona bardzo się ucieszyła. Wszystko ułożyło się tak, jak powinno. Żałowała tylko, że zajęło to tyle lat.

– Gdybyś nie powiedziała mi prawdy, kiedy do ciebie przyjechałam, to by się nie wydarzyło – oświadczyła Valerie z wdzięcznością.

– Mogłam to zrobić wiele lat temu – odparła Fiona z powagą – zamiast czekać na ciebie.

Wydawała się zmęczona, lecz czuła ulgę. Dodała, że tego dnia odwiedziła ją córka. Dzieci były dla niej dobre, a Valerie ucieszyła się, słysząc to. Potem Valerie opowiedziała niani o swoich planach. Nikomu innemu ich nie zdradziła. Fiona je zaakceptowała. Obie zgodziły się, że tak należy postąpić.

– Odzyskałaś matkę – podsumowała Fiona łagodnie. – Nikt ci jej już nie odbierze. Jestem pewna, że czuwa nad tobą i że byłaby z ciebie bardzo dumna. Zawsze była – dodała cicho.

– Kocham cię, Fiono.

Po tych słowach rozłączyły się. Fiona również ją kochała. Koniec końców, zwróciła jej matkę. Był to jej ostatni dar dla Valerie i Marguerite.

## Rozdział 20

W sobotę przed aukcją w Christie's Phillip i Jane znów wypłynęli łódką. Był piękny majowy dzień, a w niedzielę przypadał Dzień Matki. Phillip zamierzał spędzić go z Valerie, która w końcu podzieliła się z nimi swoim planem. Kupiła miejsce na pięknym, kameralnym cmentarzu na Long Island, odpowiednio je zagospodarowała i załatwiła przeniesienie tam Marguerite. Odwiedziła jej grób na przepelnionym, ponurym cmentarzu, na którym obecnie była pochowana, po pierwszej rozmowie z Fioną. Teraz pragnęła uhonorować pamięć matki lepszym miejscem spoczynku. Był to drobiazg, który mogła dla niej zrobić – ostatni gest miłości i szacunku. Powiedziała Phillipowi, że może zaprosić Jane na małą uroczystość nad grobem. Winnie planowała przyjść z Penny, a potem wszyscy wybierali się na lunch. Wszyscy poza Penny, która wracała do męża i dzieci świętować Dzień Matki.

Gdy w sobotę żeglowali przy łagodnym wietrze, Phillip powiedział Jane, że we wrześniu leci do Hongkongu na ważną aukcję klejnotów. Zapytał, czy nie chciałaby mu towarzyszyć. Jego podróże do Azji zawsze były interesujące i pełne wrażeń.

– Jeśli nie będę jeszcze pracować – odparła praktycznie. – Jeśli zacznę pracę, zapewne nie zdołam się wyrwać.

Uwielbiał podróże do Hongkongu na aukcje nefrytów, a tym razem chciał, by towarzyszyła mu Jane.

– Ale będę o tym pamiętać – zapewniła go.

Miała w najbliższych tygodniach umówione dwie rozmowy kwalifikacyjne. A potem uroczystość zakończenia studiów. Rozpoczęła już powtórki przed egzaminem adwokackim, miała nadzieję, że zda za pierwszym razem, choć nie było to oczywiste. Gdyby oblała, byłby to jednak wstyd. Phillipowi imponowało, że tak dużo się uczy i ciężko pracuje, mimo iż ograniczało to czas, który spędzali razem. Wiedział jednak, że to nie potrwa długo. Jane zdawała egzamin w lipcu. A potem chciał zabrać ją na wakacje. Rozmawiali o żeglowaniu w Maine, co oboje uznawali za doskonały pomysł. Była pierwszą kobietą w jego życiu, która rozważyłaby takie wakacje.

Uroczystość, którą zorganizowała Valerie z okazji Dnia Matki dla

swojej mamy, była krótka, treściwa i pełna szacunku.

Złożyli hołd Marguerite jako matce, której odebrano szansę na prawdziwe macierzyństwo. Valerie kupiła duże miejsce z dwoma rozłożystymi drzewami i białym marmurowym nagrobkiem, na którym wyryto słowa „Ukochana Matka”, a także nazwisko Marguerite oraz daty narodzin i śmierci. Poprosiła pastora o odprawienie krótkiego nabożeństwa, po którym przez długi czas stała przy grobie matki, modląc się o spokój jej duszy. Cmentarz opuścili razem.

Penny pojechała do miasta do swojej rodziny, a pozostali udali się na lunch do pobliskiej restauracji z gwarnym ogrodem. Po jedzeniu również wrócili do miasta. Gdy jechali do domu, Valerie czuła się tak, jakby zamknęli kolejny rozdział. We czworo rozmawiali o nadchodzącej aukcji. Phillip powiedział, że cieszy się ona ogromnym zainteresowaniem i że spodziewa się wysokich kwot zgłaszanych przez telefon. Niektórzy najważniejsi jubilerzy już złożyli oferty korespondencyjnie. Przepiękna kolekcja Marguerite wywołała pewne poruszenie w kolekcjonerskim świecie, a część katalogu jej poświęcona była imponująca, dyskretna i elegancka. Nagłówek głosił: „Klejnoty arystokratki”, tak jak zasugerował Phillip, co Valerie zatwierdziła.

Phillip postąpił jak należy i poinformował Christie's o swoim pokrewieństwie z Marguerite, gdy tylko odkrył, że jest jej wnukiem. Jego przełożeni pozwolili mu nadal pracować nad aukcją, choć nie mógł pełnić roli licytatora. Miał przyjmować oferty przez telefon. Valerie zaprosiła Jane, by razem poszły na aukcję. Niecierpliwe oczekiwanie narastało, a świadomość, że jej matka została oficjalnie uznana i z szacunkiem pochowana, pozwoliła Valerie ruszyć dalej.

W wieczór aukcji Valerie nieco wcześniej zjawiała się w głównej sali aukcyjnej o wyjątkowo wysokich sufitach, wypełnionej przez równe rzędy krzeseł. Phillip zarezerwował dla niej miejsce w drugim rzędzie, przy przejściu, mogła więc obserwować zarówno licytatora na podium, jak i długi rząd telefonów. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, medalion matki i jej złoty pierścionek. Wszyscy mężczyźni zatrudnieni w Christie's włożyli ciemne garnitury i krawaty, a kobiety – czarne kostiumy lub stosowne sukienki. Panie siedzące na miejscach dla licytujących miały na sobie kosztowne ubrania i biżuterię. Była to

bardzo elitarna grupa. Przyjechało również wielu sławnych jubilerów. Śmietanka Nowego Jorku mieszała się z kupcami z Europy, jubilerami i celebrytami.

Kolekcja Marguerite była najważniejszą częścią tej aukcji. Ludzie przeglądali katalog ze zdjęciami jej i Umberta przeplatanyymi fotografiami biżuterii. Christie's zachował umiar, pobudzając zainteresowanie opinii publicznej i utrzymując wokół niej aurę tajemnicy bez taniej sensacji. Pierwszorzędna robota. Nikt nie spodziewał się, że wydarzenie nabierze takiej rangi, gdy Jane zadzwoniła do Phillipa z prośbą o dokonanie wyceny, a on pojawił się w banku, by przejrzeć zawartość skrytki depozytowej.

Jane dotarła na miejsce dosłownie chwilę przed rozpoczęciem aukcji, usiadła obok Valerie i przeprosiła za spóźnienie. Bała się, że aukcja się rozpoczęła, ale na szczęście zdążyła. Miała na sobie bladobłękitny jedwabny kostium pod kolor oczu i wyglądała bardzo ładnie. Valerie z siwymi włosami upiętymi we francuski węzeł uśmiechnęła się do niej, spokojna i dystygowana. Czowała się, jakby tego wieczoru znów oddawali hołd jej matce, i poniekąd tak było. Poczwała ucisk w żołądku, zastanawiając się, czy aukcja się uda. Nie mogła sobie wyobrazić, by było inaczej po tych wszystkich staraniach ze strony Christie's. Smuciło ją, że rozstanie się z klejnotami, które z pewnością były dla jej matki bardzo ważne, biorąc pod uwagę, ile lat się ich nie pozbywała, lecz nie widziała sensu w ich zatrzymaniu. Nie pasowały do jej stylu życia, a jej matka nosiła je ponad pół wieku temu, żyjąc w zupełnie innym świecie. Zastanawiała się, kto je kupi i czy będzie je kochał tak jak Marguerite. Każdy drobiazg był darem miłości od mężczyzny, którego poślubiła.

Valerie poklepała Jane po dłoni, gdy licytator stanął na podium. Zerknęła na Phillipa, który się do niej uśmiechnął. Żałował, że nie może siedzieć obok niej i okazywać jej swego wsparcia. Valerie zaprosiła też Winnie, lecz ta oświadczyła, że poruszenie towarzyszące licytacjom budzi w niej zdenerwowanie i przyprawia o palpacje. Woliała usłyszeć o wszystkim następnego dnia. Taka reakcja była typowa dla Winnie i Valerie zastanawiała się, czy ona również czułaby smutek, gdyby na jej oczach zniknął majątek jej siostry. Nigdy jej nie знаła, przekonana

o jej rzekomej śmierci. Okazało się, że historia jej życia potoczyła się zupełnie inaczej, niż wmawiano Winnie. Niemniej Marguerite była jej siostrą, i ją również Winnie utraciła.

Tom i Angie Babcockowie zadzwonili do Valerie poprzedniego wieczoru, aby życzyć jej szczęścia. Przesłała im katalog, a Tom pokazał go Walterowi. Angie powiedziała, że kiwał głową i uważnie przyglądał się każdemu ze zdjęć, a na koniec oświadczył, że jako dorosła kobieta Marguerite była jeszcze piękniejsza niż jako młoda dziewczyna. Uświadomił sobie, że wyszła za mąż, lecz zdaniem Toma nie zdenerwowało go to. Spodziewał się tego, była przecież śliczna. Żałował, że życie nie ułożyło się dla niej lepiej i że straciła swoją córeczkę. Dziwne, jakie rzeczy nam się czasami przytrafiają, jak jego bratu Tommy'emu. Valerie nie mogła przestać się zastanawiać, jak wyglądałoby ich życie, i jej życie, gdyby rodzice pozwolili im się pobrać. Marguerite niemal od razu by owdowiała, lecz przynajmniej ujawniono by ich sekret, a ona mogłaby zostać z córką w Nowym Jorku. Życie Valerie ułożyłoby się zupełnie inaczej z prawdziwą matką, a jej dzieciństwo byłoby szczęśliwsze. Tego wieczoru nie chodziło jednak o Marguerite i Tommy'ego, lecz o Marguerite i hrabiego, który obsypywał ją klejnotami i zapewnił cudowne życie przez ponad dwadzieścia lat.

Licytorem był wysoki, poważny mężczyzna o głębokim, grzmiącym głosie, dobrze znany najważniejszym klientom. Christie's wiedział, że poradzi sobie z przeprowadzeniem aukcji, która zaczęła się równo o siódmej piętnaście. Pierwszym z klejnotów Marguerite był eksponat 156. Phillip uprzedził matkę, że upłyną mniej więcej dwie godziny, zanim do niego dotrą, mieli więc czas. Do sprzedaży przed kolekcją Pignelli mieli jeszcze sto pięćdziesiąt pięć przedmiotów, a sama kolekcja kończyła się numerem 177. W kolejce czekało jeszcze tuzin przedmiotów, głównie same kamienie i dwa bardzo cenne diamentowe pierścionki, które wyceniono na ponad milion dolarów każdy. Biżuteria Marguerite znalazła się tego wieczoru w doborowym towarzystwie.

Valerie uważnie śledziła licytację, szepcząc do Jane od czasu do czasu, gdy coś szczególnego przykuło jej uwagę. Jane zauważyła i podzieliła się z Valerie myślą, że te lepsze eksponaty sprzedają się za



czterokrotność wyceny, a jeden czy dwa sprzedawały się za sześciokrotnie więcej, co ucieszyło zapewne nie tylko sprzedających, lecz także dom aukcyjny. Ceny klejnotów Marguerite ustalono wysokie z mocną rezerwą, co oznaczało, że nie będzie można ich sprzedać za mniej niż określoną cenę, aby uniknąć sprzedaży poniżej ich wartości. Ceny szacunkowe były przedmiotem długiej dyskusji, ustalono je na podstawie marek jubilerskich oraz rozmiarów i wartości kamieni, z których wszystkie były najwyższej jakości i w rozmiarach już dzisiaj niespotykanych. Klejnoty w jej kolekcji były wyjątkowe i obecnie rzadko się takie widywało, a przez to cenniejsze, niż Marguerite mogłaby się domyślać czy mieć nadzieję. Gdyby sprzedała choć jeden lub dwa, mogłaby żyć w luksusie do końca życia. Valerie wzruszyła się, tym bardziej że wiedziała, iż matka zachowała wszystkie dla niej.

Kolejne przedmioty sprzedawano jeden po drugim, a głos licytatora płynął po sali. Doszło do kilku zaciekłych potyczek – jedna z nich rozegrała się pomiędzy znanym jubilerem a prywatnym kupcem, który nie potrafił zrezygnować z przedmiotu. Ostatecznie jubiler się wycofał po wywindowaniu ceny, a prywatny kupiec zapłacił dziesięciokrotną wartość wyceny, lecz wydawał się zachwycony.

O dziewiątej trzydzieści pięć nadeszła kolej na eksponat 155, a Valerie wzięła głęboki oddech, gdy młotek obwieścił koniec licytacji koktajlowego pierścionka z szafirem od Harry’ego Winstona, który sprzedał się za trzysta tysięcy dolarów. Nieco ponad szacunki, lecz w marginesie błędu. Zakupił go jubiler z zamiarem odsprzedania go za dwa razy drożej na Madison Avenue. Nadeszła ich kolej. Jane ścisnęła jej dłoń, gdy pojawiła się prosta diamentowa broszka od Van Cleefa. Dwie kobiety natychmiast podniosły swoje numerki. Jane zauważyła już wcześniej, że najwięksi jubilerzy, dobrze znani w Christie’s, nie musieli używać numerków – wykonywali niemal niedostrzegalne ruchy dłoni, a licytator znał ich numerki na pamięć. Osoby prywatne korzystały z tabliczek, niektóre licytowały, podnosząc dłonie. Niektórzy celebryci również ich nie używali. Wszyscy ich znali. Należało uważnie się przyjrzeć, aby ocenić, kto bierze udział w wyścigu. A jubilerzy pozwalali zazwyczaj, by osoby prywatne uległy gorączce, i wkraczali na późniejszym etapie.

W licytację broszki włączyły się jeszcze trzy inne osoby, czemu Valerie i Jane przyglądały się zafascynowane. Niektórzy z licytujących byli jubilerami. Jedna z kobiet postanowiła nie odpuszczać, a siedzący obok niej mężczyzna, prawdopodobnie jej mąż, licytował, dyskretnie unosząc rękę, co nie umykało uwadze prowadzącego aukcję. W końcu mężczyzna zwyciężył, licytator już miał uderzyć młotkiem, gdy znów włączył się jeden z jubilerów. Kobieta zrobiła załamaną minę, więc jej mąż wkroczył z determinacją. Tym razem rozległ się stukot młotka i broszka zmieniła właściciela. Kobieta ucałowała mężczyznę i uśmiechnęła się szeroko, gdy tymczasem na stole pojawiła się diamentowa brosza od Cartiera. Wszyscy przegrani poprzedniej aukcji rzucili się do walki od samego początku. Christie's doskonale przygotował grunt i wykorzystywał to w chwilach takich jak ta.

Licytacja broszki Cartiera była krótka i zaciekła, a klejnot sprzedano dwa razy drożej niż broszkę od Van Cleefa. Valerie uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech, i wypuściła go powoli, gdy pojawił się następny eksponat. Jednocześnie na dużym ekranie wyświetlono jego obraz. Valerie zerknęła na Phillipa, lecz ten rozmawiał przez telefon, miał ich przed sobą trzy, by móc zawieszać i odwieszać w ostatniej chwili połączenia, na których czekali ludzie. W sali dało się wyczuć ożywienie. Pierwsze dwa eksponaty z kolekcji Marguerite były przecież najmniej efektowne. Mimo to sprzedawały się zaskakująco dobrze, lepiej niż przewidział Phillip. Gdy teraz spojrzał na matkę, a ich oczy się spotkały, pokiwał głową z zadowoloną miną.

Przyszła kolej na tygrysią bransoletkę od Cartiera. Phillip wyjaśnił matce, że takie bransoletki są obecnie przedmiotami kolekcjonerskimi, a tego konkretnego modelu Cartier nie wytwarzał od czterdziestu lat, dla koneserów był to więc cenny łup. Był to klasyczny przykład projektu Cartiera. Licytacja potoczyła się gwałtownie i szybko, uczestniczyli w niej głównie jubilerzy i kilka osób prywatnych, a zakończyła się nieco poniżej miliona dolarów, które zaproponował sławny kolekcjoner biżuterii z Hongkongu. Kupił bransoletkę dla swojej żony, która miała ich już wiele z różnych kolekcji. Tygrysie bransoletki uwielbiała również księżna Diana, wspomniano o tym w wielu książkach.

Rozpoczęła się licytacja obroży z pereł i diamentów, która nie

należała do ulubieńców Valerie, choć nie można jej było odmówić urody. Marguerite miała tak szczupłą, piękną szyję, że gdy Valerie próbowała przymierzyć obrozę, okazała się za mała. Był to bez wątpienia relikwiarz minionej epoki, miał on w sobie jednak staromodną elegancję i stał się przedmiotem zacieklej rywalizacji pomiędzy dwoma znanymi jubilerami handlującymi zabytkową biżuterią w gigantycznych cenach, których nie obowiązywały żadne limity. Obróżka została sprzedana za niemałą sumę.

Kolejne eksponaty od Boucheron kupiły za pokaźne sumy osoby prywatne – które były bardziej zainteresowane wyglądem niż ceną tych pięknych kamieni.

Potem wrócili do Van Cleefa i jego naszyjnika oraz kolczyków z szafirów. Phillip przewidywał, że będą wysoko licytowane. Był to wyjątkowo udany przykład techniki oprawy szatonowej, a naszyjnik był masywny i korzystnie podkreślał linię dekoltu. Komplet osiągnął cenę prawie miliona dolarów, czemu Valerie przyglądała się z fascynacją. Jane nie odrywała wzroku od podium i licytatora, jakby zahipnotyzowało ją to całe wydarzenie. Należało uważnie rozglądać się po sali, by wiedzieć, kto licytuje. Niektórzy ludzie subtelnie kiwali głowami, inni robili miny, unosili rękę albo tylko palec.

Długi sznur naturalnych pereł stał się przedmiotem żartowej potyczki pomiędzy koneserami. Nie widywano już takich klejnotów. Valerie niemal spadła z krzesła, gdy perły sprzedawały się za dwa i pół miliona dolarów, co Phillip również przewidział. Teraz uśmiechał się szeroko – kupił je jeden z jego telefonicznych rozmówców, kobieta z Londynu, która bardzo się ucieszyła z wygranej aukcji. Czuwała do trzeciej w nocy, by licytować przez telefon. Udało się i była zachwycona.

Przyszła kolej na szafirowy pierścionek i bransoletkę, które kupili za najwyższe ceny jubilerzy wiedzący, komu można je sprzedać w Los Angeles i Palm Beach. Byli oni dobrze znani w Christie's, licytator rozpoznał ich niemal od razu.

Włoskie klejnoty od Bulgariego osiągnęły zawrotne ceny, inne, mniej znanych jubilerów, którzy już nie działali, całkiem dobre. Najbardziej imponującym eksponatem w tej grupie była bransoletka ze

szmaragdów i diamentów, którą kupiła nieznana osoba za pięćset tysięcy dolarów. Filigranową bransoletkę z diamentami kupił w telefonicznej aukcji pewien Włoch i dał za nią cenę dwukrotnie wyższą od wyjściowej. Nie był to klient Phillipa, lecz w Christie's dobrze go znano. Większość klientów preferowała wyroby znanych projektantów, które były również dobrą inwestycją, lecz czasami mniej znane klejnoty także przyciągały uwagę.

Aukcja trwała dłużej niż zwykle, ponieważ na sali toczyła się zacięta rywalizacja, zainteresowanie aukcją było ogromne, a przy tym wielu kupców podbijało ceny telefonicznie. Za piętnaście jedenasta pozostało jeszcze pięć przedmiotów – zabytkowy francuski diadem z brylantów i cztery cenne pierścionki od Cartiera, które miały być hitem aukcji. Licytator rozpoczął od diademu, który kupił handlarz antykami z Paryża. Gdy pokazano pierścionek z trzydziestokaratowym szmaragdem, wszyscy na sali zaniemówili. Valerie pod wpływem impulsu sięgnęła po dłoń Jane i uścisnęła ją. Pozostały już ostatnie pamiątki po jej matce, a fortunę z ich sprzedaży Valerie zamierzała pewnego dnia przekazać swojemu synowi jako swoje ostatnie błogosławieństwo.

Aukcja zaczęła się od wysokiej ceny wywoławczej, bo pięciuset tysięcy dolarów. Suma ta podwoiła się po paru minutach, potem znowu i od tego momentu wzrastała o setki tysięcy dolarów. Dźwięk młotka ogłosił koniec aukcji, kiedy padła propozycja, która zaskoczyła wszystkich – trzy miliony. Była to najwyższa cena uzyskana w ostatnim czasie przez Christie's za szmaragd tych rozmiarów, lecz bez wątplenia pierścionek był tego wart. Kupiła go osoba prywatna z Dubaju, przystojny Arab, który przybył z trzema pięknymi żonami. Był hojny wobec nich wszystkich. Jedna z nich zakochała się w pierścionku ze szmaragdem.

Następny był pierścionek z dwudziestopięciokaratowym rubinem o zdumiewająco głębokiej barwie, który bardzo szybko kupił kolejny prywatny kupiec za pięć milionów dolarów. Phillip nie był zaskoczony. Osoba ta była powszechnie znana, choć nie należała do jego klientów. Jubilerzy na tym etapie wycofali się z aukcji, ponieważ kolekcjonerzy prywatni byli gotowi zapłacić zawrotne sumy. Jubilerzy postanowili

więc zrezygnować z pierścionków, które okazały się kulminacją aukcji.

Pierścionek z czterdziestokaratowym białym diamentem o szlifie szmaragdowym wyglądał zjawiskowo na zdjęciu, które wyświetliło się na ekranie. Miał odcień D, czyli najlepszy i najczystszy, był pozbawiony skaz, a to wywindowało cenę. Licytacja była zaciekle i szybko osiągnęła pułap dziewięciu milionów dolarów w stutysięcznych interwałach. Licytator rozejrzał się po sali i skonsultował się z osobami obsługującymi telefony. Już miał opuścić młotek, gdy cena podskoczyła do dziesięciu, potem jedenastu milionów dolarów, by zatrzymać się na dwunastu. Młotek opadł, a w sali rozległo się westchnienie ulgi, że to już koniec. Był to ulubiony klejnot Valerie, wraz z pierścionkiem z rubinem, lecz nie chciała ich zatrzymać, nie pasowałyby do życia, które prowadziła. Woląca zainwestować pieniądze i pewnego dnia przekazać je synowi. Kupcy byli zobowiązani do zapłacenia dodatkowych dwudziestu procent ceny w ramach prowizji domu aukcyjnego dla przedmiotów poniżej miliona dolarów i dwunastu procent dla przedmiotów powyżej miliona, co dodawało jeszcze milion czterysta tysięcy dolarów do końcowej sumy. Oznaczało to, że duży biały brylant sprzedał się za niewyobrażalną sumę trzynastu i pół miliona dolarów.

Ostatni był pierścionek z żółtym pięćdziesięciosześciokaratowym brylantem. Valerie ścisnęła dłoń Jane z siłą imadła, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Kamień miał kolor określany jako „intensywny fantazyjny żółty” i również nie miał żadnych skaz. Walczyli o niego dwaj prywatni kolekcjonerzy, a w ostatniej chwili włączył się Laurence Graff, legendarny londyński jubiler, i z miną pozbawioną emocji zgarnął kamień za czternaście milionów. Graff skupował najlepsze kamienie z całego świata, wiedział więc zapewne, że może zażądać za nie więcej, jeśli oprawi je w wyrobie własnego projektu i pod swoim nazwiskiem. Biorąc pod uwagę prowizję dla domu aukcyjnego, zapłacił prawie szesnaście milionów dolarów.

Żółtym brylantem zakończyła się aukcja biżuterii Marguerite. Zebrali łącznie czterdzieści jeden milionów dolarów. Phillip podejrzewał, że będzie to dwadzieścia, trzydzieści milionów, lecz dom aukcyjny Christie's poprowadził aukcję tak sprawnie, że poradzili sobie lepiej, niż oczekiwali, zwłaszcza doliczając prowizję. Dom aukcyjny

wyszedł na swoje, podobnie jak Valerie jako właścicielka majątku matki. Od sumy końcowej musieli odprowadzić dziesięcioprocentową prowizję dla domu aukcyjnego, czyli cztery miliony, i sto tysięcy dolarów z cen początkowych, co oznaczało, że uzyskali z aukcji niemal trzydzieści siedem milionów dolarów. Valerie musiała opłacić jeszcze podatek od spadku, czyli osiemnaście i pół miliona dolarów, i pozostawało jej osiemnaście milionów do zainwestowania i ewentualnie przekazania Phillipowi. W tej aukcji liczyło się jednak dla Valerie coś więcej niż tylko pieniądze, choć one bez wątpienia były ważne. Aukcja miała dla niej głęboki wymiar emocjonalny, była wdzięczna swojej matce, że zachowała klejnoty do samego końca, nawet w trudnych czasach. Zapewniła swojej córce bezpieczeństwo i wygodę na ostatnie lata jej życia, choć sama po śmierci męża żyła skromnie, i nie wiedząc o tym, dodatkowo obdarowała wnuka.

Przedmioty po aukcji Marguerite sprzedawały się bardzo szybko. Wszystkie kolorowe diamenty kupił Laurence Graff. Spośród nich godne uwagi były przede wszystkim dwa różowe i bladoniebieski. Dwa „ważne” brylantowe pierścionki zakupili prywatni kolekcjonerzy za o wiele niższą sumę niż biały i żółty brylant Marguerite, które okazały się rarytasami na licytacji.

Po dwudziestu minutach aukcja dobiegła końca. Była jedenasta trzydzieści, co oznaczało, że trwała ona cztery i pół godziny. Valerie wyglądała strasznie. Była wyczerpana. Wszystko to okazało się niewiarygodnie stresujące, lecz było warto. Nie smuciła się z powodu tego, co stracili, lecz cieszyła się z tego, co zyskali. Był to gigantyczny nieoczekiwany przyływ gotówki dla niej, a ostatecznie także dla Phillipa. Uścisnęła syna, gdy tylko opuścił swoje stanowisko przy telefonach i dołączył do nich. Rozmawiała z Jane, która była zachwycona tym, co zobaczyła – pięknymi przedmiotami, fascynującymi kupcami oraz poruszeniem i napięciem biorących udział w aukcji. Jej wieczór przypominał mocny thriller.

– Czułam się, jakbym grała w filmie – powiedziała Valerie drżącym głosem.

Było jej szczególnie trudno, zastanawiała się bowiem, co przyniesie aukcja. W pewnym momencie doszła do wniosku, że nic się

nie sprzeda, mimo iż Phillip powtarzał jej, że to niemożliwe w wypadku takich kamieni. Ona jednak nigdy nie pojęła w pełni ich ogromnej wartości. Każdemu trudno by to było ogarnąć. Dla Jane wszystko to również było nowe. Stała obok Valerie równie zdumiona jak ona, gdy Phillip uściśnął je obie. Tylko szefowie Christie's, szef działu biżuterii oraz sąd zdawali sobie sprawę z tego, że pośrednio jest jednym z beneficjentów tego wieczoru.

– Świetnie sobie poradziliśmy! – powiedział do matki. – Poszło lepiej, niż oczekiwaliśmy. – Żaden przedmiot nie został sprzedany za cenę minimalną. Wszystkie zdecydowanie przebiły ten pułap. – Chodźmy świętować! – zaproponował obu paniom, choć również był zmęczony.

Miał za sobą długi wieczór, a praca przy telefonach z najpoważniejszymi oferentami wymagała od niego całkowitego skupienia, by nie przeoczył ich propozycji, nie pomieszał ich ani błędnie nie zrozumiał tego, co mówili, ze względu na ich mocny akcent lub słaby angielski. Rozmowy nagrywano na wszelki wypadek, gdyby doszło do sporu, co się czasami zdarzało. W grę wchodziły duże pieniądze, a ludzie nie bagatelizowali sytuacji, w których tracili coś, na czym im zależało, przez niekompetencję pośrednika. Phillip uważnie słuchał przez cały wieczór. Cieszył się z powodu klientów, którym się udało, a zwłaszcza matki. W pewien sposób zamknęła sprawy. Mogła teraz ruszyć dalej dzięki temu, co wiedziała o swojej matce, i temu, że poznała siłę jej miłości. Dla Valerie wszystko zmieniło się jeszcze przed aukcją.

Phillip zasugerował wizytę w Sherry-Netherland na drinka. Powiedział kolegom, że wychodzi, i wyprowadził panie z budynku. Valerie wyglądała na wstrząśniętą, a Jane była wyraźnie oszołomiona.

– Nie wiem, jak możesz mówić, że licytacje klejnotów są nudne – oświadczyła jego matka w samochodzie. – Miałam serce w gardle przez cały wieczór. Myślę, że Winnie dostałaby zawału i padłaby trupem na miejscu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem po jej słowach.

– Muszę przyznać, że dzisiaj nudno nie było, lecz to z powodu wyjątkowości tej aukcji. Obiekty były niezrównane, dzięki twojej matce. Poza tym miało to dla mnie znaczenie ze względu na ciebie. Zazwyczaj

jednak aukcje nie są takie. – Uśmiechnął się do niej. – Dzisiaj było szalenie ekscytująco, lecz taka aukcja zdarza się raz na sto lat, raz na całe życie. Niektóre wielkie aukcje dzieł sztuki są takie. Muszę jednak przyznać – uśmiechnął się do niej i do Jane – że naprawdę dobrze się bawiłem. Ale kto by się nie bawił?

Rezultaty przekroczyły jego najśmielsze oczekiwania, jego matka została zabezpieczona do końca życia, tak jak on, gdyby korzystnie zainwestowali pieniądze. Valerie zapragnęła od razu zadzwonić do Winnie, lecz było już późno. Jej siostra zapewne spała.

Zostali w barze w Sherry-Netherland do drugiej w nocy, próbując się rozluźnić i omawiając każdy szczegół aukcji. Valerie wciąż była poruszona, gdy odwieźli ją do mieszkania. Phillip i Jane postanowili nocować u niego. Valerie miała wrażenie, że młodzi spędzają ze sobą wszystkie wolne chwile i żeglują w każdy weekend, lecz o to nie zapytała.

Jane miała przed sobą jeszcze miesiąc zajęć, a potem uroczystość wręczenia dyplomów. Zaprosiła Valerie, pragnęła bowiem przedstawić jej swoich rodziców. Valerie obiecała, że przyjdzie, zaczynała bowiem podejrzewać, że ich związek to coś poważnego, mimo iż spotykali się dopiero dwa miesiące. Jane była jednak dokładnie taką kobietą, jakiej potrzebował Phillip, a Valerie miała nadzieję, że jest na tyle mądry, aby to dostrzec. Jane była dla niego dobra, uszczęśliwiała go. Był jednak dorosłym człowiekiem, który robił, co chciał. Valerie zamierzała od teraz postępować tak samo. Obiecała sobie, że pojedzie do Europy na co najmniej miesiąc, może dwa. Chciała zobaczyć, gdzie mieszkała jej matka w Rzymie po śmierci Umberta, przed powrotem do Stanów, a także odwiedzić *castello* w Neapolu, gdzie żyła z mężem. Miała to być dla niej swego rodzaju pielgrzymka. Zamierzała odwiedzić też Florencję, może Wenecję, jechać tam, gdzie nakaże jej serce. Teraz mogła robić, co tylko chciała. Przez resztę swojego życia. Dzięki Marguerite.

Zasnęła tej nocy, myśląc o aukcji. Cóż to był za oszałamiający wieczór!



## Rozdział 21

Kilka następnych tygodni Valerie poświęciła na zaplanowanie swojej podróży i próbę oswojenia się ze wszystkim, co się wydarzyło. Czasami nie mogła uwierzyć, że to prawda.

Odwiedziła jeszcze raz Fionę, aby jej podziękować, a stara niania wydała się jej jeszcze bardziej senna i zmęczona niż podczas poprzednich wizyt, choć wciąż myślała jasno. Jej opowieść zmieniła życie Valerie na zawsze. Może było to dziwne w jej wieku, lecz teraz Valerie miała więcej pewności siebie i nie czuła już wstydu, że przez całe życie różniła się od swoich krewnych.

Angie i Tom mailowo pogratulowali jej udanej aukcji. Czytali o niej w gazetach i uznali wynik za wspaniały. Cieszyli się jej szczęściem i błagali, by znów ich odwiedziła, dodali też, że rozważają wizytę w Nowym Jorku podczas jesiennego długiego weekendu. Walter czuł się dobrze, choć coraz bardziej tracił siły. Pojawiły się też pewne problemy zdrowotne, których dotąd nie miał. Należało się tego jednak spodziewać u dziewięćdziesięcioczerolatka. Na szczęście był zadowolony, zadbany i żył wygodnie.

Jane dokończyła pisanie pracy zaliczeniowej, poświęcając na to dwa weekendy na łodzi. Zgodnie z obietnicą Valerie pojawiła się w czerwcu na uroczystości rozdania dyplomów w szkole prawniczej i poznała jej rodziców. Okazało się, że mają wiele wspólnych tematów. Rodzice Jane byli mili i o wiele bardziej obyci w świecie, niż zakładała Valerie. Często jeździli do chicagowskich teatrów, opery i filharmonii, a także na balet. Raz czy dwa do roku odwiedzali też Europę. Matka Jane przed ślubem pracowała jako psycholog i wciąż była zapaloną narciarką – każdego roku szusowała we francuskich Alpach i uprawiała heliskiing w Kanadzie, co było bardzo wyczerpujące fizycznie. Była atrakcyjną, nadal młodo wyglądającą kobietą z niespożytymi pokładami energii i wieloma zainteresowaniami. Ojciec Jane był prezesem dużej firmy ubezpieczeniowej, a także inteligentnym, interesującym i przystojnym mężczyzną. Oboje byli zachwyceni Phillipem, gdy go poznali, polubili także Valerie. Matka Jane zwierzyła się Valerie, że bardzo martwi ją, iż Jane nie chce się ustatkować i za bardzo poświęca

się karierze. Była jedynaczką, więc skupiała na sobie uwagę rodziców, co Valerie rozumiała.

– Trudno usunąć się na bok, gdy już dorosną – oświadczyła Vivian Willoughby.

Była atrakcyjną blondynką o świetnej figurze, bardzo podobną do córki. Miała dopiero pięćdziesiąt parę lat, lecz wyglądała dużo młodziej, tak jak jej mąż Hank. Hank utrzymywał dobrą formę, miał opaloną twarz żeglarza o zdecydowanych rysach i każdy weekend spędzał na wodzie, niezależnie od pogody. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Wszyscy dobrze się razem bawili. Valerie bardzo ich polubiła.

Jane ukończyła studia z wyróżnieniem. W tym tygodniu odbyła trzy rozmowy w kancelariach. Tak się złożyło, że jedną z nich była kancelaria Penny. Phillip był z niej bardzo dumny i szepnął kuzynce słowo na ten temat na wszelki wypadek. Jane musiała jeszcze zdać egzamin adwokacki w lipcu, lecz Phillip był pewien, że jej się to uda. Jane nie miała aż takiej pewności.

– Chcieliśmy, żeby wróciła do Detroit – Vivian zwierzyła się Valerie, gdy stały w tłumie podczas ceremonii. Jane wyglądała bardzo uroczyście w todzie i birecie. – Albo chociaż do Chicago, lecz jej ogromnie się tu podoba. Podejrzewam, że jeśli dostanie dobrą pracę w Nowym Jorku lub jeśli jej związek z Phillipem przejdzie na kolejny etap, już nigdy nie wróci do domu. – Wydawała się smutna, lecz pogodzona z losem. – Nie jest łatwo mieć jedno dziecko. To stawianie wszystkiego na jedną kartę.

– Wiem. Phillip też jest jedynakiem. – Valerie się uśmiechnęła. – Tak jak moja siostrzenica. Jej matka ciągle się o nią martwi, mimo iż dziewczyna ma czterdzieści pięć lat, troje dzieci, jest szczęśliwą mężatką i partnerem w swojej kancelarii. Oni pozostają naszymi dziećmi, niezależnie od tego, ile mają lat.

Valerie była o wiele swobodniejsza niż Vivian, a do tego podchodziła z otwartym umysłem do decyzji syna. Matka Jane była nieco bardziej spięta, choć udało się jej wychować Jane na normalną, rozsądną osobę.

Państwo Willoughby zaprosili wszystkich na lunch do The Carlyle – Phillipa i jego matkę, a także Alex, która również przyszła na

wręczenie dyplomów. Spędzili uroczę popołudnie, świętując sukces Jane. Gdy Jane patrzyła teraz wstecz, wszystko wydawało się jej łatwe, choć przecież wcale takie nie było. Wiedziała, że dzień wcześniej John odebrał swój dyplom. Nie odzywał się do niej, odkąd się wyprowadziła. Zastanawiała się, czy wyjedzie teraz do L.A. z Carą. Nie tęskniła za nim, świetnie bawiła się z Phillipem, lecz wydawało się jej dziwne, że nie utrzymuje żadnego kontaktu z mężczyzną, z którym mieszkała przez prawie trzy lata. Wszystko ułożyło się jednak po jej myśli, a matka powiedziała jej, że bardzo polubiła Phillipa i Valerie.

– To uroczy człowiek – oświadczyła Vivian – a jego matka to prawdziwy wulkan energii. Powiedziała nam, że leci do Europy i planuje w pojedynkę zwiedzić Włochy, a gdy wróci, odbędzie się wernisaż i wystawa jej prac. Zamierza też odwiedzić swoich przyjaciół lub krewnych w Kalifornii i chyba w listopadzie zapisze się na kurs w Luwrze, a do tego działa w zarządzie Instytutu Kostiumów w Metropolitan Museum. Nie nadążałam za tym, co mówi. Czułam się przy niej jak ślamazara – podsumowała z podziwem. Wiedzieli też z mężem o niedawnej aukcji, która zrobiła na nich ogromne wrażenie.

– Ja też się tak przy niej czuję.

Jane roześmiała się na wspomnienie emocji i stresu, które towarzyszyły sprawie Marguerite, kontaktom z sądem do spraw spadkowych, badaniom DNA i aukcji. Valerie w tym wszystkim ani na minutę nie zwolniła tempa.

Jane i Phillip spędzili weekend z jej rodzicami. Zobaczyli sztukę na Broadwayu i zjedli kolację w 21. Kobiety poszły na zakupy, a Phillip i Hank na wystawę łodzi. Porównywali swoje klasyczne modele do tych nowocześniejszych, rozmawiali o żeglowaniu i łodziach niemal przez cały czas, a nawet zdołali się wymknąć na chwilę na *Słodką Sallie*, która ogromnie spodobała się ojcu Jane.

Wizyta była bardzo udana, lecz Jane ucieszyła się, gdy wyjechali. Zabawianie rodziców kosztowało ją wiele wysiłku – upewniała się, że dobrze się bawią, że mają wypełniony grafik, zapraszała ich na kolacje tam, gdzie chcieli, i pilnowała, by się nie przemęczali. Uwielbiała się z nimi widywać, lecz z radością ucałowała ich na pożegnanie i wróciła do swojego mieszkania z Phillipem, by w łóżku spędzić spokojny

niedzielny wieczór.

Kochali się, a potem przetrząsnęli lodówkę w poszukiwaniu kolacji. Jane jadła nago resztki kurczaka, gdy zapytała go, jakie ma plany na ten tydzień, a on wybuchnął śmiechem.

– Mam nadzieję kochać się z tobą, jeśli dalej będziesz tak chodziła po domu.

Uśmiechnęła się i odłożyła kurczaka, po czym zarzuciła mu ręce na szyję.

– Najlepsza propozycja, jaką dzisiaj słyszałam. – Pocałowała go.

– We wtorek odwożę mamę na lotnisko – powiedział stłumionym głosem. Całował jej szyję, przyciskając dłonie do jej krągłych, jędrnych pośladków. – Poza tym, że chodzę do pracy, nie mam innych planów. Czemu pytasz?

– Zamierzam w tym tygodniu uczyć się do egzaminu. Pomyślałam, że może moglibyśmy zrobić sobie wagary w piątek i spędzić trzy dni na łodzi. Wzięłabym książki. – Cieszyła się, że wreszcie skończyła studia. Miała w tygodniu trzy rozmowy o pracę, lecz poza tym powoli odzyskiwała spokój. Osiągnęła swój największy cel.

– Muzyka dla moich uszu – powiedział, mając na myśli trzy dni na *Słodkiej Sallie*, po czym wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. To był idealny niedzielny wieczór.

Winnie odwiedziła siostrę w poniedziałkowe popołudnie, aby się z nią pożegnać. Valerie się pakowała. W zasadzie już skończyła, mogły więc napić się mrożonej herbaty. Winnie miała katar sienny, jak zawsze o tej porze roku, i bardzo przeżywała wyjazd Valerie.

– Jak długo cię nie będzie? – zapytała smutno.

– Nie wiem. Trzy tygodnie, miesiąc, może dłużej. Może sześć tygodni. Mam ochotę trochę się powłóczyć. To był dla mnie stresujący okres.

Było to spore niedopowiedzenie. Winnie wciąż czuła się wstrząśnięta tym, co się wydarzyło, zwłaszcza odkąd dowiedziała się prawdy o swoich rodzicach, która okazała się bardzo bolesna. Jeszcze nie doszła do siebie, choć Valerie wyglądała lepiej niż kiedykolwiek – nabrała sił i poczucia własnej wartości dzięki ujawnionej prawdzie.

– Chyba bardziej cię lubię w roli ciotki – zażartowała z Winnie. – Młódziej się czuję.

Tak też wyglądała. Winnie wydawała się na tyle stara, by być jej matką, choć przecież między nimi była różnica tylko czterech lat.

– Nie mów tak. Wciąż nie otrząsnęłam się z tego, że już nie jesteśmy siostrami. – W oczach Winnie błysnęły łzy.

– Pokochasz mnie jako swoją siostrzenicę – oświadczyła Valerie, po czym pochyliła się i pocałowała ją w policzek, obejmując ramieniem jej barki. Łatwiej jej było żartować z obecnej sytuacji. Zapomniały o gniewie Winnie i jej oskarżeniach. Pogodziły się głównie dzięki wielkoduszności Valerie i jej radosnemu usposobieniu. Wszystko się ułożyło. – Może przyjedziesz do mnie do Europy? Dobrze by ci to zrobiło.

– Wręcz przeciwnie. Nienawidzę twojego sposobu podróżowania. Skaczesz z miejsca na miejsce, zmieniasz plany co pięć minut, meldujesz się w hotelach, by się zaraz wyprowadzić. To by mi zszarpało nerwy. Mam ochotę pojechać dokądś, usiąść i się nie ruszać. Nie chcę się pakować co pięć minut.

– Może wynajmiesz dom w Hamptons? – zasugerowała Valerie.

– To zbyt drogie – mruknęła kwaśno Winnie. – Nie stać mnie.

Valerie posłała jej znaczące spojrzenie. Winnie zawsze narzekała na swoje ubóstwo.

– Ależ stać cię i dobrze o tym wiesz. Jesteś po prostu za skąpa, żeby wydać te pieniądze – oświadczyła, na co Winnie wybuchnęła skruszonym śmiechem.

– To prawda – przyznała. – Penny wynajmuje dom na Martha's Vineyard tego lata. Powiedziała, że mogę przyjechać na weekend, jeśli nie będę dręczyć dzieci.

– A zdołasz się powstrzymać? – Valerie nie była tego pewna, Winnie również. Wnuki doprowadzały ją do szału, tak jak jej córka, którą bezustannie krytykowała.

– Pewnie nie – wyznała Winnie szczerze. – Te dzieci są takie niegrzeczne i niewychowane, a do tego hałaśliwe, a Penny na wszystko im pozwala.

– To tylko dzieci, i wcale nie są takie złe. Nie robą nic złego

w moim studiu, gdy przychodzą z wizytą – odparła swobodnie Valerie. Lubiła dzieci Penny bardziej niż ich babcia.

– Lepiej z nimi postępujesz niż ja. Ja dobrze się z nimi bawię, gdy gramy w karty, ale poza tym działają mi na nerwy. Wiecznie się przemieszczają. Boję się, że coś rozleją albo rozbiją, i zazwyczaj tak to się kończy.

Valerie widziała ją wiele razy w towarzystwie wnuków i zgadzała się z Penny – dla wszystkich było to wyczerpujące przeżycie.

– Jeśli narobią bałaganu, posprzątasz. Możesz zatrzymać się w hotelu – zasugerowała, lecz Winnie nie chciała przecież rozwiązań. Po prostu lubiła narzekać.

– A po co wydawać pieniądze?

– Cóż, nie możesz siedzieć w swoim nowojorskim mieszkaniu przez całe lato – oświadczyła Valerie stanowczo. Zauważyła jednak, że nie przekonała Winnie.

– Dlaczego?

– To przygnębiające. Musisz dokądś pojechać, coś ze sobą zrobić.

– Nie jestem taka jak ty. Lubię siedzieć w domu.

Ich matka była taka sama. Zdaniem Valerie było to ponure i smutne. Ona pragnęła wychodzić, podróżować, poznawać nowych ludzi. Nie mogła się już doczekać wylotu do Europy nazajutrz.

– Będę za tobą tęskniła – wyznała Winnie cicho. – Dzwon do mnie.

– Oczywiście. Zacznę od Rzymu, żeby zobaczyć, jak mieszkała moja matka, zanim się tu przeprowadziła. A potem wybieram się do Neapolu zwiedzić *castello*. Phillip mówi, że jest piękne, obecny właściciel wszystko odrestaurował. Nie znał mojej matki, lecz Phillip przesłał mu kilka zdjęć jej i hrabiego na jego prośbę. Czuje do nich słabość.

Phillip przekazał jej adres i numery telefonów Saveria Salvatore; polecił jej go odszukać, aby mogła zobaczyć dom. Valerie posługiwała się komunikatywnym włoskim – na tyle, by dogadać się przez telefon, i o wiele lepiej niż Phillip, który napotkał barierę językową podczas rozmowy z Saveriem, mimo że zdołali się dogadać dzięki łamanej angielszczyźnie właściciela galerii. Phillip zauważył, że Włosi wolą francuski niż angielski, lecz jego francuski też nie był dobry. Jego matka

była w tym lepsza.

– Cóż, nie zapomnij dzwonić, gdy będziesz się włóczyła po całej Europie – przypomniała jej Winnie.

– Nie zapomnę. – Penny zakończyła niedawno postępowanie spadkowe w jej imieniu, a Valerie opłaciła podatki z wpływów z aukcji. Czuła się wolna jak ptak. – Chcę wtedy usłyszeć, że robisz coś więcej, niż tylko siedzisz w domu i grasz w brydża.

– Mam turniej tego lata. – Winnie rozpromieniła się na tę myśl.

– To dobrze. Zrób też coś jeszcze. Dla zdrowia.

Winnie pokiwała głową. Poczowała się naprawdę osamotniona, gdy się pożegnały. Czuła się tak, jakby traciła najlepszą przyjaciółkę tuż po tym, jak straciła siostrę, gdy dowiedziała się prawdy o Marguerite. Od miesięcy oplakiwała swoje złudzenia. Wszystko wydawało się zmieniać. Valerie i Penny rozmawiały o tym, a córka Winnie upierała się, że matka się dostosuje. Valerie nie była tego taka pewna. Winnie przez całe życie zaciekle broniła rodziców, nigdy ich nie krytykowała ani nie kwestionowała ich poczynań. Całkowicie im ufała. Gdy zerwano łuski z jej oczu, rzeczywistość okazała się dla niej trudna, a Valerie podejrzewała u niej depresję. Winnie nie była wesoła z natury, lecz w ostatnim czasie jej nastrój jeszcze się pogorszył. Na szczęście pogodziły się po zaciekłych wojnach o rodziców Winnie. Winnie wciąż próbowała tłumaczyć ich postępek swojej córce, lecz nie ośmielała się o tym wspominać przy Valerie. Okazało się, że Valerie miała rację przez wszystkie te lata.

Valerie miała nadzieję, że Winnie poradzi sobie sama latem. Wróciła do pakowania się po jej wyjściu. Nie mogła się już doczekać wylotu następnego dnia.

## Rozdział 22

Phillip przyjechał po Valerie do jej mieszkania we wtorek o czwartej. Specjalnie wyszedł wcześniej z pracy. Miała ze sobą dwie duże walizki i torbę do samolotu, pełną książek, magazynów, oraz swojego iPada. Musiała być na lotnisku o piątej, aby zdążyć na lot o siódmej do Rzymu. Wydawała się rozemocjonowana jak dziecko, gdy wszedł na górę po jej bagaże. Mówiła z ożywieniem przez całą drogę na lotnisko, opowiadając mu o swoich planach – chciała zwiedzić muzea, których jeszcze w Rzymie nie widziała, galerie we Florencji łącznie z Uffizi, gdzie była już niezliczoną ilość razy i nigdy jej się nie nudziło, oraz *castello* w Neapolu. Dalej jej plany nie sięgały. Rozważała przejażdżkę po Toskanii i przystanek w Paryżu w drodze powrotnej. Większość czasu chciała jednak spędzić we Włoszech.

– Zaraz. To jak długo zamierzasz tam siedzieć? Dwa lata? – zażartował Phillip.

– Być może. – Roześmiała się. Czowała się beztrosko i cieszyła się na tę podróż.

– Tak to zabrzmiało. Tylko nie zapomnij wrócić. Będę za tobą tęsknił – powiedział szczerze.

Cieszył się, że widzi ją w takim dobrym nastroju po wszystkim, czego się dowiedziała o swojej matce. Świadomość, że tak wiele obie ominęło, była przytłaczająca, lecz gdy dowiedziała się więcej o niej, o życiu, jakie wiodła, i o tym, że łaknęła informacji o córce, do której nie pozwolono jej wrócić, pomogło jej to czuć z nią więź nawet po jej śmierci. Świadomość, jak bardzo matka ją kochała, wynagrodziła jej pozbawione miłości dzieciństwo. Uleczyło to starą ranę, której Valerie nigdy nie dostrzegła, a która zawsze w niej była. W końcu uwolniła się od niepokojących duchów rodziców, którzy nigdy jej nie aprobowali i byli dla niej niemili przez całe swoje życie. Teraz była gotowa na nową przygodę, nawet jeśli miała już siedemdziesiąt cztery lata.

Gdy dotarli na lotnisko, pomógł jej nadać bagaż i odebrać kartę pokładową. Jeszcze przez chwilę stała z nim na chodniku przed wejściem do terminalu.

– Baw się dobrze z Jane, gdy mnie nie będzie – powie działa



z matczyną troską. Wciąż szanowała jego wolność wyboru jako mężczyzny. – Miło było poznać jej rodziców. To chyba dobrzy ludzie. Polubiłam ich.

Phillip również, do pewnego stopnia.

– Czasami bywają trochę zasadniczy – wyznał cicho. Jane na niego nie naciskała, lecz wyczuł, że jej rodzice mogą, zwłaszcza jej matka. Dała mu jasno do zrozumienia, że chce, by Jane wyszła za mąż, nawet jeśli sama Jane nie miała tego obecnie w planach.

– Mam nadzieję, że o mnie nie mówisz takich rzeczy – odparła Valerie, a Phillip się uśmiechnął.

– Skąd. Jesteś na to zbyt zajęta swoimi sprawami. – Wiedział, że matka pragnie, by był szczęśliwy, cokolwiek miałyby to oznaczać. Jemu zostawiała, jak to osiągnie i z kim.

– Jestem zadowolona, gdy widzę cię z dobrą kobietą, i nie chciałabym, abyś był sam. Tylko ty jednak możesz sobie to poukładać – odparła krótko, po czym dodała: – Jane to miła dziewczyna.

Uśmiechnął się.

– Owszem, a do tego jest dobrą żeglarką. I będzie dobrym prawnikiem. Wzięła udział w rozmowie w kancelarii Penny. Byłoby zabawnie, gdyby tam ostatecznie wylądowała.

Penny i Jane bardzo się polubiły. Kilka razy zjadły razem kolację, a teraz Phillip i Jane planowali spędzić długi weekend czwartego lipca z Penny i jej rodziną na Martha's Vineyard.

Cieszyła się, że matka nie naciska w sprawie jego prywatnego życia. Była zbyt zajęta swoimi sprawami, a sposób, w jaki rozkoszowała się każdą chwilą w pełni, służył mu za przykład. Między innymi to właśnie podziwiał w małżeństwie swoich rodziców – kochali się i szanowali, dawali sobie przestrzeń na to, by być tym, kim chcieli. Nigdy się nie ograniczali, nie przytłaczali, nie byli wobec siebie zaborczy i nie próbowali się zmieniać. Tolerowali swoje dziwactwa. Było to partnerstwo w pełnym znaczeniu tego słowa. Widywał podobne związki, lecz nigdy takiego nie doświadczył. Dopóki nie poznał Jane. Wiele znaczyło dla niego, że Jane i jego matka polubiły się i dobrze się dogadywały.

Zauważył, że Valerie chciałaby już wejść za bramkę, uścisnął ją

więc i ucałował, czując narastającą panikę niczym rodzic wysyłający swoje dziecko na obóz.

– Dbaj o siebie, mamó... Uważaj... Nie rób nic głupiego...

W Neapolu roi się od kieszonkowców... Uważaj, gdy tam będziesz... – Nagle przyszło mu do głowy tysiąc porad, których chciał jej udzielić.

Wybuchnęła śmiechem.

– Nic mi nie będzie. Ty dbaj o siebie. Możesz dzwonić do mnie na komórkę albo pisać maile. – Znów go uścisnęła, pomachała mu i weszła do terminalu.

Rozmyślał o matce i cieszył się jej radością, wracając do miasta. Udał się do mieszkania Jane, w którym ostatnio bez przerwy uczyła się do egzaminu.

– Twoja mama wsiadła do samolotu? – zapytała, robiąc sobie przerwę.

Podał jej kieliszek wina i uśmiechnął się w odpowiedzi na jej pytanie.

– Była taka szczęśliwa, że to aż dziwne. Uwielbia podróżować, praktycznie wbiegła na lotnisko. Nie może się już doczekać, by zobaczyć Neapol i Rzym. To jej dobrze zrobi. – Tyle ją ostatnio spotkało, a jej podróż zapowiada się cudownie.

W tej samej chwili Valerie gawędziła z osobą siedzącą obok niej w samolocie. Wybrała film i właśnie zamówiła posiłek oraz kieliszek szampana. Podróżowała liniami Alitalia. Kupiła sobie bilet w klasie business, aby wyspać się na pokładzie. Gdy wspomniała o tym Winnie, jej nowa ciotka zbesztła ją za szastanie pieniędzmi. Valerie odpowiedziała, że w ich wieku powinny cieszyć się takimi luksusami. Nie ma sensu oszczędzać do setnych urodzin. Pragnęła rozpieszczać samą siebie, zwłaszcza odkąd uzyskała pieniądze z aukcji. Nie miała zamiaru wszystkiego roztrwonić, lecz wiedziała, że podróż okaże się łatwiejsza i mniej męcząca w klasie business niż ekonomicznej. Taki wybór wydawał się rozsądny jej, lecz nie Winnie, która wolała zostać w domu i oszczędzać, nigdzie się nie ruszając.

Obejrzała film i zjadła ossobuco z makaronem, wypiła kieliszek dobrego czerwonego włoskiego wina, po czym ułożyła się do snu na

resztę siedmioipółgodzinnego lotu. Lądowanie w Rzymie było zaplanowane na ósmą rano czasu włoskiego, a ona miała nadzieję, że dotrze do Hasslera przed dziesiątą i będzie miała cały dzień na zwiedzanie. Adres matki zapisała na kartce, którą włożyła do torebki. To był pierwszy punkt jej planu. To z tego powodu leciała do Rzymu. Przez dwa dni zamierzała zwiedzać muzea i kościoły, nacieszyć się miastem i dużo spacerować. Potem planowała pojechać do Neapolu, by zobaczyć *castello*, kolejny punkt swojego planu. Marguerite mieszkała tam ponad trzydzieści lat, a w swoim rzymskim apartamencie – dwadzieścia. Włochy stały się dla niej domem, choć Valerie wiedziała z jej listów, że matka szczęśliwsza była w Neapolu z Umbertem, po jego śmierci czuła się w Rzymie samotna. Valerie mogła się tylko domyślać, że najlepsze lata upłynęły jej w *castello di San Pignelli*, gdy mąż jeszcze żył. Jej życie musiało być potem bardzo samotne, nie miała bowiem żadnych krewnych.

Bez problemów zasnęła w samolocie, na przebudzenie wypiała filiżankę mocnej kawy i postawiła stopę na włoskiej ziemi jako jeden z pierwszych pasażerów. Do hotelu Hassler pojechała taksówką i zameldowała się w małym pokoju podobnym do tego, w którym w marcu mieszkał Phillip. Pod stary adres matki udała się, gdy tylko wzięła prysznic i przebrała się w długą czarną bawełnianą spódnicę, podkoszulek, sandały i kapelusz panama. Wyglądała swobodnie i stylowo z długimi, prostymi, siwymi włosami spływającymi na plecy. Na nadgarstek wsunęła srebrne kółka. Wyglądała na artystkę.

Stała przed kamienicą matki, zastanawiając się, gdzie dokładnie mieszkała. Było to tak dawno temu, że na pewno nikt jej tu nie pamiętał ani nawet o niej wiedział. Cieszyła się świadomością, że znalazła się w okolicy, w której kiedyś mieszkała jej matka. Była to modna dzielnica mieszkaniowa I Parioli. Mijali ją spacerowicze i rowerzyści, ludzie na skuterach i w samochodach w rzymskich korkach przy wtórze klaksonów. Stała tam przez długi czas. Znalazła w pobliżu mały kościółek i zapaliła za matkę świeczkę, wdzięczna losowi, że ich drogi znów w jakiś sposób się skrzyżowały. W zamyśleniu dotknęła medalionu na swojej szyi, po czym usiadła w kościele, by wspominać matkę, podczas gdy starsze panie wchodziły, by zmówić różaniec lub

pogawędzić cicho z przyjaciółkami, po czym wychodziły. Kościół sprzątały zakonnice, a w środku było chłodno i przyjemnie. Zastanawiała się, czy jej matka tu przychodziła, czy w ogóle wierzyła w Boga po wszystkich nieszczęściach, które ją spotkały. Valerie rozumiałaby, gdyby straciła wiarę, i wcale by jej za to nie winiła.

Była to ładna okolica, czuła się w niej bezpiecznie, gdy pokonywała długi dystans dzielący ją od piazza di Spagna, gdzie mieścił się jej hotel, i sklepy na pobliskiej via Condotti. Wzruszyło ją odkrywanie świata matki i życia, jakie wiodła przez pięćdziesiąt lat spędzonych we Włoszech. Resztę dnia poświęciła na zwiedzanie kościołów. Zjadła wyśmienity lunch złożony z ryby i makaronu w niewielkiej trattorii. Przećwiczyła swój włoski na kelnerze, który rozumiał ją, mimo iż robiła błędy. Rozbawiło ją, że w Rzymie mężczyźni oglądają się za kobietami w każdym wieku – gdy szła, odwracały się za nią głowy, co skłoniło ją do uśmiechu. W Nowym Jorku to się nie mogło zdarzyć, a tutaj tak. Włosi sprawiali, że panie czuły się kobieco i atrakcyjnie, bez względu na wiek. A Valerie wciąż wyglądała świetnie ze swoją szczupłą figurą i piękną twarzą.

Tego popołudnia spacerowała przez wiele godzin i zjadła kolację w małej restauracji niedaleko hotelu. Nie lubiła jadać w restauracjach sama, lecz podróżowała bez towarzystwa i nie miała innego wyboru, jeśli nie chciała stołować się w swoim pokoju. Rozkoszowała się jedzeniem, a potem mocnym espresso, by w końcu wrócić do hotelu. Napisała kartki do Phillipa, Winnie i Babcocków. Jej rodzina się powiększyła. Babcockowie przyjeżdżali do Nowego Jorku jesienią – chcieli poznać Phillipa, a poza tym zaprosili ją na kolację i sztukę na Broadwayu.

Następny dzień spędziła podobnie – zwiedzała kościoły i galerie, podziwiała fontanny i pomniki, nasiąkała atmosferą Rzymu i obserwowała ludzi. Na trzeci dzień poleciała do Neapolu. Otrzymała kilka esemesów od Phillipa, w których pytał, jak się miewa. Zapewniła go, że czuje się dobrze i cieszy się Rzymem. Z lotniska pojechała taksówką do hotelu Excelsior, w którym mieszkali z Lawrence'em przed laty, a po drodze podziwiała widoki. Zobaczyła Wezuwiusz i Zatokę Neapolitańską. Przypomniała sobie też rozmowę z Phillipem

o Pompejach i jego wielkie zdumienie i fascynację tym miastem, gdy wyjaśniła mu, co się tam stało.

Nie chciała jeździć po Neapolu sama i ryzykować, że zabłądzi, wynajęła więc w hotelu samochód z kierowcą na popołudnie.

Zjadła lunch na hotelowym tarasie, a następnie zeszła na dół przywitać się z kierowcą wyposażona w adres swojej matki. Miała przy sobie numery telefonów do Saveria Salvatore, lecz nie zadzwoniła do niego. Nie chciała mu przeszkadzać. Pragnęła tylko zobaczyć *castello* i w chwili samotności pomyśleć o matce, osiemnastoletniej dziewczynie, i człowieku, którego pokochała niedługo po narodzinach córki.

Kierowca objaśniał jej mijane po drodze widoki. Mówił bardzo dobrze po angielsku. Pokazywał jej kościoły, najważniejsze budynki i domy, zapoznał ją pokrótce z historią Neapolu. Bardziej jednak interesowała ją jej własna historia. Tego dnia w mieście panował duży ruch, podróż na drugi jego koniec, gdzie znajdowało się *castello*, zajęła im więc nieco więcej czasu. Gdy dotarli na miejsce, wysiadła z samochodu w milczeniu i spojrzała z zachwytem na dawny dom matki. Tu Marguerite była już hrabiną kochaną przez męża i szanowaną przez wszystkich, którzy ją znali, jak Phillipowi powiedział Saverio Salvatore.

Valerie przez długą chwilę stała przy bramie. Wahała się, nie chciała przeszkadzać, a nikogo w pobliżu nie zauważyła. Brama była szeroko otwarta, a dziedziniec pusty. W garażu przerobionym z dawnej stajni stało czerwone ferrari, ale nikt się tam nie kręcił. Czując się jak włamywacz, weszła po cichu na dziedziniec. Miała na sobie sandały, dżinsy, białą koszulę oraz panamę. Dzień był gorący, a powietrze suche. Kapelusz chronił ją przed słońcem. Nikt jej nie zatrzymywał, przez chwilę spacerowała więc po sadach, winnicy i ogrodach, po czym zawróciła w kierunku *castello*. Wyobrażała sobie matkę, która spacerowała tutaj z Umbertem, rozkoszując się widokiem zatoki. Było to piękne, spokojne miejsce, a do tego doskonale utrzymane. Zauważyła w oddali dwóch ogrodników, lecz nie podeszli do niej. Szła właśnie przez dziedziniec, kierując się do samochodu, gdy przez bramę wjechało z rykiem srebrne lamborghini z opuszczonym dachem. Prowadził je mężczyzna o śnieżnobiałych włosach. Przez chwilę tak bardzo przypominał Umberta, że Valerie osłupiała i poczuła się zawstydzona,

gdy spojrział na nią i zmarszczył brwi. Szybko wysiadł z samochodu i podszedł do niej, patrząc na nią pytająco.

– *Sì, signora? Cosa sta cercando?*

Zapytał, czego szuka, a ona głupio by się poczuła, odpowiadając, że matki. Do tego mężczyzna uznałby ją po tym zapewne za wariatkę. Pewnie już tak o niej myślał. Poczuała się nieodpowiednio ubrana jak na włamywacza.

– *Scusi* – odparła podenerwowana. – *Che casa bellissima* – dodała, wskazując palcem dom i chwając jego urodę.

– *È una proprietà privata* – przypomniał jej. To własność prywatna.

Postanowiła, że zaryzykuje, nawet gdyby miała mu się wydać jeszcze głupsza lub bardziej nachalna.

– *Mia mamma era in questa casa molti anni fa* – wyjaśniła niezdarnie. – Moja matka mieszkała w tym domu wiele lat temu. – Na więcej nie pozwalała jej zardzewiały włoski. – *La contessa di San Pignelli* – dodała, szukając wymówki dla swojego najścia. – *Sono la sua figlia.*

Zmarszczył brwi, patrząc na nią. Wyjaśniła mu, że jest córką Marguerite.

– *Davvero?* – Naprawdę? – To prawda? – dodał, przechodząc na angielski, aby było łatwiej jej, nie jemu. Wydawał się zaintrygowany.

– Mój syn był tu kilka miesięcy temu. Pan go chyba poznał. To Phillip Lawton. Przesłał panu fotografie mojej matki i ojczyma, hrabiego i hrabiny. Dał mi pańską wizytówkę, signore Salvatore – wyjaśniła nieśmiało.

Mężczyzna oniemiał.

– Nie powiedział mi, że to jego dziadkowie.

– Wtedy jeszcze nie wiedział. To długa historia.

– A pani jest piękną córką hrabiny. Zdjęcia są w domu. – Wskazał gestem *castello* zafascynowany nieznajomą.

Valerie uśmiechnęła się do niego, wdzięczna, że pamiętał Phillipa i nie kazał się jej wynosić.

– Bardzo przepraszam, że tak się panu narzucam. – Wciąż jeszcze czuła się podenerwowana i nieuprzejma. – Przyjechałam do Neapolu, by

zobaczyć, gdzie moja matka mieszkała z hrabią. To głupie, wiem. Już nie żyje, a ja przyleciałam do Włoch, żeby zobaczyć jej dom. – Nie wyjaśniła mu, że nigdy jej nie poznała i dopiero niedawno odkryła tożsamość swojej matki. Było to zbyt skomplikowane do wyjaśnienia w jakimkolwiek języku.

– Chce pani zobaczyć dom? – zapytał uprzejmie.

Nie zdołała się powstrzymać i skinęła głową. Rozpaczliwie tego pragnęła. Właśnie dlatego tu przyjechała, dlatego odbyła całą tę podróż.

Oprowadzał ją po domu o wiele dłużej niż Phillipa. Pokazał jej sypialnię hrabiego i hrabiny, którą teraz zajmował, ich prywatne apartamenty z piękną biblioteką pełną starych książek oraz mały gabinet, w którym pracował Umberto. Valerie nie wiedziała, czym dokładnie zajmował się ojczym, i nie chciała pytać. Jej matka miała tam uroczy buduar i garderobę, która teraz stała pusta. Stare tapety były ręcznie malowane i wyglądały na weneckie zabytki z siedemnastego wieku. Były tam też saloniki i puste sypialnie, które Saverio przerobił na pokoje gościnne, majestatyczne żyrandole ze świeca mi, nobliwa jadalnia z długim stołem, gobelinami i eleganckimi krzesłami, główny salon Saveria, oraz duża przytulna kuchnia z widokiem na zatokę. Dom był duży i wytworny, lecz wręcz idealny, by zapewnić wygodę i przytulny klimat. Pragnęła zamknąć oczy i wyobrazić sobie matkę w tych pokojach. Na dużym pianinie zauważyła jedno ze zdjęć przesłanych przez Phillipa w srebrnej ramce. Stało na honorowym miejscu. Tak jak Phillip zauważyła też imponującą kolekcję sztuki współczesnej, którą nowy właściciel z sukcesem wymieszał z antykami, tworząc udany mariaż. Był dobrym dekoratorem wnętrz i miał świetny gust. Wycieczka zakończyła się w kuchni, gdzie Saverio zaproponował jej kieliszek wina. Zawahała się. Nie chciała się narzucać ani wykorzystywać nadmiernie jego uprzejmości.

– Przepraszam, że panu przeszkodziłam – powiedziała ze skruszoną miną, a on się uśmiechnął.

– Wiem, jak to jest z rodziną. Moja matka umiera, gdy byłem dzieckiem... Zawsze chcę się o niej dowiedzieć. Może jak ty? – zapytał, rozlewając schłodzone białe wino do kieliszków. Wręczył jej jeden, a drugi zostawił sobie. Zaprowadził ją na taras, gdzie usiedli.

Rozpościerał się z niego widok na doskonale utrzymane ogrody, o które zadbał. – Matka jest bardzo wyjątkowa – zawyrokował, sącząc chłodne wino. – Lubię bardzo twojego syna, gdy go poznaję. To dobry człowiek.

Uśmiechnęła się, słysząc komplement pod adresem Phillipa.

– Dziękuję. Też tak uważam. Pan ma dzieci? – zapytała.

Uśmiechnął się lekko i uniósł dwa palce.

– Dwoje. *Un ragazzo a Roma* – chłopca w Rzymie, co zrozumiała. – *E la mia figlia a Firenze*. Moja córka pracować ze mną w mojej galerii. Mój syn jest dyrektor mojej galerii w Rzymie. Sztuka – wyjaśnił, wskazując wiszące w domu obrazy. – Twój syn sprzedaje sztukę w Christie's – przypomniał sobie – *e gioielli*. – Klejnoty.

– Tak. Mam tylko jednego syna. – Uniosła jeden palec z uśmiechem. – I jestem artystką. – Pokazała, że maluje, co zrobiło na nim duże wrażenie.

– *Brava!* – skomplementował ją.

Przez chwilę rozkoszowali się widokiem, a Valerie znów pomyślała o matce. Niemal czuła jej obecność tutaj, gdzie mieszkała przez wiele lat i chyba była szczęśliwa. Było to ciepłe, przytulne miejsce. Saverio wyjaśnił jej tak jak Phillipowi, że kocha ten dom całym sercem.

– Teraz jedziesz na Capri? A może Amalfi? Sorrento? Positano? Na wakacje?

– Nie – odparła, kręcąc głową. – *Firenze*. – Do Florencji. Nie zamierzała sama jechać nad morze, a wiedziała, że o tej porze roku na Capri roi się od turystów, co tym bardziej ją zniechęcało. Pragnęła zwiedzać miasta i oglądać skarby sztuki. Rozważała też wyjazd do Wenecji. Tam mogła zobaczyć więcej niż w Positano czy na Capri. Uwielbiała odwiedzać muzea i galerie.

– Ja też – powiedział. – Wracam do *Firenze* na kilka dni, do pracy. Tu jestem, by odpoczywać – wyjaśnił z przekonaniem. Wjechał na dziedziniec swoim lamborghini na pełnym gazie, co jej zdaniem nie licowało z wypoczynkiem. – Przyjeżdżam tutaj raz, dwa razy na miesiąc, żeby odpocząć. – To brzmiało sensownie. – Poza tym *Firenze, Roma, Londra, Parigi*. Interesy.



Pokiwała głową, rozumiejąc nazwy miast, które wymienił. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż w końcu wstała, dochodząc do wniosku, że dostatecznie długo mu się narzucała.

– Proszę, zadzwoń do mnie, gdy przyjedziesz do *Firenze*, zobaczysz moją galerię i poznasz córkę – zaproponował uprzejmie. – Zjesz z nami lunch.

– Bardzo chętnie – odparła.

Odprowadził ją do samochodu, przy którym czekał kierowca. Na dziedziniec wjechał mężczyzna w mercedesie, a Saverio pomachał do niego, jakby się go spodziewał.

– Przepraszam, że zabawiłam tak długo. Dziękuję za wycieczkę po domu.

Wydawała się poruszona. Uśmiechnął się do niej.

– Nic się nie stało. To była przyjemność i zaszczyt.

Pochylił głowę, by ucałować jej dłoń, a ona poczuła się jak ktoś bardzo ważny, prawie papież. Nie była przyzwyczajona do tej europejskiej tradycji, którą honorowano kobiety.

– *Mille grazie* – powtórzyła.

Nieznajomy mężczyzna podszedł do nich i zaczął szybko wyrzucać z siebie włoskie słowa. Saverio postanowił ich sobie przedstawić.

– Valerie Lawton – podpowiedziała mu.

– Signora Lawton, *a presto...* *A Firenze* – powiedział, po czym wrócił do domu, z ożywieniem rozmawiając ze swoim kolegą.

Nie mógłby być dla niej miłszy, dokładnie tak, jak opowiadał Phillip. A przecież była nieproszonym gościem. Była to dla niej bardzo udana wizyta, tak wiele zobaczyła – sypialnię swojej matki, jej garderobę, jadalnię, salon i ogrody. Teraz jednak dom należał do Saveria, a nie do nich. Czowała się nieco zawstydzona swoim najściem, lecz cieszyła się, że przyleciała do Neapolu. Wiedziała też, że nie musi tam już więcej wracać, zobaczyła dom matki i zwiedziła go.

Tego samego wieczoru poprosiła recepcjonistę w hotelu, by zarezerwował jej lot do Rzymu na następny dzień. Chciała spędzić w stolicy jeszcze kilka dni, a potem udać się zgodnie z planem do Florencji. Nie wiedziała, czy zdobędzie się na odwagę, by zadzwonić do właściciela *castello* podczas swojego pobytu w tym mieście. Nie chciała

przeszkadzać mu w pracy. Może tylko z ciekawości zajrzy do jego galerii. Pielgrzymka dobiegła jednak końca. Reszta podróży miała być już tylko przyjemnością. A Marguerite Pearson di San Pignelli mogła spoczywać w pokoju.

## Rozdział 23

Drugi pobyt Valerie w Rzymie, po powrocie z Neapolu, okazał się jeszcze bardziej interesujący niż pierwszy. Zwiedziła liczne galerie i muzea, które miała w planach, zeszła do Katakumb, co zawsze chciała zrobić, odkryła masę zabytkowych kościółków ukrytych w wąskich bocznych uliczkach i zaczęła poznawać miasto na piechotę. Uwielbiała tu być, nawet sama, o czym powiedziała Phillipowi, gdy do niej zadzwonił. Zgodzili się oboje, że Saverio to bardzo miły człowiek, a Valerie zrelacjonowała synowi pobyt w jego domu i serdeczne powitanie, jakie ją tam spotkało.

– To wspomniały facet. Nasza rodzina wciąż mu się narzuca, a on nie ma nic przeciwko temu.

– Widziałam zdjęcie mojej matki, które mu przesłałaś. Oprawił je i postawił na pianinie, uroczy gest.

– Myślę, że się w niej kocha – skomentował Phillip.

Jego matka wybuchnęła śmiechem.

– Dokąd jedziesz teraz? – zapytał.

– Do Florencji. Resztę zaplanuję potem. – Nie dokonała jeszcze żadnych rezerwacji, zamierzała zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja. We Florencji było tyle dzieł sztuki, które nigdy jej nie mogły znudzić, że nie chciała się spieszyć. Rozważała wynajęcie samochodu, by zwiedzić Toskanię, lecz nie powiedziała o tym Phillipowi, nie chcąc go martwić. – Jak się miewa Jane? – zapytała go.

– Jest zajęta. Za trzy tygodnie ma egzamin adwokacki. Pewnie nie zamienię z nią nawet pięciu słów do tego czasu. Przeniosła się na kilka dni do siebie, żebym jej nie rozpraszał. – Wyjaśniła mu, że jest jak dziecko, gdy bezustannie próbuje ją całować i przytulać, a ona ma przecież naukę. Został więc skazany na banicję. Na szczęście mógł zająć się pracą.

Tego samego wieczoru Valerie zadzwoniła również do Winnie, tak jak obiecała. Siostra miewała się dobrze – pomimo swoich alergii. Brała udział w turnieju brydżowym, co poprawiało jej humor. Valerie powiedziała jej, że była w Neapolu i widziała dom, poznała jego właściciela, a teraz wróciła do Rzymu, by zwiedzić miasto.

– Dobrze, że z tobą nie pojechałam. Pewnie są straszne upały – orzekła Winnie płaczliwie.

– Jest gorąco, ale ja to kocham – odparła Valerie z radością i spokojem.

Następnego dnia postanowiła nie lecieć do Florencji, lecz udać się tam samochodem. Wynajęła mercedesa, wierząc, że jego solidność zapewni jej bezpieczeństwo. Portier załadował jej walizki do bagażnika. Po opuszczeniu Rzymu wyjechała na autostradę i trzymała się jej aż do Perugii, gdzie skierowała się ku Jezioru Trazymeńskiemu. Po czterech godzinach dotarła do Florencji. Trasę do hotelu Four Seasons Firenze odnalazła za pomocą GPS-u. Była z siebie bardzo zadowolona, gdy dojechała na miejsce. Spędziła w drodze wspaniały dzień, a w Perugii zjadła lunch.

Zostawiła samochód pod hotelem, zameldowała się w pokoju, przeszła przez piazza della Signoria i kupiła lody. Było cudowne, gorące popołudnie, a ona nie mogła się już doczekać wizyty w Galerii Uffizi następnego dnia. Było to jej ulubione europejskie muzeum, w którym spędzała całe dni podczas swoich podróży z Lawrence'em. Mekka każdego miłośnika sztuki, jak również ulubione miejsce Phillipa. Spacerowała po mieście godzinami, aż w końcu wróciła do hotelu i położyła się na łóżku, aby odpocząć. Roześmiała się do samej siebie na myśl, jak bardzo Winnie nienawidziłaby tej wycieczki, jak bardzo narzekałaby przez cały czas na chodzenie i upał, a także na determinację Valerie, by zobaczyć wszystko i wszystko zwiedzić. Dla niej byłby to najgorszy koszmar, a dla Valerie – spełnienie marzeń. Zastanawiała się, czy była pod tym względem podobna do matki.

Tego wieczoru zasnęła wcześniej i obudziła się, gdy nad Florencją wzeszło słońce, co mogła zobaczyć ze swojego pokoju. Stała w oknie z widokiem na miasto skąpane w świetle poranka – wyglądało jak obraz. Poszła na spacer, wróciła do hotelu na śniadanie i stanęła u bram Uffizi tuż po otwarciu. Została aż do lunchu, znów poszła na spacer i wróciła po południu. Gdy później krążyła po ulicach, przypomniała sobie o galerii Saveria. Sprawdziła adres na wizytówce, którą nosiła w torebce. Nie miała pojęcia, gdzie to jest, więc zatrzymała policjanta, by go zapytać. Odpowiedział jej po włosku, że to bardzo blisko, a ona uznała,

że zrozumiała wskazówki. Poszła ich śladem, a gdy skręciła za róg, dotarła na miejsce. Była to duża piękna galeria z masywną brązową rzeźbą na wystawie. Zaskoczył ją widok Saveria za szybą – wskazywał z naciskiem jakiś obraz, rozmawiając z młodą kobietą.

Czując wahanie, lecz także ciekawość, weszła do środka. Saverio odwrócił się, by na nią spojrzeć, i uśmiechnął się ze zdumieniem.

– *Signora Lawton... witamy w Firenze... brava!*

Wydawał się zachwycony jej widokiem, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Przedstawił ją swojej córce Grazielli, z którą rozmawiał. Młoda kobieta posługiwała się bezbłędnym angielskim. Panie gawędziły przez parę minut. Graziella musiała być w wieku Phillipa lub trochę młodsza. Po chwili wróciła do swojego biura na zapleczu galerii, a Saverio kontynuował rozmowę z Valerie w przyjacielski, otwarty sposób.

– Kiedy przyjechałaś? – zapytał z serdecznym uśmiechem.

– Wczoraj, samochodem – oświadczyła dumna ze swego osiągnięcia, a on znów skomplementował ją, wołając „Brava!”. – Cały dzień spędziłam w Uffizi – dodała.

Pokiwał głową.

– Tam dorastałem. – Uśmiechnął się do niej.

– Czy twoja rodzina zawsze była związana ze sztuką? – zapytała, zastanawiając się, czy ją rozumie.

Zrozumiał i pokręcił głową.

– Nie, mój ojciec był lekarzem, a matka pielęgniarką. Ojciec był bardzo zły, gdy dowiedział się, że chcę być artystą. Nie mam jednak talentu, więc sprzedaję sztukę innym ludziom. – Roześmiał się. – Myślał, że oszalałem, ale nie chciałem być lekarzem. Był ze mnie bardzo niezadowolony.

– Mój również nie chciał, bym została artystką. – Jej prawdziwy ojciec także miał talent, teraz to wiedziała, lecz doszła do wniosku, że to zbyt skomplikowane, by mogła to wytłumaczyć.

– Musisz mi pokazać swoje prace – powiedział z nutą zainteresowania w głosie.

– O nie – odparła skromnie. Rozpoznała w witrynie znane dzieło rzeźbiarza, którego darzyła podziwem. W żadnym razie nie należała do

tej ligi, tak przynajmniej sądziła.

Saverio odwrócił się do niej.

– Zjesz z nami kolację. Tak?

Zawahała się, po czym pokiwała głową. Nie miała żadnych planów, a on był przyjacielski, dobrze się jej z nim rozmawiało i łączyła ich miłość do sztuki.

– W którym mieszkasz hotelu?

Obiecał, że przyjedzie po nią o wpół do dziewiątej. Opuściła galerię, czując odwagę i ducha przygody. Lubiła poznawać nowych ludzi. Właśnie po takie doświadczenia przyleciała do Europy, nie tylko po to, by zobaczyć dom matki. Teraz mogła się bawić i relaksować, skoro najważniejsza część jej podróży dobiegła końca.

Nie miała pojęcia, dokąd pójść na kolację i co powinna włożyć, wybrała więc prostą czarną spódnicę, koronkową białą bluzkę i sandały na wysokim obcasie. Rozpuściła długie białe włosy, a w uszy wpięła małe diamentowe kolczyki, które Lawrence podarował jej z okazji dwudziestej rocznicy. Wzięła też szal, na wypadek gdyby zrobiło się chłodniej. Czekala w lobby, gdy Saverio podjechał pod hotel czerwonym ferrari. Wyglądał czarująco w doskonale skrojonej sportowej marynarce, białych spodniach i niebieskiej koszuli, z głęboką opalenizną i grzywą białych włosów. Wszedł do hotelu, odnalazł ją, ujął pod ramię i wyprowadził na zewnątrz. Wsiedli do ferrari, a ona ożywiła się jeszcze bardziej, gdy przedzierali się przez ruch uliczny, klucząc pomiędzy samochodami. Roześmiała się i spojrzała na niego. Jazda z nim nieco ją przerażała, prowadził jak typowy Włoch, lecz ogólnie się jej podobało.

– Przy tobie znów czuję się młoda! – zawołała z szerokim uśmiechem, przekrzykując ryk silnika.

– Jesteś młoda. – Uśmiechnął się do niej. – W naszym wieku możemy robić, co chcemy, jesteśmy tak młodzi, jak tylko pragniemy być. – Po chwili dodał: – Jesteś taka podobna do swojej matki. – Spojrzał na nią, gdy zatrzymali się na światłach.

– Chciałabym, by tak było – odparła z tęsknotą – lecz jestem podobna do ojca. – Odkryła to niedawno w Santa Barbara, gdy oglądała fotografie Tommy'ego, które pokazał jej Walter.

Miała jednak podobną do Marguerite mimikę, co Saverio zauważył

niemal natychmiast.

– W takim razie twój ojciec musiał być pięknym mężczyzną.

Uśmiechnęła się na ten komplement. Ruszyli z piskiem opon, gdy światło zmieniło się na zielone. Saverio był czarującym i zniewalającym towarzyszem, a także zapewne kobieciarzem. Pasowało to jednak do niego – był Włochem. Przy nim czuła się atrakcyjna.

W restauracji spotkali się z jego córką i jej mężem Arnaudem, którzy okazali się uroczy. Ona prowadziła galerię ojca we Florencji, on był Francuzem, pracował w miejscowej stacji telewizyjnej jako producent. Mieli dwuletnią córkę Isabellę. Na samą wzmiankę o niej oczy Saveria rozbłysły. Pokazał Valerie zdjęcie w telefonie. Mała miała na sobie spódniczkę baletnicy, aureolę blond loków na głowie i figlarny uśmiech.

– Masz wnuki? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Phillip nie ma żony. – Uznała, że to wyjaśnia sprawę, lecz się pomyliła.

– *Allora?* – powiedział Saverio, wykonując typowo włoski gest. – Mój syn Francesco nie ma żony, a ma dwoje pięknych dzieci z bardzo miłą dziewczyną.

Valerie się uśmiechnęła.

– Mój syn jeszcze nie doszedł do tego etapu – odparła uprzejmie z nadzieją, że nigdy do niego nie dojdzie. Była tolerancyjna i nowoczesna, lecz wyznawała tradycyjne wartości, mimo iż wiedziała, że kochałaby dzieci Phillipa niezależnie od jego wyborów.

– Dzieci zawsze cię zaskoczą – mruknął Saverio.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Jego angielski poprawiał się stopniowo, proporcjonalnie do ilości wina, które pili do kolacji. Jego córka i zięć bardzo dobrze mówili w tym języku. Doskonale bawili się podczas posiłku, a gdy młodzi wyszli, Saverio zaprosił ją do baru i restauracji ze wspaniałym widokiem na Florencję i nocne niebo. Nie był jeszcze gotów, by zakończyć wieczór, podobnie jak Valerie. Świetnie się bawiła.

– Valerie – zapytał z ciekawością – jesteś mężatką? Rozwódką? – Szukał kolejnego słowa, lecz nie znalazł.

– Wdową – podpowiedziała. – Mój mąż zmarł trzy i pół roku temu – dodała nie płaczącym, lecz rzeczowym tonem. Pogodziła się ze śmiercią Lawrence’a. Spędzili razem wiele wspaniałych lat. Wiódł dobre życie i jej dał cudowne.

– Jesteś sama?

Zrobił tak zdziwioną minę, że musiała się roześmiać.

– Tak. Jak wiele kobiet w moim wieku, gdy ich mężowie umrą. – Miała rozsądne podejście do tej kwestii. Nie szukała mężczyzny ani nawet go nie chciała. Dobrze jej było samej.

– Dlaczego? Jesteś piękną kobietą i zniewalającą. Dlaczego jesteś sama?

Trudno było to wyjaśnić, a ona nie chciała mu mówić, że do jej drzwi wcale nie ustawia się kolejka mężczyzn. Nie wychodziła z nikim od śmierci męża. Otrzymywała zaproszenia od znajomych wdowców, lecz ich nie przyjmowała. Zaakceptowała swoją samotność i czasami się nią nawet cieszyła. Tworzyli z Lawrence’em dobre małżeństwo. Byli szczęśliwi przez wiele lat. Nie chciała być chciwa ani głupio zakładać, że znajdzie znów coś takiego tylko po to, by doznać rozczarowania.

– Człowiek musi być sam, tylko jeśli chce. Chcesz być sama?

– Nieszczególnie. Ale mam różne zajęcia. Robię wiele rzeczy, które lubię.

– Ale robisz je sama?

Przytaknęła.

– To straszne. Ja mam siedemdziesiąt lat, Valerie. Nie uważam, by moje życie jako mężczyzny już się skończyło.

Postawił kwestię zdecydowanie i chyba rzeczywiście tak myślał. Zdumiał ją jego wiek. Podejrzewała, że ma co najwyżej sześćdziesiąt parę lat. Świetnie wyglądał, był bardzo przystojny.

– W wypadku mężczyzn jest inaczej – odparła rzeczowo. – Mają więcej wyborów. Możesz się związać z dwudziestopięcioletnią dziewczyną, jeśli tylko chcesz. Ja wyglądałabym w takim związku nedorzecznie. Mężczyźni w twoim wieku zakładają nowe rodziny z młodymi kobietami – dodała.

Pokiwał palcem.

– Żadnych dzieci! Ja lubię kobiety, a nie dzieci czy młode



dziewczyny – oświadczył stanowczo.

Valerie ze zdumieniem uświadomiła sobie, że z nią flirtuje. Od lat jej to nie spotkało, nie była nawet pewna, czy tego chce. Pochlebiało jej to jednak i pasowało do scenerii. Była we Włoszech, a obok niej siedział czarujący, przystojny, inteligentny mężczyzna. Może mały flirt nie zaszkodzi. Winnie padłaby trupem na samą myśl, lecz nie wyobrażała sobie, by Saverio zaczął z nią flirtować. Zachciało się jej śmiać.

– Ja nie wierzę w wiek – kontynuował zdecydowanie Saverio. – To bardzo ciasna koncepcja. Jak małe pudełko. Za małe dla ciebie. Nie masz żadnych granic, jesteś wolna.

Nie mylił się co do niej. Podobały jej się jego słowa. Uważał, że akceptowanie przesądów dotyczących wieku jest zbyt ograniczające, najwyraźniej dla niego również. Była to kusząca idea. Rozmawiali o tym jeszcze przez jakiś czas, a ona z zadowoleniem zauważyła, że przestał pić szampana, ponieważ prowadził, lecz zachęcił ją, by zamówiła jeszcze jeden kieliszek, co uczyniła. Na następny dzień nie miała żadnych planów, mogła dłużej pospać.

– Pragnę pokazać ci Florencję – oświadczył, płacąc rachunek.

Gdy wychodzili, odkryła, że bar to w rzeczywistości klub. Zastanawiała się, czy Saverio często tu przychodzi i czy umawia się z wieloma kobietami. Uosabiał wszystkie stereotypy o włoskich mężczyznach, lecz wydawał się szczerzy. Gdy wsiedli do samochodu, zwierzył się jej ze swego uczucia do Marguerite.

– Kocham twoją matkę. Byłem... *la prima volta*... gdy po raz pierwszy zobaczyłem jej zdjęcie. To kobieta pełna magii i zagadek. Hrabia ją ubóstwiał.

Nie była pewna, skąd to wiedział, lecz mu uwierzyła. Ich wspólne zdjęcia, listy jej matki i ekstrawaganckie podarunki stanowiły jasny dowód.

– Żałuję, że jej nie znałam – szepnęła.

– Nie znałaś? – Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie i smutek, gdy Valerie pokręciła głową.

– Nigdy jej nie spotkałam. Nie wiedziałam, że istnieje, aż do niedawna. To długa historia.

Zbyt długa, by opowiadać ją teraz, a on nie chciał dopytywać.

– Pewnego dnia o tym porozmawiamy – zadeklarował z przekonaniem. – Mamy wiele do omówienia.

Gdy przyszło jej coś do głowy, uznała, że pragnie poznać odpowiedź na to pytanie, zanim ich przyjaźń się rozwinie, jeśli to w ogóle możliwe.

– Jesteś żonaty, Saverio?

– Dlaczego pytasz? – Odwrócił się do niej z zaciekawioną miną.

– Zastanawiałam się nad tym.

– Myślisz, że wszyscy Włosi uganiają się za kobietami. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Nie, ja nie uganiam się za kobietami. Lubię tylko te wyjątkowe. Takie jak ty. Jestem w tej samej sytuacji co ty. Moja żona zmarła, gdy dzieci były małe. Miała raka. Graziella miała pięć lat, a Francesco dziesięć. – Opowiadał o tym rzeczowym tonem, jak wcześniej Valerie. To było dawno temu, był wdowcem znacznie dłużej niż ona. Trzydzieści lat. Dodał, że nigdy nie ożenił się ponownie. Nigdy nie spotkał innej kobiety, którą chciałby poślubić.

Valerie była pewna, że przez jego życie w ciągu tych trzydziestu lat przewinęło się wiele kobiet, lecz polubiła go. Był pełen energii, zabawny, dobrze się przy nim bawiła. Dostrzegła w nim też głębię.

Odwiózł ją do hotelu i tym razem pocałował powściągliwie w policzek, a nie w rękę.

– Czy możemy zjeść jutro razem lunch?

Bawił ją. Nie straciła dla niego głowy jak młoda dziewczyna, bez wątpienia był flirciarzem i uwielbiał kobiety, lecz okazał się też zachwycającym mężczyzną.

– Bardzo bym chciała – odparła swobodnie.

– Przyjdiesz do galerii?

– Tak – obiecała.

– Pójdziemy do restauracji z pięknym ogrodem – oświadczył.

Podziękowała mu i pomachała, gdy wysiadła z samochodu.

Odprowadził ją wzrokiem do hotelu, po czym odjechał z rykiem silnika swoim ferrari. To był cudowny wieczór dla nich obojga.

## Rozdział 24

Następnego dnia Valerie pojawiła się w galerii o dwunastej trzydziści. Saverio zabrał ją do restauracji z ogrodem, który okazał się tak ładny, jak zapowiedział. Siedzieli przy stoliku i rozmawiali przez trzy godziny – opowiedziała mu o swojej matce i zafascynowała go tym, a zwłaszcza sposobem, w jaki wpadła na jej ślad: poprzez skrytkę depozytową, zdjęcia przedstawiające ją jako dziecko oraz wyznanie Fiony.

– To przeznaczenie, Valerie – oświadczył z przekonaniem w głosie. – To nie są przypadki. – A potem zaskoczył ją, dodając: – Może nasze spotkanie to też przeznaczenie.

Jej zdaniem było jeszcze za wcześnie na takie deklaracje, choć spodobał się jej ten pomysł. Przecież istniała taka możliwość. Nie skomentowała tego jednak.

Odprowadził ją do hotelu, a ona spędziła wieczór w pokoju, czytając i robiąc listę wszystkiego, co chciała zobaczyć we Florencji. Następnego dnia razem odwiedzili Uffizi. Saverio miał tysiąc planów na to, co chciałby z nią zrobić i jej pokazać. W weekend objechali Toskanię w ferrari z opuszczonym dachem. Zaprosił ją na przyjęcie wydawane przez jego przyjaciół, z których wielu mówiło po angielsku. Przedstawił ją swojemu synowi, gdy ten przyjechał do miasta. Spotkała uroczą Isabellę. Czas płynął, a ona doskonale się bawiła. Przez dwa tygodnie pozwalała, by to życie nią kierowało, zastanawiając się, czy powinna jechać dalej. Wspomniała mu o tym pewnego wieczoru przy kolacji. Codziennie zabierał ją do innej restauracji.

– Dlaczego chcesz opuścić Florencję? – zapytał w odpowiedzi na jej pytanie, robiąc urażoną minę. – Jesteś nieszczęśliwa?

– Ależ nie, cudownie się bawię. Nie mogę tu jednak zostać na zawsze. A ty masz swoje życie, Saverio. Jesteś zajęтым człowiekiem, a poświęcasz mi wiele czasu. Nie chcesz wrócić do swoich spraw?

– Nie. Uwielbiam z tobą przebywać. – Czasami mówił do niej po włosku, a ona go rozumiała, jeśli nie używał skomplikowanych zdań. – Jest dla ciebie miejsce w moim życiu.

Nie mogła jednak mieszkać w hotelu we Florencji, by z nim być.

Cieszyła się, że w jej życiu znów jest mężczyzna – lubiła z nim rozmawiać, dzielić się pomysłami, robić razem różne rzeczy. Nigdy nie знаła takiego człowieka. Przy nim znów czuła się jak kobieta, wiek nie grał roli. Fakt, że był od niej o cztery lata młodszy, nie miał żadnego znaczenia.

– Może pojedziemy na dwa dni do Rzymu? – zasugerował i dwa dni później tak właśnie zrobili.

On zatrzymał się w swoim mieszkaniu położonym niedaleko miejsca, w którym mieszkała jej matka, a ona zarezerwowała pokój w Hassler. Nie naciskał, aby zamieszkała z nim. Za dobrze ją już znał. Gdyby coś się miało pomiędzy nimi wydarzyć, musiał dać jej czas, by uwierzyła, że to prawdziwe uczucie, a nie tylko gra z jego strony. Traktował ją bardzo poważnie, a jego dzieci odnosiły się do niej z ogromną sympatią. Jego córka Graziella wspomniała nawet coś o tym w galerii pewnego popołudnia, gdy Saverio musiał wyjść na spotkanie i zostawił Valerie, by na niego przez godzinę zaczekała.

– Wiesz, mój ojciec jest o wiele poważniejszym człowiekiem, niż wskazywałyby pozory. Wygląda, jakby się bawił, i kocha kobiety, zwłaszcza te ładne. – Uśmiechnęła się do Valerie. – To mężczyzna i w dodatku Włoch. Ale bardzo poważnie traktował tylko kilka kobiet w całym swoim życiu. Od bardzo dawna jest sam. Był zakochany dziesięć lat temu, lecz ona zmarła tak jak moja matka. Od tamtej pory nie pokochał żadnej kobiety. Myślę, że naprawdę cię lubi. I zapewniam cię, że z jego strony to nie jest tylko gra.

Jej słowa wzruszyły Valerie, a także dały jej wgląd w tę część życia Saveria, której jeszcze przed nią nie odsłonił. Nie wspomniał dotąd o kobiecie, która zmarła dziesięć lat temu.

Wspaniale bawili się w Rzymie – pokazał jej zakątki miasta, których dotąd nie poznała. Prawdziwy Rzym znany tylko Rzymianom i przez nich kochany. Gdy odprowadzał ją do hotelu po kolacji w pobliskiej restauracji w drugi wieczór ich pobytu, pocałował ją na Schodach Hiszpańskich, a ona ze zdumieniem odkryła, że w jego pocałunku więcej było czułości niż namiętności. Odczuła to jak prawdziwy pocałunek od prawdziwego mężczyzny, który żywił wobec niej prawdziwe uczucia. Obudziło się w niej coś, co jej zdaniem umarło

wiele lat temu. Pocałował ją raz jeszcze przed drzwiami jej pokoju, lecz nie zaprosił go do środka. Jeszcze nie mogła. Zaczynała się też obawiać tego, co dalej. Nie mogła tak po prostu zostać z nim we Włoszech. Wcześniej czy później musiała wrócić do Nowego Jorku. Próbowała mu to wyjaśnić, lecz on zadał jej to samo pytanie co wcześniej.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Mam tam życie, syna.

– Twój syn jest już mężczyzną, Valerie, i ma własne życie.

Wkrótce ożeni się lub pokocha kobietę. Nie masz pracy. Malujesz. Jesteś wolną kobietą. Możemy zamieszkać w Rzymie, Paryżu, Florencji, Nowym Jorku. W naszym wieku zrezygnowałabyś z tego, co mamy, aby zostać w jednym mieście, ponieważ myślisz, że jesteś za stara, by się zakochać? To byłoby głupie i niewłaściwe. Może przeznaczenie lub twoja matka chcieli nas połączyć i dlatego przyjechałaś do *castello*, gdzie się poznaliśmy. Może przeznaczenie chciało, bym kupił *castello* i mógł dzięki niemu później cię poznać, zwrócić ci dom twojej matki.

W jego ustach brzmiało to niezwykle poważnie i nieco przerażająco. Nie powiedziała Phillipowi o Saveriu. Po dwóch tygodniach jej pobytu we Florencji syn zapytał, czy miała już okazję odwiedzić jego galerię. Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, lecz nie chciała go okłamywać.

– Tak, byłam tam. Zjedliśmy razem kolację, poznałam jego córkę i zięcia. Są uroczy, na pewno byś ich polubił. A w Rzymie spotkałam jego syna.

– Naprawdę? Jak to się stało? – zapytał nieco zaskoczony.

– Pojechałam do Rzymu na dwa dni.

– Saverio to chyba świetny facet – wtrącił niewinnie. Nie miał pojęcia, że jego matka zakochuje się w tym mężczyźnie i nie rozstaje się z nim od trzech tygodni. Nie przyszło mu to nawet do głowy, nie myślał w ten sposób o matce. Dla niego nie była postacią z romansu, tylko jego matką.

– To uroczy człowiek – potwierdziła Valerie, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć Phillipowi, co się dzieje. Nie chciała jeszcze tego robić. Pragnęła chronić to, co łączy ją z Saveriem. A sprawy pomiędzy nimi nabrały tempa po ich pierwszym pocałunku w Rzymie.

Coś się zmieniło, gdy wrócili do Florencji. Po miesiącu znajomości zaprosił ją na weekend za miastem. Wciąż myślała o tym, co powiedziała jego córka – że jest o wiele poważniejszy, niż świadczą pozory. Nie podejrzewała, że coś takiego się jej jeszcze przytrafi, lecz teraz czuła, że nie zdoła już odwrócić biegu wydarzeń. Może miał rację, może właśnie tak miało być. Sama nie była już pewna, w co wierzyć.

Zabrał ją do Portofino, gdzie zatrzymali się w hotelu Splendido. Było to urocze miasto portowe, a oni czuli się jak nowożeńcy – spędzali leniwe poranki w łóżku, kochając się, spacerowali wąskimi uliczkami, jedli późne kolacje, wracali do hotelu i znów się kochali. Było to szalone i wspaniałe, a ona jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa.

Pewnej nocy leżeli w łóżku, a ona spojrzała na niego w świetle księżyca.

– Saverio, co my zrobimy? Muszę wracać. Nie mogę wiecznie uciekać. Muszę coś powiedzieć synowi.

– On nie jest twoim ojcem, tylko synem. Możesz robić ze swoim życiem, co tylko chcesz.

– Ty nie porzuciłbyś swoich dzieci. Ja nie mogę tego zrobić mojemu.

– Rozumiem. Przyjechałaś tu na lato. Daj je nam. Potem podejmiemy decyzję.

Pokiwała głową, a gdy znów zaczął się z nią kochać, zapomniała niemal, że wie gdzie żyje w Nowym Jorku w zupełnie innym świecie.

W następny weekend pojechali na Sycylię. Zatrzymali się u jego znajomych w Porto Cervo, gdzie bardzo się jej spodobało. Mieli piękny jacht, na którym spędzali całe dni, a do hotelu wracali tylko na noc.

Saverio zabrał ją też w podróż służbową do Wenecji. Polecieli na jeden dzień do Londynu, by zobaczyć obraz, który pragnął kupić. Ich drogi życiowe powoli splatały się, stawali się parą, a ona czuła się przy nim całkowicie swobodnie. Cieszyło ją wszystko, co razem robili. Zastanawiała się, czy jej matka tak właśnie czuła się z Umbertem, gdy dzieliła z nim życie.

W sierpniu spędzili tydzień w domu hrabiego w Neapolu, a ona od razu zrozumiała, dlaczego jej matka tak go kochała.

Gdy wrócili do Florencji, zadzwonił Phillip z pytaniem, kiedy

może się spodziewać matki w domu.

– Nie wiem – odparła szczerze, nie chcąc go denerwować. – Bardzo mi się tu podoba.

– Oczywiście rozumiem. Ja też kocham Włochy. Nie musisz się spieszyć. Przez najbliższe dwa tygodnie zamierzamy z Jane pływać w Maine. Chciałem się tylko zameldować.

Gdy to powiedział, poczuła się tak, jakby uzyskała odroczenie wyroku, i podzieliła się tą myślą z Saveriem tego samego wieczoru.

– Może pojedziesz ze mną do Nowego Jorku i zostaniesz na jakiś czas? – zapytała.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym pokiwał głową. On również rozmyślał nad swoim życiem, próbując znaleźć sposób, by mogli być razem. Valerie miała słuszość – on także nie chciał opuszczać swoich dzieci. Prowadził też swoje galerie. Graziella i Francesco dobrze sobie radzili, lecz zawsze mieli go pod ręką, mimo iż nie pracował już codziennie. Robił, co chciał, lecz wciąż bardzo angażował się w interesy. Valerie miała więcej swobody, musiała myśleć tylko o Phillipie. A także o Winnie. Opowiedziała o niej Saveriowi.

– Musimy jej znaleźć mężczyznę – zawyrokował, na co zareagowała głośnym śmiechem.

Pod tym względem dla Winnie nie było już nadziei. Nie chciała mężczyzny. Chciała grać w brydża.

– Mógłbym pomieszkać przez jakiś czas w Nowym Jorku – oświadczył Saverio z namysłem. – Nie na stałe, nie chciałbym się przeprowadzać. Moglibyśmy jednak utrzymywać dwa domy. Mamy wielkie szczęście. Możemy robić, co tylko chcemy.

Wymagało to nieco planowania, lecz zrozumiała, że Saverio ma rację. Ona mogła malować wszędzie, a on nie musiał stale doglądać galerii. Ich dzieci dorosły. Nie sugerował, by zachowywali się jak bliźnięta syjamskie. Oboje mieli swoje życie, lecz gdy byli razem, stawało się ono ciekawsze. Dużo teraz o tym rozmawiali, a pod koniec sierpnia uznali, że to się może udać. Nawet Valerie się do tego przekonała. Saverio zapewnił ją, że mogą robić, co tylko chcą. Ten pomysł ogromnie się jej spodobał.

W ostatnim tygodniu sierpnia wymeldowała się z hotelu

i wprowadziła do niego. Niedorzecznością było utrzymywanie pokoju, w którym przez cały miesiąc nie spała. Wolała mieszkać w jego słonecznym domu. Uzgodniła z Phillipem termin powrotu. Jej syn wracał z Maine po weekendzie Święta Pracy. Zamierzała zostać w Nowym Jorku przez miesiąc. Saverio miał do niej dojechać po dwóch tygodniach i zostać na kolejne dwa. Denerwowała się, że musi poinformować syna o swoim romansie. Opuszczała Nowy Jork jako kobieta samotna, a wracała z mężczyzną. Była to absolutnie niespodziewana zmiana. Miała tylko nadzieję, że Phillip nie będzie zbyt zszokowany.



## Rozdział 25

Gdy Phillip i Jane wyjeżdżali do Maine w połowie sierpnia, Valerie już od niemal dwóch miesięcy przebywała we Włoszech. Tęsknił za nią, lecz cieszył się, że dobrze się bawi. Byli z Jane bardzo zajęci. Ona podeszła w lipcu do egzaminu adwokackiego. Wyniki zapowiedziano na listopad, lecz miała nadzieję, że zdała. We wrześniu zaczęła nową pracę. Dostała dwie świetne oferty od znanych kancelarii – firmy Penny oraz innej, jeszcze bardziej prestiżowej, która zaproponowała jej więcej pieniędzy i lepsze warunki. Przyjęła tę drugą i nie mogła się już doczekać pierwszego dnia. Obiecali jej awans na młodszego partnera w ciągu dwóch lat, jeśli będzie ciężko pracować, znajdować nowych klientów i dobrze sobie radzić. Phillip był przekonany, że osiągnie to wszystko. Jeszcze żadna kobieta w jego życiu nie wzbudziła w nim takiego zachwyty. Nigdy też z nikim nie dogadywał się tak dobrze jak z Jane. Umawiali się od pięciu miesięcy i rozważali zamieszkanie razem jesienią. Wszystko powoli się układało.

Dzień przed ich wyjazdem do Maine Christie's przekazał mu nowinę, która okazała się wisienką na torcie. Zaproponowali mu etat w dziale sztuki z awansem i podwyżką od pierwszego października. W grę wchodziły częstsze podróże do Europy oraz inne zalety. Spełniały się jego marzenia, na które czekał już prawie trzy lata. Natychmiast przyjął posadę.

Zaczęli rozmawiać o tym pewnego popołudnia, gdy zarzucili kotwicę w małej zatoczce. Świetnie się im żeglowało tego dnia.

– To dziwne, jak wszystko się układa, prawda? – zapytała Jane w zamyśleniu. – Byłam taka zła, gdy nie dostałam stażu, na który liczyłam, i utknęłam w sądzie do spraw spadkowych. A gdyby nie to, nie przypisano by mnie do sprawy skrytki depozytowej twojej babci i nigdy byśmy się nie spotkali. – Uśmiechnęła się do niego, gdy leżeli w słońcu na pokładzie, odpoczywając po rejsie.

– A gdyby mnie nie zesłano do działu biżuterii, ktoś inny przyjąłby to zlecenie wyceny i moja matka nigdy nie dowiedziałaaby się o swojej matce, a ja nigdy nie poznałbym ciebie. – Pochylił się i pocałował ją.

– Aż budzi się w człowieku wiara w przeznaczenie – dodała

z namysłem.

– Albo w ślepy los. Tutaj jest jednak za dużo szczęścia, by można to przypisać czystemu przypadkowi. Wszystko idealnie do siebie pasuje i na koniec doskonale się ułożyło. Dobrze, że pozbyłaś się swojego chłopaka.

Kolega ze studiów, który go znał, powiedział jej, że John wrócił do L.A. z Carą. Z pomocą jej ojca zakładali firmę, o której mówił. Jane cieszyła się, że zdobyła się na odwagę, by go zostawić, bo w przeciwnym razie nigdy nie poznałaby Phillipa i nie zakochałaby się w nim.

– A co słyszała u twojej matki? – zapytała. – Mam wrażenie, że wyjechała wieki temu. – Dzięki temu mieli więcej czasu dla siebie. Valerie nie wtrącała się w życie syna, lecz stanowiła jego ważny element. Na szczęście Jane bardzo ją polubiła, a Valerie miała swoje sprawy.

– Długo jej już nie ma – zgodził się. – Myślę, że to dla niej jakiś rodzaj rytuału krwi po tym, jak dowiedziała się o swojej matce. – Dzięki aukcji nie musiała się martwić o pieniądze do końca życia, nie żeby wcześniej musiała. Teraz jednak miała solidne zabezpieczenie. Fortuna dawała jej pełną swobodę do końca życia. Bardzo go to cieszyło, zwłaszcza gdy dokonała nowych odkryć na temat swojej matki i odnalazła krewnych ojca dzięki łutowi szczęścia. Kolejnemu. – Chyba zamierza wrócić po Święcie Pracy. Ostrzegła mnie jednak, że będzie teraz więcej podróżować. Może to robić, jeśli tylko chce – dodał, a Jane przytaknęła. – Dzięki aukcji po prostu może robić, co chce. To dla niej dobrze. – A w przyszłości także dla niego. Zdawał sobie z tego sprawę. – Myślę, że nawiązała znajomość z obecnym właścicielem domu jej matki w Neapolu. Poznałem go w marcu, gdy badałem sprawę Marguerite. Mama wspominała coś o tym, że poznała jego dzieci, gdy odwiedziła jego galerię we Florencji. Bardzo go polubiłem. Dałem jej jego numer. Cieszę się, że go znalazła.

Tego wieczoru ugotowali kolację w kambuzie. Ich dwutygodniowe wakacje w Maine udały się lepiej, niż się spodziewali. Mieli idealną pogodę. Niemal codziennie jedli homary. Spotkali się ze starymi znajomymi Phillipa, których Jane polubiła. Ich drogi życiowe gładko

zlewały się w jedną, a oni czuli się sobie jeszcze bliżsi, gdy wrócili do Nowego Jorku w ostatni dzień weekendu po Święcie Pracy. Oboje z radością wyczekiwali też rozpoczęcia nowej pracy w nadchodzących tygodniach. Phillip cieszył się, że w końcu zobaczy matkę i wysłucha relacji z jej podróży. Spędziła we Włoszech ponad dwa miesiące. Od Penny wiedział, że Winnie również rozpaczliwie pragnęła się z nią zobaczyć, tęskniła za nią. Valerie dzwoniła regularnie, lecz Winnie już zaczynała narzekać, że za długo jej nie ma.

Valerie poczuła się dziwnie, gdy jej samolot wylądował na lotnisku JFK. Miała wrażenie, że wyjechała wiele lat temu i wraca jako inna osoba. Jej serce zostało z Saveriem we Florencji, Neapolu i Rzymie, lecz tu był jej dom. Tyle że bez niego czuła się niekompletna. Cieszyła się, że przyłeci za dwa tygodnie. Wiele chciała mu tu pokazać. Była też gotowa włączyć się w jego życie we Włoszech, przynajmniej częściowo. Miał rację – po co pozwalać, by ich wiek odbierał im to, czego pragnęli i czym wciąż mogli się cieszyć? Mogli robić wszystko, co tylko chcieli. Mieli pieniądze i czas, a także to szczęście, że się odnaleźli. Takie było ich przeznaczenie, jak utrzymywał Saverio. Przeznaczenie czy ślepy los, był to cenny dar i Valerie była gotowa go przyjąć, tak jak Saverio. Opowiedział jej w końcu o kobiecie, która zmarła dziesięć lat temu. Nie zamierzał czekać, by utracić ukochaną osobę po raz trzeci. Zamierzał cieszyć się każdą ich wspólną chwilą, dopóki mogli, i miał nadzieję, że potrwa to jeszcze długi czas.

Gdy tego wieczoru Valerie weszła do mieszkania, od razu zadzwoniła do Phillipa – oni również właśnie wrócili. Cieszyła się, wiedząc, że ma go blisko. Umówili się na kolację następnego dnia, z Jane rzecz jasna. Pochwalił się też matce ich nowymi posadami.

– Fantastycznie! – W ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie zawołać „Brava!”. Jej włoski bardzo się przez lato poprawił. – Jak było w Maine? – Tak się cieszyła, słysząc szczęście w jego głosie. Związek z Jane mu służył, cieszyła się też, że wraca do działu sztuki. Tego właśnie pragnął od ponad dwóch lat.

– Cudownie – odparł. – Doskonale się bawiliśmy. Chyba nigdy w życiu nie zjadłem tylu homarów. Nie mogę się już doczekać, by posłuchać o twojej podróży. Objechałaś tyle miejsc. Sardynia,

Portofino, Neapol, Rzym, Florencja, Wenecja, Siena.

Przesyłała Fionie i Winnie pocztówkę z każdego z tych miejsc, a do Phillipa pisała maile. Nie powiedziała mu jeszcze tylko, z kim podróżowała. Zapragnęła zrobić to od razu. Teraz gdy znali już swoje plany, Phillip miał prawo wiedzieć.

Uzgodnili, że spotkają się w 21 następnego wieczoru, by uczcić swój powrót do domu. Rankiem Valerie zamierzała odwiedzić siostrę. Chciała do niej zadzwonić, gdy tylko weszła do mieszkania, lecz wiedziała, że Winnie już śpi. Wiodła zupełnie inne życie niż Valerie, która przywykła do długich wieczorów z Saveriem. Całe jej życie zmieniło się podczas tego lata. Wiedziała, że Winnie nie będzie szczęśliwa, gdy dowie się, że Valerie częściej teraz nie będzie, lecz pozostawało jej tylko się przystosować. Valerie nie zamierzała dłużej mieszkać w Nowym Jorku ani też rezygnować z Włoch, by opiekować się Winnie. Reakcja Phillipa również ją martwiła. Nie potrafiła przewidzieć, jak zareaguje na informację o nowym mężczyźnie w jej życiu.

Wieczorem rozpakowała się. Rozejrzała się po mieszkaniu. W jej studiu na sztaludze wciąż leżał rozpoczęty porter Marguerite, a ona zapragnęła skończyć go od razu. Jej apartament wyglądał przytulnie, lecz inaczej. Czegoś w nim brakowało. Stanowił relikwiarz jej dawnego życia, pozbawiony śladów nowego. Postawiła fotografię Saveria obok łóżka i od razu poczuła się lepiej, jakby udowodniła tym jego istnienie. Zadzwonił do niej o drugiej w nocy – u niego w Rzymie była ósma – a ona odetchnęła z ulgą, słysząc jego głos.

– Tęsknię za tobą! – wyznała w pierwszych słowach.

– *Anch'io*. – Ja za tobą też. – Jaki miałaś lot? – zapytał, ciesząc się, że ją słyszy.

– Długi. Ale większość przespałam. – Poprzedniej nocy rozmawiali do późna. Tyle mieli do zaplanowania, tyle do omówienia.

– Widziałaś się z Phillipem? – zapytał z troską. On również nie potrafił przewidzieć, jak zareaguje jej syn na wiadomość o nim, mimo iż sam też kogoś miał. Mężczyźni byli jednak nieprzewidywalni w stosunku do swoich matek i bardzo zaborczy. Mógł źle przyjąć nowinę o ich romansie, choć oboje mieli nadzieję, że to się nie wydarzy. Dzieci

Saveria były bardzo zadowolone, polubiły ją.

– Spotkam się z nim jutro na kolacji. Rano zobaczę się z Winnie.

Tym się nie martwili, podejrzania i dezaprobata Winnie były niemal gwarantowane, spodziewali się ich. Rozbawiły go opisy siostry, którymi dzieliła się z nim Valerie. Wyglądała w nich na zrzędlivą staruszkę, lecz słyszał też, że Valerie kochała ją i akceptowała taką, jaka była.

– Zadzwoń do mnie po kolacji z Phillipem, nieważne która będzie godzina – nakazał jej.

– Będzie dla ciebie za późno, czwarta lub piąta rano. Zadzwonię, gdy wstaniesz.

– Kładź się już – poradził jej łagodnie. – Teraz dla ciebie jest późno. Zadzwoń, jak wstaniesz. – Czyli późnym popołudniem dla niego. Musieli oswoić się z funkcjonowaniem w dwóch strefach czasowych.

Uwielbiała ich błahe pogawędki, cieszyła się, że jest częścią jej życia, że może się z nim dzielić różnymi rzeczami i różne rzeczy z nim robić. Nie mogła się już doczekać jego przyjazdu za dwa tygodnie. Oboje postrzegali to jako wieczność, a ona miała najpierw pewne przeszkody do pokonania. Duże. Musiała poinformować syna.

Saverio pocałował ją przez telefon na dobranoc, a ona leżała w łóżku, myśląc o nim przed zaśnięciem. Nie mogła uwierzyć, że to możliwe. Znaleźli miłość w tym wieku.

Następnego ranka Valerie zadzwoniła do Winnie, gdy tylko wstała.

– Nareszcie wróciłaś – powiedziała Winnie płaczkliwie. – Już myślałam, że postanowiłaś tam zostać.

– Jestem tutaj – odparła Valerie krótko. – Mogę przyjść na herbatę?

– W południe gram w brydża – mruknęła poirytowana Winnie.

Zamierzała ukarać Valerie za tak długą nieobecność.

Valerie spodziewała się tego, nie była więc zaskoczona.

– Przyjadę teraz. Obudziłam się wieki temu. – Wstała według czasu europejskiego i zadzwoniła do Saveria. Jechał właśnie z Rzymu do Florencji, rozmawiał z nią z samochodu. Obiecała, że zadzwoni po kolacji, a on życzył jej szczęścia. Było to teraz ich ulubione słowo.

Winnie wyglądała dobrze, gdy otworzyła drzwi, tylko nieco zeszczupiała. Niechętnie uścisnęła siostrę, choć wyraźnie ucieszyła się

na jej widok.

– Trzeba było wrócić wcześniej – zbeształa ją.

Ostatecznie pojechała na Martha's Vineyard, gdzie doprowadzała Penny i jej rodzinę do szału. Penny pisała o tym w mailach do ciotki, prowokując u niej wybuchy śmiechu. Winnie z kolei skarżyła się na złe zachowanie wnuków, gdy Valerie do niej dzwoniła.

– Dobrze się bawiłam – odparła Valerie szczerze. Nie spieszyło się jej do powrotu. Dorosły syn okazał się błogosławieństwem. Nie musiała wracać do domu.

Poszła z Winnie do kuchni i razem zaparzyły herbatę. Gospodyni odkurzała sypialnię Winnie, były więc same.

– Poznałam kogoś – powiedziała Valerie, gdy Winnie sączyła herbatę.

Niemal się zakrztusiła.

– Co takiego? – Wbiła w nią zdumione spojrzenie.

– Poznałam kogoś – powtórzyła nieśmiało, odczuwając zawstydzenie.

Winnie potrafiła być onieśmielająca.

– Czy ten ktoś wie, ile masz lat? – zapytała Winnie z miną wyrażającą surową dezaprobatę.

– Owszem, wie. Jest cztery lata młodszy. Oboje jesteście dorośli.

– Jesteście starzy, na miłość boską, a zachowujecie się jak dzieci. – Umiała wyrazić swoje zdanie. – To Amerykanin?

Valerie pokręciła głową.

– Włoch.

– Oczywiście. – Winnie zacisnęła wargi w wąską linię, jeszcze węższą niż zazwyczaj. – Zależy mu tylko na twoich pieniądzach.

– Wcale nie. – Chciała powiedzieć, że zależy mu na jej ciele, lecz doszła do wniosku, że Winnie nie zniosłaby tego szoku. – Handluje sztuką i odnosi sukcesy. Przylatuje za dwa tygodnie. Chciałabyś go poznać?

– Nie, nie chciałabym! – zawołała oburzona Winnie. – Nie zamierzam poznawać żadnych włoskich żigolaków. – Całkowicie zignorowała informację o jego intratnym zajęciu. – To właśnie robiłaś przez cały ten czas! Żałosne! Masz szczęście, że nie zamordował cię,

gdy spałaś.

Wizja ta była straszna, lecz także zabawna, gdy pomyśleć, że Winnie wyraziła się tak o jednym z najważniejszych marszandów we Florencji i Rzymie. Przez chwilę siostry siedziały w kuchni w milczeniu, gdy Winnie próbowała pogodzić się ze słowami Valerie.

– Nie możesz się cieszyć moim szczęściem, Win? Miło jest mieć z kim dzielić życie. To dobry człowiek. Kupił *castello*, które kiedyś należało do mojej matki. Tak właśnie poznał go Phillip. A ja go odszukałam.

– Mogłaś sobie znaleźć kogoś tutaj, jeśli byłaś taka zdesperowana.

– Nie byłam. To było dla mnie całkowite zaskoczenie. Ślepy los. Albo przeznaczenie według niego.

– Moim zdaniem poluje na twoje pieniądze. Pewnie przeczytał gdzieś o aukcji i zaczął się na ciebie.

– Szkoda, że tak myślisz. – Taka jednak była. Tak jak ich rodzice. Zamknięta na wszystko i zła na cały świat. Valerie wiedziała, że w końcu zmieni zdanie. Zawsze je zmieniała, choć niechętnie. Przystosuje się. Po prostu nie będzie przyjemnie, gdy powoli będzie do tego dochodziła.

Valerie wyszła wkrótce potem, obiecując, że zadzwoni za kilka dni. Winnie nie odpowiedziała, nawet gdy zamykały się za nią drzwi.

Valerie dotarła tego wieczoru do 21 przed Phillipem i Jane. Denerwowała się, czekając na nich, choć przybrała maskę spokoju, gdy w końcu się zjawili. Phillip jednak za dobrze ją znał, by się na to nabrać – od razu zauważył, że coś się stało. Wyglądała wspaniale, była szczęśliwa i rozluźniona, jej oczy błyszczały, włosy były piękne, a skóra promieniała opalenizną. Miała na sobie nową sukienkę, którą kupiła w Rzymie. W zasadzie to Saverio kupił ją dla niej, model był krótszy niż te, które nosiła zazwyczaj, lecz świetnie na niej leżał. Wyglądała stylowo i kipiała energią, gdy opowiadała o swojej podróży. Phillip czekał na to, by się zdradziła, przez całą kolację. Dobrze ją znał, a jej niespodzianki nie zawsze okazywały się pozytywne. Miał nadzieję, że tym razem nie usłyszy nic złego.

– Dobrze, mamó, co się dzieje? – zapytał w końcu. Nie mógł dłużej tego znieść, a dotarli już do deseru. Kuchnia była wyśmienita, lecz ona

tylko grzebała widelcem w swoim daniu. Kolejny znak. Nie była smakoszem, lecz gdy się denerwowała, w ogóle przestawała jeść.

Myślała o Winnie, mierząc syna wzrokiem z nadzieją, że przyjmie nowiny lepiej niż jego ciotka. Na szczęście Phillip bardziej przypominał ją – był otwarty i optymistycznie nastawiony do życia, zazwyczaj. Nie potrafiła jednak przewidzieć, jak się zachowa, gdy usłyszy, że jego matka ma romans, ponieważ nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

– Poznałam kogoś we Włoszech – wyznała z wahaniem. Nie sposób było ująć to inaczej.

Spojrzał jej w oczy przekonany, że się przesłyszał.

– Mężczyznę?

Zrobił zdumioną minę, jakby nie zrozumiał, a Jane wstrzymała oddech. Ona rozumiała od razu i też nie wiedziała, jak on zareaguje. Czasami nawet dorośli ludzie mieli osobliwe podejście do osobistego życia swoich rodziców – dotyczyło to zwłaszcza mężczyzn i ich matek.

– Oczywiście. Przecież nie kobietę, na miłość boską. – Valerie uśmiechnęła się nerwowo i postanowiła brnąć dalej. – Bardzo miłego mężczyznę. Spędziliśmy razem całe lato i bardzo się polubiliśmy.

Szczerze mówiąc, kocham go.

Całkowita jawność. Phillip zrobił taką minę, jakby go postrzelono, a Jane zmarszczyła brwi. A to dopiero nowina. Zastanawiała się, czy Phillip zarzuci matce brak lojalności wobec jego ojca.

– Tak? Kto to jest? Czym się zajmuje? Jak się poznaliście? – Pytania wylały się z niego niczym powódź.

– To Saverio Salvatore. Poznałam go w *castello*, gdy pojechałam je zobaczyć. Ponownie spotkaliśmy się we Florencji. Od tego się zaczęło. Bardzo niespodziewanie, pragnę dodać. Wiem, że twoim zdaniem jesteśmy już starzy, lecz to się po prostu stało. Zamierzamy się tym cieszyć i funkcjonować razem pomiędzy Włochami a Stanami. On przyleci do Nowego Jorku, ja polecę tam. Oboje mamy dzieci, swoją pracę i swoje życie, lecz pragniemy też razem spędzać czas.

Phillip nie był zły, tylko zaskoczony.

– W ogóle nie brałam tego pod uwagę. Nie wiem czemu. Bez wątplenia jesteś w takim wieku, by mieć mężczyznę w swoim życiu.

Nie spodziewała się takich słów, do jej oczu napłynęły łzy.



– Bierzesz pod uwagę przeprowadzkę na stałe do Włoch? – zapytał zmartwiony. Oboje byli zajęci, lecz lubił wiedzieć, że matka jest niedaleko, i widywać się z nią, kiedy tylko mógł.

– Raczej nie – odparła z namysłem. – Tu jest moje życie. I ty. Ale cieszę się myślą, że wrócę do Włoch. Planujemy często się przemieszczać. To będzie ciekawe. Co o tym sądzisz?

– Chyba jestem nieco oszołomiony – wyznał szczerze z nikłym uśmiechem. Matka zawsze powtarzała, że jego ojciec był jedynym mężczyzną, jakiego kochała, i na pewno wierzyła w te słowa. Nie spodziewała się, że pokocha kogoś jeszcze. Był to więc dla nich zupełnie nowy koncept. Podobał mu się jednak wyraz jej oczu. Zobaczył w nich szczęście i spokój. – Naprawdę się cieszę, mamó – dodał wspaniałomyślnie. – To chyba dobry człowiek, a jeśli oboje macie siłę, by latać pomiędzy Włochami a Stanami, to dlaczego nie, do diaska? Po co masz siedzieć w domu jak Winnie, narzekać i grać w brydża? – To nie byłoby w jej stylu, o czym dobrze wiedział. Uśmiechnął się szeroko. – Świetnie wyglądasz. Najwyraźniej cię uszczęśliwia. Zasługujesz na to.

– Uszczęśliwia mnie – potwierdziła – i ty również. – Oboje dojrzeli. Oboje byli dorośli. Może Phillipowi nie przyszło lekko zaakceptowanie nowego mężczyzny w jej życiu, lecz postanowił to zrobić, i to w wielkim stylu. Był mężczyzną, nie chłopcem. Valerie poczuła dumę, cieszyła się, że przyjął nowinę w taki sposób.

Jane również. Uśmiechała się do Valerie. Cieszyła się jej szczęściem i czuła ulgę, że Phillip nie robił matce problemów i uszanował jej prawo do własnego życia. Podziwiała odwagę Valerie, która mierzyła się z nową przygodą i nowym związkiem w takim wieku. Ciągłe podróże do Włoch mogły okazać się dla niej wyzwaniem, lecz także ekscytującym doświadczeniem. Podobało się jej, że Valerie pragnie spróbować czegoś nowego. W oczach jej syna stanowiła uosobienie otwartości, odwagi i uwielbienia życia.

Nagle Phillip uśmiechnął się psotnie.

– Powiedziałaś już Winnie?

– Tak. – Valerie uśmiechnęła się na wspomnienie porannej rozmowy.

– Jak zareagowała? Założę się, że wpadła we wściekłość. – Phillip zachichotał.

– Owszem. Powiedziała, że jestem stara.

Na te słowa Phillip wybuchnął śmiechem.

– Zawsze można na nią liczyć. Przejdzie jej z czasem.

Valerie nie zamierzała się tym martwić.

– Wiem. Tylko ona jeszcze tego nie wie.

Oboje zaczęli się śmiać, a on wstał i uścisnął matkę mocno.

– Mogłaś mi powiedzieć od razu i zjeść swój stek.

– No trudno. – Roześmiała się. – Zjem kanapkę, gdy wrócę do domu.

Nie czuła głodu, tylko ulgę. Zareagował jak kochający syn. Uścisnęli się raz jeszcze przed restauracją, po czym wsiedli do dwóch taksówek. Phillip zamierzał spędzić tę noc w mieszkaniu Jane, nie mogli więc jechać razem.

Jane powiedziała mu w taksówce, że jego reakcja na wieść o romansie matki zrobiła na niej wrażenie.

– Moi znajomi wpadali w szal, gdy ich owdowiali lub rozwiedzeni rodzice zakochiwali się w kimś nowym. Myślę, że większość ludzi tak naprawdę nie wie, że ich rodzice mają własne życie i własne związki, a niektórzy zachowują się w tych sprawach niedorzecznie. – Jego reakcja wystawiła doskonałe świadectwo ich matczyno-synowskiej relacji.

– Cholernie mnie zaskoczyła – wyznał zawstydzony. – Nie spodziewałem się, że kogoś pozna po śmierci taty. Ale dlaczego nie? Zasluguje na to. My mamy siebie. – Spojrzał z miłością na Jane. – Dlaczego ona miałaby być sama do końca życia? Dlaczego niby nie może kogoś mieć? Jeśli im się uda, świetnie. Wygląda na to, że w przyszłości często będziemy bywać we Włoszech – dodał, całując ją. Podobała mu się ta perspektywa. Florencja należała do jego ulubionych miast.

– Nieważne, gdzie jesteśmy, jeśli jesteśmy razem – zadeklarowała Jane, odpowiadając na jego pocałunek.

Niemal słowo w słowo powtórzyła to, co Valerie powiedziała Saveriowi przed swoim wyjazdem.

Valerie czekała cierpliwie do drugiej w nocy, by znów zadzwonić

do Saveria. Odebrał telefon o ósmej rano czasu florenckiego i otrząsnął się ze snu, gdy tylko usłyszał jej głos.

– Jak poszło? Co powiedział? – zapytał natychmiast z troską. Wiedział, że jeśli Phillip zaciekle zaprotestuje, entuzjazm Valerie dla ich planów osłabnie. Nie chciała denerwować ani ranić syna.

– Zachował się wspaniale – odparła radośnie. – Przez chwilę był w szoku, a potem powiedział, że się cieszy i że na to zasługuję. Mówił szczerze. – W jej głosie pobrzmiwały zachwyt i ulga.

Saverio uśmiechnął się, leżąc w łóżku. To była jego jedyna obawa. Wiedział, że reszta ułoży się za pomocą biletów lotniczych i pomimo zmian stref czasowych. Rozważał zakup samolotu służbowego, co również ułatwiłoby sprawy. Nawet bez niego był jednak pewien, że ten związek się uda. Oboje byli na tyle dojrzały, by zdawać sobie sprawę z tego, jakie mają szczęście, że się odnaleźli, by dobrze się nawzajem traktować i wiedzieć, czego pragną i potrzebują, a także dawać to sobie.

– Cieszę się – powiedział z szerokim uśmiechem. Phillip stanowił jedyną przeszkodę, jakiej się obawiał. Mógłby uczynić z życia matki piekło, gdyby tylko chciał, i mógł się zachować paskudnie pod pozorem obrony pamięci ojca. Na szczęście okazało się, że mają aprobatę wszystkich swoich dzieci, co znacznie ułatwiało sprawy.

– A teraz pospiesz się i przyjeżdżaj – poprosiła głosem zakochanej kobiety.

– Zjawię się za dwa tygodnie – przypomniał jej.

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, całkiem zapominając o tym, jak późno jest już u niej. Po prostu cieszyli się, że żyją i są zakochani.

## Rozdział 26

Gdy dwa tygodnie później samolot z Rzymu z Saveriem na pokładzie wylądował, Valerie czekała na lotnisku. Saverio wziął ją w ramiona, gdy tylko przeszedł odprawę, i pocałował. Uśmiechnęli się do siebie. Przechodnie uśmiechali się na ich widok. Byli w sobie zakochani i szczęśliwi, że znów się widzą.

Saverio miał na sobie doskonale skrojony ciemnoniebieski garnitur, wyglądał bardzo sztywnie, Valerie była natomiast ubrana w elegancką czarną bawełnianą sukienkę odpowiednią na gorące nowojorskie babie lato.

Wyszli razem z lotniska, otaczając się w pasie ramionami. Nie spieszyli się, cieszyli się swoim towarzystwem. Dwa tygodnie rozłąki odczuli jak długie miesiące.

– Kupiłem wczoraj samolot – powiedział jej.

Wybuchnęła śmiechem i oświadczyła, że musiał oszaleć. Niemniej wiedziała, że kupił go ze względu na interesy dla siebie i swoich dzieci, aby mogli podróżować w sprawach galerii, spotykać się z ważnymi klientami i kupować nowe obrazy w całej Europie.

Tego wieczoru umówili się z Phillipem i Jane na kolację w La Grenouille, aby powitać Saveria w Nowym Jorku. Zamierzali najpierw wypić drinka w jej mieszkaniu, a potem pojechać do centrum. Mieli wiele powodów do świętowania – nową pracę Phillipa i Jane, związek Valerie z Saveriem i wszystko, co tylko przyszło im do głowy.

Saveriowi ogromnie spodobało się jej mieszkanie i atmosfera, którą w nim stworzyła. Było małe, lecz ciepłe i przytulne. Stanowiło element jej historii, nie chciała się z nim rozstawać. Jego natomiast interesowało dosłownie wszystko – podziwiał jej obrazy i eklektyczną kolekcję bibelotów. Miał dwa domy i mieszkanie we Włoszech. Mieli też jej mieszkanie w Nowym Jorku, a co najważniejsze – mieli siebie. Mieli wszystko, czego potrzebowali. Ich wspólne życie było darem. Ich pierwsze spotkanie – błogosławieństwem. Zbliżyli się do siebie dzięki serii cudów, które objęły nie tylko ich, lecz także wszystkich na ich drodze, a każdego z nich w jakiś wyjątkowy sposób odpowiadający jego potrzebom.

Cuda można tłumaczyć jako przeznaczenie, ślepy los lub zbieg okoliczności. Im towarzyszyła też jednak magia. Kobieta, która umarła, zniknęła z ich życia, wpłynęła na nich wszystkich w cudowny sposób, zbliżając ich do siebie. Marguerite tchnęła magię w ich życie i pobłogosławiła ich wszystkich niezmiernymi darami.

Tytuł oryginału

*Property of a Noble Woman*

Copyright © 2016 by Danielle Steel

Copyright © for the translation by Agnieszka Myśliwy

Fotografia na okładce

Copyright © Rob Stothard/Getty Images

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku

*cała jaskrawość*, [www.calajaskrawosc.pl](http://www.calajaskrawosc.pl)

ISBN 978-83-240-3699-8

Wydanie I, Kraków 2016

między  
słowami

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

E-mail: [promocja@miedzy.slowami.pl](mailto:promocja@miedzy.slowami.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four small, colored circles: light blue, purple, pink, and orange respectively.

[woblink.com](http://woblink.com)

